

ELITA ZABÓJCÓW

LEE CHILD

Z angielskiego przełożył ZBIGNIEW KOŚCIUK

1

Facet nazywał się Calvin Franz, miał połamane obie nogi i trzeba go było wnieść na pokład helikoptera Bell 222, przywiązanego do noszy. Nic trudnego. Bell to przestronna dwusilnikowa maszyna, przeznaczona do przewozu biznesmenów i gliniarzy, mogąca pomieścić siedmiu pasażerów. Tylne drzwi są tak duże jak przesuwane drzwi vana i można je szeroko otworzyć. Usunęli środkowy rząd foteli, aby na podłodze było dość miejsca dla Franza.

Silnik helikoptera pracował na wolnych obrotach. Nosze umieściło w środku dwóch mężczyzn. Schylili się nisko, przechodząc pod płatem wirnika. Jeden szedł tyłem, drugi - przodem. Kiedy dotarli do drzwi, facet, który się cofał, oparł nosze na progu i odszedł na bok. Drugi ruszył do przodu, mocno pchając koniec noszy, tak że zniknęły we wnętrzu kadłuba. Franz był przytomny i cierpiał. Krzyczał i szarpał się na boki - odrobinę, bo pasy umieszczone na wysokości klatki piersiowej i ud były ciasno ściągnięte. Dwaj mężczyźni wspięli się za nim, zajęli miejsce w fotelach za usuniętym rzędem i zatrzasnęli drzwi.

Czekali.

Czekał także pilot.

Po chwili w drzwiach małego budynku ukazał się trzeci facet i zaczął iść po płycie lądowiska. Schylił się, przechodząc pod płatem wirnika i przyciskając do piersi krawat łopoczący na wietrze. Wyglądał jak oskarżony, który przysięga, że jest niewinny. Obszedł długi nos bella i zajął miejsce z przodu, obok pilota.

- Ruszaj - powiedział, pochylając głowę i zapinając pasy. Pilot zwiększył obroty i niskie dźwięki towarzyszące ruchowi płatów ustąpiły miejsca wysokim tonom, które po chwili zagłuszył ryk wyrzucanych spalin. Maszyna poszła pionowo w górę, przechyliła w lewo i po wykonaniu niewielkiego obrotu wciągnęła koła, a następnie uniosła na wysokość trzystu metrów. Pochyliła nos i mszyła na północ, lecąc z dużą prędkością na wysokim pułapie. Pod helikopterem przesuwały się drogi i parki, małe fabryki i schludne podmiejskie dzielnice odizolowane od świata. Ceglane ściany i metalowe sidingi błyszczały czerwono w promieniach zachodzącego słońca.

Niewielkie szmaragdowe trawniki i turkusowe baseny lśniły w ostatnich promieniach dnia.

- Wiesz, dokąd lecimy? - zapytał mężczyzna siedzący obok pilota.

Ten skinął w milczeniu głową.

Bell leciał w zapadających ciemności na północny wschód, osiągając stopniowo coraz wyższy pułap. Przeciął linię biegnącej w dole autostrady, ze strumieniem czerwonych świateł pełzających na wschód. Na północ od drogi nieliczne zabudowania zaczęły ustępować miejsca niskim niezamieszkanym wzgórzom, jałowym i porośniętym krzakami. Zbocza zwrócone w stronę zachodzącego słońca lśniły pomarańczowo, w cieniu i dolinach przybierając matową, ciemnobrązową barwę. Po jakimś czasie pagórki przekształciły się w niskie, łagodne góry. Bell sunął przed siebie, to wznosząc się, to opadając, zgodnie z ukształtowaniem terenu. Mężczyzna z przodu odwrócił się i spojrzał na Franza.

Uśmiechnął się przelotnie i oznajmił:

- Jeszcze tylko dwadzieścia minut.

Franz nie odpowiedział. Zbyt mocno cierpiał.

Helikopter leciał z prędkością dwustu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, toteż w ciągu kolejnych dwudziestu minut pokonał dystans niemal dziewięćdziesięciu kilometrów ponad górami i pustymi połaciami pustyni. Pilot włączył przednie reflektory i zwolnił. Mężczyzna siedzący z przodu przywarł czołem do szyby, wypatrując w ciemności.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

- Tam gdzie byliśmy poprzednio - odpowiedział pilot.

- Dokładnie?

- Mniej więcej.

- Co jest poniżej?

- Pustynia.

- Wysokość?

- Dziewięćset metrów.

- Warunki?

- Bezwietrznie. Występują jedynie słabe prądy termiczne. Żadnego wiatru.

- Jest bezpiecznie?

- Pod względem aeronautycznym, tak.

- Zróbmy to teraz.

Pilot zwolnił jeszcze bardziej, wykonał zwrot i zawisł na wysokości dziewięćset metrów nad pustynią. Facet z przodu odwrócił się ponownie, dając znak dwóm z tyłu. Ci rozpięli pasy. Jeden pochylił się do przodu, nie chcąc dotknąć nóg Franza, a następnie zwolnił

blokadę drzwi, trzymając się jedną ręką pasa. Pilot odwrócił się nieznacznie w fotelu, obserwując, co się dzieje, i przechylając helikopter tak, aby drzwi otworzyły się na oścież pod własnym ciężarem. Następnie wyrównał maszynę, wprawiając ją w wolny mch obrotowy zgodny z ruchem wskazówek zegara, dzięki czemu ciśnienie powietrza utrzymywało drzwi szeroko otwarte. Dmgi z mężczyzn uklękł na wysokości głowy Franza, unosząc koniec noszy, tak aby nachyliły się pod kątem czterdziestu pięciu stopni do podłogi. Pierwszy wetknął stopę pod koniec noszy, aby nie przesunęły się po podłodze. Jego kumpel uniósł ręce jak ciężarowiec, podnosząc nosze do pozycji pionowej. Ciało Franza zawisło na linkach. Franz był roslym, ciężkim mężczyzną. Pełnym determinacji. Chociaż jego nogi stały się bezużyteczne, górna część tułowia była potężna i silnie napięta. Kręcił głową to w jedną, to w drugą stronę. Pierwszy facet sięgnął nóż grawitacyjny i wysunął ostrze. Przeciął pasek oplatający uda Franza. Po krótkiej chwili rozciął drugi, biegnący wokół klatki piersiowej. Jednocześnie jego kumpel podniósł nosze do pionu i Franz wykonał odruchowy krok do przodu. Na złamaną prawą nogę. Wydał krótki okrzyk, a następnie zrobił kolejny krok, stając na drugiej złamanej kończynie. Zamachał rękami i runął do przodu przez otwarte drzwi w ciemną noc, zakłóconą pracą silników bella.

Dziewięćset metrów poniżej rozciągała się pustynia.

Na chwilę zapadło milczenie. Można było odnieść wrażenie, że przycichły nawet hałaśliwe dźwięki. Po kilku sekundach pilot zmienił obroty i zakołysał maszyną, tak że drzwi zgrabnie się zamknęły. Zwiększył obroty silnika, powodując, że płyty zaczęły szybciej się obracać, a nos maszyny zanurkował.

Dwaj mężczyźni opadli na fotele.

- Możemy wracać do domu - oznajmił facet siedzący z przodu.

2

Siedemnaście dni później Jack Reacher był w Portland, w Oregonie, niemal bez centa przy duszy. W Portland, ponieważ musiał gdzieś być, a autobus, do którego wsiadł dwa dni temu, właśnie tu się zatrzymał. Niemal bez centa przy duszy, bo spotkał się z asystentką prokuratora okręgowego o imieniu Samantha w barze, w którym bywali gliniarze, i dwa razy postawił jej obiad, zanim dwa razy spędził noc w jej mieszkaniu. Teraz Samantha poszła do pracy, a on opuszczał jej mieszkanie o dziewiątej rano, zmierzając w kierunku dworca autobusowego w centrum miasta. Miał wilgotne włosy po niedawnym prysznicu, czuł się zaspokojony i zrelaksowany, nie wiedział, dokąd się uda, i miał w kieszeni bardzo cienki zwitek banknotów.

Atak terrorystów z jedenastego września 2001 roku zmienił życie Reachera na dwa bardzo przyziemne sposoby. Po pierwsze, oprócz składanej szczoteczki do zębów nosił teraz przy sobie paszport. W nowych czasach wiele spraw, np. podróżowanie, wymagało posiadania dokumentu tożsamości ze zdjęciem. Reacher był włóczęgą, nie pustelnikiem - człowiekiem niespokojnym, chociaż bez zaburzeń, więc z wdziękiem przystosował się do zmienionych warunków.

Po drugie, zmienił sposób kontaktowania się z bankami. Po opuszczeniu armii przez wiele lat dzwonił do swojego banku w Wirginii i prosił, aby za pośrednictwem Western Union przelać mu elektronicznie pieniądze do miejsca, w którym się akurat znajdował. Obecne ograniczenia mające na celu utrudnienie finansowania działalności terrorystycznej poważnie zawężyły pole działania bankowości telefonicznej. Reacher musiał się posługiwać kartą bankomatową. Nosił ją w swoim paszporcie i miał PIN o numerze 8197. Chociaż uważał się za człowieka o nielicznych talentach, posiadał kilka umiejętności związanych ze swoimi cechami fizycznymi - nieprzeciętnym wzrostem i siłą. Wśród nich była umiejętność podania dokładnego czasu bez spoglądania na zegarek oraz specyficzne zdolności arytmetyczne. Stąd PIN 8197. Reacher lubił liczbę 97, ponieważ była największą dwucyfrową liczbą pierwszą, a liczba 81 była jedyną z mnóstwa liczb, której pierwiastek kwadratowy był jednocześnie sumą tworzących ją cyfr. Pierwiastek kwadratowy z 81 to 9, czyli dokładnie tyle co suma 8 i 1. Żadna z pozostałych liczb w kosmosie nie odznaczała się równie cudowną symetrią. Była doskonała.

Zdolności arytmetyczne Reachera w połączeniu z wrodzonym cynicznym stosunkiem do instytucji finansowych kazały mu zawsze sprawdzać saldo, gdy podejmował gotówkę. Nigdy nie zapominał o odjęciu prowizji za wypłacenie pieniędzy w bankomacie i co kwartał powiększał saldo o śmiesznie niskie odsetki naliczone przez bank. Mimo podejrzeń nigdy też nie został okantowany. Za każdym razem saldo było dokładnie takie, jak przewidywał. Bank nigdy go nie zaskoczył ani nie wprawił w konsternację.

Aż do tego ranka w Portland, kiedy poczuł się zaskoczony, choć nie skonsternowany. Okazało się, że jego saldo jest o ponad tysiąc dolarów większe.

Dokładnie o tysiąc trzydzieści dolarów, wedle pobieżnej kalkulacji Reachera. Oczywiście błąd. Popelniony przez bank. Pieniądze zaksięgowano na niewłaściwym rachunku. Pomyłka zostanie naprawiona. Oczywiście nie zatrzymałby tych pieniędzy. Był optymistą, a nie głupcem. Wcisnął inny przycisk, aby otrzymać skrócony wykaz operacji bankowych na jego rachunku. Maszyna wypluła mały skrawek papieru, na którym szarym atramentem wydrukowano pięć ostatnich transakcji. Trzy pobrania gotówki z bankomatu, które doskonale

pamiętał. Jedno obciążenie odsetkami bankowymi oraz przelew w kwocie jednego tysiąca trzydziestu dolarów dokonany trzy dni temu. Wszystko jasne. Pasek papieru był zbyt wąski, aby zmieściły się na nim kolumny debet i kredyt, więc kwota depozytu została umieszczona w nawiasie, co oznaczało zasilenie rachunku. (1030).

Jeden tysiąc trzydzieści dolarów.

1030.

Sama liczba nie była szczególnie interesująca, mimo to Reacher przypatrywał się jej przez minutę. Oczywiście nie była to liczba pierwsza. Żadna liczba parzysta większa niż dwa nie mogła być liczbą pierwszą. Jej pierwiastek kwadratowy? Odrobinę większy niż 32. Pierwiastek sześcienny? Nieco mniejszy niż 10,1. Dzielniki? Niewiele. Z pewnością 5 i 206, oczywiście 10 i 103 oraz jeszcze bardziej podstawowe, 2 i 515.

No tak, 1030.

Jeden tysiąc trzydzieści dolarów. Błąd.

Być może.

Z drugiej strony kto wie?

Reacher podjął pięćdziesiąt dolarów i wsunął je do kieszeni, aby mieć na drobne wydatki, a następnie ruszył na poszukiwanie telefonu.

Znalazł aparat na dworcu autobusowym. Numer banku znał na pamięć. Dziewięćdziesiąt cztery dla wschodniej, dwadzieścia cztery dla zachodniej części stanu. W Wirginii była teraz pora lunchu, lecz ktoś powinien przecież tam siedzieć.

Rzeczywiście. Chociaż to nie z tą urzędniczką Reacher rozmawiał wcześniej, sprawiała wrażenie kompetentnej. Może na stanowisku obsługi pracował jeden z menedżerów, aby zastąpić podwładnego podczas przerwy na posiłek. Kobieta przedstawiła się, lecz Reacher nie zapamiętał jej nazwiska. Następnie wygłosiła długi wyuczony na pamięć monolog, aby poczuł się jak szanowany klient. Wysłuchał tej tyrady i poinformował o przelewie. Była zdumiona, że klient dzwoni, aby powiadomić o błędzie, który bank popełnił na jego korzyść.

- Może nie jest to błąd - powiedział Reacher.

- Spodziewał się pan przelewu? - zapytała.

- Nie.

- Czy osoby trzecie często wpłacają pieniądze na pański rachunek?

- Nie.

- A zatem pewnie to błąd, nie sądzi pan?

- Chciałbym wiedzieć, kto dokonał przelewu.

- Czy mogę zapytać dlaczego?

- Zabrałoby to zbyt wiele czasu.

- Muszę to wiedzieć - odparła. - Chodzi o tajemnicę bankową. Gdyby bank bez uzasadnionego powodu powiadomił osobę trzecią o transakcjach klienta, naruszyłby wiele zasad i przepisów oraz norm etycznych.

- Ten przelew może być przesłaniem - powiedział Reacher.

- Przesłaniem?

- Z przeszłości.

- Nie pojmuję.

- Z czasów, gdy pracowałem w żandarmerii wojskowej - poinformował Reacher. - Komunikaty żandarmerii nadawane przez radio są szyfrowane. Jeśli funkcjonariusz pilnie potrzebuje pomocy kolegi, komunikuje się z nim za pomocą kodu dziesięć - trzydzieści. Rozumie pani, co mówię.

- Nie, niezupełnie.

- Myślę, że jeśli nie znam osoby, która wykonała przelew, mamy do czynienia z błędem na tysiąc trzydzieści dolarów. Ale jeśli wiem, kto to taki, możemy mieć do czynienia z wołaniem o pomoc.

- W dalszym ciągu nie rozumiem.

- Proszę spojrzeć jak zapisano przelew. To może oznaczać kod radiowy dziesięć-trzydzieści, a nie tysiąc trzydzieści dolarów. Niech pani spojrzy na wydruk.

- Czy tamta osoba nie mogła po prostu do pana zadzwonić?

- Nie mam telefonu.

- Wysłać e-mail? Telegram? Zwykły list?

- Nie mam stałego adresu korespondencyjnego.

- W jaki sposób zwykle się z panem kontaktujemy?

- Nie robicie tego.

- Przelew na pański rachunek bankowy byłby bardzo dziwnym sposobem komunikowania się.

- Jedynym.

- Na dodatek bardzo trudnym. Tamta osoba musiałaby ustalić numer pana rachunku.

- Właśnie o to chodzi - odpowiedział Reacher. - Taki człowiek musiałby być inteligentną i pomysłową osobą. A jeśli inteligentna i pomysłowa osoba prosi o pomoc, musi znajdować się w poważnych opałach.

- Ten sposób komunikacji byłby też bardzo kosztowny. Trzeba by zapłacić ponad tysiąc trzydzieści dolarów.

- Dokładnie. Ten człowiek musiałby być inteligentny, pomysłowy i zrozpaczony.

Na linii zapanowała chwila milczenia.

- Mógłby pan sporządzić listę potencjalnych kandydatów, abym mogła ją zweryfikować?

- Pracowałem dla wielu inteligentnych ludzi, na ogół bardzo dawno temu. Potrzebowałbym tygodni, aby sporządzić taką listę, a wówczas mogłoby być za późno. Na dodatek nie mam telefonu.

Kolejna chwila milczenia, tym razem przerwana przez dźwięk wciskanych klawiszy.

- Szuka go pani, prawda? - zapytał.

- Nie powinnam tego robić - odparła.

- Nie miałbym pretensji, gdyby pani odmówiła. Ponownie zapadło milczenie. Klikanie klawiszy ustało. Wiedział, że ma to nazwisko przed nosem, na ekranie monitora.

- Proszę mi powiedzieć - poprosił.

- Nie mogę tego zrobić ot tak, po prostu. Będzie mi pan musiał pomóc.

- Jak?

- Proszę o kilka wskazówek, abym nie musiała podawać go w ciemno.- Jakich wskazówek?

- Chodzi o mężczyznę czy kobietę? - zapytała. Reacher uśmiechnął się szeroko. Odpowiedź była zawarta w pytaniu. Chodziło o kobietę. Inteligentną, pomysłową kobietę obdarzoną wyobraźnią i zdolnością lateralnego myślenia. Kobietę wiedzącą o jego słabości do dodawania i odejmowania.

- Niech zgadnę - zaczął. - Przelewu dokonano z Chicago.

- Tak, z rachunku osobistego w banku w Chicago.

- Neagley - odgadł.

- Właśnie takie nazwisko mam przed oczyma - odpowiedziała urzędniczka. - Frances L. Neagley.

- W takim razie proszę zapomnieć o tej rozmowie - rzekł Reacher. - Pomyłka banku nie wchodzi w grę.

3

Reacher służył trzynaście lat w armii, w żandarmerii. Znał Frances Neagley od dziesięciu lat i współpracował z nią przez siedem. Był oficerem. Najpierw podporucznikiem,

później porucznikiem, kapitanem, majorem. Następnie został zdegradowany do stopnia kapitana i ponownie awansowany na majora. Neagley uporczywie odmawiała awansu, jakby nie mogła się rozstać ze stopniem sierżanta. Nie chciała pójść do szkoły oficerskiej, a Reacher nigdy nie dowiedział się dlaczego. Nie wiedział o niej wielu rzeczy, oprócz tych, które poznał podczas dziesięciu lat znajomości.

Wiedział jednak w sumie całkiem sporo. Frances była inteligentna, zaradna i dokładna. Na dodatek niezwykle twarda. Pozbawiona zahamowań. Nie w dziedzinie związków międzyludzkich. Unikała nawiązywania bliższych kontaktów. Była niesłuchanie skryta i stroniła od wszelkich form bliskości fizycznej lub emocjonalnej. W sferze zawodowej. Jeśli uznała, że coś jest słuszne lub konieczne, nikt nie mógł jej powstrzymać. Nic nie mogło jej przeszkodzić - polityka, względy praktyczne ani nawet to, co cywile nazywają prawem. Kiedyś Reacher wciągnął ją do specjalnej grupy śledczej. W dwóch najważniejszych latach istnienia grupy oddała jej nieocenione usługi. Większość ludzi przypisywało spektakularne sukcesy zespołu przywództwu Reachera, - lecz to Frances była ich prawdziwym autorem. Wywierała na nim silne wrażenie. Czasami wręcz go przerażała.

Jeśli zwracała się do niego z prośbą o pilną pomoc, nie czyniła tego dlatego, że zgubiła kluczyki do samochodu.

Neagley pracowała dla prywatnej agencji ochrony w Chicago. Wiedział o tym. A przynajmniej pracowała tam cztery lata temu, gdy kontaktowali się ostatni raz. Opuściła armię rok po nim i podjęła pracę wspólnie ze znajomym. Jak sądził, nie w charakterze pracownika, lecz współnika.

Sięgnął głęboko do kieszeni i wyciągnął kilka ćwierćdolarówek. Wcisnął klawisz rozmowy zamiejscowej i poprosił o połączenie. Podał nazwę firmy, tak jak ją zapamiętał. Głos operatorki umilkł i po chwili rozległ się nagrany komunikat podający numer telefonu. Reacher rozłączył się i wykręcił go. Słuchawkę podniosła recepcjonistka. Poprosił o połączenie z Frances Neagley. Kobieta grzecznie poprosiła, aby poczekał. Odniosł wrażenie, że firma Neagley była większa, niż sądził. Wyobrażał sobie jedno pomieszczenie, ciemne okno, dwa sfatygowane biurka i szafki wypełnione dokumentami. Spokojny głos sekretarki i dźwięk wciskanych klawiszy telefonu oraz cicha muzyka dolatująca z oddali sugerowały znacznie większe miejsce. Może zajmowali dwie kondygnacje jakiegoś biurowca, mieli eleganckie białe korytarze, obrazy na ścianach i wewnętrzną sieć telefoniczną.

Po chwili usłyszał męski głos:

- Tu biuro Frances Neagley.

- Czy jest u siebie? - zapytał Reacher.

- Mogę zapytać kto mówi?
 - Jack Reacher.
 - To dobrze. Dziękuję, że się pan z nami skontaktował.
 - Z kim rozmawiam?
 - Jestem asystentem pani Neagley.
 - Ma asystenta?
 - Tak.
 - Czy jest u siebie?
 - Jest w drodze do Los Angeles. Na pokładzie samolotu, jak sądzę.
 - Zostawiła dla mnie wiadomość?
 - Chciałaby się z panem jak najszybciej spotkać.
 - W Chicago?
 - Będzie w Chicago przez kilka dni. Myślę, że powinien pan tam pojechać.
 - O co chodzi?
 - Nie mam pojęcia.
 - Czy ta sprawa ma związek z pracą zawodową?
 - Nie sądzę. Założyłaby teczkę. Omówiła sprawę z nami. Nie prosiłaby o pomoc obcych.
 - Nie jestem obcy. Znam ją dłużej niż pan.
 - Przepraszam. Nie wiedziałem.
 - Gdzie zamierza się zatrzymać w Los Angeles?
 - Tego również nie wiem.
 - W jaki sposób mam ją odnaleźć?
 - Powiedziała, że będzie pan wiedział.
 - Co to ma być? Jakaś próba? - zapytał Reacher.
 - Powiedziała, że nie potrzebuje pańskiej pomocy, jeśli nie potrafi jej pan odnaleźć.
 - Nic jej nie jest?
 - Coś ją trapi. Nie powiedziała mi co.
- Reacher odwrócił się od ściany, nie odrywając słuchawki od ucha. Metalowy przewód owinał się wokół klatki piersiowej. Spojrzał na autobusy i tablicę odjazdów.
- Z kim jeszcze się kontaktowała?
 - Mam całą listę nazwisk - odparł tamten. - Pan odpowiedział pierwszy.
 - Czy zadzwoni, gdy wyląduje?
 - Pewnie tak.

- Proszę jej powiedzieć, że jestem w drodze.

4

Reacher wszedł do autobusu kursującego na lotnisko w Portland i kupił bilet w jedną stronę na lot United Airlines do Los Angeles. Jako dokumentu tożsamości użył paszportu, regulując należność kartą bankomatową. Bilet w jedną stronę był koszmarnie drogi. Lot Alaska Airlines byłby tańszy, lecz Reacher nie znosił tych linii. Umieszczali karteczki z biblijnymi cytatami na tacy z posiłkiem, co zupełnie odbierało mu apetyt.

Przejście przez odprawę bagażową nie stanowiło problemu. Praktycznie nie miał bagażu podręcznego ani paska, kluczyków, telefonu komórkowego i zegarka. Musiał jedynie położyć drobne na plastikowej tacy, a następnie zdjąć buty i przejść przez bramkę emitującą promienie rentgenowskie. Zajęło to w sumie trzydzieści sekund. Teraz mógł ruszyć do wyjścia, umieściwszy monety w kieszeni, włożywszy buty na nogi i myśląc o Frances Neagley.

Nie była to sprawa zawodowa, a zatem chodziło o coś osobistego. Wiedział jednak, że Frances nie miała życia osobistego. Oczywiście trapiły ją codzienne bolączki i kłopoty tak jak wszystkich. Nie wyobrażał sobie, aby zwracała się do niego o pomoc w takiej sprawie. Hałaśliwa okolica? Każdy rozsądny facet sprzedałby zbyt głośne stereo po jednej krótkiej rozmowie z Frances Neagley. Albo oddał organizacji dobroczynnej. Handlarze narkotyków na rogu ulicy? Następnego ranka można by o nich przeczytać w rubryce kryminalnej miejscowej gazety. W alei znaleziono ciała z licznymi ranami kłutymi. Żadnych podejrzanych. Jakiś prześladowca? Obmacywacz w metrze? Wzruszył ramionami. Neagley nie lubiła, gdy ktoś jej dotykał. Nie miał pojęcia dlaczego. Wszystko i wyjątkiem przypadkowego przelotnego kontaktu mogło kosztować faceta złamaną rękę. Albo obie.

Na czym w takim razie polegał jej problem?

Przypuszczalnie miał jakiś związek z przeszłością, a to oznaczało armię.

Lista nazwisk? Może kurczęta wróciły do domu, aby usiąść na grzędzie? Armia kojarzyła się Reacherowi z bardzo odległą przeszłością. Inną epoką, innym światem. I innymi zasadami. Może ktoś zaczął stosować współczesne standardy do dawnych sytuacji i miał o coś pretensję. Może rozpoczęto długo opóźniane dochodzenie wewnętrzne. Specjalna grupa Reachera podpadła wielu ludziom. Ktoś, może nawet sama Neagley, wymyślił hasło: Nie zadzieraj ze specjalną grupą śledczą. Powtarzano je bez końca jako obietnicę i ostrzeżenie. Śmiertelnie poważnie, z kamiennym wyrazem twarzy.

Najwyraźniej ktoś zadarł ze specjalną grupą śledczą. Być może zaczęły krążyć sądowe wezwania i akty oskarżenia. Dlaczego Neagley miałyby go narażać? Był tak niewidoczny, jak niewidocznym mógł być człowiek w Ameryce. Czy nie mogła po prostu zignorować faktu jego istnienia?

Wsiadał na pokład samolotu, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Podczas lotu zastanawiał się nad tym, w jakiej części Los Angeles spróbuje ją odnaleźć. Kiedyś poszukiwanie ludzi stanowiło ważny element jego pracy i był w tym całkiem dobry. W tej robocie powodzenie zależało od empatii. Myśl i czuj tak jak oni. Dostrzegaj to samo co oni. Wyobraź sobie, że jesteś w ich skórze. Stań się nimi.

Oczywiście zadanie to jest łatwiejsze, gdy ma się do czynienia z żołnierzem, który samowolnie się oddalił. Brak określonego celu nadawał decyzjom takiego żołnierza szczególną przejrzystość. Uciekał się od czegoś, zamiast ku czemuś zmierzać.

Często podświadomie posługiwał się jakąś geograficzną symboliką. Jeśli przybył do miasta ze wschodu, uciekał na zachód. Chciał się oddzielić chaosem od goniących. Po godzinie rozmyślał nad mapą, rozkładem jazdy autobusów i książką telefoniczną Reacher potrafił bezbłędnie odgadnąć, gdzie można go znaleźć. Wiedział nawet, w którym motelu facet się zatrzymał.

Z Neagley sprawa była nieco trudniejsza, ponieważ jego dawna podwładna wyraźnie ku czemuś zmierzała. Chodziło o jakąś sprawę osobistą, a Reacher nie wiedział jaką, nie znał również miejsca, z którym się ta sprawa wiązała. Postanowił zacząć od rzeczy podstawowych. Co wiedział o Frances? Jakie elementy miały decydujące znaczenie? Cóż, Frances zadowolala się byle czym. Nie dlatego, że była biedna lub skąpa - po prostu nie widziała sensu wydawania pieniędzy na rzeczy, których nie potrzebowała. Dodam, że miała raczej skromne potrzeby. Nie potrzebowała, aby ktoś zmieniał jej pościel lub kładł gałązkę mięty na poduszcze. Nie potrzebowała obsługi hotelowej lub prognozy pogody na następny dzień. Obywała się bez puszystego szlafroka i pantofli zapakowanych w torbę celofanową. Potrzebowała jedynie łóżka i drzwi z zamkiem, a także tłumu gości, cienia i taniego anonimowego lokalu, w którym panuje duży ruch, a barmani i recepcjoniści mają krótką pamięć.

Uznał, że może sobie darować obiekty położone w centrum miasta. Odpadało także Beverly Hills.

Co pozostawało? W jakim miejscu ogromnego Los Angeles czułaby się wygodnie?

Mógł wybierać spośród niemal trzydziestu dwóch tysięcy kilometrów ulic tego miasta.

Zadał sobie pytanie: Gdzie sam bym się zatrzymał?

W Hollywood, brzmiała odpowiedź. Odrobinę na południowy wschód od najlepszego rejonu miasta.

Właśnie tam by pojechał.

Był pewien, że odnajdzie Frances w Hollywood.

Samolot wylądował na lotnisku w Los Angeles z małym opóźnieniem, dobrze po lunchu. Podczas lotu nie podawano jedzenia, więc Reacher był głodny. Samantha, asystentka prokuratora z Portland, podała mu na śniadanie kawę i muffinka z otrębów. Pomyślał, że było to całe wieki temu.

Nie zatrzymał się, aby coś zjeść. Ruszył wprost na postój taksówek i wsiadł do żółtego vana toyoty, którego kierowca, Koreańczyk, koniecznie chciał porozmawiać o boksie. Reacher nie miał zielonego pojęcia o tej dyscyplinie, gdyż niewiele go obchodziła. Sztuczność tego sportu powodowała, że się wyłączał. W jego świecie nie było miejsca na miękkie rękawice i zakaz zadawania ciosów poniżej pasa. Na dodatek nie lubił pogaduszek. Siedział cicho w fotelu, słuchając, jak tamten trajkocze. Obserwował gorące, brązowe światło popołudnia wpadające przez okno. Patrzył na palmy, billboardy z filmowymi plakatami, jasnoszare niekończące się linie gumowych kostek oddzielających pasy ruchu. Na samochody, całe rzeki aut, istną powódź pojazdów. Dostrzegł nowego rolls royce'a i starego citroena DS. Obydwa samochody były czarne. Spojrzał na krwistoczerwonego MGA i pastelowo błękitnego thurn-birda rocznik 1957. Jeden i drugi z otwartym dachem. Zauważył żółtą corvette z 1960 roku jadącą za zielonym modelem z roku 2007. Pomyślał, że gdyby wystarczająco długo przypatrywać się ruchowi pojazdów w Los Angeles, można by zobaczyć wszystkie samochody, jakie kiedykolwiek wyprodukowano.

Kierowca skręcił w biegnącą na północ Sto Pierwszą, którą opuścił ostatnim zjazdem przed Sunset. Reacher wysiadł w zatoczce i zapłacił za kurs. Ruszył w górę na południe, aby po chwili skręcić w lewo i skierować się na wschód. Wiedział, że w tym rejonie Sunset, na długości około trzech kilometrów po obu stronach bulwaru, znajdowało się bardzo dużo tanich hotelików i moteli. Gorące powietrze południowej Kalifornii zalatywało kurzem i samochodowymi spalinami. Przystanął na chwilę. Musiał pokonać odcinek około trzech kilometrów, w jedną i drugą stronę, aby zajrzeć do recepcji kilkunastu moteli. Pomyślał, że zajmie mu to jakąś godzinę, może trochę więcej. Był głodny. Przed sobą, po prawej stronie, ujrzał znak restauracji Denny'ego należącej do sieci tanich lokali. Postanowił, że najpierw zje, a później przystąpi do pracy.

Minął rząd zaparkowanych samochodów i puste działki ogrodzone płytami, którymi w czasie huraganu osłaniano witryny i okna domów. Wdepnął w jakieś śmieci i kulę szarłatu wielkości piłki do softballu. Ponownie przekroczył Sto Pierwszą, idąc długim mostem. Wszedł na parking przed restauracją Denny'ego i przeszedł pas zieleni i drogę dla klientów odbierających jedzenie bez wysiadania z samochodu. Minął długi szereg okien.

W środku dostrzegł Frances Neagley siedzącą samotnie w jednym z boksów.

5

Reacher stał chwilę na parkingu, przypatrując się Neagley przez okno. Prawie nie zmieniła się od czasu, gdy ją widział cztery lata temu. Była teraz bliżej czterdziestki niż trzydziestki, lecz nie rzucało się to w oczy. Jej włosy pozostały długie, ciemne i lśniące. Czarne oczy były pełne życia, ciało - szczupłe i sprężyste. Musiała nadal spędzać dużo czasu na siłowni. Reacher nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Miała na sobie obcisły biały T-shirt z krótkimi rękawami. Pomyślał, że trzeba by mikroskopu elektronowego, aby wypatrzeć choćby odrobinę tłuszczu na jej ramionach. Lub gdziekolwiek.

Lekka opalenizna pasowała do koloru jej skóry. Zauważył, że ma polakierowane paznokcie. T-shirt sprawiał wrażenie markowego. Ogólnie wyglądała na bardziej zamożną, niż ją zapamiętał, zadowoloną, zadowoloną we własnym świecie. Kobieta sukcesu przywykła do życia w cywilu. Przez chwilę poczuł się skępowany swoim tanim ubraniem, zdartymi butami i zaniedbaną fryzurą. Jakby jej się udało, a jemu nie. Radość z ujżenia przyjaciółki wyparła tę myśl i Reacher mszył przez parking w stronę drzwi. Wszedł do środka, omijając znak z napisem „Proszę poczekać na wskazanie stolika” i podchodząc wprost do boksu Frances. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.- Cześć - powiedziała.

- Witaj.

- Masz ochotę na lunch?

- Taki miałem plan.

- Zamówmy coś do jedzenia, skoro w końcu tu dotarłeś - zaproponowała.

- Mówisz tak, jakbyś na mnie czekała.

- To prawda. Zjawiłeś się niemal punktualnie.

- Czyżby?

Neagley uśmiechnęła się ponownie.

- Zadzwoiłeś do mojego asystenta z Portland w Oregonie. Zapisał numer, z którego dzwoniono, i ustalili, że korzystałeś z automatu na dworcu autobusowym. Pomyśleliśmy, że pojechałeś wprost na lotnisko. Uznałam, że wybrałeś linie United. Pewnie nienawidzisz

Alaskan. Po przylocie na miejsce wzięłaś taksówkę. Łatwo było określić twój przewidywany czas przybycia.

- Wiedziałaś, że przyjdę właśnie tutaj? Do tej restauracji?

- Sam mnie tego nauczyłeś.

- Niczego cię nie nauczyłem.

- Ależ tak - odpowiedziała. - Pamiętasz? Myśl tak jak oni, stań się nimi. A zatem stałam się tobą. Pomyślałeś, że wybrałam Hollywood, i postanowiłeś rozpocząć poszukiwania od Sunset. Ponieważ podczas rejsu z Portland linie United nie podają posiłków, uznałem, że będziesz głodny i zdecydujesz, że najpierw trzeba coś zjeść. W tym rejonie jest kilka restauracji, które mógłbyś wybrać, ta ma jednak największy szyld, a ty nie jesteś wybredny. Uznałam, że właśnie tutaj się z tobą spotkam.

- Że spotkasz się ze mną tutaj? Sądziłem, że to ja cię szukam.

- To prawda. Ja szukałam ciebie, szukającego mnie.

- Zatrzymałaś się tutaj? W Hollywood? Potrząsnęła głową.

- W Beverly Hills. W hotelu Wilshire.

- Przyjechałaś tutaj tylko po to, aby mnie zgarnąć?

- Dziesięć minut temu.

- Hotel Wilshire w Beverly Hills? Zmieniłaś się.

- Niezupełnie. To świat się zmienił. Tanie motele nie są już dla mnie. Potrzebuję poczty elektronicznej, dostępu do Internetu i szybkiej obsługi FedEx. Centrum biznesowego i specjalnego całodobowego serwisu.

- Przy tobie czuję się staromodny.

- Rozwijasz się. Korzystasz z karty bankomatowej.

- To było mądre posunięcie. Wiadomość w formie przelewu.

- Miałam dobrego nauczyciela.

- Mówiłem już, że niczego cię nie nauczyłem.

- Akurat!

- Z drugiej strony było to ekstrawaganckie posunięcie - zauważył Reacher. - Równie dobrze mogłaś przesłać dziesięć dolarów i trzydzieści centów. Może tak byłoby nawet lepiej... z kropką oddzielającą dziesięć i trzydzieści.

- Pomyślałam, że możesz potrzebować pieniędzy na samolot.

Reacher nie odpowiedział.

- Oczywiście, odnalazłam twój rachunek - ciągnęła. - Wejście do systemu i przyjrzenie się jego zawartości nie nastęrczyło szczególnych trudności. Nie jesteś bogaty.

- Nie chcę być.

- Wiem. Nie chciałam jednak, abys wydawał forszę, chcąc odpowiedzieć na moje wołanie dziesięć-trzydzieści. To nie byłoby fair.

Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że o tym zapomniał. To prawda, że nie był bogaty. W rzeczywistości znalazł się niemal na krawędzi ubóstwa. Oszczędności stopniały do takiego poziomu, że zaczął się zastanawiać, jak je zwiększyć. Może w przyszłości powinien podjąć jakąś dorywczą pracę lub inaczej podreperować budżet. Przy stoliku zjawiała się kelnerka z kartą dań. Neagley złożyła zamówienie bez zaglądania do środka. Cheeseburger i napój gazowany. Reacher był równie szybki. Poprosił o zapiekankę z tuńczykiem i gorącą kawę. Dziewczyna zabrała karty i odeszła.- Powiesz mi wreszcie, dlaczego przesłałaś wiadomość dziesięć-trzydzieści? - zapytał Reacher.

Neagley pochyliła się i wyciągnęła czarny segregator ze stojącej na podłodze torby na zakupy. Podała mu go, nie mówiąc ani słowa. W środku znajdowała się kopia raportu z sekcji zwłok.

- Calvin Franz nie żyje - powiedziała. - Myślę, że ktoś go wyrzucił z samolotu.

6

W przeszłości, to znaczy w wojsku, Calvin Franz służył w żandarmerii. W tym samym czasie co Reacher. Podczas trzynastu lat służby ich losy układały się niemal identycznie. Spotykali się to tu, to tam i, jak to zaprzyjaźnieni oficerowie, przez dzień lub dwa poklepywali się po plecach w różnych częściach świata. Odbywali telefoniczne konsultacje, wpadali na siebie, gdy prowadzone niezależnie dochodzenia splotały się lub kolidowały ze sobą. Przeżyli wspólnie trudny okres w Panamie. Ten czas okazał się bardzo wartościowy dla ich znajomości. Krótki, lecz intensywny. Dostrzegli wówczas cechy, które spowodowały, że zaczęli się traktować jak bracia, a nie jedynie koledzy oficerowie. Kiedy Reacher został zrehabilitowany po chwilowym okresie niełaski i degradacji, aby otrzymać rozkaz stworzenia specjalnej grupy śledczej, Calvin Franz znalazł się na jednym z pierwszych miejsc listy upragnionych kandydatów. Spędzili ze sobą dwa kolejne lata, tworząc wewnętrzny trzon grupy. Szybko się zaprzyjaźnili. Później, jak to bywa w armii, nadeszły nowe rozkazy, grupa specjalna została rozwiązana i Reacher nigdy więcej nie widział Franza.

Aż do tej chwili, gdy ujrzał zdjęcie z sekcji zwłok umieszczone w segregatorze położonym na lepkim laminowanym stole w taniej restauracji.

Franz był niższy do Reachera, lecz wyższy od większości ludzi. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i potężnie umięśniony tors, długi tułów i krótkie nogi. W pewnym

sensie jego wygląd można by uznać za prymitywny. Przypominał jaskiniowca. Ogólnie był całkiem przystojny. Opanowany, stanowczy, sprawny. Świetny kompan. Swoim zachowaniem wspierał i zachęcał innych.

Na zdjęciach z sekcji wyglądał paskudnie. Nagie ciało położono na stole z nierdzewnej stali, a lampa błyskowa nadała skórze bladozieloną barwę.

Makabra.

Ale przecież wszyscy zmarli wyglądają fatalnie.

- Skąd to masz? - zapytał Reacher.

- Zwykle udaje mi się dostać to, czego chcę. Reacher nie skomentował tej wypowiedzi, lecz odwrócił kolejną stronę zawierającą informacje o charakterze formalnym. Napisano, że denat ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu i waży osiemdziesiąt siedem kilogramów. Przyczyną śmierci było ustanie pracy licznych narządów wewnętrznych spowodowane upadkiem ze znacznej wysokości. Obie nogi denata były złamane. Podobnie żebra. W krwiobiegu znajdowało się bardzo dużo uwolnionej histaminy. Organizm zmarłego był poważnie odwodniony. W brzuchu stwierdzono jedynie śluz. Znalezione również ślady wskazujące na niedawną szybką utratę masy ciała. Nie stwierdzono, aby w ostatnim czasie coś jadł. Ilości śladowe pobrane z ubrania denata nie zawierały nic szczególnego z wyjątkiem sproszkowanego tlenku żelaza niewyjaśnionego pochodzenia w dolnej części nogawek, na goleniach, poniżej kolana i nad kostką.

- Gdzie go znaleźli?

- Na pustyni - odparła Neagley. - Około osiemdziesięciu kilometrów na północny wschód stąd. Na twardym piasku wśród małych skał, w odległości stu metrów od pobocza drogi. Żadnych śladów stóp w jedną lub drugą stronę.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Reacher przerwał, gdy zdejmowała talerze z tacy, a następnie zaczął jeść kanapkę, trzymając ją w lewej ręce, aby prawa była czysta i można nią było przewracać kolejne strony raportu.

- Dwóch zastępców szeryfa zauważyło myszołowy zataczające kręgi w powietrzu. Poszli sprawdzić. Wspięli się na skały - Zeznali, że wyglądało to tak, jakby facet spadł z nieba. Lekarz sądowy był podobnego zdania.

Reacher pokiwał głową. Zapoznawał się z opinią lekarza: zoon nastąpił w wyniku upadku na twardy piasek z wysokości około dziewięćset metrów. Siła uderzenia mogła spowodować wspomniane obrażenia wewnętrzne, jeśli Franz wylądował na plecach. To z kolei było możliwe, jeśli podczas spadania żył i poruszał ramionami. Martwy człowiek przypuszczalnie upadłby na głowę.

- Zidentyfikowali go na podstawie odcisków palców - rzekła Neagley.
- Jak się o tym dowiedziałaś? - zapytał Reacher.
- Zadzwoiła do mnie żona. Trzy dni temu. Odniosłam wrażenie, że zapisał nasze nazwiska w notatniku. Na specjalnej stronie. Namiary kumpli z wojska. Tylko mnie udało się jej odnaleźć.
- Nie wiedziałem, że był żonaty.
- Niedawno się ożenił. Mieli czteroletnie dziecko.
- Pracował? Neagley skinęła głową.
- Jako prywatny detektyw. Prowadził jednoosobową firmę. Początkowo udzielał porad strategicznych dużym firmom. Później zajmował się sprawdzaniem danych osobowych. Analizą baz danych. Wiesz, jaki był skrupulatny.
- Gdzie?
- Tutaj. W Los Angeles.
- Wszyscy zostaliście prywatnymi detektywami?
- Myślę, że większość.
- Oprócz mnie.
- Nie mieliśmy innych kwalifikacji, które można by sprzedać.
- Czego chciała od ciebie żona Franza?
- Niczego. Powiedziała tylko, co się stało.
- Nie chce znaleźć odpowiedzi?
- Gliny prowadzą śledztwo. Ludzie z biura szeryfa. Ciało znaleziono na terenie hrabstwa Los Angeles. Poza obszarem jurysdykcji komendy policji LA. Dochodzeniem zajmuje się kilku zastępców szeryfa. Rozpracowują hipotezę z samolotem. Sądzą, że maszyna leciała na zachód z rejonu Vegas. Już wcześniej mieli do czynienia z tego rodzaju przypadkami.
- To nie był samolot - stwierdził Reacher. Neagley nie odpowiedziała.
- Samolot ma określoną prędkość minimalną? Sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę? Sto trzydzieści? Musiałby wypaść przez drzwi poziomo do strumienia zaśmigłowego. Skrzydło lub ogon rozbiłyby ciało na miazgę. Mimo to nie stwierdzono żadnych obrażeń przedśmiertnych.
- Miał połamane obie nogi.
- Ile czasu ciało spada z wysokości dziewięciuset metrów?
- Dwadzieścia sekund?

- W jego krwi stwierdzono dużą ilość uwolnionej histaminy. To reakcja organizmu na silny ból. Dwadzieścia sekund od chwili odniesienia obrażeń do śmierci nie wystarczyłoby nawet do zapoczątkowania tego procesu.

- A więc?

- Wcześniej połamali mu nogi. Co najmniej dwa lub trzy dni przed śmiercią. Może więcej. Wiesz, co to takiego tlenek żelaza?

- Rdza - odparła Neagley. - Wynik procesu korozji żelaza.

Reacher skinął głową.

- Ktoś połamał mu nogi żelaznym prętem. Przypuszczalnie jedną po drugiej. Wcześniej pewnie przywiązali go do jakiegoś słupa. Mierzyli w golenie. Te kości trudno złamać, więc na spodniach pozostały cząsteczki rdzy. Musiało go boleć jak diabli.

Neagley milczała.

- Głodzili go - kontynuował. - Nie dawali pić. Miał dziewięć kilogramów niedowagi. Trzymali go w zamknięciu przez dwa lub trzy dni. Może dłużej. Torturowali.

Neagley w dalszym ciągu milczała.

- Wyrzucili go z helikoptera. Najpewniej w nocy. Maszyna zawisła w powietrzu na wysokości dziewięciuset metrów.

Otworzyli drzwi i wypchnęli go. - Reacher zamknął oczy i wyobraził sobie przyjaciela lecącego dwadzieścia sekund w ciemności, wykonującego przerzuty, machającego rękoma, niewiedzącego, gdzie jest ziemia. Niemającego pojęcia, gdzie upadnie. - Przypuszczalnie nie lecieli od strony Vegas - ciągnął. - Podróż tam i z powrotem przekracza zasięg większości helikopterów. Przybyli od strony północno-wschodniej części Los Angeles. Zastępcy szeryfa obszczekują niewłaściwe drzewo.

Neagley siedziała, nie mówiąc ani słowa.

- Żer dla kojotów - rzekł Reacher. - Doskonały sposób na pozbycie się ciała. Nie pozostaje żaden ślad. Pęd powietrza zwiewa włosy i obcą tkanę. Żadnych dowodów kryminalistycznych. Właśnie dlatego wyrzucili go żywego. Mogli go zastrzelić, lecz nie chcieli ryzykować pozostawienia śladów balistycznych.

Reacher zamilkł na dłuższą chwilę, a następnie zamknął segregator i przesunął go w stronę Neagley.

- Przecież domyślałaś się tego wszystkiego - powiedział. - Prawda? Umiesz czytać. Ponownie mnie sprawdzasz. Chcesz się przekonać, czy mój mózg nadal działa.

Neagley nie zareagowała na jego słowa.

- Grasz na mnie jak na skrzypcach.

Milczenie.

- Dlaczego mnie tu sprowadziłaś? - zapytał.

- Jak powiedziałaś, zastępcy szeryfa obszczekują niewłaściwe drzewo.

- Co z tego?

- Musisz coś z tym zrobić.

- Zrobię. Uwierz w to. Ci, którzy to zrobili, już są martwi. Nie można wyrzucać moich przyjaciół z helikoptera i dalej żyć, aby o tym opowiadać.

- Nie o to mi chodzi. Chcę, żebyś zrobił coś innego.

- Na przykład?

- Zebrał ponownie naszą dawną grupę.

7

Ich dawna grupa. Typowy wymysł amerykańskiej armii. Chociaż było to dla wszystkich oczywiste, faceci z Pentagonu potrzebowali trzech lat, aby zacząć myśleć o jej utworzeniu. Po upływie kolejnego roku wypełnionego posiedzeniami rozmaitych komisji generałowie w końcu zaakceptowali pomysł. Sprawa trafiła na czyjeś biurko, a następnie wszczęto obłąkańczy rwetes, by nadać jej bieg. Wydano rozkazy. Oczywiście żaden z dowódców nie chciał nawet tknąć jej kijem, więc ze sto dziesiątego oddziału żandarmerii utworzono nową grupę. Chociaż wszyscy pragnęli sukcesu, nikt nie miał zamiaru podpisywać się pod porażką, dlatego zaczęto poszukiwać kompetentnego pariasa, który stanąłby na jej czele.

Reacher wydawał się najlepszym kandydatem.

Sądziło się, że wystarczającą nagrodą będzie przywrócenie mu stopnia majora, lecz źródłem prawdziwej satysfakcji okazała się szansa zrobienia czegoś jak należy. Tak jak chciał. Dali mu wolną rękę w doborze ludzi. Był z tego bardzo zadowolony. Uznał, że specjalna grupa śledcza potrzebuje najlepszych ludzi, jakich ma do zaoferowania armia. Pomyślał, że zna ich i wie, gdzie przebywają. Chciał, aby zespół był stosunkowo mały, zdolny do szybkiego i elastycznego reagowania, pozbawiony biurokratycznego wsparcia, co miało zapobiegać przeciekom. Wykombinował, że sami zajmą się papierkową robotą, jeśli uznają to za stosowne. W końcu wybrał ośmiu: Tony'ego Swana, Jorge Sancheza, Calvina Franza, Frances Neagley, Stanleya Lowreya, Manuela Orozco, Davida O'Donnella i Karłę Dixon. Dixon i Neagley były jedynymi kobietami, a Neagley jedynym podoficerem. Wszyscy pozostali mieli stopień oficerski. O'Donnell i Lowrey byli kapitanami, a reszta majorami, co utrudniało stworzenie spójnego systemu dowodzenia, lecz Reacher miał to gdzieś. Wiedział,

że dziewięć blisko współpracujących osób stworzy raczej strukturę poziomą niż pionową i właśnie tak się stało. Zorganizowali się jak mała drużyna baseballu zmierzająca po mistrzowski tytuł. Byli utalentowanymi czeladnikami. W ich gronie nie było żadnych gwiazd, żadnych wyrazistych osobowości. Wspierali się wzajemnie i ponad wszystko byli nieustrudzeni i nieubłagani skutecznie.

- To było dawno temu - rzekł Reacher.

- Mamy zadanie do wykonania - powiedziała Neagley. - Wszyscy. Wspólnie. Nie zadzieraj ze specjalną grupą śledczą, pamiętasz?

- To był zwykły slogan.

- Skądże, najprawdziwsza prawda. Ufaliśmy w to.

- Aby utrzymać morale. Zwyczajna przechwałka przypominająca pogwizdywanie w ciemności.

- Było w tym coś więcej. Osłanialiśmy się wzajemnie.

- Wtedy tak.

- Teraz i zawsze. To jest jak kanna. Ktoś zabił Franza i nie możemy puścić tego płazem. Jak byś się czuł, gdyby to ciebie załatwili, a resztą nie kiwnęłaby palcem?

- Gdyby to o mnie chodziło, nie czułbym niczego. Byłbym martwy.

- Wiesz, o co mi chodzi.

Reacher zamknął oczy i ponownie ujrzał Calvina Franza wymachującego ramionami w ciemności. Może krzyczał, a może nie. Jego stary druh.

- Sam sobie poradzę albo załatwimy to we dwójkę. Nie możemy powrócić do tego, co było. To się nigdy nie sprawdza.

- Będziemy musieli.

- Dlaczego? - zapytał, otwierając oczy ze zdumienia.

- Ponieważ pozostali mają prawo wziąć w tym udział.

Zasłużyli sobie na to dwoma trudnymi latami. Nie możemy ich przekreślić. Nie przypadłoby im to do gustu. Postąpilibyśmy niewłaściwie.

- Co zamierzasz?

- Potrzebujemy ich, Reacher. Franz był dobry. Bardzo dobry. Tak dobry jak ty czy ja. Mimo to ktoś połamał mu nogi i wyrzucił go z helikoptera. Myślę, że potrzebujemy całej pomocy, jaką możemy uzyskać. Trzeba odszukać pozostałych.

Spojrzał na nią, przypominając sobie słowa jej asystenta: *Mam listę nazwisk. Jest pan pierwszym, który odpowiedział.*

- Inni będą znacznie łatwiejsi do odszukania ode mnie. Neagley skinęła głową.

- Mimo to nie udało mi się ich zebrać - odparła.

8

Lista. Dziewięć nazwisk. Dziewięciu ludzi. Reacher wiedział, gdzie jest troje z nich, konkretnie lub ogólnie. On i Neagley, konkretnie, w restauracji Denny'ego w hollywoodzkim West Sunset. Franz, ogólnie, w jakiejś bliżej nieokreślonej kostnicy.

- Co wiesz o pozostałej szóstce? - zapytał.

- Piątce - odparła Neagley. - Stan Lowrey nie żyje.

- Kiedy zmarł?

- Kilka lat temu. Zginął w wypadku samochodowym w Montanie. Drugi kierowca był pijany.

- Nie wiedziałem.

- Czasami bywa kiepsko.

- Jak cholera - przytaknął Reacher. - Lubilem Stana.

- Ja też.

- Gdzie jest reszta?

- Tony Swan jest zastępcą dyrektora ochrony w fabryce broni gdzieś w południowej Kalifornii.

- Której?

- Nie jestem pewna. Dopiero zaczynają. To nowe przedsięwzięcie. Pracuje tam zaledwie od roku.

Reacher skinął głową. Lubił Tony'ego Swana. Swan był niskim, korpulentnym mężczyzną. Niemal kwadratowym. Życzliwym, wesołym i inteligentnym. - Orozco i Sanchez są w Vegas. Wspólnie prowadzą firmę ochroniarską. Mają kontrakty z kasynami i hotelami.

Reacher ponownie przytaknął. Słyszał, że Jorge Sanchez opuścił armię w tym samym czasie co on, lekko sfrustrowany i rozgoryczony. Wiedział, że Manuel Orozco nie miał takiego zamiaru, w sumie jednak nie był zaskoczony, iż zmienił zdanie. Obaj byli indywidualistami. Szybkimi, szorstkimi, szczupłymi facetami, którzy nie tolerowali bzdur.

- David O'Donnell mieszka w dystrykcie Kolumbii. Jest prywatnym detektywem. Ma pełne ręce roboty - kontynuowała Neagley.

- Nie dziwię się - odparł Reacher. O'Donnell był bardzo skrupulatny. Bez najmniejszego problemu odwalał papierkową robotę za nich wszystkich. Wyglądał jak typowy absolwent uczelni z Ivy League. W jednej kieszeni trzymał nóż sprężynowy, a w drugiej kastet. Facet zawsze powinien mieć coś i takiego przy sobie.

- Karla Dixon jest w Nowym Jorku - dodała Neagley. - Pracuje jako specjalista od przekrętów księgowych. Najwidoczniej zna się na finansach.

- Zawsze miała nosa do liczb - skwitował Reacher. - Zapamiętałem to. - Reacher i Dixon spędzili razem trochę czasu, próbując dowieść różnych znanych twierdzeń matematycznych lub je obalić. Beznadziejne zadanie, zważywszy na fakt, że oboje byli amatorami. Dixon miała czarne włosy, była bardzo ładna i stosunkowo niska. Szczęśliwa kobieta mająca jak najgorsze zdanie o innych. Niestety, w dziewięciu przypadkach na dziesięć okazywało się, że ma rację.

- Skąd tyle o nich wiesz? - zapytał Reacher.

- Śledziłam ich losy - odparła Neagley. - Interesowało mnie to.

- Dlaczego nie udało ci się z nimi skontaktować?

- Nie mam pojęcia. Dzwonię, lecz nikt nie odpowiada.

- Czy ten atak był wymierzony w nas wszystkich?

- Niemożliwe - odpowiedziała Neagley. - Jestem rów - i nie łatwym celem jak Dixon lub O'Donnell, a nikt mnie nie ścigał.

- Przynajmniej do tej pory.

- Być może.

- Zadzwoiłaś do pozostałych tego samego dnia, w którym przelałaś pieniądze na moje konto?

Neagley skinęła głową.

- Od tego czasu minęły zaledwie trzy dni - zauważył Reacher. - Może wszyscy byli zajęci.

- Co masz zamiar zrobić? Czekać, aż się odezwą?

- Wolałbym o nich zapomnieć. Wspólnymi siłami rozwiążemy sprawę śmierci Franza.

Wystarczy nas dwoje.

- Byłoby lepiej, gdyby udało się zebrać starą grupę. Stanowiliśmy zgrany zespół. Byłeś najlepszym dowódcą, jakiego miała armia.

Reacher nie odpowiedział ani słowa.

- O co ci chodzi? - zapytała Neagley. - O czym myślisz?

- Pomyślałem, że gdybym chciał napisać historię od nowa, zacząłbym o wiele wcześniej.

Neagley złożyła dłonie, opierając je na czarnym segregatorze. Smukłe palce, brązowa skóra, lakierowane paznokcie, wyraźnie zarysowane ścięgna.

- Mam jedno pytanie - powiedziała. - Przypuśćmy, że skontaktowałam się z innymi. Przypuśćmy, że dałabym sobie spokój z twoim bankiem. Przypuśćmy, że po latach dowiedziałbyś się, że Franz został zamordowany, a nasza szóstka załatwiła sprawę bez ciebie. Jak byś się czuł?

Reacher wzruszył ramionami. Przez chwilę milczał.

- Podle. Może czułbym się oszukany, pominięty. Neagley nie zareagowała na to wyznanie.

- Okej, spróbujemy ich odnaleźć - postanowił. - Nie będziemy jednak czekać w nieskończoność.

Neagley zostawiła na parkingu wypożyczony samochód. Zapłaciła rachunek i wyprowadziła Reachera na zewnątrz. Wybrała mustanga, czerwony kabriolet. Kiedy wsiedli do środka, Neagley wcisnęła dźwignię i opuściła dach. Wyjęła ze schowka okulary przeciwsłoneczne i założyła. Wycofała z parkingu i na najbliższych światłach skręciła na południe, opuszczając Sunset. Ruszyli w kierunku Beverly Hills. Reacher siedział w milczeniu obok niej, mrużąc oczy w promieniach popołudniowego słońca.

Z brązowego forda crown victoria zaparkowanego trzydzieści metrów na zachód od restauracji Thomas Brant obserwował, jak wychodzą. Wyciągnął komórkę i zadzwonił do swojego szefa, Curtisa Mauneya. Ten nie odpowiedział, więc Brant zostawił nagraną wiadomość.

- Właśnie dotarła do pierwszego z nich - powiedział.

Pięć samochodów za crown victoria Branta stał ciemnoniebieski sedan chrysler, w środku siedział facet w ciemnoniebieskim garniturze. On również obserwował, jak czerwony mustang znika we mgle. I on również sięgnął po komórkę.

- Właśnie podjęła pierwszego. Nie mam pojęcia który to. Olbrzymi facet, wygląda jak menel.

Po tych słowach wysłuchał odpowiedzi szefa, wyobrażając sobie, że jedną ręką wygładza krawat, w drugiej trzymając telefon

9

Jak sugerowała jego nazwa, hotel Wilshire znajdował się przy bulwarze Wilshire, w samym sercu Beverly Hills, naprzeciwko wylotu Rodeo Drive. W skład kompleksu wchodziły dwa duże gmachy o fasadzie z wapnia stojące jeden za drugim. Pierwszy był stary i bogato

zdobiony, drugi - nowy i prosty. Budynki oddzielała droga wewnętrzna biegnąca równoległe do bulwaru. Neagley zaparkowała w niej mustanga obok czarnego lincolna.

- Nie byłoby mnie stać na taki lokal - zauważył Reacher.

- Już zarezerwowałam ci pokój.

- Zarezerwowałeś czy zapłaciłeś?

- Obciążą mój rachunek.

- Nie będę mógł ci oddać.

- Zapomnij o tym.

- Muszą brać kilkaset dolców za noc.

- Pokryję koszty. Może weźmiemy jakieś łupy.

- Pod warunkiem że źli faceci są bogaci.

- Zapewniam cię, że są - odparła. - Muszą być. W przeciwnym razie nie byłoby ich stać na helikopter.

Zostawiła samochód na chodzie, otworzyła ciężkie czerwone drzwiczki i wysiadła na zewnątrz. Reacher uczynił podobnie. Po chwili podbiegł ktoś z obsługi, podając Neagley kwit parkingowy. Odebrała go, obeszła wóz z przodu i mszyła w kierunku głównego holu hotelu. Reacher poszedł za nią. Obserwował, jak się porusza. Płynęła, jakby nic nie ważyła. Przemknęła przez zatłoczony, kręty korytarz i wyłoniła się przed okazałą recepcją. Reacher dostrzegł biurko, przy którym obsługiwano gości, biurko z dzwonkiem oraz biurko konsjerża. Trzy oddzielne biurka. Oprócz nich w pomieszczeniu znajdowały się obite jasnym aksamitem fotele, w których siedzieli elegancko ubrani ludzie.

- Wyglądam jak jakiś menel - zauważył Reacher.

- Albo miliarder. Dzisiaj nie sposób tego stwierdzić na podstawie ubrania.

Zaprowadziła go do kontuaru i zameldowała. Pokój Reachera został zarezerwowany na nazwisko Thomasa Shannona potężnego kontrabasisty grającego w zespole Stevie Raya Vaughana, który był ulubieńcem Reachera. Uśmiechnął się. Jeśli było to możliwe, wołał nie pozostawiać śladów w dokumentach. Zawsze tak postępował. Zwyczajny odruch. Odwrócił się do Neagley i skinął głową, wyrażając podziękowanie.

- Jakim nazwiskiem się posługujesz? - zapytał.

- Prawdziwym - odpowiedziała. - Nie bawię się już w takie gierki. To zbyt skomplikowane.

Recepcjonistka wręczyła Reacherowi elektroniczną kartę do drzwi, a ten wsunął ją do kieszeni koszulki. Odwrócił się od kontuaru i spojrzał na salę. Marmury, rzucające

przyćmione światło kandelabry, gruby dywan, kwiaty w ogromnych szklanych wazonach. Woń perfum unosząca się w powietrzu.

- Pora wziąć się do roboty - oznajmił.

Przystąpili do pracy w dwupokojowym apartamencie Neagley. Część pełniąca funkcję salonu była wysokim, dostojnym, kwadratowym pomieszczeniem utrzymanym w niebieskiej i złotej tonacji. Równie dobrze mogłaby być jedną z sal pałacu Buckingham. Przy oknie stało biurko z dwoma laptopami. Obok leżało puste gniazdo na telefon komórkowy i duży otwarty kołonoatnik z rodzaju tych, które we wrześniu kupują uczniowie ogólniaka. Na samym końcu znajdowało się kilka zadrukowanych kartek. Formularze. Pięć sztuk. Pięć nazwisk, pięć adresów, pięć numerów telefonów. Dane członków ich zespołu, oprócz dwóch, którzy odeszli, i dwóch, którzy byli na miejscu.

- Opowiedz mi o Stanie Lowreyu - poprosił Reacher.

- Niewiele jest tu do opowiadania. Odszedł z wojska, przeprowadził się do Montany i wpadł na ciężarówkę.

- Pieskie życie zakończone śmiercią.

- Mnie to mówisz?

- Co robił w Montanie?

- Zajmował się hodowlą owiec i produkcją masła.

- Sam?

- Miał dziewczynę.

- Nadal tam mieszka?

- Pewnie tak. Mieli dużo ziemi.

- Dlaczego akurat owce? Czemu zajął się produkcją masła?

- W Montanie nikt nie potrzebuje usług prywatnego detektywa, a właśnie tam mieszkała jego dziewczyna.

Reacher skinął głową. Na pierwszy rzut oka Stan Lowrey nie nadawał się na bohatera wiejskiego romansu. Był potężnie zbudowanym czarnoskórym facetem pochodzącym z obskurnego przemysłowego miasteczka w zachodniej Pensylwanii, giętkim jak pejcz i twardym jak podkład kolejowy. Jego środowiskiem naturalnym wydawały się mroczne zaułki i sale bilardowe. Miał jednak w genach coś, co silnie łączyło go z ziemią. Reacher nie był zaskoczony, że facet został hodowcą. Mógł sobie wyobrazić Staną w starej znoszonej kurtce, stojącego po kolana w trawie pod ogromnym sklepieniem nieba. Zmarzniętego, lecz szczęśliwego.

- Dlaczego nie udało ci się skontaktować z pozostałymi? - zapytał.
- Nie mam pojęcia - odparła Neagley.
- Czym ostatnio zajmował się Franz?
- Nikt tego nie wie.
- Jego nowa żona nic ci nie powiedziała?
- Nie jest nowa. Byli ze sobą od pięciu lat.
- Dla mnie jest nowa.
- Nie mogłam jej przesłuchać w sensie dosłownym. Zadzwoiła, aby powiedzieć, że jej mąż nie żyje. Może nie miała o niczym pojęcia.
- Będziemy musieli ją o to zapytać. Od tego trzeba zacząć.
- Po tym jak ponowimy próbę skontaktowania się z pozostałymi. - Neagley skinęła głową.

Reacher sięgnął po pięć wydruków, podał trzy Neagley i zostawił dwa sobie. Ona zadzwoniła z komórki, on z hotelowego telefonu stojącego na kredensie. Reacher miał numer Dixon i O'Donnella - Karli i Dave'a mieszkających na Wschodnim Wybrzeżu, w Nowym Jorku i dystrykcie Kolumbii. Żadne nie podniosło słuchawki. Usłyszał ich dawno niesłyszane głosy nagrane na automatycznej sekretarce. Pozostawił obojgu identyczną wiadomość: Mówi Jack Reacher. Frances Neagley przesyła komunikat dziesięć-trzydzieści z hotelu Beverly Wilshire w Los Angeles w Kalifornii. Rusz tyłek i oddzwon. Odłożył słuchawkę i spojrzał na Neagley, która nagrywała podobne przesłanie dla Tony'ego Swana.

- Nie masz numerów ich prywatnych telefonów? - zapytał.
- Mają zastrzeżone. Można się było tego spodziewać. Też mam zastrzeżony. Zdobycie tych numerów zleciłem asystentowi. W dzisiejszych czasach nie jest to takie proste. Komputery firm telefonicznych mają coraz lepsze zabezpieczenia.
- Muszą mieć komórki - zauważył Reacher. - Dzisiaj mają je wszyscy, prawda?
- Nie znam ich numerów.
- Niezależnie od tego, gdzie się znajdują, mogą zadzwonić do biura, aby odsłuchać nagrane wiadomości, prawda?
- Z łatwością.
- Dlaczego zatem tego nie uczynili? W ciągu trzech dni?
- Nie mam pojęcia - odparła Neagley.
- Swan musi mieć sekretarkę. Jest zastępcą dyrektora w jakiejś firmie. Musi mieć wielu pracowników.

- Powtarzają, że chwilowo nie ma go w biurze.

- Daj mi spróbować. - Zapisał numer Swana i podniósł słuchawkę. Wykręcił. Usłyszał dźwięk połączenia i sygnał telefonu z drugiej strony. Jeden dzwonek po drugim.

- Nikt nie odbiera - powiedział.

- Minutę temu ktoś odebrał - wyjaśniła Neagley. - To bezpośrednie połączenie.

Żadnej reakcji. Reacher trzymał słuchawkę przy uchu, słuchając monotonnego elektronicznego terkotu. Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia razy. Trzydzieści. Rozłączył się. Sprawdził numer i spróbował ponownie z podobnym skutkiem.

- To dziwne - doszedł do wniosku. - Gdzie on, u licha, może być?

Ponownie spojrzął na wydruk. Nazwisko i numer telefonu. Pole adresu było puste.

- Gdzie jest to miejsce? - zapytał.

- Nie wiem.

- Czy ta firma ma jakąś nazwę?

- New Age Defense Systems. Tak się przedstawiają.

- Co to za nazwa dla producenta broni? Że niby zabijają wrogów uprzejmością? Że grają na fletni Pana, dopóki nie oszczędzisz im kłopotu i sam nie podetniesz sobie żył? Wykręcił numer informacji telefonicznej i usłyszał, że na terenie Stanów Zjednoczonych nie działa żadna firma o nazwie New Age Defense Systems. Odłożył słuchawkę.

- Czy dane o firmach mogą być także zastrzeżone? - zapytał.

- Myślę, że tak - odparła Neagley. - W tej branży z pewnością. Poza tym to nowe przedsięwzięcie.

- Musimy ich odnaleźć. Przecież muszą mieć gdzieś fabrykę, a przynajmniej biuro, aby Wuj Sam mógł wysyłać im czeki.

- Okej. Dodam to do naszej listy. Po wizycie u pani Franz.

- Przed. Biura mają godziny pracy, a wdowy są dostępne przez całą dobę.

Neagley zadzwoniła do swojego człowieka w Chicago i poleciła, aby odnalazł adres firmy New Age Defense Systems. Z podsłuchanej rozmowy Reacher wywnioskował, że za najlepszy sposób uznali włamanie się do komputera FedEx, UPS lub DHL. Wszyscy otrzymują przesyłki, a kurier musi mieć dokładny adres. Nie może korzystać ze skrytki pocztowej. Musi przekazać paczkę konkretnemu człowiekowi i odebrać podpis.

- Niech wyszuka numery komórek pozostałych! - za wołał.

Neagley zasłoniła mikrofon i oznajmiła:

- Mój człowiek próbuje je ustalić od trzech dni. To ni takie łatwe, jak ci się wydaje. - Po chwili rozłączyła się i podeszła do okna. Popatrzyła na ludzi parkujących samochody.

- Musimy czekać - powiedziała.

Po niecałych dwudziestu minutach jeden z laptopów Neagley wydał sygnał zawiadamiający o nadejściu e-maila z Chicago.

10

Wiadomość od asystenta Neagley z Chicago zawierała adres New Age Defense Systems zdobyty dzięki uprzejmości UPS. Właściwie dwa adresy. Jeden w Kolorado drugi we wschodniej części Los Angeles.

- Rozsądne posunięcie - skomentowała Neagley. - Dwie fabryki. Tak jest bezpieczniej w razie ataku.

- Chrzanienie - zachnął się Reacher. - Idzie o dwóch senatorów i dwa kawałki wieprzowiny. Republikanie tu, demokraci tam. W ten sposób cały czas są przy korycie.

- Swan nie uczestniczyłby w czymś takim. Reacher skinął głową.

- Być może.

Neagley otworzyła mapę i sprawdzili adres we wschodniej części LA. Wspomniane miejsce znajdowało się za Echo Park i stadionem Dogger, na ziemi niczyjej pomiędzy południową Pasadeną i właściwą, wschodnią częścią Los Angeles.

- To daleko stąd. Dotarcie na miejsce może nam zająć całą wieczność - rzuciła Neagley. - Przed chwilą zaczęła się godzina szczytu.

- Tak wcześnie?

- W Los Angeles korki pojawiły się trzydzieści lat temu. Ustaną, kiedy wyczerpią się zapasy ropy lub tlenu. W każdym razie nie dotrzemy tam przed zamknięciem. Lepiej zostawmy sobie New Age Défense Systems na jutro, a dziś odwiedzmy panią Franz.

- Czyli tak jak zaproponowałaś. Grasz na mnie jak na skrzypcach.

- Po prostu mieszka bliżej. Poza tym to ważne.

- Gdzie?

- W Santa Monica.

- Franz mieszkał w Santa Monica?

- Nie miał domu nad oceanem, lecz założę się, że to piękne miejsce.

Miejsce faktycznie okazało się piękne. Znacznie ładniejsze, niż sądził. Franz mieszkał w niewielkim parterowym domu przy małej uliczce pomiędzy Dziesiątką a lotniskiem w Santa Monica, w odległości około trzech kilometrów od morza. Chociaż na pierwszy rzut oka położenie działki nie wydawało się idealne, dom był wspaniały. Neagley przejechała obok

niego dwukrotnie, szukając miejsca do zaparkowania. Bryła domu odznaczała się doskonałą symetrią. Dwa frontowe okna z drzwiami wejściowymi pośrodku. Dach ocieniający ganek, na którym stoją dwa bujane fotele. Kilka kamieni, kilka belek nośnych w stylu Tudorów, wyraźnie widoczne wpływy prądu Arts and Crafts i Franka Lloyda Wrighta. Hiszpańskie dachówki. Istne pomieszanie stylów w bardzo małym budynku. Ale efekt był naprawdę piorunujący. Dom miał niezwykły urok i świeżość. Był pięknie pomalowany. Po prostu lśnił. W promieniach słońca błyszcząły czyste okna. Równie zadbane okazała się przestrzeń przed domem. Zielony, starannie przystrzyżony trawnik, jaskrawe kwiaty, żadnych chwastów. Krótki asfaltowy podjazd, gładki jak tafla szkła, był starannie zamieciony. Calvin Franz był schludnym i drobiazgowym mężczyzną. Reacher odniósł wrażenie, że mała posiadłość, którą miał przed oczyma, idealnie odzwierciedla osobowość jego przyjaciela.

W końcu, dwie przecznice dalej, jakaś ładna babka odjechała toyotą camry i Neagley zaparkowała mustanga na wolnym miejscu. Zamknęła wóz i oboje ruszyli w stronę domku Franza.

Mimo późnego popołudnia nadal było gorąco. Reacher wyczuwał w powietrzu zapach oceanu.

- Ile wdów odwiedziliśmy? - zapytał. Zbyt wiele - odpowiedziała Neagley.

- Gdzie mieszkasz?

- Lake Forest w Illinois.

- Słyszałem o tym miejscu. Podobno jest bardzo ładne.

- To prawda.

- Moje gratulacje.

- Ciężko na to zapracowałam.

Skręcili w uliczkę, przy której stał dom Franza, by po chwili znaleźć się na podjeździe. Zwolnili, podchodząc do drzwi. Reacher nie był pewny, z jakim przyjęciem się spotkają. Zwykle miał do czynienia z wdowami, które niedawno straciły męża, lecz nigdy nie odwiedzał ich po siedemnastu dniach od jego śmierci. Bardzo często kobiety w ogóle nie wiedziały, że są wdowami, dopóki się nie zjawił, aby im o tym powiedzieć. Nie miał pojęcia jaką różnicę może sprawić siedemnaście dni. Nie wiedział też, w jakiej fazie procesu oplakiwania znajduje się żona Franza.

- Jak ona ma na imię? - zapytał.

- Angela - odpowiedziała Neagley.

- Okej.

- Chłopak nazywa się Charlie.

- Rozumiem.

Weszli do przedsiönka. Neagley odnalazła przycisk dzwonka i nacisnęła go koniuszkiem palca. Delikatnie, krótko, w sposób wyrażający szacunek, jakby elektryczne urządzenie potrafiło wyczuć różnicę. Reacher usłyszał przytłumiony dźwięk gongu dolatujący z wnętrza domu. Cisza. Czekał. Drzwi otworzyły się po półtorej minuty. Jakby same z siebie. Reacher spojrział w dół i spostrzegł małego chłopca, wyciągającego rękę do klamki. Ta znajdowała się wysoko, a chłopiec był niski, musiał więc stanąć na palcach i maksymalnie się wyciągnąć, aby jej dosięgnąć.

- Ty musisz być Charlie - powiedział Reacher.

- Tak.- Byłem przyjacielem twojego taty.

- Mój tata nie żyje.

- Wiem. Jestem bardzo smutny z tego powodu.

- Ja też.

- Czy możesz sam otwierać drzwi?

- Tak - odparł chłopiec. - Mogę. Wyglądał dokładnie jak Calvin Franz. Podobieństwo było niezaprzeczalne. Ta sama twarz, ta sama budowa ciała. Krótkie nogi, długi tułów i długie ręce. Chociaż rysujące się pod T-shirtem barki chłopca składały się wyłącznie ze skóry i kości, już teraz można było odgadnąć, że kiedyś pojawią się na nich mięśnie. Chłopiec miał oczy Franza, ciemne, chłodne, spokojne i zachęcające, jakby mówił: Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze.

- Charlie, czy twoja mama jest w domu? - zapytała Neagley.

Chłopiec skinął twierdząco głową.

- Jest z tyłu. - Puścił klamkę i cofnął się, aby wpuścić ich do środka. Pierwsza weszła Neagley. Dom był zbyt mały, aby mama Charliego mogła znajdować się w tylnej części. Przypominał duży pokój podzielony na cztery mniejsze pomieszczenia. Dwie małe sypialnie z prawej oddzielone łazienką, pomyślał. Mały salon z lewej od frontu i mała kuchnia tuż za nim. To wszystko. Mały, lecz piękny. Wszystko było białe i jasnożółte. W wazonach stały kwiaty. Okna przysłonięto białymi drewnianymi okiennicami. Podłogę wykonano z ciemnego wypolerowanego drewna. Reacher odwrócił się i zamknął drzwi wejściowe. Hałas dobiegający z ulicy ustał i w całym domu zapadła cisza. Pomyślał, że kiedyś taka cisza musiała budzić przyjemne uczucia. Teraz było inaczej.

Z kuchni, zza ścianki działowej tak krótkiej, że nie mogła dostarczyć nawet chwilowego schronienia, wyłoniła się kobieta. Reacher pomyślał, że musiała się za nią ukryć,

gdy usłyszała; dzwonek do drzwi. Wyglądała na znacznie młodszą od niego. Trochę młodszą od Neagley.

Młodszą od Franza.

Wysoka, szczupła kobieta o jasnych włosach i błękitnych oczach skandynawki. Ubrana w sweter z dekoltem w szpic odsłaniającym wystające obojczyki i górne żebra. Czysta i zadbana. Miała starannie uczesane włosy i pachniała perfumami. Doskonale opanowana, lecz wyraźnie spięta. Reacher dostrzegł w jej oczach dziki niepokój, jakby miała pod skórą maskę wyrażającą przerażenie.

Po chwili niezręcznego milczenia Neagley wykonała krok do przodu i zapytała:

- Angela? Jestem Frances Neagley. Rozmawialiśmy przez telefon.

Angela Franz uśmiechnęła się sztucznie, podając jej dłoń. Kiedy wymieniły uścisk, przysłała pora na Reachera.

- Jack Reacher. Bardzo mi przykro z powodu straty, która panią spotkała. - Ujął jej dłoń, która wydała mu się chłodna i krucha.

- Wypowiadał pan te słowa wielokrotnie, prawda? - zapytała.

- Niestety - przytaknął.

- Jest pan na liście Calvina - powiedziała. - Służył pan w żandarmerii jak on.

Reacher przytaknął głową.

- Nie byłem taki jak on. Wiele mi do niego brakowało.

- Jest pan bardzo uprzejmy.

- Stwierdzam fakt. Bardzo go podziwiałem.

- Opowiadał mi o panu... o was wszystkich. Wiele razy. Czasami czułam się tak, jakbym była jego drugą żoną. Jakby wcześniej był już żonaty. Z wami wszystkimi.

- Właśnie tak było - przytaknął Reacher. - Służba przypomina rodzinę. Oczywiście jeśli człowiek ma szczęście, a my je mieliśmy.

- Calvin powtarzał to samo.

- Widzę, że później miał jeszcze więcej szczęścia. Na twarzy Angeli ponownie zagościł sztuczny uśmiech.

- Może, lecz widać jego szczęście się skończyło, prawda? Charlie obserwował ich badawczo oczami do złudzenia przypominającymi oczy Franza.

- Bardzo dziękuję, że przyszliście - rzekła.- Możemy coś dla pani zrobić? - zapytał Reacher.

- Potraficie wskrzeszać umarłych? Nic nie odpowiedział.

- Po tym, co o panu mówił, nie byłabym zaskoczona.

- Możemy się dowiedzieć, kto to zrobił - rzekła Neagley. - W tym jesteśmy dobrzy. Tylko w taki sposób możemy się zbliżyć do jego wskrzeszenia. Oczywiście w pewnym sensie.

- Lecz nie przywróci mu to życia.

- Nie. Bardzo mi przykro.

- Dlaczego przyszliście?

- Aby złożyć pani kondolencje.

- Przecież mnie nie znacie. Pojawiłam się dopiero później. Nie należałam do waszej paczki. - Angela cofnęła się w stronę kuchni. Po chwili zmieniła zamiar, precyzyjnie się pomiędzy Reacherem i Neagley i usiadła w salonie, kładąc dłonie na oparciach fotela. Reacher zauważył, że jej palce się poruszają. Prawie niepostrzeżenie, jakby pisała na maszynie lub grała na niewidzialnym pianinie spoczywającym na kolanach.

- Nie byłam częścią waszej grupy - powiedziała. Czasami tego żałowałam. Tyle dla niego znaczyliście. Często powtarzał: Nie zadzieraj ze specjalną grupą śledczą. Cały czas używał tych słów jak sloganu. Oglądał mecz, a gdy rozgrywający został wyrzucony z boiska lub stało się coś równie ważnego, mówił: Widzisz maleńka, nie zadzieraj ze specjalną grupą śledczą. Powtarzał to Charliemu. Kiedy kazał mu coś zrobić, a ten marudził, Calvin ostrzegał: Nie zadzieraj ze specjalną grupą śledczą.

Charlie spojrzał na nich i uśmiechnął się.

- Nie zadzieraj... - powtórzył lekko piskliwym głosem, w którym można było wyczuć intonację ojca, aby przerwać raptownie, jakby miał problem z wypowiedzeniem dłuższych słów.

- Jesteście tu z powodu tego powiedzenia, prawda? zapytała Angela.

- Nie do końca - odparł Reacher. - Raczej z powód tego, co się za nim kryje. Troszczyliśmy się o siebie wzajemnie. To wszystko. Przyszedłem do pani, bo Calvin zrobiłby to samo, gdyby znalazł się na moim miejscu..- Naprawdę?

- Tak sędzę.

- Kiedy na świat przyszedł Charlie, Calvin dał sobie z tym wszystkim spokój. Nie wywierałam na niego presji. Chciał być ojcem. Chciał zrezygnować ze wszystkiego, co niebezpieczne.

- Nie mógł...

- Chyba tak.

- Nad czym ostatnio pracował?

- Przepraszam, powinnam zaproponować, żebyście usiedli - przerwała.

W pokoju nie było kanapy. Nie zmieściłaby się. Kanapa normalnej wielkości zatarasowałaby wejście do sypialni. Jej funkcję pełniły dwa fotele i mały drewniany fotelik bujany dla Charliego. Fotele umieszczono po obu stronach niewielkiego kominka z suszonymi kwiatami w prostym porcelanowym wazonie. Fotelik Charliego stał po lewej stronie komina. Jego imię wyryto na tylnym oparciu rozgrzanym pogrzebaczem lub lutownicą. Siedem liter. Ładne pismo. Staranna, lecz nieprofesjonalna robota. Przypuszczalnie dzieło Franza. Dar ojca dla syna. Reacher przyglądał się mu przez chwilę. Usiadł w fotelu naprzeciw Angeli, a Neagley przysiadła na oparciu tuż przy nim, tak że jej udo znajdowało się w niewielkiej odległości od niego, lecz go nie dotykało.

Charlie wdrapał się po nogach Reachera na swój drewniany fotel.

- Nad czym pracował Calvin? - powtórzył pytanie Reacher.

- Charlie, idź się pobawić - poleciła synowi Angela Franz.

- Mamo, chcę zostać.

- Angelo, czym ostatnio zajmował się Calvin?

- Od czasu narodzin Charliego zajmował się wyłącznie sprawdzaniem danych osobowych - odparła. - To był dobry interes. Szczególnie w Los Angeles. Każdy boi się, że zatrudni złodzieja lub ćpuna. Że chodzi z nim na randki lub może go poślubić. Pierwszą rzeczą, którą ludzie robią po poznaniu kogoś za pośrednictwem Internetu lub w barze, jest wpisanie jego nazwiska do wyszukiwarki Google, a drugą - zatrudnienie prywatnego detektywa.

- Gdzie pracował?

- Miał biuro w Culver City. Wynajmował jeden pokój. W budynku przy zbiegu Venice i La Cienega. Lubił to miejsce. Chyba będę musiała zabrać stamtąd jego rzeczy.

- Czy zgodziłabyś się, żebyśmy wcześniej je przeszukali?

- Zastępcy szeryfa już to zrobili.

- Powinniśmy zrobić to jeszcze raz.

- Dlaczego?

- Ponieważ musiał zajmować się czymś poważniejszym od sprawdzania danych osobowych.

- Ćpuna zabijają ludzi, prawda? Czasami robią to także złodzieje.

Reacher spojrzął na Charliego, zdając sobie sprawę, że także Angela go obserwuje

- Nie w taki sposób.

- W porządku. Jeśli chcecie, możecie ponownie przeszukać biuro.

- Masz klucz? - zapytała Neagley.

Angela wolno wstała i poszła do kuchni. Po chwili wróciła z dwoma nieoznaczonymi kluczami, dużym i małym, na stalowym kółku średnicy trzech centymetrów. Przez kilka sekund pieściła je w dłoni, a następnie z pewnym ociąganiem podała Neagley.

- Chciałabym otrzymać je z powrotem. To jego osobisty komplet.

- Czy trzymał tutaj swoje rzeczy? - zapytał Reacher. - Notatki, teczki, inne przedmioty tego rodzaju?

- Tutaj? - zdziwiła się. - Czy to możliwe? Kiedy się tu wprowadziliśmy, zrezygnowałem z noszenia podkoszulków, aby zaoszczędzić miejsca w szufladach.

- Kiedy się tu przeprowadziliście? Angela w dalszym ciągu stała. Chociaż była delikatną kobietą, wydawała się wypełniać sobą całą przestrzeń.

- Zaraz po narodzeniu Charliego. Chcieliśmy mieć prawdziwy dom. Byliśmy tutaj bardzo szczęśliwi. To mały dom, lecz nie potrzebowaliśmy niczego więcej.

- Co wydarzyło się ostatniego dnia, w którym go widziałaś?

- Wyszedł rano, tak jak zawsze, i nigdy więcej nie wrócił..- Kiedy to było?

- Pięć dni przed wizytą zastępców szeryfa, którzy powiadomili mnie o znalezieniu ciała.

- Czy opowiadał ci o swojej pracy?

- Charlie, może byś się czegoś napił? - zapytała.

- Nie chce mi się pić, mamusiu - odparł chłopiec.

- Czy Calvin kiedykolwiek rozmawiał z tobą o swojej pracy?

- Rzadko - odparła. - Czasami studio filmowe chciało, aby prześwietlił jakiegoś aktora, by poznać jego sekrety. Przekazywał mi ploteczki ze świata show-biznesu. To wszystko. Nic więcej.

- Wiemy, że był szczerym facetem. Mówił to, co myślał.

- Rzeczywiście taki był. Sądzisz, że się komuś naraził?

- Nie, zastanawiałem się, czy wobec ciebie postępował podobnie i czy ci się to podobało.

- Kochałam go. Wszystkie jego cechy. Szanowałam go za uczciwość i otwartość.

- Nie obrazisz się, że będę z tobą szczerą?

- Nie.

- Myślę, że coś przed nami ukrywasz.

11

Angela Franz ponownie usiadła i zapytała:

- Czego twoim zdaniem wam nie powiedziałam?

- Czegoś przydatnego - odparł Reacher.

- Przydatnego? Co mogłoby być dla mnie przydatne w obecnej sytuacji?

- Nie jedynie dla ciebie. Także dla nas. Calvin należał do ciebie, ponieważ go poślubiłaś. W porządku. Należał jednak też do nas, ponieważ z nim pracowaliśmy. Mamy prawo wiedzieć, co się z nim stało, nawet jeśli tego nie chcesz.

- Dlaczego sądzisz, że coś ukrywam?

- Ponieważ za każdym razem, gdy pytałem o jego pracę, nie słyszałem odpowiedzi. Kiedy zapytałem, czym zajmował się Calvin, zrobiłaś zamieszanie, aby nas posadzić. Gdy spytałem ponownie, poprosiłaś Charliego, żeby poszedł się pobawić. Nie chodziło ci o to, by nie usłyszał odpowiedzi, lecz musiałaś zyskać trochę czasu, aby zdecydować, że nie musisz odpowiadać.

Angela spojrzała mu prosto w oczy.

- Złamiesz mi teraz rękę? Calvin wspominał, że złamałeś komuś rękę podczas przesłuchania. A może był to Dave O'Donnell?

- Przypuszczalnie ja - odpowiedział Reacher. - O'Donnell specjalizował się w łamaniu nóg.

- Przysięgam, że niczego nie ukrywam - oznajmiła. - Nie wiem, nad czym pracował Calvin. Nie wspominał mi o tym.

Reacher spojrzał głęboko w zdumione niebieskie oczy Angeli i uwierzył jej. Troszeczkę. Ukrywała coś, lecz ta sprawa nie musiała mieć związku z Calvinem Franzem.

- Okej, przepraszam - powiedział.

Wkrótce później, po wygłoszeniu kolejnych krótkich kondolencji i uściśnięciu chłodnej, kruchej dłoni, on i Neagley udali się do biura Franza w Culver City.

Thomas Brant obserwował, jak wychodzili. Znajdował się w odległości dwudziestu metrów od swojej crown victorii zaparkowanej czterdzieści metrów na zachód od domu Franza. Wychodził właśnie z małego baru na rogu, trzymając kubek kawy w dłoni. Zwolnił kroku, obserwując, jak Reacher i Neagley znikają w bocznej uliczce sto metrów przed nim. Pociągnął łyk kawy i jedną ręką wystukał numer swojego szefa, Curtisa Mauneya, aby pozostawić nagraną wiadomość.

W tej samej chwili mężczyzna w ciemnoniebieskim garniturze wracał do swojego ciemnoniebieskiego chryslera. Sedan stał zaparkowany w wewnętrznej uliczce hotelu Beverly

Wilshire. Facet zubożał o pięćdziesiąt dolców, które recepcjonista przyjął jako łapówkę, ale jednocześnie wzbogacił się o nowe informacje. Zastanawiał się nad ich możliwymi konsekwencjami. Zadzwoił z komórki do swojego przełożonego i powiedział:

- Recepcjonista twierdzi, że olbrzym to Thomas Shannon. Na naszej liście nie ma takiego.

- Myślę, że możemy przyjąć, iż nasza lista jest pełna.

- Jestem podobnego zdania.

- A zatem można bezpiecznie założyć, że Thomas Shannon to fałszywe nazwisko. Ci faceci nie potrafią się wyzbyć starych nawyków. Nie pozostaje nam nic innego, jak się go trzymać.

Reacher poczekał, aż znikną za rogiem, skręcając z ulicy, przy której stał dom Franza, i zapytał:

- Zauważyłaś jasnobrązowego crown victorie?

- Parkowała po przeciwnej stronie, czterdzieści metrów od domu - odpowiedziała Neagley. - Wersja podstawowa z dwa tysiące drugiego roku.

- Mam wrażenie, że ten sam wóz stał przed restauracją Denny'ego.

- Jesteś pewien?

- Nie.

- Stary crown vic to popularny samochód. Jeżdżą nim taksówkarze, ludzie biorący pasażerów na lewo i ci, którzy korzystają z usług tanich wypożyczalni.

- Fakt.

- Tak czy siak, wóz był pusty - rzekła Neagley. - Nie musimy się przejmować pustymi samochodami.

- Przed restauracją nie był pusty. Siedział w nim facet.;

- Jeśli był to ten sam wóz. Reacher przystanął.

- Chcesz wrócić? - zapytała Neagley. Reacher pomyślał chwilę, a następnie potrząsnął głową i ruszył przed siebie.

- Nie - odparł. - Pewnie mi się tylko zdawało.

Dziesiątka w kierunku na wschód była kompletnie zakorkowana. Żadne z nich nie znało wystarczająco dobrze rejonu Los Angeles, aby zaryzykować skręt w boczną drogę, więc pokonali dziesięć kilometrów dzielących ich od Culver City wolniej, niż zrobiliby to pieszo. Dotarli do styku Venice Boulevard i Cienega Boulevard, a następnie, postępując zgodnie ze

wskazówkami Angeli Franz, bez trudu dotarli do biura jej zmarłego męża. Biuro Calvina mieściło się w nijakim pasażu składającym się z ciągu niskich jasnobrązowych witryn sklepowych zakończonym małym budynkiem pocztowym, który trudno by uznać za sztandarowy gmach poczty Stanów Zjednoczonych. Jedna sala. Reacher nie pamiętał, jak nazywali takie placówki. Agencje? Punkty pocztowe? Miejsca doręczania przesyłek? Obok znajdowała się tania apteka, salon kosmetyczny i pralnia chemiczna. Następne było biuro Franza. Biuro Calvina miało szklane drzwi pomalowane od wewnątrz jasno-beżową farbą sięgającą do wysokości głowy, tak że pozostawał jedynie wąski przesmyk na promienie światła. U góry biegła złota linia z czarną obwódką. Na drzwiach tymi samymi złotoczarnymi literami napisano: „Calvin Franz, dyskretne dochodzenia” oraz numer telefonu. Zwyczajne litery umieszczone na wysokości piersi, proste, zawierające konkretne przesłanie.

- To smutne, nie sądzisz? - zapytał Reacher. - Przeszedł z wielkiej wojskowej maszyny do czegoś takiego.

- Był ojcem - odpowiedziała Neagley. - Zarabiał łatwe pieniądze. Jego wybór. Nie pragnął niczego innego.

- Domyślam się, że twoje biuro w Chicago wygląda nieco inaczej.

- Tak, to prawda - przyznała Neagley.

Wyjęła kółko z kluczami, z którymi Angela tak niechętnie się rozstała. Wybrała większy klucz, przekręciła w zamku i otworzyła drzwi, jednak nie weszła do środka.

Nie zrobiła tego, bo całe wnętrze zostało przewrócone do góry nogami.

Biuro Franza okazało się zwykłym kwadratowym pomieszczeniem zbyt małym na sklep i za dużym na biuro. Jeśli kiedyś były w nim komputery, telefony i inny sprzęt, zabrano je dawno temu. Biurko i segregatory zostały przeszukane, a następnie rozbite młotkami. Zniszczono wszystkie złącza i elementy składowe w poszukiwaniu ukrytej skrytki. Ktoś wypatroszył poduszkę fotela. Oderwano panele ścienne i zdarto izolację cieplną. Rozwalono sufit, wyrwano podłogę. Sprzęty łazienkowe zostały rozbite w kawałki. Wszędzie walał się gruz i kawałki papieru, w niektórych miejscach szczątki sięgały do kolan.

Ktoś przetrząsnął to miejsce od góry do dołu. Można by odnieść wrażenie, że uderzyła w nie bomba.

- Zastępcy szeryfa hrabstwa Los Angeles nie zrobiliby czegoś takiego - zauważył Reacher.- Masz rację. - Neagley skinęła głową. - Daleko im do tego. To źli faceci próbowali się czegoś dowiedzieć. Chcieli ustalić, co miał na nich Franz. Zrobili to przed przybyciem ludzi szeryfa. Przypuszczalnie kilka dni wcześniej.

- Zastępcy szeryfa widzieli to wszystko i nie poinformowali Angeli? Ona o tym nie wiedziała. Powiedziała, że przyjdzie po rzeczy Calvina.

- Nie powiadomili jej. Po co mieliby ją dodatkowo denerwować?

Reacher zrobił krok w rył, przeszedł na lewą stronę i ponownie spojrzął na staranne złote litery widniejące na drzwiach: „Calvin Franz, dyskretne dochodzenia”, próbując w miejsce nazwiska przyjaciela wstawić David O'Donnell, Sanchez i Orozco, a następnie Karla Dixon.

- Chciałbym, aby odpowiedzieli na nasz telefon - westchnął.

- Tu nie chodzi o nas jako grupę - odparła Neagley. - To niemożliwe. Minęło ponad siedemnaście dni, a nie zauważyłam, żeby ktoś się kręcił wokół mnie.

- Ani ja - dodał Reacher. - Ale przecież Franz też? Niczego nie zauważył.

- Do czego zmierzasz?

- Gdyby znajdował się w tarapatach, do kogo by zadzwonił? Do pozostałych. Nie do ciebie, ponieważ należysz do znacznie wyższej ligi i jesteś przypuszczalnie zbyt zajęta. I nie do mnie, ponieważ nikt oprócz ciebie nie potrafiłby mnie odnaleźć. Przypuśćmy, że Franz wpakował się w niezłe gówno i zadzwonił do pozostałych, ponieważ łatwiej było mu ich złapać. Przypuśćmy, że wszyscy przybyli mu na pomoc i znaleźli się w podobnych tarapatach.

- Także Swan?

- Swan był najbliżej. Zjawiłby się tu pierwszy.

- To możliwe.

- Bardzo prawdopodobne - powiedział Reacher. - Gdyby Franz naprawdę potrzebował pomocy, komu innemu mógłby zaufać?

- Powinien zadzwonić do mnie - rzekła Neagley. - Przyjechałabym natychmiast.

Może byłaś następna na liście. Może początkowo uznał, że sześciu wystarczy.

- Jaka sprawa mogłaby doprowadzić do zniknięcia sześciu ludzi? Sześciu naszych ludzi?

- Wolę nie myśleć - odparł Reacher, a następnie zamilkł. Kiedyś wystawiłby swoich przeciwko każdemu. Robił to wielokrotnie. Zawsze dawali sobie radę, nawet w obliczu najgorszych przeciwników, jakich można było znaleźć w świecie cywilów. W świecie cywilów, bo przeszkolenie wojskowe zwiększało możliwości przestępców.

- Tkwienie tu nie ma sensu - oznajmiła Neagley. - Marnujemy czas. Do niczego w ten sposób nie dojdziemy. Trzeba przyjąć, że zdobyli to, czego szukali.

- Myślę, że trzeba przyjąć coś wręcz odwrotnego.

- Dlaczego?

- Zastanów się. Przetrzęsąłeś biuro Franza od góry do dołu. Całkowicie. Zwykle kiedy znajdujesz to, czego pragniesz, zaprzestajesz poszukiwań. Ci faceci nie zaprzestali. Jeśli znaleźli to, po co przyszli, chyba znajdowało się w ostatnim miejscu, do jakiego zajrzeli. Czy to prawdopodobne? Nie sądzę. Myślę, że nie przestali szukać, ponieważ tego nie znaleźli.

- Gdzie to może być?

- Nie wiem. Jak myślisz, o co chodzi?

- Notatki, dyskietka komputerowa, płyta CD. Coś w tym rodzaju.

- Coś małego - uściślił Reacher.

- Nie zabrał tego do domu. Myślę, że wyraźnie oddzielał życie prywatne od zawodowego.

Myśl jak oni. Stań się jednym z nich.

Reacher odwrócił się i oparł plecami o drzwi biura Franza, jakby przed chwilą wyszedł na ulicę. Spojrzał na pustą dłoń. W życiu musiał odwalić mnóstwo papierkowej roboty, lecz nigdy nie korzystał z dyskietek komputerowych ani nie wypalił płyty CD, chociaż wiedział o ich istnieniu. Płyta CD była krążkiem wykonanym z poliwęglanu, często umieszczonym w cienkiej, plastikowej kopercie. Dyskietka była mniejsza. Kwadratowa, o boku długości jakichś siedmiu centymetrów. Kartkę papieru można było złożyć potrójnie w taki sposób, aby miała rozmiar dwadzieścia na dziesięć centymetrów.

Mały przedmiot.

Bardzo ważny.

Gdzie Calvin Franz ukryłby mały, bardzo ważny pakunek?:

- Może schował to w swoim samochodzie - podsunęła Neagley. - Jeździł nim cały czas. Jeśli była to płyta CD, mógł ją umieścić w zmieniaczu płyt, ukryć przez pozostawienie na widoku. W czwartej przegrodzie, po płycie z utworami Johna Coltrane'a.

- Milesa Daviesa - poprawił ją Reacher. - Calvin wołał! Milesa Daviesa. Słuchał muzyki Johna Coltrane'a jedynie na płytach Milesa Daviesa.

- Mógł zadbać, aby wyglądała jak inne. Napisać markerem „Miles Davies”.

- Znaleźliby ją - odparł Reacher. - Tacy skrupulatni faceci sprawdziliby wszystko. Myślę, że Franz lepiej by się zabezpieczył. Jeśli ukryjesz coś na widoku, masz to przed; sobą cały czas. Nie możesz się rozluźnić, a sądzę, że Franzowi na tym zależało. Chciał wrócić do Angeli i Charliego i o tym nie myśleć.

- A zatem gdzie? W skrytce bankowej?

- Nie zauważyłem w pobliżu żadnego banku - rzekł Reacher. - Nie sądzę, żeby Franz odbywał podróże do banku. Nie w takim tłoku. Nie, jeśli sprawa była pilna. Na dodatek' godziny otwarcia banku mogły nie pokrywać się z jego go-; dzinami pracy.

- Na kółku są dwa klucze - powiedziała Neagley. - Być może mniejszy otwierał szufladę biurka.

Reacher odwrócił się i spojrzał na pobojowisko. Gdzieś tam musiał znajdować się zamek szuflady. Mały, stalowy prostokąt oderwany od drewna i ciśnięty na stertę gruzu. Odwrócił się; i ruszył w stronę krawężnika. Ponownie spojrzał na pustą dłoń.

Po pierwsze: Co bym ukrył?

- Chodzi o plik komputerowy - oznajmił. - Musi o niego chodzić. Wiedzieli, czego szukać. Franz nie powiedziałby im o papierach. Przypuszczalnie zabrali jego komputery i znaleźli ślady wskazujące na to, że kopiował pliki. Takie rzeczy się zdarzają, prawda? W komputerze pozostaje ślad po wszystkich operacjach, lecz Franz nie powiedziałby im, gdzie przechowuje kopie. Może właśnie dlatego połamali mu nogi? Franz zachował milczenie, więc przyszli tutaj.

- Gdzie mógł go ukryć? Reacher spojrzał ponownie na dłoń.

W jakim miejscu ubyłbym coś małego i bardzo ważnego?

- Na pewno nie pod starym kamieniem - powiedział. - Poszukałbym czegoś lepiej zorganizowanego. Miejsca chronionego. Gdzie ktoś byłby za to odpowiedzialny.

- Skrytka bankowa - powtórzyła Neagley. - Mały klucz nie ma żadnych oznaczeń. Dokładnie tak jak w banku.

- Nie znoszę banków. Nie lubię stałych godzin pracy i drogi, którą trzeba pokonać, aby do nich dotrzeć. Jeśli już, to sporadycznie, a nie dzień w dzień, tak jak w tym wypadku. Chodzi o czynność wykonywaną regularnie, nie sądzisz? Czy nie tak postępują ludzie korzystający z komputera? Co wieczór sporządzają kopię zapasową. Czasem można podjąć wyjątkowe środki ostrożności, jednak co wieczór trzeba bezpiecznego, a jednocześnie dostępnego rozwiązania. Dostępnego przez cały czas.

- Ja wysyłam e-mail do samej siebie - powiedziała Neagley.

Reacher przerwał, aby po chwili się uśmiechnąć.

- Właśnie.

- Myślisz, że Franz to robił?

- Wykluczone - odparł Reacher. - E-mail wróciłby wprost do jego komputera, który mają tamci. Staraliby się złamać hasło zabezpieczające, zamiast wywracać jego biuro do góry nogami.

- W takim razie co zrobił?

Reacher odwrócił się i spojrział na rząd sklepów. Pralnia chemiczna, salon kosmetyczny, apteka. Poczta.- Nie chodzi o pocztę elektroniczną, lecz tradycyjną - powiedział. - Właśnie to robił. Robił kopie zapasowe i co wieczór wkładał do skrzynki na listy. Przesyłki adresował do samego siebie. Na swoją skrytkę pocztową. Właśnie tam je odbierał. Na poczcie. W jego przegrodzie nie było drzwiczek. Kiedy wrzucił kopertę, przesyłka była bezpieczna. Znajdowała się w systemie. Kik ochroniarzy pilnowało jej dzień i noc.

- Zwolnij - poprosiła Neagley. Reacher skinął głową.

- W obiegu musiały krążyć trzy lub cztery dyskietki. Co dwa lub trzy dni odnajdywał je w swojej korespondencji. Kiedy? wracał do domu wieczorem, wiedział, że najbardziej aktualne dane są bezpieczne. Obrabowanie zawartości skrytki pocztowej nie jest łatwe, niełatwo też skłonić urzędnika, aby wydał *ci* coś, co nie jest twoją własnością. Poczta Stanów Zjednoczonych jest tak bezpieczna jak bank szwajcarski...

- Mały klucz - przerwała mu Neagley. - To nie klucz do szuflady biurka, lecz do skrytki pocztowej.

Reacher ponownie skinął głową.

- Do jego skrytki - podsumował.

12

Funkcjonowanie amerykańskiej poczty przypomina kij o dwóch końcach. Późnym popołudniem pralnia chemiczna była nadal otwarta, podobnie jak salon kosmetyczny i apteka. W przeciwieństwie do nich pocztę zamknięto już o czwartej.

- Załatwimy to jutro - powiedziała Neagley. - Będziemy w samochodzie przez cały dzień. Powinniśmy też pojechać do Swana. Chyba że się rozdzielimy.

- Musimy działać razem - odparł Reacher. - Może w międzyczasie któryś z naszych się odezwie i wykona część roboty.

- Chciałabym, chociaż nie dlatego, że jestem leniwa. - Machinalnie sięgnęła po komórkę i spojrzała na mały ekran.

Żadnej wiadomości.

Żadna wiadomość nie czekała również w hotelowej recepcji ani w hotelowej poczcie głosowej. Nie pojawił się też żaden nowy e-mail na komputerach Neagley.

Nic.

- To niemożliwe, aby nas zignorowali - powiedziała.

- Zgadzam się - przytaknął Reacher. - Nie zrobiliby tego.

- Zaczynam mieć złe przeczucie.- Mam złe przeczucie, od kiedy pobrałem pieniądze w bankomacie w Portland. Wydałem wszystkie pieniądze, aby zaprosić kogoś na obiad. Dwukrotnie. Teraz żałuję, że nie zostaliśmy w domu i nie zamówiliśmy pizzy. Zapłaciłaby. O niczym bym nie wiedział.

- Ona?

- Dziewczyna, którą poznałem.

- Ładna?

- Bardzo.

- Ładniejsza od Karli Dixon?

- Równie ładna jak ona.

- Ładniejsza ode mnie?

- Czy to możliwe?

- Spałeś z nią?

- Z kim?

- Z tą dziewczyną w Portland.

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

Neagley nie odpowiedziała. Podzieliła strony z informacjami niczym karciarz, dając Reacherowi dwie i zatrzymując trzy dla siebie. Dostał kartę Tony'ego Swana i Karli Dixon. Podszedł do telefonu stojącego na kredensie i wykręcił numer Swana. Trzydzieści, czterdzieści sygnałów. Bez odpowiedzi. Rozłączył się i zadzwonił do Dixon. Numer kierunkowy 212. Miasto Nowy Jork. Sześć sygnałów i komunikat nagrany na automatycznej sekretarce. Wysłuchał znajomego głosu Dixon, poczekał na sygnał i pozostawił tę samą wiadomość co wcześniej: Mówi Jack Reacher. Frances Neagley przesyła komunikat dziesięć-trzydzieści z hotelu Beverly Wilshire w Los Angeles w Kalifornii. Rusz tyłem i oddzwoni. Przerwał, aby po chwili dodać: Proszę, Karla. Naprawdę potrzebujemy twojej pomocy. Rozłączył się. Także Neagley odłożyła słuchawkę, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Kiepska sprawa - powiedziała.

- Może wszyscy wyjechali na wakacje.

- W tym samym czasie?

- Albo trafili do pudła. Wiesz, jakie nieokrzesane z nas typ

- Sprawdziłam to w pierwszej kolejności. Nie siedzą w więzieniu.

Reacher milczał.

- Lubieś Karłę, prawda? - zapytała Neagley. - Kiedy nagrywałeś wiadomość, twój głos stał się nagle taki czuły.

- Lubię was wszystkich.

- Ja najbardziej. Spałeś z Karłą?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Zwerbowałem ją. Byłem jej dowódcą. To nie byłoby właściwe.

- Czy to jedyny powód?

- Przypuszczalnie.

- Rozumiem.

- Co wiesz na temat ich firm? Czy potrafisz podać przekonujący powód, dla którego nie byłoby z nimi kontaktu przez tyle dni?

- O'Donnell mógł wyjechać w podróż zagraniczną - rzekła Neagley. - Zajmuje się różnymi sprawami. Sprawy małżeńskie mogły zmusić go do wyjazdu na wyspy. W dowolne miejsce na świecie, jeśli śledził małżonka uchylającego się od płacenia alimentów. Ludzie starający się o adopcję czasami wysyłają detektywów do Europy Wschodniej lub Chin, aby upewnić się, czy sytuacja jest okej. Można podać wiele różnych powodów...

- Ale?

- Trudno byłoby mi w nie uwierzyć.

- A Karła?

- Mogła wyjechać na Kajmany, by szukać czyichś pieniędzy. Ale mogłaby wykonać tę robotę przez Internet, nie ruszając się z biura. Dzisiaj pieniądze nie mogą gdzieś być.

- Gdzie zatem są?

- Są czysto hipotetyczne, przypominają prąd elektryczny zasilający komputer.

- A Sanchez i Orozco?

- Żyją w zamkniętym świecie. Nie widzę powodu, dla którego mieliby opuszczać Vegas. Przynajmniej z powodu natury zawodowej.

- Co wiemy o firmie Swana?

- Faktycznie istnieje. Zawiera transakcje. Ma dokumenty i adres. Poza tym niewiele.

- Pewnie mają problemy z ochroną, w przeciwnym razie nie zatrudniliby Swana.

- Wszystkie firmy zbrojeniowe mają problemy z ochroną albo sądzą, że powinny je mieć, skoro zajmują się takimi ważnymi rzeczami.

Reacher nie skomentował tej uwagi. Siedział i patrzył przez okno. Zaczęło się ściemniać. Długi dzień dobiegał końca.

- W dniu swojego zniknięcia Franz nie pojechał do biura - rzekł.

- Tak sądzisz?

- Wiem. Angela miała jego komplet kluczy. Zostawił je w domu. Tego dnia zamierzał pojechać gdzieś indziej.

Neagley nic nie odpowiedziała.

- Właściciel pasażu widział tamtych - ciągnął Reacher. - Zamek w drzwiach biura Franza nie został uszkodzony. Ni zabrali jego klucza, bo mieli inny. Ukradli go lub kupili od właściciela. Dlatego musiał ich widzieć i dlatego oprócz innych spraw trzeba z nim jutro pogadać.

- Franz powinien do mnie zadzwonić. Rzuciłabym wszystko.

- Żałuję, że tego nie zrobił - odparł Reacher. - Gdybyś przyjechała, nie doszłoby do tego.

Zjedli kolację w restauracji na parterze, gdzie butelka norweskiej wody mineralnej kosztowała osiem dolarów. Pożegnali się i ruszyli do oddzielnych pokoi. Reacher miał obity perkalem pokój dwa piętra poniżej apartamentu Neagley. Rozebrał się i wziął prysznic, a następnie złożył ubranie i wsunął pod materac, aby się wyprasowało. Wyciągnął się na łóżku, splótł ręce pod głową i zaczął wpatrywać się w sufit. Przez minutę rozmyślał o Calvinie Franzu. Przed jego oczami przesunął się ciąg całkiem przypadkowych obrazów przypominający biografię polityka przedstawioną w formie trzydziesto-sekundowej reklamówki telewizyjnej. Jego pamięć sprawiła, że niektóre obrazy przybrały barwę sepii, inne całkiem wyblakły, jednak na wszystkich Franz poruszał się, mówił, śmiał, był pełen życia i energii. Po chwili do korowodu obrazów przyłączyła się Karla Dixon, drobna, ciemnowłosa, sardoniczna, śmiejąca się razem z Franzem. Obok nich pojawił się Dave O'Donnell, wysoki, jasnowłosy, przystojny, niczym makler giełdowy z nożem sprężynowym. I Jorge Sanchez, wytrzymały, o przymrużonych powiekach, z lekkim uśmiechem odsłaniającym złoty ząb, co u niego było najwyższym wyrazem zadowolenia. I Tony Swan o kwadratowej sylwetce. I Manuel Orozco, otwierający i zamykający zapalniczkę Zippo. Dostrzegł nawet Staną Lowreya, potrząsającego głową i bębniącego palcami o blat stołu w rytmie, który tylko on potrafił usłyszeć.

Po chwili odpędził wszystkie obrazy, zamknął oczy i zasnął. Była dwudziesta druga trzydzieści. Długi dzień dobiegł końca.

Dwudziesta druga trzydzieści w Los Angeles odpowiadała pierwszej trzydzieści następnego dnia w Nowym Jorku. Ostatni spóźniony samolot British Airways z Londynu wylądował właśnie na lotnisku JFK. Spóźnienie oznaczało, że ostatni pracownik imigracyjny obsługujący terminal tych linii poszedł do domu, więc samolot został odholowany do terminalu czwartego, a pasażerowie wypełnili jego olbrzymią halę przylotów. Trzecim w kolejce był pasażer pierwszej klasy, który większą część podróży przespał w fotelu o numerze 2K. Mężczyzna był średniego wzrostu, średniej wagi, ubrany w drogi garnitur. Bila z niego uprzejmość przesycona pewnością siebie, typowa dla ludzi, którzy mieli szczęście przez całe życie być bogaci. Miał około czterdziestki. Jego gęste czarne włosy były lśniące i pięknie przystryżone, a skóra o lekko brązowym zabarwieniu w połączeniu z regularnymi rysami twarzy mogła wskazywać, że jest obywatelem Indii lub Pakistanu, Irańczykiem, Syryjczykiem, Libańczykiem, Algierczykiem, a nawet Izraelczykiem lub Włochem. Po okazaniu brytyjskiego paszportu bez najmniejszych problemów przeszedł kontrolę imigracyjną. Kłopotu nie nastęczyły również odciski starannie wypielegnowanych palców sprawdzone w czytniku elektronicznym. Siedemnaście minut po rozpięciu pasów facet stanął pod rozjarzonymi światłami nocnym nowojorskim niebem i ruszył energicznym krokiem w stronę oczekujących taksówek.

13

O szóstej rano Reacher udał się do apartamentu Neagley. Okazało się, że Frances właśnie bierze prysznic. Reacher pomyślał, że pewnie wcześniej ćwiczyła godzinę w swoim pokoju albo w hotelowej siłowni. Może wyszła, aby pobiegać w okolicy hotelu. Wyglądała elegancko, na pełną energię i życia, co wskazywało, że w jej żyłach krąży dużo natlenionej krwi.

Zamówili śniadanie do pokoju, czas oczekiwania poświęcając na bezowocne próby nawiązania kontaktu telefonicznego z przyjaciółmi. Żadnej odpowiedzi ze wschodniego Los Angeles, Nevady, Nowego Jorku czy dystryktu Kolumbii. Tym razem nie nagrali żadnej wiadomości ani nie wykręcili ponownie numeru. Siedzieli w milczeniu, oczekując na przybycie kelnera. Następnie zjedli śniadanie złożone z jajek, naleśników i bekonu, popijając to wszystko kawą. Po śniadaniu Neagley zadzwoniła do obsługi parkingu i poprosiła o podstawienie swojego wozu.

- Najpierw do Franza? - zapytała. Reacher skinął głową.

- Franz odgrywa w tej sprawie kluczową rolę. Zjechali windą, wsiedli do mustanga i mszyli na południe bulwarem La Cienega w kierunku poczty w Culver City.

Zaparkowali przy zdemolowanym biurze Franza, a następnie przeszli obok pralni chemicznej, salonu kosmetycznego i apteki. Na poczcie nie było nikogo. Znak umieszczony na drzwiach informował, że urząd jest otwarty od pół godziny. Najwyraźniej pierwsi interesanci załatwili już swoje sprawy.

- Nie możemy tego zrobić, gdy w środku nie ma nikogo - rzekł Reacher.

- W takim razie poszukajmy właściciela pawilonów - zaproponowała Neagley.

Zapytali o niego w aptece. Starszy mężczyzna w krótkim białym fartuchu stał pod starą kamerą przemysłową obok lady, na której kładziono leki. Powiedział, że właścicielem jest facet prowadzący pralnię chemiczną. Wyrażał się o nim z pełną rezerwy wrogością, w typowy sposób, w jaki najemcy mówią o ludziach, którym muszą wysyłać co miesiąc czek. Przedstawił im skróconą wersję opowieści o sukcesie. Jego sąsiad przyjechał tu z Korei i wykorzystał dochody z prowadzenia pralni do wykupienia pozostałych pomieszczeń. Prawdziwy amerykański sen. Reacher i Neagley podziękowali mu, przeszli obok salonu kosmetycznego, zapukali do pralni chemicznej i natychmiast odnaleźli faceta, o którego chodziło. Mężczyzna krążył po zatłoczonym pomieszczeniu, w którym unosiła się woń chemikaliów. W głębi wirowało osiem dużych pralek bębnowych. Stoły do prasowania syczały parą. Kosze z ubraniami krążyły nad głową, przesuwane na przenośniku taśmowym. Facet był spocony. Ciężka robota. Wyglądało, że zasługiwał na dwa rzędy pawilonów, nawet trzy. Może już był ich właścicielem. Mógł nawet mieć ich więcej.

Reacher od razu przeszedł do rzeczy.

- Kiedy ostatni raz widziałeś Calvina Franza? - zapytał.

- Prawie go nie widywałem - odparł tamten. - Nie mogłem. Zamalował okna, gdy tylko się wprowadził. - Powiedział to tak, jakby to go irytowało. Jakby wiedział, że będzie musiał zdrapywać farbę, zanim ponownie wynajmie pomieszczenie.

- Musiałeś widzieć, jak wchodzi i wychodzi. Założę się, że nikt nie pracuje tu tak długo jak ty.

- Czasami się widywaliśmy - przytaknął.

- Kiedy ostatnio zatrzymałeś się, aby z nim pogadać?

- Trzy, cztery tygodnie temu.

- Na krótko przedtem, nim przyszli tamci faceci i poprosili o klucz?

- Jacy faceci?

- Ci, którym dałeś jego klucz.

- To byli gliniarze.

- Gliniarzami byli ci, którzy przyszli po nich.
 - Pierwsi też.
 - Pokazali ci odznakę?
 - Oczywiście.
 - Oczywiście, że tego nie zrobili - odparł Reacher. - Jestem pewien, że zamiast niej pokazali ci studolarowy banknot. Może dwa lub trzy.
 - Co z tego? To mój klucz i mój budynek.
 - Jak wyglądali?
 - Dlaczego miałbym wam powiedzieć?
 - Ponieważ byliśmy przyjaciółmi pana Franza.
 - Byliście.
 - Franz nie żyje. Ktoś wyrzucił go z pokładu helikoptera. Właściciel pralni wzruszył ramionami.
 - Nie pamiętam, jak wyglądali.
 - Zniszczyli twój pawilon - rzekł Reacher. - Nie wiem, ile ci zapłacili za klucz, lecz nie pokryje to wyrządzonych szkód.
 - Zajmę się naprawą. To mój pawilon.
 - Wyobraź sobie, że twoja firma zamieni się w dymiące zgliszczka. Że wrócę tutaj w nocy i spalę wszystko.
 - Pójdiesz do więzienia.
 - Nie sądzę. Człowiek, który ma tak kiepską pamięć jak ty, nie powiedziałby nic policji.
- Facet skinał głową.
- Byli biali. Dwóch. Ubrani w granatowe garnitury. Wysiedli z nowego samochodu. Wyglądali całkiem przeciętnie.
 - To wszystko?
 - Zwyczajni biali mężczyźni. Nie byli glinami. Zbyt czyści i bogaci.- Nie zauważyłeś nic szczególnego.
 - Powiedziałbym wam. Zniszczyli mój pawilon.
 - W porządku.
 - Przykro mi z powodu waszego przyjaciela. Wydawał równym gościem.
 - Był nim - odpowiedział Reacher.

Wrócili na pocztę. Poczta okazała się małym brudnym pomieszczeniem urządzonym w sposób typowy dla instytucji państwowej. W środku panował umiarkowany ruch. Zwyczajna poranna krzątania. Do jednego z okienek ustawiła się krótka kolejka interesantów. Neagley wręczyła Reacherowi kluczyki Franza i stanęła na końcu ogonka. Reacher podszedł do wąskiego kontuaru w tylnej części sali i sięgnął po pierwszy lepszy druczek. Było to potwierdzenie odbioru przesyłki. Pochylił się nad kontuarem, wziął długopis na łańcuszku i udał, że je wypełnia. Oparł się na łokciu i zasłonił ciałem, pozorując pisanie. Spojrzał na Neagley. Za trzy minuty znajdzie się na czele kolejki. Wykorzystał ten czas, aby rzucić okiem na rząd skrytek.

Skrytki wypełniały jedną ze ścian pomieszczenia. Miały trzy rozmiary: mały, średni i duży. Sześć rzędów małych, cztery rzędy średnich i trzy rzędy dużych, tuż obok drzwi. W sumie sto osiemdziesiąt małych, dziewięćdziesiąt średnich i pięćdziesiąt cztery duże. Razem sto trzydzieści skrytek.

Która należała do Franza?

Na pewno jedna z dużych. Franz prowadził firmę, na której adres na pewno przychodziło dużo korespondencji. Niektóre przesyłki musiały zawierać grube pliki dokumentów dużego formatu. Raporty kredytowe, informacje finansowe, stenogramy rozpraw sądowych, fotografie formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Duże, sztywne koperty. Czasopisma fachowe. Musiał mieć dużą skrytkę. Tylko którą?

Nie można było tego stwierdzić. Gdyby Franz miał wybór zdecydowałby się na górny rząd, trzeci od podłogi, po prawej stronie. Kto chciałby chodzić daleko od drzwi, a następnie kukać na linoleum, aby otworzyć drzwiczki? Tyle że na pewno nie miał wyboru. Jeśli chcesz skrytkę pocztową, bierzesz tę, która jest dostępna. Tę, która została zwolniona przez poprzedniego klienta. Ktoś umiera lub przeprowadza się w inne miejsce, jego skrytka się zwalnia, a ty przejmujesz ją w spadku. Kwestia szczęścia. Czysta loteria. Prawdopodobieństwo trafienia wynosiło jeden do pięćdziesięciu czterech.

Reacher sięgnął do kieszeni i namacał palcami klucz Franza. Uznał, że na sprawdzenie każdego zamka będzie potrzebował od dwóch do trzech sekund. W najlepszym razie niemal trzy minuty uwijania się wzdłuż długiego szeregu skrytek. Bardzo ryzykowne. W najgorszym razie mógłby włożyć klucz do; skrytki klienta, który stanął tuż za nim. Pytania, skargi, gniewne okrzyki, wezwanie ochrony, może nawet sprawa federalna. Reacher wiedział, że bez trudu opuści pocztowy hol, nie chciał jednak odejść z pustymi rękami.

Usłyszał, jak Neagley mówi dzień dobry.

Spojrzał w lewo i stwierdził, że dotarła do okienka. Pochyliła się do przodu, ściągając na siebie uwagę pracownika poczty. Reacher spostrzegł, że mężczyzna utkwiał w niej wzrok. Odłożył długopis i sięgnął do kieszeni po klucz. Podszedł bez przeszkód do ściany ze skrytkami i spróbował otworzyć pierwszą z lewej.

Niepowodzenie.

Poruszył klucz w jedną i drugą stronę. Zamek ani drgnął. Wyciągnął i spróbował jeden zamek niżej. Kolejne niepowodzenie. Następny rząd. Bez skutku.

Neagley zadawała długie i skomplikowane pytanie na temat opłat za przesyłki lotnicze. Oparła się łokciami o kontuar, dbając o to, by urzędnik poczuł się najważniejszym człowiekiem na świecie. Reacher przesunął się w prawo i spróbował ponownie - skrytkę w kolejnej kolumnie, trzecią od podłogi.

Niepowodzenie.

Cztery sprawdzone, pozostało jeszcze pięćdziesiąt. Od początku poszukiwań minęło dwanaście sekund, prawdopodobieństwo odnalezienia skrytki wzrosło z 1,85 do 2 procent. Włożył klucz do kolejnego zamka. Pudło. Przykucnął i spróbował otworzyć skrytkę umieszczoną najbliżej podłogi.

Niepowodzenie.

Przesunął się w prawo, nie wstając z przysiadu. Najniższa skrytka nie była tą, której szukał, podobnie jak dwie znajdujące się ponad nią. Minęło dwadzieścia pięć sekund, a on sprawdził dziewięć skrytek. Neagley w dalszym ciągu rozmawiała z pracownikiem. Po lewej stronie Reachera jakaś kobieta otworzyła swoją skrytkę w górnym rzędzie, wyciągając gruby plik korespondencji. Stała obok, sortując przesyłki. Przesunął się, poprosił milcząco. Stał obok śmietniczki. Odsunęła się. Zrobił krok w prawo, badając czwartą kolumnę. Neagley nadal gadała, a pracownik nadal słuchał. Klucz nie pasował do górnej skrytki, nie otworzył również środkowej ani dolnej.

Sprawdził dwanaście. Prawdopodobieństwo wzrosło i wynosiło teraz jeden do czterdziestu dwóch. Lepiej, lecz nadal kiepsko. Klucz nie pasował do żadnej ze skrzynek w piątej kolumnie. Ani w szóstej. Sprawdził osiemnaście. Jedną trzecią. Z każdą próbą szansa znalezienia skrytki rosła. Myśl pozytywnie. Wiedział, że klienci stojący za Neagley wkrótce zaczną się niecierpliwić. Będą przestępowali z nogi na nogę i rozglądali się dokoła, znudzeni i wścibscy.

Zaczął sprawdzać skrytki w piątej kolumnie, poczynając od góry. Poruszył kluczem. Zamek nie ustąpił. Nie pasował także do dwóch skrytek poniżej. Kolejny krok w prawo. Neagley przestała mówić. Urzędnik zaczął jej coś tłumaczyć. Udawała, że nie rozumie.

Reacher przesunął się w prawo. Ósma kolumna. Klucz nie pasował do górnej skrytki. W holu zapanowała cisza. Reacher poczuł czyjeś spojrzenie na plecach. Opuścił dłoń, próbując otworzyć środkową skrytkę ósmej kolumny.

Poruszył kluczem. Charakterystyczny metaliczny dźwięk wydał się bardzo głośny.

Bez skutku. W pomieszczeniu panowała cisza.

Sięgnął do najniższej skrytki w ósmej kolumnie.

Przekręcił klucz.

Zasuwa się poruszyła.

Skrytka była otwarta.

Zrobił krok w tył, otworzył na oścież małe drzwiczki i przykucnął. Skrytka Franza była pełna korespondencji. Koperty wyścielane folią bąbelkową, duże brązowe i białe koperty, listy, katalogi, zafoliowane czasopisma, kartki z pozdrowieniami.

W holu ponownie rozległy się dźwięki.

Reacher usłyszał, jak Neagley mówi: „Bardzo dziękuję za pomoc”. Usłyszał stukot kroków na posadzce. Klienci stojący za Neagley przesunęli się do przodu. Wyczuł, że odzyskali nadzieję na załatwienie sprawy, zanim się zestarzeją i umrą. Wsunął rękę do środka i wyjął zawartość skrytki. Ułożył wszystko w schludny plik, ujął w obie dłonie i wstał. Wcisnął plik pod pachę, zamknął skrytkę, wsunął klucz do kieszeni i odszedł jakby nigdy nic.

Neagley czekała na niego w mustangu zaparkowanym obok trzeciego pawilonu, licząc od poczty. Reacher pochylił się, upchnął przesyłki w skrytce deski rozdzielczej, a następnie wszedł do środka. Posortował plik, wyciągając z niego cztery małe, wyścielane folią bąbelkową koperty zaadresowane na biuro Franza jego własnym charakterem pisma.

- Zbyt małe jak na płyty CD - zauważył.

Uporządkował je chronologicznie według daty na stemplu.

Najnowsza została ostemplowana rano w dzień zniknięcia Franza.

- Wysłał ją poprzedniego wieczoru - wyjaśnił. Otworzył kopertę i wyjął z niej mały srebrny przedmiot.

Metalowy, płaski, długości pięciu i szerokości dwóch centymetrów, cienki, z plastikową nasadką. Widniał na nim napis „128 MB”.

- Co to takiego? - zapytał.

- Pendrive - wyjaśniła Neagley. - Nowa wersja dyskietki. Pozbawiona ruchomych części, o stukrotnie większej pojemności.

- Co z tym zrobimy?

- Podłączymy do jedyne go z moich komputerów i zobaczymy, co zawiera.
- Tylko tyle?
- Chyba że zawartość jest chroniona hasłem. Pewnie tak będzie.
- Czy są programy, które pozwolą nam je złamać?
- Kiedyś były. Teraz nie. Rzeczy z każdym dniem stają się coraz doskonalsze lub coraz gorsze, w zależności od punktu widzenia.
- Co wówczas zrobimy?
- Podczas jazdy sporządzimy listę potencjalnych haseł. Po staremu. Sądzę, że po trzech próbach wszystkie pliki zostaną usunięte.

Włączyła silnik i odjechała od krawężnika. Wykonała zgrabny zwrot na pasie przeciwpożarowym i skierowała się na północ w stronę bulwaru La Cienega.

Mężczyzna w ciemnoniebieskim garniturze obserwował ich cały czas. Siedział nisko, ukryty za kierownicą ciemnoniebieskiego sedana chryslera, stojącego w odległości czterdziestu metrów od poczty, na miejscu parkingowym należącym do apteki. Otworzył klapkę komórki i wybrał numer swojego szefa.

- Tym razem w ogóle nie zajrzeli do biura Franza - oznajmił. - Rozmawiali z właścicielem pawilonów. Byli długo na poczcie. Sądzę, że Franz musiał wysyłać korespondencję na własny adres. Dlatego nic nie znaleźliśmy. Pewnie już to mają.

15

Neagley wsunęła pendrive'a do gniazda swojego laptopa Reacher wpatrywał się w monitor. Przez chwilę nic się ni działo, a następnie na ekranie ukazała się ikona przypominająca stylizowany przedmiot, który znaleźli w skrytce Franza. Pod ikoną widniał napis: „Brak nazwy”. Neagley przesunęła palcem po panelu dotykowym zastępującym mysz, a następnie dwukrotnie trąciła go palcem.

Na monitorze ukazała się ikona z żądaniem hasła.

- Cholera - powiedziała.
- To było to przewidzenia - stwierdził Reacher. Kiedyś Reacher wielokrotnie łamał hasła komputerowe. Jak zawsze metoda polegała na tym, aby wczuć się w drugiego i myśleć jak on. Stać się nim. Goście cierpiący na poważną paranoję wymyślają długie, skomplikowane hasła pełne dużych i małych liter oraz liczb, pozbawione znaczenia dla wszystkich, włączając ich samych. Takie zabezpieczenie było nie do złamania. Franz nigdy nie był jednak paranoikiem. Reacher uważał go za wyluzowanego gościa, poważnego, a

jednocześnie lekko rozbawionego środkami bezpieczeństwa. Oprócz tego był człowiekiem słów, a nie liczb. Człowiekiem o wielu zainteresowaniach i pasjach. Doświadczającym różnorodnych uczuć, oddanym wielu sprawom. Osobą o niewyszukanym guście i pamięci jak słoń.

- Angela, Charlie, Miles Davies, Dodgersi, Koufax, Panarna, Pfeiffer, Ronin, Brooklyn, Heidi lub Jennifer - powiedział.

Neagley zapisała wszystkie słowa na oddzielnej stronie kołnotatnika.

- Dlaczego właśnie te? - zapytała.

- W przypadku Angeli i Charliego odpowiedź jest oczywista. To jego rodzina.

- Zbyt oczywiste.

- Może tak, a może nie. Miles Davies był jego ulubionym kompozytorem i wykonawcą. Dodgersi ulubioną drużyną baseballu. Sandy Koufax to zawodnik, którego najwyżej cenił.

- To jakieś możliwości. A Panama?

- Wysłano go tam pod koniec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Myślę, że wyjazd do Panamy przyniósł mu najwięcej zawodowej satysfakcji. Z pewnością zapamiętał to miejsce.

- Czy Pfeiffer to Michelle Pfeiffer?

- Jego ulubiona aktorka.

- Angela trochę ją przypomina, nie sądzisz?

- Właśnie.

- Ronin?

- To jego ulubiony film - wyjaśnił Reacher.

- Dziesięć lat temu, kiedy go znałeś - zauważyła Neagley. - Od tego czasu nakręcono wiele dobrych filmów.

- Hasła pochodzą z głębokich pokładów naszej świadomości.

- To słowo jest za krótkie na hasło. Większość nowoczesnych programów wymaga hasła składającego się przynajmniej z sześciu znaków.

- Okej, skreśl Ronina.

- Brooklyn?

- Tam się urodził.

- Nie wiedziałam.

- Wiedziało o tym bardzo niewiele. Kiedy był mały, jego rodzice przeprowadzili się na zachód. Właśnie dlatego byłoby to dobre hasło.

- Heidi?- Pierwsza dziewczyna, z którą chodził na poważnie. Musiała być naprawdę niezła. Miał bzika na jej punkcie.

- O tym też nie miałam pojęcia. Widzę, że nie dopuszczano mnie do męskich sekretów.

- Podobnie jak Karli Dixon - dodał Reacher. - Nie chcieliśmy wyglądać w waszych oczach na zbyt sentymentalnych.

- Skreślam Heidi. Tylko pięć liter, poza tym był zakochany w Angeli. Nie czułby się dobrze, używając jako hasła imienia dawnej dziewczyny niezależnie od tego, jak była namiętna. Z tego samego powodu skreślam Michelle Pfeiffer. Kim była Jennifer? Jego kolejną sympatią? Ona też była namiętna?

- Jennifer była jego suką - odparł Reacher. - Dawno temu, kiedy był dzieckiem. Małym, ciemnym kundelkiem. Żyła osiemnaście lat. Kiedy zdechła, Calvin był zdruzgotany.

- Można wziąć to pod uwagę. Mamy już sześć możliwości i jedynie trzy podejścia.

- Dwanaście - poprawił ją Reacher. - Mamy cztery koperty i cztery pamięci pendrive'a. Jeśli zaczniemy od najstarszej, będziemy mogli zniszczyć pierwsze trzy. Informacje, które zawierają, i tak są nieaktualne.

Neagley ułożyła pendrive'y na hotelowym biurku według stempla na kopercie, w której się znajdowały.

- Jesteś pewny, że nie używał codziennie innego hasła?

- Franz? - zachnął się Reacher. - Chyba żartujesz! Gość taki jak Franz znajduje słowo, które coś dla niego znaczy, i posługuje się nim do końca życia.

Neagley umieściła w gnieździe USB najstarszego pendrive'a i poczekała, aż na ekranie ukaze się ikona. Kliknęła ją, a następnie przesunęła kursor do pola, w którym trzeba było wpisać hasło.

- Okej - powiedziała. - W jakiej kolejności?

- Najpierw imiona osób, następnie nazwy miejsc. Myślę, że w tym wypadku właśnie tak powinniśmy postąpić.

- Czy Dodgersów zaliczyć do osób?

- Oczywiście, w baseball grają ludzie.

- Zgoda, ale zaczniemy od muzyki. - Wpisała „Miles-Davies” i kliknęła klawisz „enter”. Po krótkiej chwili na ekranie pojawiło się okno z czerwonym, ostrzegawczym napisem: „Błędne hasło”.

- Jedno mniej - skwitowała. - Teraz sport. Wpisała „Dodgersi”.

„Błędne hasło”.

- Skreślamy drugie. - Wpisała „Koufax”. Twardy dysk laptopa zaterkotał i ekran zgasł.

- Co się stało?

- Program usuwa dane - wyjaśniła Neagley. - Kasuje pliki. To nie był Koufax. Trzecie pudło.

Wyjęła pendrive'a z portu i rzuciła długim srebrnym łukiem do kosza na śmieci. W gnieździe USB znalazła się druga pamięć. W polu „hasło” wpisała „Jennifer”.

„Błędne hasło”.

- Czwararty kiks - skomentowała. - Nie chodzi o jego sukę.

Spróbowała „Panama”. „Błędne hasło”.

- Piąta próba. - Wpisała „Brooklyn”.

Ekran ponownie wygasł, a twardy dysk zaterkotał.

- Szósty kiks - oznajmiła. - Nie chodzi o miejsce, w którym się urodził. Sześć kiksów, Reacher.

Do kosza powędrowała druga pamięć. W gnieździe znalazła się trzecia.

- Masz jakieś pomysły?

- Twoja kolej. Mam wrażenie, że przestałem mieć z nim kontakt.

- Może jego stary numer służbowy?

- Wątpię. Franz był człowiekiem słów, a nie liczb. Nawiasem mówiąc, mój numer służbowy jest taki sam jak numer polisy ubezpieczeniowej. Jego pewnie tak samo. To zbyt oczywiste.

- Jakiego hasła byś użył?- Ja? Ja jestem człowiekiem liczb. Liczby znajdują się w górnym rzędzie klawiatury, umieszczone w kolejności, łatwo dostępne. Nie trzeba umieć pisać na maszynie.

- Jaką liczbą byś się posłużył?

- Sześć znaków? Pewnie datą urodzin: miesiąc, dzień, rok oraz pierwszą najbliższą liczbą pierwszą. - Zastanowił się, by po chwili dodać: - Wiesz, miałbym z tym problem. Byłyby dwie takie liczby, jedna większa, a druga mniejsza o siedem. Chyba wyciągnąłbym pierwiastek kwadratowy i zaokrąglił do trzech miejsc po przecinku. Pomiąłbym przecinek i otrzymał sześć różnych cyfr.

- To dziwaczne - zauważyła Neagley. - Chyba możemy być pewni, że Franz nie zrobił czegoś takiego. Nie sędzę, aby postąpił tak ktokolwiek na świecie.

- Właśnie dlatego byłoby to dobre hasło.

- Jaki był jego pierwszy wóz?

- Pewnie jakiś wrak.
- Faceci lubią samochody, prawda? Jakie było auto jego marzeń?
- Ja nie lubię samochodów.
- Postaraj się myśleć jak on, Reacher. Czy Franz lubił samochody?
- Zawsze chciał mieć czerwonego jaguara XKE.
- Sądziysz, że warto spróbować?

Człowiek o wielu zainteresowaniach i pasjach. Doświadczający różnorodnych uczuć, oddany wielu sprawom.

- Być może - odparł. - Z pewnością chodzi o coś, co miało dla niego wyjątkowe znaczenie. Coś w rodzaju talizmanu budzącego w nim ciepłe skojarzenia. Bohater z wczesnej młodości, obiekt długotrwałego pożądania lub uczuć. Jaguar XKE może pasować.

- Mam spróbować? Zostało nam jeszcze sześć możliwości.

- Gdybym miał sześćset, na pewno bym spróbował.

- Poczekaj - przerwała mu Neagley. - Pamiętasz co powiedziała Angela? Franz stale powtarzał „Nie zadzieraj ze specjalną grupą śledczą”.

- Byłoby to cholernie długie hasło.

- Rozdzielmy to zdanie na człony. „Specjalna grupa śledcza” i „nie zadzieraj”.

Facet miał pamięć jak słoń. Reacher skinął głową.

- To był dobry okres w naszym życiu, nieprawdaż? Wspominanie tamtych dni mogło budzić w nim przyjemne skojarzenia. Szczególnie gdy siedział w swoim biurze w Culver City zajęty dyrdymałami. Ludzie lubią ulegać nostalgii, nie sądziysz? Jak w piosence *Tacy byliśmy*.

- Nakręcono film pod tym samym tytułem.

- A widzisz. To powszechne uczucie.

- Od czego powinnam zacząć?

Reacher usłyszał w myślach cienki głosik Charliego: „Nie zadzieraj”.

- Nie zadzieraj - powiedział. - Dwanaście liter. Neagley napisała: „niezadzieraj”, a następnie wcisnęła klawisz „enter”.

„Błędne hasło”.

- Cholera.

Wpisała „specjalnagrupaśledcza”, wstrzymując palec nad klawiszem.

- Bardzo długie - zauważył Reacher.

- Tak czy nie?

- Tak. „Błędne hasło”.

- Cholera - rzuciła Neagley, by natychmiast ucichnąć. Reacher nie przestawał myśleć o Charliem. I jego maleńkim krzeselku z imieniem wypalonym na oparciu. Niemal czuł zapach palącego się drewna. Widział Franza wykonującego napis pewną ręką. Może krzeselko miało być pierwszym z wielu przedmiotów wyrażających miłość, dumę i poświęcenie.

- Lubię Charliego - powiedział.

- Ja również - odparła Neagley. - Uroczy dzieciak.

- Chodziło mi o hasło.

- To zbyt oczywiste.

- Franz nie traktował takich zabezpieczeń serio. Stwarzał pozory. Wolałby używać starego hasła, niż wprowadzać do systemu nowe.- Nadal to zbyt oczywiste. Myślę, że miał poważny stosunek do życia, a przynajmniej do tej sprawy. Znalazł się w dużych tarapatach, dlatego wysyłał listy na własny adres.

- Mógł zastosować podwójny blef. Takie hasło może się wydać oczywiste, lecz jest ostatnią rzeczą, jaka przyjdzie ci do głowy. Właśnie dlatego jest bardzo skuteczne.

- To możliwe, lecz mało prawdopodobne.

- Nawiasem mówiąc, co może być w środku?

- Coś, co jest nam bardzo potrzebne.

- Spróbuj „Charlie”. Zrób to dla mnie. Neagley wzruszyła ramionami i napisała „Charlie”. Nacisnęła klawisz „enter”.

„Błędne hasło”.

Twardy dysk zawirował i zawartość pendrive’a została wykasowana.

- Dziewięć prób - oznajmiła Neagley. Wrzuciła trzecią pamięć do kosza i umieściła w gnieździe czwartą. Ostatnią.

- Zostały nam jeszcze trzy.

- Angela - powiedziała. - Nie, to zbyt oczywiste.

- Spróbuj.

- Jesteś pewien?

- Mam duszę hazardzisty.

- To trzy ostatnie możliwości.

- Zaryzykuj. Wpisała „Angela”. Wcisnęła „enter”. „Błędne hasło”.

- Dziesiąta próba - przypomniała. - Zostały nam jeszcze dwie.

- A może Angela Franz?

- To jest gorsze od poprzedniego.

- Może jej nazwisko panieńskie?
- Nie znam go.
- Zadzwoń i zapytaj.
- Mówisz poważnie?
- Przynajmniej będziesz je znała.

Neagley wyciągnęła notatnik, odnalazła numer Angeli i zadzwoniła. Przedstawiła się i przez chwilę rozmawiały o innych sprawach. Później Reacher usłyszał, jak zadaje Angeli to pytanie. Odpowiedzi nie usłyszał, dostrzegł jednak, że źrenice oczu Neagley rozszerzyły się na ułamek sekundy, co u niej odpowiadało zwaleni się na ziemię wskutek doznanego szoku. Odłożyła słuchawkę.

- Pfeiffer - powiedziała.
- Interesujące.
- Nawet bardzo.
- Są ze sobą spokrewnione?
- Nie wspomniała o tym.
- Spróbuj „Pfeiffer”, to jak kupon pozwalający nabyć dwa przedmioty za cenę jednego. Franz mógł poczuć się podwójnie dobrze, nie mając żadnych wyrzutów sumienia.

Neagley napisała „Pfeiffer”. Wcisnęła „enter”. „Błędne hasło”.

16

W pokoju Neagley zapanowała gorąca, duszna atmosfera. Jakby ktoś wypompował zeń powietrze. Jakby nieoczekiwanie się skurczył.

- Jedenasta próba - rzekła Neagley. - Pozostała jeszcze jedna możliwość. Teraz albo nigdy. Nasza ostatnia szansa.
- Co się stanie, jeśli się nie uda? - zapytał Reacher.
- Nie dowiemy się, co jest w środku.
- Musimy robić to teraz? Może powinniśmy po prostu zatrzymać tę pamięć?
- To nam niczego nie da.
- W takim razie zróbmy sobie przerwę. Wrócimy do tego później. Pojedźmy do wschodniego Los Angeles i poszukajmy Swana. Jeśli go odnajdziemy, być może podsunie nam jakiś pomysł. Jeśli nie, wrócimy ze świeżym umysłem.

Neagley zadzwoniła do obsługi hotelowego parkingu i po dziesięciu minutach mknęła czerwonym mustangiem na wschód od Wilshire. Minęła Wilshire Center, przejechali

Westlake i ruszyli boczną odnogą autostrady wprost do Macarthur Park. Skręcili na północny wschód i wjechali na autostradę wiodącą do Pasadeny. Minęli betonową bryłę stadionu Dodgersów, otoczoną całymi akrami pustego parkingu. Zapuscili się głęboko w sznurze gniazdo ulic, którego granicę wyznaczały Boyle Heights, Monterey Park, Alhambra i South Pasadena. W tym rejonie było wiele parków naukowych, centrów biznesu i pasażów handlowych, starej i nowej zabudowy. Przy krawężnikach trudno było wypatrzeć wolne miejsce. Wszędzie panował duży ruch, a rzeka pojazdów poruszała się w leniwym tempie. Nad nimi wisiało brązowe niebo. Neagley trzymała w schowku na rękawiczki mapę wydawnictwa Rand McNally. Mapa przypominała obraz ziemi z wysokości osiemdziesięciu kilometrów. Reacher zmrużył oczy, śledząc blade, szare linie dróg. Kojarzył nazwy ulic na tablicach z nazwami na mapie i lokalizował kolejne skrzyżowania w trzydzieści sekund po tym, jak przez nie przejechali. Trzymał kciuk w miejscu, gdzie miała siedzibę firma New Age Defense Systems, kierując ku niemu Neagley szeroką, krętą drogą.

Kiedy dotarli na miejsce, ujrzeli niski znak wykonany z rzeźbionego granitu i okazała, sześcienną bryłę budynku za wysokim ogrodzeniem chroniącym przed huraganem i zakończonym drutem kolczastym. W pierwszej chwili ogrodzenie robiło imponujące wrażenie, wystarczyło jednak spojrzeć ponownie, aby odkryć, że wystarczyłyby nożyce do cięcia drutu, aby pokonać je bez problemu w dziesięć sekund. Gmach biura otaczał duży parking, przy którym zasadzono okazałe drzewa. Ich odbicie w lustrzanych panelach w połączeniu z odbiciem nieba powodowało, że biurowiec miał niemal surrealistyczny wygląd.

Brama główna nie sprawiała wrażenia masywnej i była szeroko otwarta. Obok nie dostrzegli budki dla wartownika. Nikt nie pilnował wjazdu. Za bramą rozciągał się parking w połowie wypełniony samochodami. Neagley zatrzymała się na chwilę, aby przepuścić samochód z serwisu kserokopiarek, a następnie zaparkowała mustanga w miejscu przeznaczonym dla gości, tuż obok holu. Wyszli z samochodu i na chwilę zamarli w bezruchu. Był ranek, owiewało ich gorące, ciężkie powietrze. Wokół panowała cisza. Wyglądało na to, że w środku mnóstwo ludzi uporczywie próbuje się na czymś skoncentrować lub nic nie robi.

W wejściu do recepcji znajdowały się podwójne szklane drzwi, które otworzyły się automatycznie, gdy do nich podeszli. Wkroczyli do dużego kwadratowego holu o posadzce pokrytej łupkiem i ścianach wyłożonych aluminiowymi panelami. Zauważyli skórzane fotele i długi kontuar recepcji w głębi sali. Za kontuarem stała blondynka w wieku około trzydziestu lat. Była ubrana w firmową koszulkę polo z napisem „New Age Defense Systems”

wyhaftowanym nad małą lewą piersią. Najwyraźniej usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, lecz poczekała z podniesieniem głowy, aż Reacher i Neagley znajdą się w pół drogi od niej.

- Czym mogę państwu służyć? - zapytała.

- Przyszliśmy do Tony'ego Swana - odparł Reacher. Kobieta uśmiechnęła się sztucznie i odpowiedziała:

- Mogę zapytać o państwa nazwiska?

- Jack Reacher i Frances Neagley. Jesteśmy jego bliskimi przyjaciółmi z armii.

- W takim razie proszę spocząć. - Recepcjonistka podniosła słuchawkę telefonu stojącego na kontuarze, a Reacher i Neagley ruszyli w kierunku skórzanych foteli. Neagley usiadła, a Reacher stanął obok. Przypatrywał się matowemu odbiciu recepcjonistki w aluminiowym panelu, słuchając, jak mówi:

- Jest tu dwoje przyjaciół Tony'ego Swana. Przyszli, aby się z nim zobaczyć. - Po tych słowach odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się w stronę Reachera, chociaż ten nie patrzył wprost na nią.

Przez cztery minuty siedzieli w milczeniu. Później Reacher usłyszał odgłos kroków. Ktoś szedł w ich stronę po wyłożonej łupkiem posadzce. Nadchodził z boku i zmierzał w stronę recepcji. Miarowy, niespieszny krok człowieka średniego wzrostu o średniej masie ciała. Podniósł głowę i na końcu korytarza ujrzał kolejną kobietę. Czterdziestoletnią, szczupłą, o starannie uczesanych brązowych włosach. Miała na sobie czarne spodnium i białą bluzkę. Sprawiała wrażenie szybkiej i skutecznej. Jej twarz miała otwarty, serdeczny wyraz. Uśmiechnęła się do recepcjonistki, a następnie podeszła wprost do Reachera i Neagley. Wyciągnęła rękę i oznajmiła:

- Jestem Margaret Berenson.

- Przyszliśmy do Tony'ego Swana - wyjaśnił Reacher.

- Wiem - odparła. - Powinniśmy znaleźć jakieś spokojne miejsce, aby pogadać.

Jeden z aluminiowych paneli okazał się drzwiami prowadzącymi do małej prostokątnej sali konferencyjnej tuż za holem. Miejsce przeznaczone na spotkania z gośćmi, którzy nie zasłużyli na prawo wpuszczenia do sanktuarium. Było to chłodne pomieszczenie ze stołem, czterema krzesłami oraz oknami sięgającymi od podłogi do sufitu, z których rozciągał się widok na parking. Przedni zderzak mustanga Neagley znajdował się w odległości około dwóch metrów od nich.

- Nazywam się Margaret Berenson - powtórzyła. - Jestem szefem działu kadr w New Age Defense Systems. Pozwolą państwo, że od razu przejdę do rzeczy. Pan Swan już u nas nie pracuje.

- Od jakiego czasu? - zapytał Reacher.

- Od trzech tygodni - wyjaśniła Berenson.

- Co się stało?

- Czułabym się znacznie swobodniej, gdybym miała pewność, że jesteście jego przyjaciółmi. Każdy może zajrzeć do recepcji i podać się za jego starego znajomego z wojska.

- Nie wiem, jak moglibyśmy tego dowieść.

- Jak wyglądał?

- Wysokość metr siedemdziesiąt pięć, szerokość - metr siedemdziesiąt.

Berenson uśmiechnęła się.

- Gdybym powiedziała wam, że używał kamienia jako przycisku do papieru, potrafilibyście odgadnąć, skąd pochodzi?

- To kawałek muru berlińskiego - odparł Reacher. - Swan był w Niemczech, kiedy go zburzono. Zjawił się w Berlinie zaraz potem i zabrał go na pamiątkę. W rzeczywistości to kawałek betonu, a nie kamień. Jest na nim fragment graffiti.

Berenson skinęła głową.

- Słyszałam tę historię i widziałam przedmiot, o którym mowa - odparła.

- Co się stało? - zapytał ponownie Reacher. - Swan zrezygnował?

Berenson potrząsnęła głową.

- Niezupełnie - wyjaśniła. - Musieliśmy go zwolnić Nie tylko jego. To nowa firma. Wszystkie przedsięwzięcia biznesowe zawierają w sobie element spekulacji i ryzyka. Nie zrealizowaliśmy naszych planów. Przynajmniej do tej pory. Musieliśmy zrewidować politykę zatrudnienia. Zredukować personel. Przyjęliśmy zasadę, że zatrudnieni na końcu odchodzą pierwsi. W praktyce oznaczało to, że musieliśmy zwolnić wszystkich menedżerów średniego szczebla. Ja również straciłam zastępcę. Pan Swan był zastępcą dyrektora ochrony, więc musiał rozstać się z firmą. Uczyniliśmy to z wielkim żalem, bo był dla nas bardzo cenny. Jeśli sytuacja ulegnie poprawie, będziemy go błagać, aby zechciał wrócić. Ale jestem pewna, że do tego czasu znajdzie sobie nową posadę.

Reacher wyglądał przez okno na parking w połowie wypełniony samochodami. Wsluchiwał się w ciszę panującą w budynku, który podobnie jak parking wydawał się w połowie pusty. - W porządku - powiedział.

- Wcale nie - odparła Neagley. - Od trzech dni wydzwaniam do jego biura i za każdym razem informują mnie, że właśnie wyszedł na chwilę. To się nie trzyma kupy.

Berenson ponownie skinęła głową.

- To zawodowa uprzejmość, którą mu wyświadczyłam. Na tym szczeblu zarządzania byłoby katastrofą, gdyby znajomi dowiedzieli się o jego zwolnieniu z drugiej ręki. Byłoby znacznie lepiej, gdyby pan Swan powiadomił ich o tym fakcie osobiście. Wówczas mógłby to wyjaśnić zgodnie z własną wolą. Właśnie dlatego nalegałam, aby w okresie przejściowym pozostali pracownicy posługiwali się niewinnymi kłamstwami. Nie przepraszam z tego powodu, lecz mam nadzieję, że zrozumiecie moje intencje. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla ludzi, których straciliśmy. Gdyby pan Swan zwrócił się do nowego pracodawcy tak, jakby z własnej woli poszukiwał pracy, byłby w znacznie lepszym położeniu niż wówczas, gdyby wszyscy wiedzieli, że został zwolniony.

Neagley zastanowiła się przez chwilę nad jej słowami, a następnie przytaknęła.

- W porządku - westchnęła. - Rozumiem pani intencje.

- Poprosiłam o to szczególnie w przypadku pana Swana - dodała Berenson. - Wszyscy bardzo go lubiliśmy.

- A co z tymi, których nie darzyliście sympatią?

- Było ich niewiele. Nigdy nie zatrudnilibyśmy człowieka, do którego nie mamy zaufania.

- Wczoraj zadzwoniłem do Swana i nikt nie podniósł słuchawki - oznajmił Reacher.

Berenson jeszcze raz skinęła głową, w dalszym ciągu cierpliwa i profesjonalna.

- Musieliśmy zwolnić także część personelu administracyjnego. Sekretarki, które pozostały, muszą teraz obsługiwać pięć lub sześć aparatów. Czasami nie udaje się im odpowiedzieć na jakiś telefon.

- Co się stało z waszym biznesplanem? - zapytał Reacher.

- Nie mogę tego wyjaśnić w szczegółach. Jestem jednak pewna, że zrozumiecie. Służyliście w armii?

- Oboje.

- W takim razie wiecie, ile nowych systemów uzbrojenia od razu zyskuje akceptację dowództwa.

- Niewiele.

- Żadne. Procedura przetargowa dotycząca naszego sprzętu przeciągnęła się nieco dłużej, niż sądziliśmy.

- Co to za broń?

- Nie mogę powiedzieć.

- Gdzie jest produkowana?

- Tutaj.

Reacher potrząsnął głową.

- Nieprawda. Macie ogrodzenie, które zdołałby pokonać trzylatek, nie zauważyłem też budki wartowników ani ochroniarzy w holu. Tony Swan nie pozwoliłby na to, gdyby coś tu produkowano.

- Nie mogę rozmawiać na temat procedur bezpieczeństwa, które stosujemy.

- Kto był bezpośrednim przełożonym Swana?

- Pyta pan o naszego dyrektora ochrony? To emerytowany porucznik policji z Los Angeles.- Zatrzymaliście go i zwolniliście Swana? Nie stosowaliście żadnych wyjątków od przyjętej zasady?

- Wszyscy nasi pracownicy są wspaniali. Ci, którzy pozostali, ci, którzy odeszli. Zdecydowaliśmy się na redukcję personelu z ogromnym bólem. Była to absolutna konieczność.

Dwie minuty później Reacher i Neagley znaleźli się ponownie w mustangu, na parkingu New Age Defense Systems. Silnik pracował na wolnych obrotach, a ich oboje przytłaczała świadomość katastrofy.

- Fatalny zbieg okoliczności - podsumował sytuację Reacher. - Właśnie wtedy, gdy Swan stracił robotę, Franz zadzwonił do niego ze swoimi problemami. Co zrobił Swan? Przyjechał wprost do niego. Biuro Franza jest oddalone o dwadzieścia minut drogi stąd.

- I tak by przyjechał. To, że stracił pracę, nie miało żadnego znaczenia.

- Wszyscy postąpiliby podobnie. Sądzę, że właśnie tak się stało.

- I wszyscy nie żyją?

- Mam nadzieję, że nie, lecz jestem gotów na najgorsze.

- Jest tak, jak chciałeś, Reacher. Zostaliśmy dwoje.

- Chciałem tego z zupełnie innego powodu.

- Nie mogę w to uwierzyć. Załatwili wszystkich?

- Ktoś będzie musiał za to zapłacić.

- Tak uważasz? Nie mamy żadnego śladu. Pozostała nam tylko jedna szansa z hasłem. Jesteśmy zbyt zdenerwowani, aby ją wykorzystać.

- Nie czas na nerwy.

- Powiedz mi, co napisać. Reacher nie odezwał się.

Wrócili tą samą drogą. Neagley prowadziła w milczeniu, a Reacher wyobrażał sobie Tony'ego Swana jadącego tymi ulicami trzy tygodnie wcześniej. Być może ze swoimi

rzeczami z biurka w New Age Defense Systems w bagażniku - długopisami, ołówkami i kawałkiem sowieckiego betonu. Szprychami niewidzialnego koła do Franza zmierzali pozostali starzy kumple. Sanchez i Orozco jechali Piętnastką z Vegas. O'Donnell i Dixon lecieli samolotem ze Wschodniego Wybrzeża, taszcząc bagaż, łapiąc taksówkę i dołączając do pozostałych.

Wyobraził sobie, jak się witają i pozdrawiają wzajemnie, i wpadają na jakiś ceglany mur.

Po chwili obraz wyblakł i Reacher znalazł się ponownie z Neagley w jadącym samochodzie. Zostaliśmy we dwoje. Trzeba zaakceptować fakty, zamiast z nimi walczyć.

Neagley oddała samochód obsłudze parkingu hotelowego i razem z Reacherem przedostali się do holu tylnym wejściem prowadzącym przez kręty korytarz. W milczeniu wsiedli do windy i pojechali na górę. Neagley wyciągnęła klucz i otworzyła drzwi.

Chwilę później stanęła jak wryta.

W fotelu obok okna siedział mężczyzna w garniturze, czytając raport z autopsji Franza.

Wysoki, jasnowłosy, arystokratyczny i zrelaksowany. David O'Donnell.

17

O'Donnell podniósł głowę i spojrzał na nich ponurym wzrokiem.

- Musiałem poznać przyczynę tych nieuprzejmych i obelżywych wiadomości, które nagraliście na mojej automatycznej sekretarce. - Po tych słowach uniósł raport z sekcji zwłok w geście, który miał wszystko tłumaczyć. - Teraz rozumiem.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała Neagley.

- Daruj mi to - O'Donnell westchnął.

- Gdzie się, do diabła, podziewałeś? - zapytał Reacher.

- Byłem w New Jersey - wyjaśnił. - Moja siostra zachorowała.

- W jakim była stanie?

- Poważnym.

- Umarła?

- Nie, wyzdrowiała.

- W takim razie powinieneś tu przyjechać dwa dni temu.

- Dzięki za waszą troskę.

- Martwiliśmy się o ciebie - powiedziała Neagley. - Sądziliśmy, że dopadli także ciebie.

O'Donnell skinął głową.

- Słusznie, że się o mnie martwiliście. Sam jestem zmartwiony. Czekałem cztery godziny na samolot. Wykorzystałem ten czas, aby wykonać kilka telefonów. Oczywiście, Franz nie odpowiedział. Teraz wiem dlaczego. Żadnej odpowiedzi od Swana, Dixon, Orozco i Sancheza. Pomyślałem, że jeden wezwał na pomoc pozostałych i wszyscy wpakowali się w jakieś tarapaty. Z wyjątkiem ciebie i Reachera. Ty jesteś zbyt zajęta w Chicago, a Reachera nikt nie zdołałby odnaleźć. Ani mnie, bo przez jakiś czas bawiłem w New Jersey.

- Nie byłam zbyt zajęta - zaprzeczyła Neagley. - Jak mogliście tak sądzić? Rzuciłabym wszystko i przyjechała.

O'Donnell ponownie skinął głową.

- Początkowo była to jedyna rzecz, która dostarczała mi nadziei. Sądziłem, że nie zadzwoniliby do ciebie.

- Dlaczego tego nie zrobili? Nie lubią mnie?

- Zadzwoniliby, nawet gdyby cię nienawidzili. Bez ciebie walczyliby jedną ręką. Kto by tego chciał? W końcu od rzeczywistości ważniejsze jest to, jak ją postrzegamy. W porównaniu z całą resztą zajmujesz bardzo wysoką pozycję. Może dlatego początkowo mieli opory, a później nie mogli już tego uczynić.

- Co sugerujesz?

- Sądzę, że jeden z nich, teraz wiem, że był to Franz, znalazł się w poważnych opałach i zadzwonił do pozostałych, których uważał za dostępnych. To eliminowało ciebie z racji zajmowanej pozycji, Reachera niejako z definicji i mnie z powodu pecha, bo nie znajdowałem się tam, gdzie zwykle.

- Jesteśmy podobnego zdania. Z tą różnicą, że twoja osoba jest dla nas nieoczekiwaną premią. Choroba siostry okazała się dla nas łutem szczęścia. Być może także dla ciebie.

- Na pewno nie dla niej.

- Przestań marudzić - przerwał mu Reacher. - Twoja siostra żyje czy nie?

- Miło was znowu widzieć - dodał O'Donnell. - Po tylu latach.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała Neagley. O'Donnell zmienił pozycję, wyciągając nóż sprężynowy z jednej, a kastet z drugiej kieszeni marynarki.

- Uwierz mi, że gość, który potrafi przenieść takie rzeczy przez system ochrony na lotnisku, umie odnaleźć właściwy numer pokoju.- Jak wniosłeś nóż i kastet na pokład samolotu?

- To moja słodka tajemnica - odparł O'Donnell.

- Pewnie wykonano je z materiału ceramicznego - wyjaśnił Reacher. - Dzisiaj już się takich nie robi, ponieważ można je przenieść przez bramkę z wykrywaczem metalu.

- Miło znów cię widzieć, David - powiedział Reacher.

- Mnie również, chociaż wolałbym, aby do spotkania doszło w bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Okoliczności właśnie poprawiły się o połowę. Sądziłyśmy, że zostało nas tylko dwoje. Teraz jesteśmy w trójkę.

- Co mamy?

- Niewiele. Przeczytałeś raport z sekcji zwłok. Oprócz tego mamy ogólny opis dwóch białych mężczyzn, którzy wywrócili do góry nogami biuro Franza. Nie znaleźli niczego, ponieważ regularnie wysyłał pliki z danymi na swój adres. Odnaleźliśmy jego skrytkę pocztową i zdobyliśmy cztery pendrive'y. Próbowaliśmy odgadnąć hasło. Zostało nam tylko jedno podejście.

- Powinieneś zacząć myśleć o ochronie komputera - dodała Neagley.

O'Donnell wykonał głęboki wdech, wstrzymując powietrze dłużej, niż można by uznać za możliwe, a następnie cicho wypuścił powietrze. Stary nawyk.

- Powiedzcie mi jakich słów próbowaliście - poprosił.

Neagley otworzyła notatnik na odpowiedniej stronie i wręczyła go koledze. O'Donnell przyłożył palec do warg i zaczął czytać. Reacher obserwował go uważnie. Chociaż nie widział go od jedenastu lat, O'Donnell prawie się nie zmienił. Nadal miał włosy barwy zboża, bez śladu siwizny. Jego garnitur był elegancko skrojony. Podobnie jak Neagley wyglądał na zamożnego człowieka sukcesu. Tak jakby mu się udało.

- „Koufax” nie zadziałał? - zapytał. Neagley pokręciła przecząco głową.

- Była to nasza trzecia próba.

- Patrząc na tę listę, dochodzę do wniosku, że powinniście spróbować tego hasła na początku. Franz był miłośnikiem ikon kultury, gwiazd, ludzi, których podziwiał, oraz koncertów, które wielbił. Z haseł, które wypisaliście, pasuje mi tylko „Koufax”. pozostałe mają czysto sentymentalne znaczenie. Może jeszcze Miles Davies”. Franz kochał muzykę, w sumie uważał ją jednak za pozbawioną większego znaczenia.

- Muzyka jest pozbawiona głębszego znaczenia, a baseball nie?

- Baseball to metafora - wyjaśnił O'Donnell. - Franz chciał być jak Sandy Koufax. Prawy człowiek, stojący samotnie na wzniesieniu podczas rozgrywek o puchar World Series. Facet walczący o wysoką stawkę. Może nie wyraziłby tego w taki sposób, lecz zapewniam

was, że to hasło stanowi odzwierciedlenie ideałów, które wyznawał. Wyrażone w szorstki, męski sposób, na przykład w postaci samego nazwiska.

- Za czym byś się opowiedział?

- Trudna sprawa, pozostała nam tylko jedna próba. Wyszedłbym na głupca, gdybym się pomylił. Nawiasem mówiąc, jakie informacje może zawierać ten pendrive?

- Coś, co uznał za warte ukrycia.

- Coś, za co dał sobie połamać nogi - dodał Reacher. - Doprowadził ich do pasji. Jego biuro wygląda tak, jakby przeszło przez nie tornado.

- Jaki jest nasz cel?

- Znaleźć i zniszczyć. Wystarczająco dobry, co? O'Donnell potrząsnął głową.

- Nie - zaprzeczył. - Chcę wyróżnić ich rodziny i naszczać na grób przodków.

- Nie zmieniłeś się.

- Stałem się jeszcze gorszy. A ty?

- Jestem gotów zmienić się w takiego, jaki byłem kiedyś. O'Donnell uśmiechnął się przelotnie.

- Neagley, powiedz mi, czego nie należy robić.

- Nie należy zadzierać ze specjalną grupą śledczą - odparła.

- Poprawna odpowiedź - rzekł O'Donnell. - Nie należy tego robić. Czy można ta zamówić kawę do pokoju?

Popijali gęstą, mocną kawę z podniszczonych, galwanizowanych dzbanków, które mają jedynie w starych hotelach. Zachowywali się cicho, chociaż każdy z nich wiedział, że myśli pozostałych podążają tym samym torem, bojąc się ostatniej próby, starając się znaleźć inną drogę, rezygnując i zaczynając wszystko od początku. W końcu O'Donnell odstawił filiżankę i powiedział:

- Czas najwyższy spróbować. Wóz albo przewóz. Nazwijcie to, jak chcecie. Chcę usłyszeć wasze pomysły.

- Nie mam żadnego - oznajmiła Neagley.

- Wiem, że coś masz, Dave - powiedział Reacher. - Widzę to.

- Jak dalece mi ufacie?

- Tak daleko, jak potrafię tobą rzucić. Cholernie daleko, zważywszy na to, jaki z ciebie szczupak. Dowiesz się, kiedy spieprzysz sprawę.

O'Donnell wstał z fotela i zbliżył się do stojącego na biurku laptopa. Umieścił kursor w polu przeznaczonym na hasło i wpisał siedem znaków.

Wziął oddech i wstrzymał powietrze w płucach.

Zatrzymał się, aby po chwili wcisnąć klawisz „enter”.

Pojawił się nowy ekran.

Katalog plików. Spis treści. Duży, wyraźny, jasny i czywisty. O'Donnell wypuścił powietrze. Wpisał słowo „Reacher”.

18

Reacher odwrócił się od komputera, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

- Człowieku, to nie w porządku!

- Lubił cię - odparł O'Donnell. - Podziwił.

- To jak głos zza grobu. Jak wołanie.

- Mimo to je usłyszałeś.

- Takie hasło podwaja stawkę. Nie mogę go zawieść.

- Przecież i tak nie miałeś takiego zamiaru.

- Teraz odczuwam jeszcze większą presję. Lubię to. W takich warunkach działamy najskuteczniej.

Neagley siedziała przy biurku, z palcami na klawiaturze, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Osiem plików - powiedziała. - Siedem zawiera jakieś liczby. Ósmy - listę nazwisk.

- Pokaż ten z nazwiskami - polecił O'Donnell.

Neagley kliknęła w ikonę, a po chwili na monitorze wyświetliła się strona sporządzona w edytorze tekstu. U góry widniało nazwisko Azhari Mahmoud zaznaczone tłustym drukiem i kursywą. Po nim następowały nazwiska o zachodnim brzmieniu: Adrian Mount, Alan Mason, Andrew MacBride i Anthony Matthews.

- Wszyscy mają identyczne inicjały - zauważył O'Donnell. - Pierwsze nazwisko jest arabskie. Facet może być obywatelem dowolnego kraju, od Maroka po Pakistan.- To Syryjczyk - rzekła Neagley. - Tak mi się przynajmniej zdaje.

- Cztery ostatnie nazwiska mogą należeć do Brytyjczyków - dodał Reacher. - Nie sądzicie? Mają bardziej brytyjskie niż amerykańskie brzmienie, prawda? Angielskie czy szkockie?

- Jakie to ma znaczenie? - zapytał O'Donnell.

- W pierwszej chwili powiedziałbym, że Franz sprawdzał Syryjczyka, który posługiwał się czterema fałszywymi nazwiskami. Zwróćcie uwagę, że wszystkie mają identyczne inicjały. Toporne, ale dające do myślenia. Może gość ma koszulę z monogramem.

Może sfalszowane nazwiska są brytyjskie, ponieważ dokumenty zostały podrobione na wyspach. Traktujemy angielskie dokumenty z takim samym zaufaniem jak własne.

- Niewykluczone - odpowiedział O'Donnell.

- Otwórz pliki z liczbami - poprosił Reacher. Neagley zamknęła dokument tekstowy i otworzyła pierwszy z siedmiu arkuszy kalkulacyjnych. Plik zawierał jedynie pionową kolumnę z uławkami. Na górze widniało $10/12$, u dołu - $11/12$. Pomiedzy nimi znajdowało się około dwunastu podobnych liczb, między innymi powtarzające się $10/12$, $12/13$ i $9/10$.

- Daj kolejny - powiedział Reacher.

Kolejny arkusz był prawie identyczny z poprzednim. Długa pionowa kolumna rozpoczynająca się od trzynastu czternastych i kończąca na dwunastu trzynastych i dziewięciu dziesiątych.

- Następny.

Trzeci składał się z podobnych danych.

- To daty? - zapytał O'Donnell.

- Nie - odparł Reacher. - Trzyście czternastych nie jest datą, niezależnie od tego, czy zapiszesz ją w formie miesiąc-dzień czy dzień-miesiąc.

- Czym zatem są? Zwyczajnymi uławkami?

- Nie sądzę. Gdyby chodziło o ułamki proste, dziesięć dwunastych zapisano by jako pięć szóstych.

- W takim razie przypomina to tablicę wyników.

- W grze z piekła rodem. Trzyście czternastych i dwanaście trzynastych oznaczałoby dużo dodatkowych rund i trzycyfrowy wynik końcowy.

- Co w takim razie oznaczają?

- Pokaż kolejny plik.

Czwarty arkusz zawierał kolejną długą listę umieszczonych pionowo ułamków.

- Mianowniki są takie same jak w trzech poprzednich plikach, choć liczniki wydają się mniejsze. Spójrzcie: dziewięć dwunastych i osiem trzynastych. Jest nawet pięć czternastych.

- Jeśli są to wyniki, komuś wyraźnie spadła forma - zauważył O'Donnell.

- Proszę o następny - powiedział Reacher.

W kolejnym pliku utrzymał się wspomniany trend. Pojawiły się ułamki w rodzaju $3/12$ i $4/13$. Najwyższą liczbą było $6/11$.

Na szóstej liście najlepszym wynikiem było $5/13$, najgorszym zaś - $3/13$. W siódmym, ostatnim pliku występowały podobne ułamki z przedziału od $4/11$ do $3/12$.

Neagley spojrzała na Reachera i powiedziała:

- Rozwiążesz tę zagadkę. Kochasz liczby. W końcu Franz zaadresował tę przesyłkę do ciebie.

- Wybrał moje nazwisko jako hasło - przytaknął Reacher. - To wszystko. Nie zaadresował jej do nikogo. To nie jest przesłanie. Gdyby chciał to komuś przekazać, wyrażałby się jaśniej. Sądzę, że pliki zawierają jego prywatne notatki.

- Bardzo tajemnicze.

- Możesz to dla mnie wydrukować? Nie potrafię myśleć, jeśli nie mam danych na papierze.

- Wydrukuję je w centrum biznesowym na dole. Właśnie dlatego zatrzymuję się w takich hotelach jak ten.

- Dlaczego mieliby plądrować biuro Franza, aby poznać te liczby?

- Może zrobili to z innego powodu - odparł Reacher. - Może szukali listy z nazwiskami.

Neagley zamknęła arkusze i ponownie otworzyła plik tekstowy. Azhari Mahmoud, Adrian Mount, Alan Mason, Andrew MacBride i Anthony Matthews. - Co to za jeden? - zapytał Reacher.

W oddalonym o trzy strefy czasowe Nowym Jorku było trzy godziny później. Ciemnowłosy, czterdziestoletni mężczyzna, który mógł być obywatelem Indii, Pakistanu, Syrii, Libanu, Algierii, Izraela i Włoch przykucnął na podłodze w łazience pokoju w drogim hotelu przy Madison Avenue. Drzwi były zamknięte. Chociaż w pomieszczeniu nie zainstalowano wykrywacza dymu, znajdował się w nim wyciąg. Brytyjski paszport z nazwiskiem Adrian Mount płonął w muszli toalety. Wewnętrzne strony jak zwykle szybko zamieniły się w popiół. Sztywne, czerwone okładki opierały się dłużej. Strona trzydziesta pierwsza z laminowaną kartą tożsamości poddawała się działaniu ognia najwolniej ze wszystkich. Plastik wygiął się i zwinął, aby po chwili się stopić. Mężczyzna użył suszarki do włosów wiszącej na ścianie, by podsycić płomień, a następnie końcem szczoteczki do zębów rozproszził w wodzie popiół i skrawki niespopielonego papieru. Zapalił kolejną zapałkę i sprawdził, czy nie pozostało nic, co dałoby się zidentyfikować.

Pięć minut później Adrian Mount został spuszczonej do ścieku, a Alan Mason zjechał windą i wyszedł na ulicę.

Neagley odwiedziła centrum biznesowe znajdujące się w piwnicy hotelu Beverly Wilshire, aby wydrukować osiem tajnych plików Franza, a następnie przyłączyła się do O'Donnella i Reachera, by zjeść lunch w restauracji obok holu. Usiadła pomiędzy nimi z takim wyrazem twarzy, jakby wspominała wspólne posiłki, które jadaliby w przeszłości.

Reacher robił to samo. Pamiętał, że nosili wówczas wygniecione mundury polowe i po zakończeniu służby jadaliby proste potrawy w kantynach oficerskich lub odżywiali się kanapkami i pizzą przy sfatygowanych metalowych biurkach. Wrażenie *déjà vu* psuło nowe otoczenie. W wysokiej, eleganckiej sali oświetlonej przyćmionym światłem siedziało mnóstwo ludzi, którzy mogli być agentami filmowymi lub reżyserami. Może nawet aktorami. Neagley i O'Donnell idealnie pasowali do tego otoczenia. Neagley miała na sobie obszerne czarne spodnie o wysokiej talii oraz bawełniany T-shirt, który leżał na niej jak ulał. Jej twarz była opalona i pozbawiona zmarszczek, a makijaż tak subtelny, że prawie niewidoczny. O'Donnell był ubrany w szary, lekko lśniący garnitur i białą nieskazitelnie świeżą koszulę, chociaż musiał ją włożyć przed rozpoczęciem liczącej niemal pięć tysięcy kilometrów podróży. Koszulę uzupełniał idealnie zawiązany krawat w prążki.

Reacher wciągnął na grzbiet koszulę, która była o jeden rozmiar za mała, miała rozdarty rękaw i plamę z przodu. Całości dopełniały długie włosy, tanie dzinsy i podniszczone buty, na dodatek nie było go stać na żarcie, które zamówił. Nie mógłby nawet zapłacić za norweską wodę mineralną, którą popijał.

„To smutne, nie sądzisz? - powiedział na widok biura Franza. - Przeszedł z wielkiej maszyny wojskowej do czegoś takiego”.

Ciekawe, co myślała o nim Neagley i O'Donnell.

- Pokaż mi stronę z liczbami - poprosił.

Neagley podała mu siedem kartek papieru. W prawym górnym rogu zaznaczyła ołówkiem kolejność. Przejrzał je szybko, próbując wyrobić sobie zdanie na ich temat. Sto osiemdziesiąt trzy ułamki zwykłe. Nieuproszczone. Zwykłe, ponieważ licznik był zawsze mniejszy od mianownika. Franz nie zadał sobie trudu ich zredukowania, ponieważ 10/12 i 8/10 nie przedstawiono jako 5/6 i 4/5, co byłoby zgodne z przyjętą konwencją.

Uznał, że w ogóle nie są to ułamki. Raczej wyniki, rezultaty, oceny wykonania. Znaki komunikowały: dziesięć z dwunastu lub osiem z dziesięciu. Odpowiadały czemuś, co się wydarzyło.

Albo nie.

Na każdej ze stron oprócz czwartej znajdowało się dwadzieścia sześć wyników. Czwarta zawierała dwadzieścia siedem.

Wyniki, rezultaty lub proporcje zapisane w pierwszych trzech arkuszach wyglądały na całkiem przyzwoite. Wyrażone w postaci średniej wahały się pomiędzy bardzo dobrym wynikiem 0,870 a idealnym 0,907. W czwartym arkuszu zaznaczył się dramatyczny spadek - średni wynik zmalał do 0,574. Kolejne pliki, od piątego do siódmego, ilustrowały dalszy spadek wartości z 0,368 do 0,308 i 0,307.

- Zrozumiałeś, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytała Neagley.
- Jeszcze nie - odparł Reacher. - Szkoda, że Franz nie może nam tego wyjaśnić.
- Gdyby mógł, nie byłoby nas tutaj.
- Niekoniecznie. Moglibyśmy spotykać się ze sobą co jakiś czas.
- Coś w stylu zjazdów absolwentów?
- Mogłoby być całkiem zabawnie. O'Donnell chwycił szklanekę i wznosił toast:
- Za nieobecnych przyjaciół.

Neagley i Reacher poszli za jego przykładem, pijąc wodę, co zamarzała dziesięć tysięcy lat temu, tworząc górną warstwę skandynawskiego lodowca, który topił się przez wieki, zasilając górskie potoki i strumienie. Pili, wspominając czwórkę przyjaciół, piątkę, jeśli uwzględnić Stana Lowreya, których mogli nigdy więc nie zobaczyć.

Mylili się. Jeden z dawnych druhów wysiadał właśnie z samolotu na lotnisku w Las Vegas.

20

Kiedy kelner przyniósł jedzenie, łososia dla Neagley, kurczaka dla Reachera i tuńczyka dla O'Donnella, ten ostatni powiedział:

- Zakładam, że byliście w domu Franza.
- Wczoraj - przytaknęła Neagley. - W Santa Monica.
- Znaleźliście tam coś?
- Wdowę i dziecko pozbawione ojca.
- Coś jeszcze?
- Nic ważnego.
- Powinniśmy zajrzeć do wszystkich domów. Najpierw do domu Swana. Mieszka najbliżej stąd.
- Nie mamy adresu.
- Nie zapytaliście tej kobiety z New Age Defense Systems?
- Po co? I tak by nam nie powiedziała. Zachowywała się bardzo poprawnie.

- Mogłeś złamać jej nogę.
- To były czasy, co?
- Czy Swan był żonaty? - zapytał Reacher.
- Nie sędzę - odpowiedziała Neagley.
- Kiepska sprawa - zauważył O'Donnell.
- Jesteś żonaty? - zaciekała się Neagley.
- Nie.
- W takim razie o co ci chodzi?

- Nie jestem żonaty z innego powodu. Skrzywdziłbym zbyt wiele niewinnych osób.

- Możemy ponownie spróbować z UPS - powiedział Reacher. - Swan przypuszczalnie otrzymywał przesyłki na adres domowy. Jeśli nie był żonaty, pewnie umeblował mieszkanie, korzystając z katalogu. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak kupuje w sklepie krzesła i stoły, noże i widelce.

- Okej - zgodziła się Neagley. Zadzwoiła z komórki do Chicago. Swoim wyglądem jak nigdy przypominała dyrektora wytwórni filmowej. O'Donnell pochylił się do przodu i powiedział do Reachera:

- Opowiedz mi wszystko po kolei.

- Ta smoczyca z New Age Defense Systems powiedziała nam, że Swan został zwolniony ponad trzy tygodnie temu. Dwadzieścia cztery lub dwadzieścia pięć dni, licząc od dziś. Dwadzieścia trzy dni temu Franz wyszedł z domu i więcej nie wrócił. Dwa tygodnie później jego żona zadzwoniła do Neagley, aby poinformować ją o śmierci męża.

- Z jakiego powodu to uczyniła?

- Chciała ją powiadomić. Po prostu. Prowadzenie śledztwa powierzono zastępcom szeryfa z rejonu, w którym znaleziono zwłoki.

- Jaka jest?

- Typowy cywil. Babka wygląda jak Michelle Pfeiffer. Ma nam trochę za złe, że byliśmy bliskimi przyjaciółmi jej męża. Ich syn, Charlie, to wykapany Franz.

- Biedny dzieciak.

Neagley przykryła dłonią mikrofon telefonu i oznajmiła:

- Mam numery komórek Sancheza, Orozco i Swana. - Jedną ręką wyciągnęła z torebki kartkę i długopis. Zapisała trzy numery składające się z dziesięciu cyfr.

- Użyj ich do ustalenia adresu - podpowiedział Reacher. Neagley pokręciła głową.

- To na nic. Sanchez i Orozco mają wspólny numer, a numer Swana pochodzi z okresu, gdy pracował dla New Age Defense Systems. Po zakończeniu rozmowy ze swoim człowiekiem w Chicago wystukała po kolei numery zapisane na kartce.

- Od razu przekierowują mnie na pocztę głosową - oznajmiła. - Ich aparaty są wyłączone. Wszystkie.

- To nieuniknione - wyjaśnił Reacher. - Baterie wysiadły trzy tygodnie temu.

- Nie mogę słuchać ich głosu - powiedziała Neagley. - Nagrywasz powitanie dla poczty głosowej, nie mając zielonego pojęcia, co może cię spotkać.

- Potraktuj to jak okruch nieśmiertelności - pocieszył ją O'Donnell.

Kiedy pomocnik kelnera zabrał ich talerze, pojawił się kelner z menu deserów. Reacher rzucił okiem na listę rarytasów, których cena przekraczała koszt noclegu w motelu w większej części Stanów.

- Ja dziękuję - powiedział. Pomyślał, że Neagley będzie nalegać, aby coś zamówił, gdy nagle zadzwonił jej telefon. Odebrała, wysłuchała swojego rozmówcy i zapisała coś na pasku papieru.

- Mam adres Swana - szepnęła. - Mieszka w Santa Ana, niedaleko zoo.

- Pojedźmy tam - zaproponował O'Donnell. Postanowili skorzystać z jego wozu - czterodrzwiowego sedana wypożyczonego u Hertza i wyposażonego w GPS - i niebawem ruszyli wolno na południowy wschód, by dotrzeć do Piątki.

Thomas Brant uważnie ich obserwował. Jego crown victoria stała zaparkowana przecznicej dalej. Facet siedział na ławce przy końcu Rodeo Drive, otoczony tłumem turystów. Sięgnął po komórkę i zadzwonił do swojego szefa, Curtisa Mauneya.

- Teraz jest ich troje. To działa niczym zaklęcie, jak zwoływanie członków klanu.

Czterdzieści metrów na zachód odjazd tych trojga obserwował mężczyzna w niebieskim garniturze. Siedział pochylony w fotelu swojego ciemnoniebieskiego chryslera zaparkowanego przed salonem fryzjerskim przy Wilshire. Wybrał numer przełożonego i oznajmił:

- Mamy już trójkę, szefie. Nowy to pewnie O'Donnell. Ten o wyglądzie menela to Reacher. Chyba złapali przynętę.

Pięć tysięcy kilometrów dalej, w Nowym Jorku, ciemnowłosa czterdziestolatek siedział we wspólnym biurze kilku linii lotniczych nieopodal skrzyżowania Park Avenue i

Czterdziestej Drugiej Ulicy. Przed chwilą kupił bilet w obie strony z lotniska La Guardia do Denver w Kolorado. Uregulował należność platynową kartą visa wystawioną na Alana Masona.

21

Droga do Santa Ana wiodła na południowy wschód, obok Anaheim, przez hrabstwo Orange. Miasto leżało w odległości czterdziestu kilometrów na zachód od gór Santa Ana, w których biorą początek niesławne wiatry - pojawiające się znienacka, suche, gorące i doprowadzające do szaleństwa całe Los Angeles. Reacher był kilkakrotnie świadkiem skutków ich działania. Raz przybył do miasta po wizycie w bazie piechoty morskiej w Camp Pendleton. Drugim razem wyskoczył do niego na weekendową przepustkę z Fort Irwin. Pamiętał banalne karczemne sprzeczki z finałem w postaci wielokrotnego zabójstwa pierwszego stopnia. Słyszał historię o przypaleniu grzanki, co doprowadziło do pobicia żony, zakończonego karą więzienia i rozwodem. Widział faceta, który został dotkliwie poturbowany za to, że szedł zbyt wolno po chodniku.

Na szczęście tego dnia nie było wiatru. Powietrze było gorące i nieruchome, brązowe i ciężkie. Uprzejmy acz uporczywy żeński głos nagrany na GPS wypożyczonego auta O'Donnella kazał im zjechać z Piątki na południe od zoo, na wysokości Austin. Następnie powiódł ich płataniną ulic w okolicę Muzeum Sztuki hrabstwa Orange. Tuż przed muzeum polecił skręcić w lewo, a następnie w prawo i ponownie w lewo, by oznajmić, że zbliżają się do celu podróży.

Najwyraźniej tak właśnie było.

O'Donnell zaparkował wóz obok przydrożnej skrzynki na listy o wyglądzie łabędzia. Samo pudło na listy było metalową skrzynką odpowiadającą standardom poczty Stanów Zjednoczonych, umieszczoną na słupie i pomalowaną białą farbą. Na szczycie skrzynki widniał pionowy kształt wycięty z drewnianej płyty. Wspomniany kształt miał długą, pełną wdzięku szyję, zaokrąglony grzbiet i uniesiony kuper. On również został pomalowany na biało z wyjątkiem ciemnopomarańczowego dzioba i czarnych oczu. Jeśli dodać do tego skrzynkę pocztową pełniącą funkcję tułowia zwierzęcia, było to całkiem sugestywne przedstawienie.

- Nie uwierzę, że Swan* *Swan (ang.) - łabędź. sam to zrobił - stwierdził O'Donnell.

- Dostał go w prezencie od bratanka lub bratanicy - odparła Neagley. - Chcieli nadać temu domowi odrobinę ciepła.

- Pewnie zakładał to ustrojstwo, gdy go odwiedzali.

- To miłe z jego strony.

Za skrzynką na listy znajdował się wąski betonowy podjazd prowadzący do podwójnej bramy i ogrodzenia wysokości półtora metra, wykonanego z drutu pokrytego zieloną izolacją z plastiku. Cztery słupki wieńczył mały ananas odlany z jakiegoś stopu. Obie bramy były zamknięte, na obu widniał znak „Uwaga! Zły pies”. Podjazd prowadził do garażu mieszczącego jeden samochód. Ścieżka wiodła do drzwi wejściowych małego, parterowego, otynkowanego domu w kolorze brązowym przypominającym opaleniznę. Nad oknami znajdowały się małe markizy z blachy falistej, kojarzyły się z brwiami. Podobny, węższy daszek umieszczono wyżej, nad drzwiami. Wszystko sprawiało poważne, surowe, stonowane, pozbawione frywolności wrażenie. Typowo męska siedziba.

Wokół panowały bezruch i cisza.

- Dom wygląda na pusty - zauważyła Neagley. - Jakby nikogo nie było.

Reacher skinął głową. Na podwórku przed domem rosła jedynie trawa. Brakowało roślin - kwiatów lub krzewów.

Trawnik sprawiał wrażenie wyschniętego i nieco zarośniętego, jakby skrupulatny właściciel przestał go podlewać jakieś trzy tygodnie temu.

Nie dostrzegli żadnego systemu alarmowego.

- Rozejrzyjmy się - zaproponował Reacher. Wysiedli z samochodu i podeszli do pojedynczej bramy.

Reacher nacisnął dzwonek. Począł. Nie usłyszał odpowiedzi. Wokół budynku biegła wydeptana ścieżka. Ruszyli nią w kierunku przeciwnym do mchu wskazówek zegara. W bocznej części garażu znajdowały się drzwi dla służby. Były zamknięte. Z tyłu domu odnaleźli dmęgie drzwi prowadzące do kuchni. Także zamknięte. Przez okno można było dojrzeć małą kuchnię, staromodną, nieodnawianą od czterdziestu lat, chociaż czystą i praktyczną. Nie dostrzegli śladów bałaganu. Brudnych naczyń. Urządzenia kuchenne były pokryte zieloną emalią w groszki. Stół i dwa krzesła. Puste miski dla psa ustawione równo na podłodze pokrytej zielonym linoleum.

Za drzwiami do kuchni znajdowała się opuszczana roleta i schodek prowadzący na małe, wybetonowane patio. Roleta była częściowo zasunięta. Za nią można było dostrzec lekko zaciągnięte kotary. Pewnie była to sypialnia, być może pełniąca również funkcję azylu.

W całej okolicy panowała cisza. Z domu nie dolatywał żaden hałas ani dźwięk pomszanych przedmiotów, z wyjątkiem słabego, podprogowego buczenia, które sprawiło, że włosy na ramionach Reachera stanęły dęba, a w głębi jego podświadomości rozległ się słaby sygnał alarmowy.

- Drzwi do kuchni? - zapytał O'Donnell.

Reacher skinął głową. O'Donnell wsunął rękę do kieszeni i wyjął kastet. Ściśle mówiąc, kastet wykonany z materiału ceramicznego, choć taki przedmiot ma niewiele wspólnego z kubkami i spodeczkami. Wykonuje sieje z mieszanki sproszkowanych minerałów, kształtuje pod ogromnym ciśnieniem i spaja klejem epoksydowym. Takie kastety są przypuszczalnie twardsze od stali, a z pewnością od mosiądzu, z którego pierwotnie wykonywano tę broń. Proces odlewania pozwala nadać powierzchni uderzeniowej wymyślny kształt. Cios zadany takim przedmiotem przez olbrzyma wielkości Davida O'Donnella przypominałby uderzenie piłką do kręgli nabijaną zębami rekina.

O'Donnell zacisnął palce na kastecie i zwinął dłoń w pięść. Podszedł do kuchennych drzwi i delikatnie uderzył szybę z backhandu, jakby chciał zwrócić uwagę lokatora bez uprawiania go w przerażenie. Szyba pękła i do środka wpadł trójkątny kawałek rozbitego szkła. O'Donnell miał tak dobrą koordynację mchów, że zatrzymał dłoń zanim ta dotarła do postrzępionych fragmentów szyby. Uderzył jeszcze dwa razy, oczyszczając otwór na tyle, aby móc włożyć rękę do środka. Następnie zdjął kastet, podwinął rękaw i wsunął ramię, aby przekrócić gałkę.

Lekko uchylił drzwi.

Żaden alarm się nie włączył.

Reacher wszedł pierwszy. Zrobił dwa kroki i zamarł. Buczenie stało się jeszcze głośniejsze. Wyczuł w powietrzu charakterystyczną woń. Słyszał podobny dźwięk i wdychał podobny zapach znacznie częściej, niż chciałby pamiętać.

Buczenie wydawał rój oszalałych much.

Woń była odorem rozkładającego się ciała wydzielającego gnilne płyny i gazy.

Neagley i O'Donnell stanęli za nim. Zamarli bez mchu.

- Domyślaliśmy się tego - powiedział O'Donnell tak, jakby zwracał się do samego siebie. - Nie jesteśmy zaszokowani.

- Takie odkrycie zwykle wywołuje szok - odparła Neagley. - Mam nadzieję, że tak pozostanie.

Zasłoniła usta i nos. Reacher przekroczył próg kuchni. Na podłodze w korytarzu nie było niczego, jednak cuchnący odór i buczenie znacznie się wzmogły. W powietrzu unosił się rój much - ogromnych, niebieskich i lśniących. Owady bzycały i uderzały gwałtownie o ściany, wydając cichy dźwięk. Znajdowały się po jednej i drugiej stronie na w pół uchylonych drzwi.

- Łazienka - powiedział Reacher.

Dom Swana miał układ podobny do układu domu Franza, był jednak bardziej przestronny, ponieważ działki budowlane w Santa Ana są większe niż w Santa Monica. Niższa cena nieruchomości oznacza więcej miejsca. Przez środek domu biegł korytarz, a każdy pokój był prawdziwym pomieszczeniem zamiast jedynie częścią jednej, otwartej przestrzeni. Kuchnię położoną z tyłu domu oddzielało od frontowego salonu pomieszczenie przeznaczone na garderobę. Z drugiej strony korytarza znajdowały się dwie sypialnie oddzielone łazienką.

Nie sposób było zgadnąć, skąd dochodzi fetor, który wypełniał cały dom.

Gorące powietrze silnie cuchnęło. W środku panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć bzyczenia obłąkańczo latających much. Much uderzających o porcelanę, tapety, drewniane drzwi.

- Zostańcie tutaj - polecił Reacher.

Ruszył w głąb korytarza. Dwa kroki. Trzy. Zatrzymał się obok łazienki i trącił drzwi butem. Uderzyła go chmara rozwścieczonych much. Odwrócił się, machając ręką. Po chwili skierował się ponownie do łazienki. Wysunął nogę i otworzył drzwi na oścież. Wachlując rękoma, spojrzął przez gromadę bzyczących owadów.

Ciało leżało na podłodze.

Ciało zdechłego psa.

Kiedyś był pięknym owczarkiem niemieckim ważącym ze czterdzieści lub więcej kilogramów. Zwierzę leżało na boku. Sierść sprawiała wrażenie skołtunionej. Owczarek miał otwarty pysk. Muchy ucztowały na jego języku, nosie i oczach.

Reacher wszedł głębiej, czując, jak muchy kłębią się wokół jego nóg. W wannie nie było niczego. Pusta była także toaleta. Z pyska owczarka wypłynęła ciecz. Reacher dostrzegł ręczniki starannie powieszony na wieszakach i zaschłe brązowe plamy na podłodze. Żadnych śladów krwi, jedynie odchody, które wylały się na zewnątrz, gdy zwierzęciu puściły zwieracze.

Wyszedł z łazienki.

- To jego pies - oznajmił. - Sprawdźcie pozostałe pomieszczenia i garaż.

Nie znaleźli niczego. Żadnych śladów walki lub bałaganu, żadnych oznak obecności samego Swana. Przegrupowali się w korytarzu, a muchy powróciły do swojego zajęcia w łazience.

- Co tu się stało? - zapytała Neagley.

- Swan wyszedł i nie wrócił - rzekł O'Donnell. - Pies zdechł z głodu.

- Raczej z pragnienia - wtrącił Reacher. Nikt nie odpowiedział.

- Miska na wodę w kuchni jest pusta - ciągnął Reacher. - Pies wypił ją, a następnie wychleptał wodę z miski klozetowej. Przypuszczalnie męczył się przez tydzień.

- To straszne - jęknęła Neagley.

- Makabryczne. Lubię psy. Gdybym mieszkał gdzieś na stałe, sprawiłbym sobie trzy lub cztery. Będziemy musieli wynająć helikopter i wyrzucać tych gości jednego po drugim.

- Kiedy?

- Wkrótce.

- Będziemy potrzebowali jakiegoś tropu.

- To zacznijmy szukać.

Wzięli z kuchni kawałki papierowego ręcznika i zasłonili nosy, by pokonać smród, a następnie rozpoczęli długie i skrupulatne poszukiwania. O'Donnell wziął kuchnię, Neagley salon, a Reacher sypialnię Swana.

W żadnym z pomieszczeń nie odkryli nic istotnego. Ze stanu, w jakim znaleźli psa wynikało, że Swan wyszedł, ale miał zamiar niebawem wrócić. Zmywarka do naczyń była w połowie pełna i nie została uruchomiona. W lodówce znajdowało się jedzenie, a kuchenne wiadro wypełniały śmieci. Na łóżku pod poduszką leżała złożona pidżama. Na stoliku nocnym Swan zostawił w połowie przeczytaną książkę. Zakładką była jego wizytówka: „Antony Swan, emerytowany oficer, zastępca dyrektora ochrony New Age Defense Systems, Los Angeles, Kalifornia”. U dołu widniał adres e-mail oraz numer bezpośredni, na który Reacher i Neagley próbowali się dodzwonić tyle razy. - Co wytwarza firma New Age Defense Systems? - zapytał O'Donnell.

- Pieniądze - odparł Reacher. - Niestety, jak sądzę, mniej niż kiedyś.

- Mają jakiś produkt czy zajmują się działalnością badawczą?

- Babka, z którą rozmawialiśmy, twierdziła, że coś gdzieś produkują.

- Co dokładnie?

- Nie mamy pojęcia.

Wspólnie przeszukali drugą sypialnię położoną w tylnej części domu, z przesuwanymi drzwiami i stopniem prowadzącym na puste patio. W pokoju stało łóżko, lecz nie było wątpliwości, że Swan używał pomieszczenia jako swego azylu. Dostrzegli biurko, telefon i szafę na dokumenty, a także półki zapelnione mnóstwem pamiątek, które gromadzą sentymentalni ludzie.

Zaczęli od biurka. Trzy pary oczu i trzy różne zadania. I tym razem nic nie znaleźli. Przeszli do szafki z dokumentami. W środku znajdowało się mnóstwo papierów, które

przechowuje każdy właściciel domu. Dowody wpłat podatku od nieruchomości, polisa ubezpieczeniowa, unieważnione czek, zapłacone rachunki, paragony. W części przeznaczony na prywatne papiery umieszczono dokumenty ubezpieczenia społecznego, stanowe i federalne deklaracje podatkowe, umowę o pracę zawartą z New Age Defense Systems oraz odcinki pensji. Wyglądało, że Swan wiódł dostatnie życie. W miesiąc wyciągał tyle, ile Reacher w ciągu minionego półtora roku.

Były też druki weterynaryjne. Okazało się, że owczarek Swana był suką, wabił się Maisi i w najbliższym czasie miał zostać zaszczepiony. Znaleźli też pisma wysłane przez organizację Stowarzyszenie na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt. Swan był jednym z jej głównych darczyńców. Przekazywał znaczne sumy. Reacher pomyślał, że sprawa musiała być tego warta. Swan nie był frajerem.

Sprawdzili półki i znaleźli pudło po butach wypełnione fotografiami. Różne migawki z życia osobistego i zawodowego Swana. Na niektórych była Maisi. Na innych, Reacher, Neagley i O'Donnell lub Franz, Karla Dixon, Sanchez z Orozco i Stan Lowrey. Wszystkie wykonano dawno temu. Byli na nich znacznie młodsi, wyraźnie inni, pełni młodości, zapału i pasji. Różne fotki z biur i pokojów odpraw na całym świecie, na których widnieli po dwoje lub troje. Jedno ze zdjęć przedstawiało całą piątkę w mundurach galowych, zrobiono je przypuszczalnie tuż po przyznaniu im jakiegoś wyróżnienia. Reacher nie pamiętał, kto zrobił zdjęcie. Pewnie jakiś wojskowy fotograf. Nie pamiętał również, za co otrzymali wówczas nagrodę.

- Musimy się zbierać - przynagliła Neagley. - Mogli nas zobaczyć sąsiedzi.

- Mieliliśmy usprawiedliwiony powód, aby sprawdzić, co się dzieje - odparł O'Donnell.

- Nasz przyjaciel mieszka sam, nie odpowiada na pukanie do drzwi, z wnętrza domu dolatuje przykry zapach.

Reacher podszedł do burka i podniósł słuchawkę telefonu. Wcisnął klawisz powtórnego wybierania. Usłyszeli szybką serię elektronicznych dźwięków towarzyszącą wprowadzaniu ostatnio wykręconego numeru. Po chwili rozległ się sygnał. Telefon odebrała Angela Franz. Reacher usłyszał dolatujący z oddali głos Charliego. Odłożył słuchawkę.

- Ostatni telefon wykonał do Franza - oznajmił. - Do jego domu w Santa Monica.

- Zameldował się na służbie - skwitował O'Donnell. - Przecież domyślaliśmy się tego.

To na nic.

- Nic nie znaleźliśmy - powiedziała Neagley.

- Pouczające jest to, czego tu nie ma - zauważył Reacher. - Nie ma jego kawałka muru berlińskiego. Nie ma pudła z rzeczami z New Age Defense Systems.

- Co z tego wynika?

- Może nam to pomóc w określeniu chronologii wydarzeń. Zostajesz wywalony z roboty, ładujesz swoje rzeczy do pudła, które wrzucasz do bagażnika samochodu. Jak długo je wozisz, zanim wniesiesz do domu i zrobisz porządek?

- Dzień lub dwa - odparł O'Donnell. - Swan musiał być cholernie wkurzony zwolnieniem, chociaż to bardzo zrównoważony człowiek. Przełknął porażkę i szybko wziął się w garść.

- Dwa dni?

- W najgorszym razie.

- Zatem wszystko wydarzyło się nie więcej niż dwa dni po wywaleniu go na bruk przez New Age.

- W jaki sposób nam to pomoże? - zapytała Neagley.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Reacher. - Z drugiej strony im więcej wiemy, tym więcej będziemy mieli szczęścia.

Wyszli przez kuchnię i zamknęli drzwi, lecz nie przekręcili zamka. Uznali to za bezcelowe. Przecież wybili szybę. Ruszyli wyłożoną płytami ścieżką wokół garażu i dostali się na podjazd. Następnie skierowali się w stronę chodnika. Okolica, w której znajdował się dom Swana, była spokojna. Typowa miejska sypialnia. Nic się nie poruszyło. Reacher spojrzał w prawo i w lewo, rozglądając się za wścibskimi sąsiadami. Żadnych świadków, żadnych ciekawskich oczu za kołyszającą się zasłoną.

Zauważył jedynie brązową crown victorię zaparkowaną w odległości czterdziesta metrów od nich.

Przodem w stronę domu Swana.

I jakiegoś faceta siedzącego za kierownicą.

22

- Udawajcie, że zatrzymaliście się mimochodem i rozejrzyjcie dookoła, jakbyście chcieli ostatni raz spojrzeć na dom. Rozmawiajcie ze sobą - polecił Reacher.

O'Donnell odwrócił się.

- Ta okolica przypomina kwatery żonatych oficerów w Fort Hood - doszedł do wniosku.

- Jeśli pominąć skrzynki na listy. Neagley odwróciła się.

- Podobają mi się - powiedziała. - Wicie, te skrzynki.

- W odległości czterdziesta metrów na zachód stoi zaparkowana crown victoria. Śledzi nas. Siedzi Neagley na ogonie. Była w pobliżu, gdy spotkałem się z nią w Sunset. Towarzyszyła nam, gdy złożyliśmy wizytę w domu Franza. Teraz jest tutaj.

- Domyślasz się, kto to może być? - zapytał O'Donnell.

- Nie - odrzekł Reacher. - Uważam jednak, że czas najwyższy to ustalić.

- Tak jak kiedyś? Reacher skinął głową.

- Właśnie. Ja prowadzę.

Ostatni raz spojrzeli na dom Swana, odwrócili się i ruszyli w stronę krawężnika. Wsiedli do wozu wypożyczonego przez O'Donnella. Reacher zajął miejsce za kółkiem, Neagley obok niego, O'Donnell z tyłu. Żadne nie zapięło pasów.

- Nie uszkodź samochodu - poprosił O'Donnell. - Nie mam dodatkowego ubezpieczenia.

- Powinieneś je wykupić - odparł Reacher. - Zawsze warto się zabezpieczyć.

Uruchomił silnik i wolno ruszył spod krawężnika. Spojrzał przed siebie i sprawdził tył w lusterku wstecznym.

Chwilę później raptownie skręcił kierownicę, szybko zawrócił wóz w poprzek drogi, aby ponownie wcisnąć gaz i z dużą prędkością pokonać trzydzieści metrów. Gdy nacisnął hamulec, O'Donnell wyskoczył na drogę w odległości metra od maski crown vica. Reacher ponownie wcisnął gaz i zatrzymał wóz dokładnie na wysokości drzwi kierowcy. O'Donnell był już przy drzwiach pasażera. Reacher wyskoczył, a O'Donnell wybił szybę pięścią, wpychając nieznanego wprost w ramiona Reachera. Ten zadał mu jeden cios w brzuch i jeden w twarz. Szybkie, mocne uderzenia. Facet osunął się na kolana. Reacher wykorzystał to, aby zadać mu ostatni, trzeci cios, tym razem łokciem w boczną część głowy. Gość powoli osunął się na ziemię jak zwalone drzewo. Leżał nieruchomo, rozciągnięty na plecach. Bezwładny i pozbawiony świadomości, z krwią sączącą się obficie ze złamanego nosa.

- Słuchajcie, to nadal działa - zauważył O'Donnell.

- Pod warunkiem że ja wykonam najtrudniejszą część - powiedział Reacher.

Neagley ujęła leżącego za klapy sportowej kurtki i przewróciła na bok, aby krew z nosa spływała na drogę zamiast do gardła. Uduszenie gościa miało się z celem. Pochyliła się, aby poszukać wewnętrznej kieszeni i znieruchomiła.

Facet miał kaburę na ramieniu. Starą i sfatygowaną, wykonaną ze znoszonej czarnej skóry. W kaburze tkwił glock 17. Mężczyzna miał pasek z miejscem na dodatkowy magazynek i uchwytem, w którym tkwiły stalowe kajdanki.

Standardowe policyjne wyposażenie.

Reacher zajrzał do wnętrza crown vica. Przedni fotel pasażera był zasłany kawałkami szyby. Pod deską rozdzielczą spostrzegł zamontowane radio.

Nie było to radio, jakiego używają kierowcy taksówek

- Jasna cholera, załatwiliśmy gliniarza - powiedział.

- To ty wykonałeś najtrudniejszą robotę - przypomniał O'Donnell.

Reacher przykucnął, kładąc palce na szyi leżącego. Wyczuł puls. Silny i regularny. Facet oddychał. Jego nos kiepsko się prezentował, co później stanowiłoby pewien problem natury estetycznej, jednak nieznajomy od początku nie był szczególnie przystojny.

- Dlaczego nas śledził? - zapytała Neagley.

- Później się tego dowiemy - rzekł Reacher. - Kiedy znajdziemy się daleko stąd.

- Dlaczego uderzyłeś go tak silnie?

- Byłem wkurzony z powodu psa.

- Ten facet o niczym nie wiedział.

- Teraz mi to mówisz.

Neagley przejrzała jego kieszenie i wyciągnęła skórzany jakby portfel. W środku tkwiła chromowana odznaka oraz laminowana karta wetknięta w okienko z przezroczystego plastiku o mlecznym zabarwieniu.

- Thomas Brant - powiedziała. - Zastępca szeryfa hrabstwa Los Angeles.

- Jesteśmy w hrabstwie Orange - zwrócił uwagę O'Donnell. - Facet znalazł się poza obszarem swojej jurysdykcji. Podobnie jak w Sunset i Santa Monica.

- Sądysz, że nam to pomoże?

- Niewiele.

- Posadźmy go wygodnie i spadajmy.

O'Donnell chwycił leżącego za nogi, a Reacher ujął go pod ramiona i chwilę później Brant leżał na tylnym siedzeniu swojego samochodu. Rozciągnęli go i ułożyli w pozycji zalecanej przez lekarzy, na boku, z jedną nogą uniesioną, tak aby mógł oddychać, aby się nie zadławił. Crown vic to przestronny wóz. Silnik był wyłączony, a przez zbite okno dostawało się do środka dość powietrza.

- Nic mu nie będzie - ocenił O'Donnell.

- Mam nadzieję - pocieszył się Reacher.

Zamknęli drzwi i wrócili do samochodu wypożyczonego przez O'Donnella, który w dalszym ciągu stał na środku ulicy z pootwieranymi drzwiami i pracującym silnikiem. Reacher usiadł z tyłu. Tym razem w rolę kierowcy wcielił się O'Donnell. Neagley usiadła obok niego. Uprzejmy głos GPS skierował ich na autostradę.

- Powinniśmy zwrócić ten wóz - powiedziała Neagley. - Natychmiast. A później mojego mustanga. Musieli zapisać numery rejestracyjne.

- W jaki sposób będziemy się poruszać? - zapytał Reacher.

- Pora, żebyś ty coś wypożyczył.

- Nie mam prawa jazdy.

- W takim razie będziemy musieli korzystać z taksówek. Trzeba ich zgubić.

- To oznacza zmianę hotelu.

- Pewnie tak.

Aparat GPS nie pozwalał na zmianę punktu docelowego w trakcie jazdy. Kwestia odpowiedzialności. O'Donnell zjechał na pobocze, zatrzymał wóz i zmienił cel podróży z Beverly Wilshire na parking Hertza na lotnisku w Los Angeles. Przez chwilę urządzenie „wytyczało trasę”, a następnie ponownie odezwał się cierpliwy głos, nakazując O'Donnellowi, aby zawrócił i pojechał na zachód zamiast na wschód, w stronę drogi Czterysta Pięć zamiast Piątki. Na bocznych drogach panował umiarkowany ruch, lecz wszystkie autostrady były zakorkowane.

- Neagley, opowiedz mi o swoim wczorajszym dniu - poprosił Reacher.

- Co chciałbyś wiedzieć?

- Co robiłaś?

- Przyleciałam na lotnisko w Los Angeles, wynajęłam samochód i pojechałam do hotelu w Wilshire. Zameldowałam się i pracowałam przez godzinę. Następnie pojechałam do restauracji Denny'ego w Sunset. Tam czekałam na ciebie.

- Musieli cię śledzić przez całą drogę z lotniska.

- To jasne. Pytanie dlaczego.

- Nie, to drugie pytanie. Pierwsze pytanie brzmi jak. Kto wiedział, kiedy i gdzie wylądujesz?

- Gliniarz, którego załatwiłeś. Przekazał moje nazwisko agentowi Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, który dał mu cynk, gdy tylko kupiłam bilet.

- Okej. Dlaczego?

- Prowadził dochodzenie w sprawie śmierci Franza. To jeden z zastępców szeryfa hrabstwa Los Angeles. Wiedzą, że byłam współpracowniczką Franza.

- Wszyscy byliśmy.

- Ja przyleciałam pierwsza.

- Sądzisz, że nas podejrzejwią?

- Być może. Z braku innych podejrzanych.
- Są tacy głupi?
- Są normalni. My również przyjrzelibyśmy się współpracownikom zamordowanego.
- Nie zadzieraj ze specjalną grupą śledczą - odparł Reacher.
- Racja - przytaknęła Neagley. - Właśnie zadarliśmy z pracownikami biura szeryfa

hrabstwa Los Angeles. Staniemy się sławni. Mam nadzieję, że ci faceci nie mają podobnego powiedzenia.

- Założę się, że mają.

Na lotnisku w Los Angeles panował gigantyczny chaos. Podobnie jak każde lotnisko, które Reacher oglądał w swoim życiu, także to znajdowało się w stanie ciągłej rozbudowy. O'Donnell przedarł się przez strefę robót i obwodnice, aby w końcu dotrzeć do punktu odstawiania wypożyczonych pojazdów. W długich szeregach stały samochody różnych wypożyczalni - czerwone, zielone, niebieskie i na koniec żółte, należące do Hertza. Kiedy O'Donnell stanął w sporej kolejce aut ustawionych zderzak w zderzak, facet w firmowym ubraniu podszedł i ręcznym czytnikiem zeskanował kod umieszczony na tylnej szybie. Urwali się tamtym.

- Co teraz? - zapytał O'Donnell.

- Podjedziemy autobusem do terminalu i złapiemy taksówkę. Później wypiszemy się z hotelu i pojedziemy mustangiem. W tym czasie Reacher znajdzie nowy hotel i zacznie się bawić tymi liczbami. W porządku?

Reacher nie odpowiedział. Wpatrywał się w drugi koniec parkingu, w pomieszczenie biura, w którym za szklanymi drzwiami stała kolejka oczekujących.

Uśmiechał się.

- Co jest? - zapytała Neagley. - Powiedz, co zobaczyłeś.
- Jest w środku - wyjaśnił Reacher. - Czwarta w kolejce. Widzisz ją?
- Kogo?
- Niską czarnowłosą kobietę? Jestem pewien, że to Karla Dixon.

23

Reacher, Neagley i O'Donnell przemierzali parking, z każdym krokiem upewniając się, że kobieta, którą widzą, to Dixon. Kiedy znaleźli się w odległości trzech metrów od biura, byli absolutnie pewni. To była ona. Nie można jej było pomylić z nikim innym. *Niska, szczęśliwa kobieta mająca jak najgorsze zdanie o innych.* Była w środku i przesunęła się na

trzecie miejsce w kolejce. Z mowy ciała można było wywnioskować, że jest jednocześnie zniecierpliwiona i gotowa czekać. Jak zawsze sprawiała wrażenie zrelaksowanej, a jednocześnie wiecznie niespokojnej, kipiącej energią, jakby nie wystarczyła jej doba licząca dwadzieścia cztery godziny. Wydawała się szczuplejsza niż kiedyś. Miała na sobie czarne dżinsy i czarną kurtkę skórzaną. Gęste czarne włosy krótko przycięła. Obok niej stała walizka na kółkach marki Turni. Na ramieniu zawiesiła czarną skórzaną aktówkę.

Najwyraźniej poczuła na sobie ich wzrok, bo odwróciła się i spojrzała, nie zdradzając żadnych uczuć, jakby widziała ich nie kilka lat, lecz kilka minut temu. Uśmiechnęła się z odrobiną smutku, jakby przeczuwała, co się stało. Po chwili wskazała głową na pracowników za ladą, jakby chciała powiedzieć: Zaraz do was dołączę, sami wiecie, jacy są cywile.

Neagley i O'Donnell skinęli głowami i pokazali na palcach, aby wzięła czteroosobowy samochód. Dixon zrozumiała i odwróciła się.- To iście biblijne zjawisko, ludzie zmartwychwstają.

- Nie ma w tym nic biblijnego - odparł Reacher. - Nasze przypuszczenia okazały się błędne. To wszystko.

Do biura wrócił czwarty pracownik i zajął stanowisko za kontuarem. Chociaż jeszcze przed chwilą Dixon była trzecia w kolejce, została obsłużona w ciągu trzydziestu sekund. Reacher zauważył różowe mignięcie prawa jazdy z Nowego Jorku i platynowe - karty kredytowej przechodzącej z rąk do rąk. Pracownik przygotował, a Dixon podpisała kilka dokumentów, by po chwili odebrać wypchaną żółtą kopertę wraz z kluczykami. Przytrzymała aktówkę, podniosła walizkę i ruszyła do wyjścia. Po chwili była na chodniku. Stała przed Reacherem, Neagley i O'Donnellem, patrząc na nich po kolei spokojnie i poważnie.

- Przepraszam, że spóźniłam się na przyjęcie. Widzę, że impreza ma nieco inny charakter.

- Co wiesz? - zapytał Reacher.

- Dostałam jedynie twoje wiadomości. Nie chciałam czekać w Nowym Jorku na bezpośrednie połączenie. Chciałam wyruszyć od razu. Pierwszy lot był z przesiadką w Las Vegas. Musiałam czekać dwie godziny na następny samolot. Wykonałam kilka telefonów i po węszyłam. Sprawdziłam to i owo. Okazało się, że Sanchez i Orozco zaginęli. Można by odnieść wrażenie, że jakieś trzy tygodnie temu zniknęli z powierzchni ziemi.

24

Firma Hertz wypożyczyła Dixon fordą 500, przyzwoity, czteromiejscowy samochód. Zapakowała rzeczy do bagażnika i usiadła za kierownicą. Neagley zajęła miejsce obok niej, a

Reacher i O'Donnell wcisnęli się na tylne siedzenie. Dixon uruchomiła silnik i opuściła teren lotniska, kierując się na północ od Sepulveda. Mówiła nieprzerwanie przez pierwszych pięć minut. Ostatnio pracowała pod przykrywką jako nowy pracownik domu maklerskiego przy Wall Street. Jej klient, poważny inwestor instytucjonalny, podejrzewał, że firma maklerska robi przekręty. Podobnie jak wszyscy agenci działający pod przykrywką musiała konsekwentnie się jej trzymać, co oznaczało zerwanie wszelkich związków z dawnym życiem. Nie mogła dzwonić do swojego biura z komórki, którą otrzymała od domu maklerskiego, ani z telefonu stacjonarnego w mieszkaniu, które wynajęła jej firma. Nie mogła odbierać poczty elektronicznej z firmowego blackberry. W końcu dyskretnie sprawdziła swoją automatyczną sekretarkę z aparatu na dworcu i odkryła kilka coraz bardziej dramatycznych wiadomości dziesięć-trzydzieści. Niewiele myśląc, rzuciła robotę, pojechała wprost na lotnisko JFK i wsiadła na pokład samolotu linii America West. Z lotniska w Vegas zadzwoniła do Sancheza i Orozco. Żadnej odpowiedzi. Co gorsza, pamięć ich automatycznej sekretarki była pełna, co uznała za zły znak. Pojechała taksówką do ich biura, aby na podstawie poczty pozostawionej przy drzwiach stwierdzić, że opuścili je jakieś trzy tygodnie temu. Sąsiedzi od dłuższego czasu nie widzieli żadnego z nich.

- Wszystko jasne - rzekł Reacher. - Zostało nas czworo.

Przez pięć kolejnych minut mówiła Neagley. Złożyła koleżance przejrzysty raport. Bez zbędnych słów, nie pomijając szczegółów. Przedstawiła wszystkie twarde dowody i spekulacje, poczynając od telefonu Angeli Franz. Streściła raport z sekcji zwłok Franza, opisała mały domek Franza w Santa Monica. Przewrócone do góry nogami biuro w Culver City. Wspomniała o plikach zapisanych na pendrive'ach. Budynek firmy New Age Defense Systems. Przybycie O'Donnella. Martwego psa. Niefortuną napaść na zastępcę szeryfa hrabstwa Los Angeles przed domem Swana w Santa Ana i decyzję zwrócenia samochodów do Hertz, aby zmylić pościg.

- Udało się nam rozwiązać przynajmniej ten problem - zauważyła Dixon. - Nikt nas nie śledzi, więc możemy założyć, że ten samochód jest czysty.

- Jakież wnioski? - zapytał Reacher.

Dixon zastanawiała się przez czas potrzebny do pokonania trzystu metrów zatłoczonego bulwaru. Skręciła w Czteryście Piątą, a następnie wjechała na autostradę prowadzącą do San Diego, ruszyła nią jednak na północ do Sherman Oakes i Van Nuys.

- Jeden - odpowiedziała. - Nie sądzę, aby Franz zadzwonił tylko do niektórych, ponieważ pozostałych uznał za niedostępnych. Nie sądzę również, że zlekceważył problem, nie zawiadamiając pozostałych. Był na to zbyt inteligentny. I zbyt ostrożny. Wicie, miał

żonę i dziecko. Uważam, że powinniśmy zmienić hipotezę. Zastanowić się, kim był, a kim nie był. Sądzę, że skontaktował się tylko z niektórymi, bo miał bardzo mało czasu. Musiał działać naprawdę szybko. Oczywiście, wezwał Swana, ponieważ ten znajdował się w tym samym mieście. Później zadzwonił do Sancheza i Orozco, którzy mieszkają w Las Vegas, zaledwie godzinę drogi stąd. Pozostali nie mogli mu pomóc, ponieważ dzielił ich od niego co najmniej dzień drogi. Działał szybko, w panice, pod presją czasu. Najwyraźniej różnicę robiło już pół dnia.

- Masz na myśli coś konkretnego? - zapytał Reacher.

- Nie. Szkoda, że zniszczyliście zawartość tamtych pendrive'ów. Wiedzielibyśmy, jakie informacje były nowe lub inne od pozostałych.

- Musi chodzić o nazwiska - powiedział O'Donnell. - To jedyne twarde fakty, którymi dysponujemy.

- Liczby też bywają twardymi faktami - zauważyła Dixon.

- Oślepniesz, próbując dopatrzeć się w nich jakiegoś sensu.

- Może tak, a może nie. Czasami do mnie przemawiają.

- Te nie przemówią.

W samochodzie zapanowała cisza. Na drodze nie było większych korków. Dixon przemknęła przez skrzyżowanie Czterystapiątki z Dziesiątką.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

- Proponuję Chateau Marmont. To spokojny hotel na uboczu.

- Na dodatek bardzo drogi - zauważył Reacher. Coś w jego głosie sprawiło, że Dixon spojrzała do tyłu.

- Reacher cienko przędzie.

- Nie jestem zaskoczona - odparła Dixon. - Nie pracuje od dziewięciu lat.

- Nie przepracowywał się także wtedy, gdy służył w wojsku - dodał O'Donnell. - Po co miałby zmieniać stare nawyki?

- Nie chce, aby inni za niego płacili - kontynuowała Neagley.

- Biedaczek - rzuciła Dixon.

- Staram się jedynie być uprzejmy.

Dixon trzymała się Czterystapiątki aż do bulwaru Santa Monica, a następnie skręciła na północny wschód, zamierzając przejechać Beverly Hills i zachodnie Hollywood, by wjechać do Sunset w okolicy Laurel Canyon.

- Nasze hasło to: Nie zadzieraj ze specjalną grupą śledczą. Nasza czwórka powinna to udowodnić. Ze względu na tych, którzy odeszli. Trzeba zdefiniować strukturę dowodzenia, opracować plan i przyjąć budżet.

- Budżet pozostawcie mnie - odpowiedziała Neagley.

- Możesz?- Tego roku Departament Bezpieczeństwa Krajowego wpompował siedem miliardów dolarów w sektor prywatny. Część tych środków trafiła do Chicago. Mam połowę tego, co znalazło się na naszym koncie.

- Jesteś bogata?

- Bogatsza niż wówczas, gdy byłam sierżantem.

- Zwrócimy ci forszę - zapewnił O'Donnell. - Ludzie zabijają z miłości lub dla pieniędzy. Ci goście z pewnością nie zrobili tego z miłości. Na pewno kryje się za tym kasa.

- Zgadza się, aby Neagley pilnowała budżetu? - zapytała Dixon.

- Co to jest? Demokracja? - zachnął się Reacher. Uniosły się cztery dłonie. Dwóch majorów i jeden kapitan zagłosowali za tym, aby sierżant Neagley przejęła kontrolę nad kasą.

- W porządku, a teraz plan - ciągnęła Dixon.

- Najpierw struktura dowodzenia - zaproponował O'Donnell. - Nie stawia się konia przed wozem.

- W porządku - zgodziła się Dixon. - Głosuję na Reachera.

- Ja też - odparł O'Donnell.

- I ja - powiedziała Neagley. - Zawsze dowodził.

- Nie mogę objąć dowództwa - sprzeciwił się Reacher. - Uderzyłem gliniarza. Jeśli sprawa się wyda, trafię do pudła i będziecie musieli sobie radzić beze mnie. Nie mogę przyjąć tego stanowiska.

- Zajmiemy się tym w swoim czasie - odparła Dixon.

- Ten czas szybko nadejdzie - zauważył Reacher. - Jak amen w pacierzu. Jutro, najpóźniej pojutrze.

- Może puszcza to płazem.

- Zapomnij o tym. Czy my zachowalibyśmy się w taki sposób?

- Może facet będzie się wstydził o tym zameldować?

- Nie musi tego robić. Ludzie zauważą. Ma podbite oko i rozkwaszony nos.

- Przecież gość nie wie nawet, kim jesteś.

- Wystarczy, że wie o Neagley. Śledził nas. Wie, kim jesteśmy.

- Nie możesz dać się za to aresztować - zaprotestował O'Donnell. - Wsadzą cię do pudła. Jeśli do tego dojdzie, będziesz musiał zmykać z miasta.

- Wykluczone. Jeśli mnie nie dostaną, dobiorą się do moich współpracowników. Nie chcemy tego. Musimy mieć tu przyczółek.

- Znajdziemy ci prawnika. Kogoś taniego.

- Nie, znajdziemy kogoś dobrego - zapewniła Dixon.

- Niezależnie od tego, co zrobicie, moje możliwości działania będą ograniczone.

Nikt nie powiedział ani słowa.

- Dowodzić powinna Neagley.

- Nie zgadzam się - powiedziała Neagley.

- Nie możesz. To rozkaz.

- Skoro nie jesteś dowódcą, nie możesz mi rozkazywać.

- W takim razie dowódcą będzie Dixon.

- Odmawiam - rzekła Dixon.

- Okej, niech dowodzi O'Donnell.

- Rezygnuję.

- Reacher będzie dowodził do czasu aresztowania, później zastąpi go Neagley.

Zgadzacie się?

W górę powędrowały trzy dłonie.

- Pożalujecie - odparł Reacher. - Zadbam o to.

- Jaki mamy plan, szefie? - zapytała Dixon, powodując, że Reacher przeniósł się dziewięć lat wstecz do czasu, kiedy ostatni raz zadano mu podobne pytanie.

- To co zwykle - wycedził. - Dochodzenie, przygotowanie i realizacja. Odnajdziemy drani, załatwimy ich i naszczamy na groby ich przodków.

25

Chateau Marmont był starym hotelem w Sunset, u wylom Laurel Canyon - ulubionym miejscem artystycznej bohemy. Zatrzymywały się w nim najróżniejszej maści gwiazdy filmu i rocka: Errol Flynn, Clark Gable, Marilyn Monroe, Greta Garbo, James Dean, John Lennon, Mick Jagger, Bob Dylan, Jim Morrison. Wpadali tu członkowie Led Zeppelin i Jefferson Airplane. W Chateau Marmont zmarł John Belushi, po wzięciu takiej dawki heroiny i kokainy, która powaliłaby wszystkich gości hotelowych. Chyba właśnie dlatego nie powieszono jego fotografii.

Recepcjonista poprosił o dowody tożsamości i platynową kartę Neagley, dlatego wszyscy zameldowali się pod prawdziwym nazwiskiem. Nie mieli wyboru. Później facet oznajmił, że mają tylko trzy wolne pokoje. Neagley musiała mieszkać sama, więc Reacher i

O'Donnell zadowolili się wspólnym pokojem, aby każda z dam miała własne lokum. O'Donnell miał odwieźć Neagley do Beverly Wilshire samochodem Dixon, aby zabrała rzeczy i wypisała się. Później miał pojechać za nią na lotnisko Los Angeles, żeby zwrócić mustanga i odwieźć ją z powrotem. Przeznaczyli na to wszystko trzy godziny. Reacher i Dixon mieli zostać w hotelu i popracować nad liczbami.

Rozłożyli się w pokoju Dixon. Facet w recepcji twierdził, że kiedyś zatrzymał się w nim Leonardo diCaprio, po którym nie pozostał jednak żaden ślad. Reacher rozłożył na łóżku siedem arkuszy i zaczął obserwować Dixon, która pochyliła się i przystąpiła do ich analizy. Przeglądała je tak, jak niektórzy ludzie czytają nuty lub wiersze.

- Zauważyłam dwie ważne rzeczy - rzekła błyskawicznie. - Nie ma żadnego stuprocentowego wyniku. Ani jednego dziesięć dziesiątych lub dziewięć dziesiątych.

- I?

- Pierwsze trzy arkusze zawierają dwadzieścia sześć liczb, czwarty dwadzieścia siedem, a trzy ostatnie ponownie po dwadzieścia sześć.

- Co z tego wynika?

- Nie mam pojęcia. Żaden z arkuszy nie jest pełny, więc dwadzieścia sześć i dwadzieścia siedem liczb musi coś oznaczać. To celowy zabieg, nie żaden przypadek. Nie jest to jedynie ciąg liczb z podziałem na strony. Gdyby tak było, Franz zapisałby je na sześciu, a nie siedmiu arkuszach. Wyraźnie chodzi o siedem odrębnych kategorii.

- Odrębnych, lecz w jakimś sensie podobnych - powiedział Reacher. - Ten ciąg liczb coś opisuje.

- Zauważyłeś, że wyniki są coraz gorsze? - zapytała Dixon.

- Wyraźnie gorsze.

- Zjawisko ma charakter gwałtowny. Początkowo wyniki były dobre, a później uległy nagłemu pogorszeniu.

- Co oznaczają te liczby?

- Nie wiem.

- Jakie zdarzenia można mierzyć w powtarzalny sposób?

- Sądzę, że niemal wszystko. Stan zdrowia psychicznego, udzielając odpowiedzi na proste pytania. Sprawność fizyczną, koordynację ruchową. Można zapisać w ten sposób liczbę błędów, ale wówczas mielibyśmy do czynienia z poprawą, a nie pogorszeniem wyników.

- O jakie kategorie może chodzić? Czego powinniśmy szukać? Siedmiu zdarzeń jakiego rodzaju?

Dixon skinęła głową.

- To klucz do rozwiązania zagadki. Musimy od tego zacząć.

- Nie sądzę, aby były to wyniki testów medycznych. Jakichkolwiek testów. W jakim celu Franz umieściłby dwadzieścia siedem pytań w arkuszach, które zawierają po dwadzieścia sześć liczb? Takie postępowanie pozbawiłoby badanie waloru spójności.

Dixon wzruszyła ramionami i wyprostowała się. Zdjęła żakiet i rzuciła go na łóżko. Podeszła do okna, rozsunała zasłony i wyjrzała na zewnątrz. Po chwili uniosła głowę i spojrzała na wzgórze.

- Lubię Los Angeles - powiedziała.

- Ja też - zawtórował Reacher.

- Jeszcze bardziej lubię Nowy Jork.

- Ja chyba też.

- Kontrast pomiędzy tymi miejscami jest taki przyjemny.

- Tak sądzę.

- Chociaż okoliczności są paskudne, cieszę się, że cię widzę, Reacher. Naprawdę.

Reacher skinął głową.

- Ja również. Sądziłem, że cię straciliśmy. To nie było przyjemne.

- Mogę cię objąć?

- Chcesz tego?

- Chciałam objąć was wszystkim, tam u Hertza. Nie zrobiłam tego, bo Neagley nie byłaby zadowolona.

- Neagley podała dłoń Angeli Franz i tej babce z New Age Defense Systems.

- Zrobiła postępy.

- Niewielkie.

- Pewnie ktoś ją wykorzystał dawno temu. Zawsze to przeczuwałam.

- Nigdy o tym nie wspomniała - powiedział Reacher.

- To smutne.

- Jak cholera.

Kiedy Karla Dixon odwróciła się w jego stronę, Reacher wziął ją w ramiona i przytulił. Miała cudny zapach. Jej włosy pachniały szamponem. Uniósł Karłę i zatoczył wolne koło. Wydała mu się lekka, szczupła i krucha. Wąska w talii. Miała na sobie czarną jedwabną

bluzkę, pod którą kryła się ciepła skóra. Postawił ją na podłodze. Wyprostowała się i pocałowała go w policzek.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała. - Tęskniłam za wami wszystkimi.

- Ja również. Nawet nie wiedziałem jak bardzo.

- Podoba ci się życie w cywilu? - zapytała.

- Tak, myślę, że jest okej.

- Mnie się nie podoba. Może odnalazłeś się w tym świecie lepiej ode mnie.

- Sam nie wiem. W ogóle nie wiem, czy się odnalazłem. Kiedy patrzę na was, wydaje mi się, że tylko biję pianę. Jakbym tonął. Wy w przeciwieństwie do mnie pływacie.

- Naprawdę jesteś splukany?

- Do suchej nitki.

- Ja również - powiedziała. - Zarabiam trzysta tysięcy rocznie i jestem splukana. Samo życie. Wiesz, jak jest.

- Często ogarniają mnie podobne uczucia. Dopóki na koncie nie pojawią się pieniądze. Neagley przelała mi tysiąc trzydzieści dolarów.

- Nasz kod dziesięć-trzydzieści? Bystra sztuka.

- Chciała, żebym miał kasę na bilet lotniczy. Gdyby nie to, pewnie przyjechałbym autostopem.

- Musiałbyś pokonać drogę na piechotę. Nie zabrałby cię żaden człowiek będący przy zdrowych zmysłach.

Reacher spojrział na swoje odbicie w starym, pokrytym plamami lustrze. Olbrzym o dłoniach wielkości mrożonego indyka, zarośnięty, nieogolony, z rozdartymi rękawami koszuli. Przypominał potwora doktora Frankensteina.

Nagle go olśniło.

Z wielkiej wojskowej maszyny do czegoś takiego.

- Mogę cię o coś zapytać? - powiedziała Dixon.

- Śmiało.

- Zawsze chciałam, aby łączyło nas coś więcej niż praca.

- Kogo?- Ciebie i mnie.

- To było stwierdzenie, a nie pytanie.

- Czy miałeś podobne uczucia?

- Szczerze?

- Proszę.

- Tak.

- Dlaczego nie poznaliśmy się bliżej?
- To nie byłoby właściwe.
- Przecież lekceważyliśmy wszystkie przepisy.
- Rozbiliśmy zespół. Inni byliby zazdrośni.
- Neagley też?
- Na swój sposób.
- Mogliśmy zachować wszystko w sekrecie.
- Niemożliwe - odparł Reacher.
- Teraz też możemy mieć własną tajemnicę. Mamy trzy godziny.

Reacher nie odpowiedział ani słowa.

- Przepraszam - powiedziała Dixon. - Wszystkie te złe rzeczy powodują, że życie wydaje mi się takie krótkie.

- W dodatku nasz zespół został rozwiązany - zauważył Reacher.
- Właśnie.
- Masz chłopaka na wschodzie?
- Nie.

Reacher zrobił krok w stronę łóżka. Karla Dixon podeszła i stanęła obok niego, przywierając biodrami do jego uda. Siedem kartek nadal leżało w schludnym rzędzie.

- Chcesz się przyjrzeć liczbom? - zapytał Reacher.
- Nie teraz - odpowiedziała.
- Ja też nie mam ochoty. - Zebrał arkusze i wsunął je pod telefon.
- Jesteś pewna, że tego chcesz?
- Jestem tego pewna od piętnasta lat.
- Ja też, lecz musimy zachować wszystko w sekrecie.
- Zgoda.

Wziął ją w ramiona i pocałował w usta. Guziki bluzeczki były małe i niewygodne w rozpinaniu.

26

Później leżeli jakiś czas obok siebie, aż wreszcie Dixon powiedziała:

- Pora zabrać się do roboty. - Reacher przekręcił się na bok i sięgnął po kartki leżące na nocnym stoliku, lecz Dixon powstrzymała go. - Nie tak, zastanówmy się bez patrzenia. W ten sposób więcej zobaczymy.

- Tak sądzisz?

- W sumie mamy sto osiemdziesiąt trzy liczby. Sto osiemdziesiąt trzy, co to za liczba?
- Nie jest to liczba pierwsza - stwierdził Reacher. - Dzieli się przez trzy i sześćdziesiąt jeden.

- Nie obchodzi mnie, czy jest to liczba pierwsza, czy nie.
- Jeśli pomnożysz ją przez dwa, otrzymasz trzysta sześćdziesiąt sześć, czyli liczbę dni w roku przestępnym.

- Zatem jest to połowa dni roku przestępnego, czy tak?
- Nie, mamy przecież siedem list - odpowiedział Reacher. - Połowa dowolnego roku to sześć miesięcy i sześć list.

Dixon zamilkła.

Reacher zamyślił się. *Pół roku.*

Pół.

Można to zrobić na wiele sposobów.

Dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem.

- Ile dni jest w połowie roku? - zapytał.
- Zwykłym? To zależy w której. Sto osiemdziesiąt dwa lub sto osiemdziesiąt trzy.
- W jaki sposób uzyskać połowę?
- Dzieląc przez dwa.
- A gdybyś pomnożyła liczbę dni w pełnym roku przez siedem dwunastych?
- To więcej niż połowa?
- A następnie przez sześć siódmych?
- Wtedy otrzymałbyś dokładnie połowę. Siedem dwunastych razy sześć siódmych to czterdzieści dwa osiemdziesiątych czwartych.

- Dokładnie.
- Nie łapię.
- Ile jest tygodni roboczych w roku?
- Pięćdziesiąt dwa?
- A dni roboczych?
- Dwieście sześćdziesiąt w pięciodniowym i trzysta dwanaście w sześciodniowym tygodniu pracy.

- Ile takich dni byłoby w ciągu siedmiu miesięcy w sześciodniowym tygodniu pracy?

Dixon pomyślała przez chwilę.

- To zależy od tego, jakich siedem miesięcy wybierzesz i w jakie dni wypada niedziela. Którego dnia przypada pierwszy stycznia, czy chodzi o siedem kolejnych miesięcy, czy wybierasz, jak chcesz.

- Zastanów się nad liczbami, Karla. Możliwe są tylko dwie odpowiedzi.

Dixon pomyślała chwilę.

- Sto osiemdziesiąt dwa lub sto osiemdziesiąt trzy.

- Właśnie - powiedział Reacher. - Siedem arkuszy Franza odpowiada siedmiu miesiącom złożonym z sześciodniowych tygodni pracy. Tylko jeden długi miesiąc miał cztery niedziele, stąd odstępstwo w postaci dwudziesta siedmiu dni.

Dixon wyslizgnęła się spod prześcieradła i podeszła naga do walizki, aby po chwili wrócić ze skórzanym kalendarzem Filofax. Otworzyła go i rozłożyła na łóżku, a następnie sięgnęła po arkusze upchnięte na stoliku nocnym, by umieścić je w jednej linii poniżej kalendarza. Porównała arkusz z kalendarzem.

- To ten rok - stwierdziła. - Siedem ostatnich miesięcy. Aż do końca ubiegłego miesiąca. Jeśli pominiesz niedziele, otrzymasz dwudziestosześciodniowy miesiąc, następnie miesiąc liczący dwadzieścia siedem dni i trzy miesiące po dwadzieścia sześć.

- Doskonale - pochwalił ją Reacher. - W ciągu ostatnich siedmiu miesięcy jakaś zmienna zaczęła przyjmować coraz gorsze wartości. To jakieś wyniki. Mamy już połowę.

- Łatwiejszą połowę - przytaknęła Dixon. - Powiedz mi, co oznaczają te liczby.

- Chodzi o zdarzenie, które mogło zachodzić dziewięć, dziesięć, dwanaście lub trzynaście razy dziennie od poniedziałku do soboty i nie zawsze okazywało się zgodne z oczekiwaniami.

- Jakiego rodzaju zdarzenie?

- Nie wiem. Co zdarza się dziesięć lub dwanaście razy dziennie?

- Na pewno nie wyprodukowanie nowego egzemplarza forda T. Musi chodzić o jakieś zjawisko w małej skali. Wizytę u specjalisty, na przykład u dentysty, prawnika czy fryzjera.

- W pobliżu biura Franza jest salon kosmetyczny.

- Salon kosmetyczny ma więcej klientów. Poza tym co łączy manicure ze zniknięciem czterech naszych i Syryjczykiem posługującym się czterema fałszywymi nazwiskami?

- Nie mam pojęcia - odparł Reacher.

- Ja również.

- Powinniśmy wziąć prysznic i ubrać się.

- Potem.

- Po czym?

Dixon nie odpowiedziała. Wróciła do łóżka, przycisnęła go do poduszki i pocałowała.

W odległości przeszło trzech tysięcy kilometrów od nich, na wysokości jedenastu kilometrów, ciemnowłosa mężczyzna występujący jako Alan Mason siedział w przedniej kabine boeinga 757 linii United Airlines lecącego z nowojorskiego lotniska La Guardia do Denver w stanie Kolorado. W fotelu o numerze 3A. Na bocznym oparciu stała szklanka gazowanej wody mineralnej, a na kolanach spoczywała rozłożona gazeta. Nie czytał jej, lecz wyglądał przez okno, obserwując białe chmury w dole.

Jedenaście kilometrów na południe od nich facet w ciemnoniebieskim garniturze jechał ciemnoniebieskim chryslerem za O'Donnellem i Neagley, którzy odwozili mustanga na parking Hertza. Śledził ich od momentu, gdy opuścili hotel Beverly Wilshire. Uznał, że chcą wsiąść na pokład samolotu, więc wybrał pas umożliwiający podążenie za nimi do jednego z terminali lotniska. Kiedy O'Donnell skręcił na północ, w stronę Sepulveda, musiał przepychać się między innymi pojazdami. W rezultacie znalazł się dziesięć samochodów z tyłu. Pomyślał, że dobrze się stało i że nie będzie się nikomu rzucał w oczy.

27

- Znaleźliśmy się w kropce - rzekł O'Donnell.

- Trzeba spojrzeć faktom w oczy. Trop się urwał, nie mamy żadnych użytecznych informacji - dodała Neagley.

Zebrali się w sypialni Karli Dixon. Niedysiejszym apartamencie Leonarda diCaprio. Łóżko zostało posłane, a Reacher i Dixon wzięli prysznic, ubrali się i wysuszyli włosy. Stali w odpowiedniej odległości od siebie. Na stoliku nocnym leżało siedem arkuszy i kalendarz. Nikt nie zaprzeczał, że chodziło o siedem ostatnich miesięcy. Z drugiej strony nikt nie uznał tej informacji za przydatną.

- Co robimy, szefie? - zapytała Dixon.

- Ogłaszam przerwę - zarządził Reacher. - Coś przeoczyliśmy. Nie myślimy jak należy. Powinniśmy zrobić sobie przerwę i wrócić do tego za jakiś czas.

- Nigdy nie robiliśmy przerw.

- Mieliśmy pięć dodatkowych par oczu.

Facet w ciemnoniebieskim garniturze powiedział do mikrofonu:

- Przeprowadzili się do Chateau Marmont. Jest ich teraz czworo. Przyjechała Karla Dixon. Wszyscy obecni. - Wysłuchał odpowiedzi szefa, wyobrażając sobie, jak ten wygląda krawat na koszuli.

Reacher wybrał się na samotny spacer w kierunku zachodniej części Sunset. Samotność była jego naturalnym stanem. Wyciągnął pieniądze z kieszeni i przeliczył. Pozostało niewiele. Wszedł do sklepu z pamiątkami i znalazł wieszak z przecenionymi koszulami. Kolekcja z minionego roku lub minionej dekady. Na jednym końcu wisiały niebieskie koszulki z białym wzorem, lśniące, z ręcznie wykonanego materiału. Szeroki kołnierzyk, krótki rękaw, obszyte krawędzie. Wybrał jedną z nich. Przypominała koszulę, w jakiej jego ojciec chadzał na kręgle w latach pięćdziesiątych. Tylko rozmiar był większy. Reacher był znacznie potężniejszy od swojego ojca. Znalazł lustro i przyłożył wieszak z koszulką pod brodę. Wyglądało na to, że będzie dobra. Uznał, że jest wystarczająco szeroka w ramionach. Krótki rękaw rozwiązywał problem polegający na znalezieniu koszuli o wystarczająco długich rękawach, aby pomieścić jego ręce, które przypominały kończyny goryla z tą różnicą, że były dłuższe i grubsze.

Po doliczeniu podatku cena koszulki sięgnęła niemal dwudziestu jeden dolarów. Reacher zapłacił facetowi przy kasie, a następnie odgryzł metkę i ściągnął starą koszulę, by zastąpić ją nową. Nie wsunął jej w spodnie, a jedynie wyrównał u dołu i poprawił rękawy. Po odpięciu górnego guzika leżała jak ulał. Rękawy mocno opinały bicepsy, jednak nie w stopniu, który tamowałby krążenie krwi.

- Macie tu śmietniczkę? - zapytał.

Facet wstał od kasy i po chwili wrócił z okrągłą metalową puszką z plastikowym workiem na śmieci.

- Czy w okolicy jest fryzjer?

- Dwie przecznice na północ - odparł sprzedawca. - Na wzgórzu. Czyścibut i fryzjer są obok spożywczego na rogu.

Reacher nie odpowiedział ani słowa.

- U wylotu Laurel Canyon - dodał sprzedawca tytułem wyjaśnienia.

W sklepie spożywczym sprzedawano piwo ze skrzynki z lodem i kawę z zamykanych na korek termosów. Reacher zamówił średnią czarną i usiadł w fotelu. Był to stary fotel fryzjerski pokryty czerwonym, upstrzonym cętkami winylem. W umywalce leżała brzytwa, a obok stało krzesło czyścibuta. Na krześle siedział szczupły facet w białym podkoszulku. Jego

ramiona pokrywały liczne ślady po igle. Podniósł głowę i skoncentrował się, jakby próbował ocenić stojące przed nim wyzwanie.

- Niech zgadnę - powiedział - golenie i strzyżenie?
- Ile będzie razem? - zapytał Reacher.
- Osiem dolców - odparł tamten. Reacher zajrzał ponownie do kieszeni.
- Dziesięć, z kawą i czyszczeniem butów.
- Chyba dwanaście.
- Mam dziesiątaka. Facet wzruszył ramionami.
- W porządku.

Laurel Canyon, pomyślał Reacher. Trzydzieści minut później wydał ostatniego dolara, lecz jego buty lśniły czystością, a twarz była gładka jak nigdy dotąd. Kazał się ostrzyć prawie na zero. Poprosił o tradycyjne wojskowe strzyżenie, lecz facet zrobił mu fryzurę przypominającą tę, która obowiązuje w piechocie morskiej. Od razu było widać, że nie służył w wojsku. Reacher spojrzał ponownie na jego ramię.

- Gdzie tu można kupić prochy?
- Przecież pan nie bierze - zdziwił się tamten.
- To dla przyjaciela.
- Nie ma pan forsy.
- Załatwię.

Gość w białym podkoszulku ponownie wzruszył ramionami i powiedział:

- Za muzeum figur woskowych zwykle stoi dealer.

Reacher wrócił do hotelu uliczkami w dole, przy kanionie, dochodząc do hotelu od tyłu. Po drodze minął ciemnoniebieskiego chryslera 300C zaparkowanego przy krawężniku. Za kółkiem siedział gość w ciemnoniebieskim garniturze. Kolor garnituru z grubsza odpowiadał barwie lakieru. Silnik był wyłączony, a facet najwyraźniej na kogoś czekał. Reacher uznał, że to wypożyczony wóz. Limuzyna. Pomyślał, że jakiś właściciel firmy samochodowej dostał lepszą ofertę od Chryslera i zmienił cały park maszyn, pozbywając się lincolnów. Następnie ubrał szoferów w garnitury pasujące do koloru lakieru, starając się zyskać konkurencyjną przewagę. Reacher wiedział, że rejon Los Angeles to trudny rynek, szczególnie w branży wynajmu limuzyn. Gdzieś o tym czytał.

Dixon i Neagley uprzejmie zareagowały na jego nową koszulę w przeciwieństwie do O'Donnella, który zachichotał, za to wszyscy tarzali się ze śmiechu, patrząc na jego nową

fryzurę. Reacher miał to gdzieś. Spojrzał ukradkiem na swoje odbicie w starym pokrytym kropkami lustrze Dixon i przyznał, że uczesanie było nieco ekstremalne. Jego głowa świeciła jak łysa opona. Nie zanosilo się na to, aby w najbliższym czasie mieli inną rozrywkę. Przez dwa lata zajmowali się rozwiązywaniem zagadek kryminalnych - ponurych morderstw i afer korupcyjnych, okrutnych i przerażających zbrodni - żartem odreagowując stres, jak to czynią gliniarze na całym świecie. Czarny humor. Znany azyl. Pewnego razu znaleźli na wpół rozłożone zwłoki faceta z ogrodową łopatą zakopaną obok tego, co pozostało z jego głowy. Natychmiast okrzyknęli zamordowanego Dougiem i śmiali się do upadłego. Później, podczas rozprawy sądowej, Stan Lowrey pomylił się i użył ksywy zamiast prawdziwego nazwiska denata. obrońca z Wojskowego Biura Śledczego nie zrozumiał aluzji, za to Lowrey zwijał się ze śmiechu na miejscu dla świadka. „To jak *dug**!^{• Gra słów Doug i dug. „zakopany”} Z łopatą w głowie! Rozumie pan?”.

Dziś nikt nie miał ochoty na żarty. Kiedy chodzi o własną skórę, człowiek inaczej reaguje.

Ponownie rozłożyli arkusze na łóżku. Sto osiemdziesiąt trzy dni, siedem ostatnich miesięcy. W sumie dwa tysiące sto dziewięćdziesiąt siedem zdarzeń. Obok leżała nowa kartka zapisana odręcznym pismem Dixon. Karla ekstrapolowała liczby na trzysta czternaście dni roboczych w roku, uzyskując trzy tysiące siedemset sześćdziesiąt sześć zdarzeń. Reacher uznał, że można by urządzić coś w rodzaju burzy mózgów na temat tego, co mogło się zdarzyć trzy tysiące siedemset sześćdziesiąt sześć razy w ciągu ponad trzystu czternastu dni w roku. Dolna część kartki pozostała pusta. Nikomu nie przyszedł do głowy żaden pomysł. Na poduszce leżała strona z pięcioma nazwiskami. Rzucona niedbale, jakby przed chwilą ktoś ją studiował i pozostawił w geście wyrażającym frustrację.

- Musi się w tym kryć coś więcej - odezwał się O'Donnell.
- Na przykład co? - zapytał Reacher.
- Chciałem powiedzieć, że nadal nie widzę powodu zabicia czterech ludzi.

Reacher skinął głową.

- Zgoda - powiedział. - To nie wystarczy. Tamci zabrali praktycznie wszystko. Jego komputery, kalendarz, listę klientów, notatnik z telefonami. To, co mamy, to jedynie czubek góry lodowej. Rozrzucone fragmenty przypominające archeologiczne szczątki. Myślę, że powinniśmy się do tego przyzwyczaić, nie będziemy dysponowali niczym więcej.

- Co w takim razie powinniśmy zrobić?
- Uwolnić się od dawnych przyzwyczajzeń.
- Przyzwyczajzeń?

- Od pytania mnie, co robić. Jutro może mnie tu nie być. Wyobrażam sobie, że zastępcy szeryfa gromadzą siły. Będziecie musieli zacząć myśleć za siebie.

- A co niby robiliśmy do tej pory?

Reacher zignorował to pytanie. Odwrócił się do Karli Dixon i powiedział:

- Czy gdy wypożyczałaś samochód, zapłaciłaś dodatkowe ubezpieczenie?

Skinęła głową.

- Okej - odparł Reacher. - Zarządzam kolejną przerwę. Później pójdziemy gdzieś na obiad. Ja stawiam. Będzie to coś w rodzaju ostatniej wieszki. Za godzinę spotykamy się w holu.

Reacher odebrał fordą Dixon z rąk obsługi hotelowej i pojechał na wschód Hollywood Boulevard. Minął Entertainment Museum i Mann's Chinese Theater, a następnie skręcił w lewo, w stronę Highland. Był dwie przecznice na zachód od Hollywood i Vine, w rejonie, gdzie zwykle kręcili się dealerzy narkotyków. Jak to zwykle bywa, okazało się, że migrowali w inne miejsce. Stróżom prawa nigdy nie udało się odnieść trwałego sukcesu. Tamci przegrupowywali się, wybierając inny rejon, raz tu, raz tam.

Podjechał do krawężnika. Za muzeum figur woskowych biegła szeroka aleja. Właściwie w połowie pusty plac, z którego samochody uczyniły miejsce do zawracania, a narkotykowi dealerzy - punkt handlowy dla zmotoryzowanych. Wszystko było zorganizowane na wzór metody pomiarów triangulacyjnych. Kierowca wjeżdżał na plac i zwalniał. Do samochodu podchodził dzieciak w wieku nie więcej niż jedenastu lat. Facet w samochodzie przekazywał mu zamówienie i wręczał gotówkę. Dzieciak niósł forszę gościowi, który pobierał opłatę, a następnie biegł po towar do faceta, który miał ukryte narkotyki. W tym czasie kierowca zataczał wolno łuk, aby spotkać dzieciaka z drugiej strony placu. Po przekazaniu towaru opuszczał aleję jakby nigdy nic, a dzieciak wracał do punktu wyjścia i czekał na następnego klienta.

Sprytny system. Zupełne oddzielenie towaru od pieniędzy, możliwość szybkiego rozproszenia się w trzech różnych kierunkach. W razie czego policja miała jedynie dzieciaka, który był za młody, aby postawić go w stan oskarżenia. Regularne dostarczanie nowych działek powodowało, że facet z narkotykami miał przy sobie jedynie minimalną ilość towaru. Równie częste wymienianie torby z forszą ograniczało potencjalne straty i ryzyko gościa, który zajmował się jej przechowywaniem.

Sprytny system.

Reacher zetknął się z nim już wcześniej.

Facet zbierający forszę wyglądał jak menel. Siedział na bloku betonu pośrodku placu z czarnym workiem marynarskim pod nogami. Miał czarne okulary i był uzbrojony w taką broń krótką, jakiej używano danego tygodnia.

Reacher postanowił zaczekać.

Czarny mercedes SL zwolnił i wjechał na plac. Wspaniały SUV, przyciemniane szyby, kalifornijskie tablice dla próżnych i bogatych z akronimem, którego Reacher nie rozumiał. Samochód zatrzymał się na początku placu i po chwili podbiegł do niego dzieciak. Jego głowa ledwo sięgała okna kierowcy, jednak ręka była wystarczająco długa. Wsunęła się do środka i po chwili wynurzyła ze zwitkiem banknotów. Mercedes ruszył przed siebie, a dzieciak podbiegł do faceta zbierającego forszę. Kiedy zwitek banknotów znalazł się w torbie, chłopak pognął do gościa z towarem. Wóz zaczął wolno zawracać, zataczając półkole.

Reacher włączył bieg i ruszył fordem Dixon. Obejrzał się na północ i południe, a następnie wcisnął gaz, silnie skręcił kierownicę i wjechał na plac. Zignorował obowiązujący ruch okrężny i ruszył wprost na środek.

Wprost na faceta trzymającego forszę. Przyspieszył, wyrzucając żwir spod przednich kół.

Gość trzymający worek z forszą zamarł.

Niecałe trzy metry przed nim Reacher zrobił trzy rzeczy: skręcił kierownicę, wdepnął hamulec i otworzył drzwi. Wóz zjechał na prawo, przednie koła zaryły w żwirze, a drzwi otworzyły się szerokim łukiem, silnie uderzając tamtego w górną część ciała. Facet poleciał w tył, ford stanął w miejscu, a Reacher pochylił się po winylowy worek marynarski i chwycił go lewą ręką. Kiedy worek znalazł się na siedzeniu pasażera, Reacher wcisnął gaz, zatrzasnął drzwi i ostro zawrócił przed jadącym wolno mercedesem. Po chwili wyjechał z placu, ostro wykręcił i ruszył w kierunku Highland. W lusterku wstecznym dojrzał unoszący się w powietrzu tuman kurzu, zamieszanie, gościa pilnującego worka leżącego na plecach i dwóch facetów biegnących w jego stronę. Przejechał dziesięć metrów i skręcił za gmach muzeum figur woskowych, przejechał skrzyżowanie i wrócił na Hollywood Boulevard.

Wszystko zajęło jakieś dwanaście sekund. Żadnej reakcji. Żadnych strzałów. Żadnego pościgu.

Reacher nie spodziewał się niczego innego. Kiedy tamci zobaczyli zwyczajnego waniliowego forda, koszmarną koszulę i krótko obcięte włosy, uznali, że jakiś gość z policji w Los Angeles postanowił podreperować budżet. Normalne koszty prowadzenia działalności. Z kolei kierowca mercedesa nie mógł ryzykować wspomnienia o tym komukolwiek.

Tak, nie zadzieraj ze specjalną grupą śledczą.

Reacher zwolnił, odetchnął głęboko i skręcił w prawo, objeżdżając miejsce zdarzenia w kierunku przeciwnym do mchu wskazówek zegara. Ruszył Canyon Road i Woodrow Wilson Drive, aby po chwili znaleźć się ponownie na Laurel Canyon Boulevard. Nikt za nim nie jechał. Zatrzymał się na pustym zakręcie, opróżnił worek i rzucił go za siebie. Przeliczył forszę. Prawie dziewięćset dolarów głównie w dwudziestkach i dziesiątkach. Na obiad wystarczy. Nawet z norweską wodą mineralną. I na napiwek.

Wysiadł i obejrzał samochód. Drzwi kierowcy były lekko wgniecione na środku. W miejscu zetknięcia z twarzą faceta pilnującego worka z forszą. Nie było śladów krwi. Wsiadł i odjechał. Dziesięć minut później siedział w wypłowiałym aksamitnym fotelu w holu hotelu Chateau Marymont, czekając na pozostałych.

Dwa tysiące kilometrów na północny wschód od Chateau Marmont ciemnowłosy czterdziestolatek posługujący się nazwiskiem Alan Mason jechał podziemną kolejką z hali przylotów lotniska w Denver do głównego terminalu. Był sam w przedziale. Siedział w fotelu, wyraźnie zmęczony, jednocześnie śmiejąc się ze zwariowanego jugbandu nadawanego przed komunikatami dyrekcji dworca. Pomyślał, że ten rodzaj muzyki doradzili im psychologowie, aby obniżyć stres związany z podróżą. Podziałało. Czuł się dobrze. Był znacznie bardziej zrelaksowany niż powinien.

28

Okazało się, że obiad kosztował Reachera znacznie mniej niż dziewięćset dolicz. Jego goście wybrali hałaśliwy bar z hamburgerami w Sunset, na wschód od hotelu Mondrian, czy to z upodobania, czy z powodu obecnych okoliczności, czy też jego sytuacji materialnej. W karcie nie było norweskiej wody mineralnej. Mieli jedynie kranówkę i krajowe piwo oraz grube soczyste hamburgery i pikle podawane przy głośnym rytm and bluesie. Reacher czuł się tu jak w domu, jakby ponownie przeniósł się w lata pięćdziesiąte. Pozostali byli tam trochę nie na miejscu. Usiedli przy okrągłym stole zastawionym dla czterech osób. Rozmowa zamarła i miejsce radości przebywania w gronie starych przyjaciół zajęło wspomnienie nieobecnych. Reacher przysłuchiwał się temu, co mówili pozostali. Okrągły stół powodował, że nikt nie mógł dominować. Ośrodek uwagi przesuwiał się z jednej osoby na drugą. Po półgodzinie wspomnień i nadrabiania zaległości rozmowa wróciła do Franza.

- Zacznijmy od początku - powiedział O'Donnell. - Jeśli wierzyć jego żonie, cztery lata temu Franz zrezygnował z innych rodzajów działalności oprócz rutynowej analizy baz danych. Dlaczego nagle miałby zająć się czymś tak poważnym?

- Ponieważ ktoś go o to poprosił - odparła Dixon.- Właśnie - przytaknął O'Donnell. -
Wszystko zaczęło się od jego klienta. Kto mógł nim być?

- Dosłownie każdy.

- Nie - zaprzeczył O'Donnell. - Musiał to być ktoś szczególny. Franz zadał sobie dodatkowy trud. Zrezygnował z zasady, której przestrzegał od czterech lat. W pewnym sensie zdradził żonę i syna.

- Może zaproponowano mu większą forszę - powiedziała Neagley.

- Albo był komuś winien przysługę - dodała Dixon.

- Przypuszczalnie początkowo sprawa wydawała się banalna - ciągnęła Neagley. -
Może nie miał pojęcia, do czego to prowadzi. Pewnie jego klient również nie zdawał sobie z tego sprawy.

Reacher przysłuchiwał się rozmowie. *Musiał to być ktoś szczególny. Albo był komuś winien przysługę.* Głos zabrał O'Donnell, a później Dixon i Neagley. W powietrzu utworzył się trójkąt. Przypomniawszy sobie coś, co Dixon powiedziała kilka godzin temu w samochodzie, gdy opuszczali lotnisko Los Angeles. Zamknął oczy, lecz nie mógł się od tego uwolnić. Kiedy zabrał głos, trójkąt przekształcił się w kwadrat, obejmując także jego osobę.

- Powinniśmy zapytać Angelę - powiedział. - Jeśli Franz miał jakiegoś stałego poważnego klienta, mógł wspomnieć o tym w domu.

- Chciałbym poznać Charliego - rzekł O'Donnell.

- Pojedziemy do nich jutro - zarządził Reacher. - Chyba że upomną się o mnie zastępcy szeryfa. W takiej sytuacji wyruszycie beze mnie.

- Myśl pozytywnie - upomniała go Dixon. - Może facet ma wstrząs mózgu. Może nie pamięta, kim jest, a tym bardziej kim był człowiek, który go zaatakował.

Wrócili do hotelu i rozdzielili się w holu. Nikt nie miał ochoty na szklaneczkę czegoś mocniejszego przed snem. Bez słów uzgodnili, że pójda spać i wstaną wcześnie, aby zacząć skoro świt. Reacher i O'Donnell poszli razem. Nie rozmawiali wiele. Reacher zasnął pięć sekund po złożeniu głowy na poduszce.

Obudził się o siódmej rano. Przez okno wpadały wczesne promienie słońca. W drzwiach stanął David O'Donnell. Wyraźnie się spieszył. Był ubrany, trzymał gazetę pod pachą i kartonowe kubki z kawą w obu rękach.

- Poszedłem na krótki spacer - powiedział.

- I?

- Masz kłopoty - oświadczył. - Tak mi się przynajmniej zdaje.

- Kto?

- Zastępca szeryfa. Siedzi w samochodzie zaparkowanym sto metrów od hotelu.

- Ten sam?

- Ten sam, w tym samym wozie. Ma metalową szynę na twarzy. Okno zasłonił torbą na śmieci.

- Widział cię?

- Nie.

- Co robi?

- Po prostu siedzi. Jakby czekał.

29

Zamówili śniadanie do pokoju Dixon. Zasada pierwsza, której nauczyli się dawno temu, brzmi: Jedz, gdy możesz, bo nigdy nie wiadomo, kiedy zdarzy się następna okazja. Szczególnie jeśli musisz zniknąć, rozplątać się w systemie. Reacher przełknął sporą porcję jajek, boczku i grzanek, popijając wszystko dużą ilością kawy. Był spokojny, lecz sfrustrowany.

- Powinienem zostać w Portland - powiedział. - Niewiele brakowało, aby tak się stało.

- W jaki sposób tak szybko nas odnaleźli? - zapytała Dixon.

- Komputery - odparła Neagley. - Departament Bezpieczeństwa Krajowego i ustawa patriotyczna*.
* Wprowadzona po zamachach z jedenastego września. Teraz mogą przeglądać hotelowe rejestry, kiedy zechcą. Żyjemy w państwie policyjnym.

- Jesteśmy gliniarzami - wtrącił O'Donnell.

- Byliśmy.

- Żałuję, że nadal nimi nie jesteśmy. Człowiek nawet się teraz nie napoci.

- Musicie jechać - rzekł Reacher. - Nie chcę, abyście zostali w to zamieszani. Nie mamy dużo czasu. Wyjdźcie tak, aby zastępca szeryfa was nie widział. Złóżcie wizytę Angeli Franz. Znajdźcie klienta Franza. Wróć do was, gdy tylko będę mógł.

Wypił ostatni łyk kawy i poszedł do swojego pokoju. Włożył do kieszeni składaną szczoteczkę do zębów, paszport, kartę bankomatową oraz osiemset dolców ukrył w torbie na garniturze O'Donnella. Podczas aresztowania giną różne rzeczy. Zjechał windą do holu. Usiadł w fotelu i czekał. Nie było potrzeby inscenizowania wielkiego dramatu, biegania po hotelowych korytarzach i tak dalej. Życie wypełnione pechem i kłopotami nauczyło go drugiej zasady: Zachowaj odrobinę godności.

Czekał.

Pół godziny. Godzinę. W holu były trzy poranne gazety. Przeczytał wszystkie. Słowo w słowo. Sport, reportaże, wstępniaki, rubrykę krajową i międzynarodową. Wiadomości gospodarcze. Opowieść o finansowym wpływie działalności Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego na sektor prywatny. Autor cytował kwotę siedmiu miliardów dolarów, o której wspomniała Neagley. Kupa forsy. Więcej zgarniały jedynie firmy zbrojeniowe. Pentagon dysponował większą kasą od kogokolwiek innego i w dalszym ciągu szastał nią jak obłąkany.

Półtorej godziny.

Nadal nic.

Reacher odłożył gazety, podszedł do drzwi i rozejrzał się. Jasne słońce, błękitne niebo, żadnego smogu. Lekki wiaterek kołysał egzotycznymi drzewami. Obok przesuwały się nawoskowane samochody, dostojne i błyszczące. Piękny dzień. Dwudziesty czwarty dzień, którego nie oglądał Calvin Franz. Prawie cztery tygodnie. Przypuszczalnie podobny los spotkał Tony'ego Swana oraz Jorge Sancheza i Manuela Orozco.

Ci, którzy to zrobili, już są martwi. Nie można wyrzucać moich przyjaciół z helikoptera i dalej żyć, aby o tym opowiadać.

Wyszedł na zewnątrz. Stał całkowicie odsłonięty, jakby spodziewał się strzału snajpera. Mieli dość czasu, aby rozmieścić wokół hotelu cały oddział SWAT. Na ulicy panowała cisza. Nie dostrzegł żadnych zaparkowanych wozów, niewinnie wyglądających samochodów dostawczych z kwaciarni czy ludzi oczekujących w kolejce przy budce telefonicznej. Żadnej inwigilacji. Skręcił w lewo, w Sunset i ponownie w lewo, w Laurei Canyon Boulevard. Szedł wolno, blisko żywopłotów i trawników. Odwrócił się ponownie, spoglądając na krętą drogę biegnącą za hotelem.

Brązowy crown vic pozostał daleko w tyle.

Stał zaparkowany przy przeciwnym krawężniku, samotny, odizolowany od innych pojazdów, w odległości stu metrów od hotelu. Cichy, nieruchomy, z wyłączonym silnikiem. Tak jak powiedział O'Donnell, przednia szyba po stronie pasażera została zasłonięta naprężoną torbą na śmieci. Kierowca siedział za kółkiem. Jakby nigdy nic. Nie poruszał się, co pewien czas odwracał tylko głowę to w jedną, to w drugą stronę. Spoglądał w lusterko wsteczne, patrzył przed siebie, rzucał okiem w lusterko boczne. Reacher zauważył błysk metalowej szyny umieszczonej na nosie.

Samochód sprawiał wrażenie zimnego, jakby nie pracował od wielu godzin.

Facet był sam. Obserwował i czekał.

Na co?

Reacher wykonał zwrot i wrócił do hotelu tą samą drogą. Poszedł do holu i usiadł w fotelu. Siedział tak, rozmyślając o nowej hipotezie, która zaczęła kiełkować w jego głowie.

„Zadzwoiła do mnie jego żona”, powiedziała Neagley.

„Czego chciała od ciebie żona Franza?”.

„Niczego - odparła Neagley. - Po prostu powiedziała, co się stało”.

Po prostu powiedziała, co się stało.

Charlie sięgający na palcach klamki. Reacher zapytał: „Czy możesz sam otwierać drzwi?”. Mały chłopiec odpowiedział: „Tak, mogę”.

Później: „Charlie, idź się pobawić”.

„Myślę, że coś przed nami ukrywasz”.

„Zwykle koszty prowadzenia działalności”.

Reacher siedział w aksamitnym fotelu stojącym w holu Chateau Marmont, wiedząc, że ten, kto pierwszy wejdzie do środka - członkowie jego dawnego zespołu czy uzbrojeni po zęby zastępcy szeryfa - dowiedzie prawdziwości lub fałszywości jego przypuszczenia.

30

Pierwsi w drzwiach pojawili się członkowie jego dawnego zespołu lub ci, którzy z niego pozostali. Reszta. O'Donnell, Neagley i Dixon. Szybcy i niespokojni. Na jego widok zamarli z zaskoczenia. Pomachał im na powitanie.

- Nadal tu jesteś? - zapytał O'Donnell.

- Skądże, to złudzenie.

- Niezwykła sprawa.

- Co powiedziała Angela?

- Nic. Nie zna jego klientów.

- W jakim jest stanie?

- W takim jak kobieta, która niedawno straciła męża.

- Co sądzisz o Charliem?

- Miły dzieciak. Podobny do ojca. W pewnym sensie Franz ciągle żyje.

- Dlaczego jeszcze tu jesteś? - zapytała Dixon.

- To bardzo dobre pytanie - odparł Reacher.

- Znasz odpowiedź?

- Czy zastępca szeryfa nadal tu jest? Dixon skinęła głową.

- Widzieliśmy go z końca ulicy.

- Chodźmy na górę.

Poszli do pokoju Reachera i O'Donnella. Był to podwójny pokój, a więc nieco większy od pokoju Dixon. Reacher od razu wyciągnął pieniądze, paszport i kartę bankomatową z torby O'Donnella.

- Wygląda, że z nami zostaniesz - zauważył O'Donnell.

- Faktycznie. - Reacher skinął głową.

- Dlaczego?

- Ponieważ Charlie sam otworzył drzwi.

- Co z tego wynika?

- Odnoszę wrażenie, że Angela jest bardzo dobrą mamą. W najgorszym razie, normalną. Charlie był czysty, nakarmiony, ładnie ubrany, spokojny, zadbany i dopilnowany. Na tej podstawie wnioskuję, że Angela jest dobrą matką. Mimo to pozwoliła, aby dziecko otworzyło drzwi dwójce nieznajomych.

- Niedawno dowiedziała się o śmierci męża - rzekła Dixon. - Może była w szoku.

- Wręcz przeciwnie. Jej mąż zginął ponad trzy tygodnie temu. Sądzę, że doszła już trochę do siebie po jego śmierci. Teraz przyłgnęła do Charliego silniej niż kiedyś, został jej tylko on. Mimo to pozwoliła dziecku otworzyć drzwi, a później poprosiła, aby wyszedł się pobawić. Nie kazała mu pójść do swojego pokoju. Kazała mu wyjść na zewnątrz. W Santa Monica? W domu położonym przy ruchliwej ulicy? Dlaczego tak się zachowała?

- Nie mam pojęcia.

- Ponieważ wiedziała, że chłopak był bezpieczny.

- Skąd?

- Wiedziała, że zastępca szeryfa obserwuje dom.

- Tak sądzisz?

- Dlaczego zadzwoniła do Neagley dopiero po dwóch tygodniach?

- Była w szoku - powtórzyła Dixon.

- Niewykluczone - przytaknął Reacher. - Albo uczyniła to z innego powodu. Może w ogóle nie zamierzała do nas dzwonić. Uważała, że należymy do zamierzchłej przeszłości. Woląла obecne życie Franza. Dlatego że sama je tworzyła. My byliśmy symbolem starych złych czasów - twardych, niebezpiecznych, prostackich. Myślę, że odnosiła się do jego przeszłości z dezaprobatą. Może nawet z pewną dozą zazdrości.

- Zgadza się - powiedziała Neagley. - Odniosłam podobne wrażenie.

- W takim razie dlaczego zadzwoniła?

- Nie wiem.

- Postaw się na miejscu zastępców szeryfa. Mały posterunek, ograniczone zasoby. Znaleźli zwłoki na pustyni, zidentyfikowali je i wprawili maszynę w ruch. Postępowali zgodnie z przepisami. Najpierw sporządzili psychologiczny profil ofiary. W międzyczasie dowiedzieli się, że facet należał do specjalnej wojskowej grupy śledczej. Odkryli, że wszyscy starzy kumple z wyjątkiem jednego nadal pracują.

- Uznali nas za podejrzanych?

- Nie, myślę, że już na samym początku usunęli nas z kręgu podejrzeń. Później dochodzenie stanęło w miejscu. Brak śladów. Żadnego przełomu. Utkwili w martwym punkcie.

- I?

- Po dwóch tygodniach pełnych frustracji wpadli na pomysł. Angela powiedziała im o naszym zespole, o wzajemnej lojalności i naszej starej dewizie. Dostrzegli w tym szansę. Mieli w odwodzie niezależną grupę dochodzeniową. Inteligentnych i doświadczonych ludzi, którzy chcieli odkryć prawdę. Namówili Angelę, aby do ciebie zadzwoniła. Powiedziała, co się stało, i nic więcej. Wiedzieli, że to tak, jakby uruchomić króliczka z baterią Energizer. Wiedzieli, że przyjedziemy w mgnieniu oka. Wiedzieli, że będziemy poszukiwali odpowiedzi. Wiedzieli, że wystarczy, jeśli będą nas obserwować i podążać naszym tropem.

- To śmieszne - zachnął się O'Donnell.

- Sądzę, że tak właśnie było - kontynuował Reacher. - Angela powiedziała, że udało się jej zadzwonić do Neagley, więc umieścili ją na liście obserwowanych. Przejęli ją, gdy tylko pojawiła się w mieście, i śledzili, kryjąc się w zaroślach i patrząc, jak przybywają następni. Od tamtej pory obserwowali wszystkie nasze poczynania. Właśnie tego nie powiedziała nam Angela. Zastępcy poprosili ją, aby nas wystawiła, a ona wyraziła zgodę. Właśnie dlatego nadal jestem z wami. Nie ma innego wyjaśnienia. Zaliczyli złamany nos do kosztów działalności.

- Czubki.

- Jest sposób, aby to ustalić. Obejdź hotel i pogadaj z zastępcą.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Powinna pójść Dixon. Nie była z nami w Santa Ana. Jeśli się mylę, facet chyba jej nie zastrzelił.

31

Dixon wróciła trzydzieści minut później.

- Nie zastrzelił mnie - oznajmiła.

- To dobrze - powiedział Reacher.
- Przyznał się do czegoś?
- Nie potwierdził ani nie zaprzeczył.
- Jest zły z powodu swojej twarzy?
- Siny z wściekłości.
- Opowiedz mi wszystko.
- Zadzwoił do swojego szefa. Chcą się z nami spotkać. Tutaj. Za godzinę.
- Kim jest jego szef?
- Facet nazywa się Curtis Mauney. Pracuje w biurze szeryfa hrabstwa Los Angeles.
- W porządku - rzekł Reacher. - Tyle możemy zrobić. Zorientujemy się, co wie.

Potraktujemy go jak dupowatego komendanta żandarmerii polowej. Będziemy brać i nie damy nic w zamian.

Godzinę dzielącą ich od spotkania przeczekali w holu na dole. Bez stresu, bez napięcia. Służba wojskowa uczy człowieka sztuki czekania. O'Donnell wyciągnął się na kanapie i zaczął czyścić paznokcie nożem sprężynowym. Dixon jeszcze raz przejrzała siedem arkuszy, a następnie odłożyła je i zamknęła oczy. Neagley siedziała samotnie w fotelu przy ścianie. Reacher przycupnął pod starą oprawioną w ramki fotografią Raquel Welch. Zdjęcie wykonano przed hotelem, późnym popołudniem, kiedy światło miało złocistą barwę jak jej skóra. Fotograficy nazywają tę porę magiczną godziną. Krótką, pełną blasku, uroczą. Podobnie jak sława, pomyślał Reacher.

Czekał także ciemnowłosy czterdziestolatek posługujący się nazwiskiem Mason. Niebawem miał odbyć potajemnie spotkanie w swoim pokoju w hotelu Brown Palace w centrum Denver. Był dziwnie podenerwowany i nieswój. Z trzech powodów. Po pierwsze, pokój okazał się ciemny i zaniedbany. Oczekiwał czegoś innego. Po drugie, przy ścianie stała walizka. Ciemnoszara plastikowa walizka Samsonite, starannie dobrana podobnie jak wszystkie przedmioty, które były jego własnością - wystarczająco droga, aby harmonizować z atmosferą zamożności, którą roztaczał wokół siebie, lecz nie dość ostentacyjna, aby przyciągnąć niechcianą uwagę. W środku były obligacje na okaziciela i cięte diamenty, a także hasła dostępu do konta w banku szwajcarskim, na którym ulokowano znaczną kwotę. Ściśle mówiąc, sześćdziesiąt pięć milionów dolarów amerykańskich. Miał też świadomość, że ludzie, z którymi zamierzał się spotkać, nie należeli do tych, którym rozsądny człowiek powierzyłby łatwe do przeniesienia i niepozostawiające śladu aktywa.

Po trzeciej, kiepsko spał ostatniej nocy. Po zmroku powietrze wypełniała nieprzyjemna woń. Po chwili namysłu uznał, że był to zapach karmy dla psów. Najwyraźniej w pobliżu była fabryka, która ją wytwarzała, a wiatr kierował woń w niewłaściwym kierunku. Oczywiście, był to zapach mięsa. Wiedział, że zapach to fizyczne doznanie wywołane działaniem cząsteczek na wyściółkę nosa. Z technicznego punktu widzenia, cząstki mięsa dostawały się do jego nozdry. Mięsa, którego Azhari Mahmoud nie tknąłby za żadne skarby, w żadnych okolicznościach.

Wszedł do łazienki i obmył twarz po raz piąty tego dnia. Spojrzał na odbicie swojej twarzy w lustrze. Zacisnął szczęki. Nie był Azharim Mahmoudem. Nie dziś. Nazywał się Alan Mason i był obywatelem Zachodu, który miał tu coś do zrobienia.

W drzwiach holu Chateau Marmont stanął zastępca szeryfa Thomas Brant we własnej osobie. Miał dużego siniaka na czole i wygiętą metalową szynę przyklejoną plastrem do kości policzkowych tak ściśle, że skóra wokół oczu była napięta. Gdy szedł, krzywił się z bólu. Wyglądał na człowieka, który w jednej trzeciej odczuwa niepohamowaną wściekłość, że został załatwiony, w jednej trzeciej jest zażenowany, że do tego doszło, a w jednej trzeciej jest wkurzony, że dla dobra sprawy będzie musiał zapomnieć o swoich uczuciach. Za nim podążał starszy facet, który musiał być jego szefem, Curtisem Mauneyem. Mauney dobiegał pięćdziesiątki. Był niski, krępy i miał znużone spojrzenie gościa, który zbyt długo wykonuje tę samą robotę. Włosy pofarbowane nijaką czarną farbą nie pasowały do koloru brwi. Mauney niósł podniszczoną skórzaną teczkę.

- Który dupek uderzył mojego człowieka? - zapytał.

- Ubolewamy nad tym, co się stało.

- Nie czuję się źle z tego powodu. Mój człowiek nie miał szans. Trzech na jednego. Nawet jeśli jedną z trojga była dziewczyna.

Neagley spojrzała na niego takim wzrokiem, że facet ośleplby, gdyby spojrzenia przypominały sztylety. Mauney potrząsnął głową i powiedział:

- Nie ganię mojego chłopaka za nieznamość sztuki samoobrony. Nie powinniście tu przyjeżdżać i bić gliniarzy.

- Znajdował się poza obszarem swojej jurysdykcji, nie powiedział, że jest glina, i zachowywał się w podejrzanym sposobie. Sam się o to prosił - odparł Reacher.

- Po co tu przyjechaliście?

- Na pogrzeb przyjaciela.

- Jeszcze nie wydaliśmy ciała.

- Poczekamy.
- Czy to ty uderzyłeś mojego człowieka? Reacher skinął głową.
- Przepraszam. Powinniście nas poprosić.
- O co?
- O pomoc.

Mauney spojrział na niego obojętnym wzrokiem.

- Pomyśleliście, że ściągnęliśmy was, abyście nam mogli?
- A było inaczej? Szeryf pokręcił głową.
- Nie. Mielście posłużyć za przynętę.

32

Thomas Brant nie usiadł, powstrzymując się od wykonania gestu, który oznaczałby stanie się częścią grupy, w przeciwieństwie do szeryfa, który przysunął sobie fotel. Usiadł, umieścił teczkę między butami i oparł ręce na kolanach.

- Wyjaśnijmy sobie kilka rzeczy - zaczął. - Jesteśmy szeryfami hrabstwa Los Angeles. Nie jesteśmy wsiowymi kmiotami, idiotami czy ubogimi krewnymi. Jesteśmy szybcy i zwinni, inteligentni i kreatywni. W ciągu dwunastu godzin od znalezienia ciała wiedzieliśmy o każdym szczególe z życia Calvina Franza. Na przykład o tym, że był jednym z ośmiu żyjących członków elitarniej jednostki wojskowej. W ciągu dwudziestu czterech godzin ustaliliśmy, że zaginęli także trzej inni. Jeden mieszkający w Los Angeles, dwaj w Vegas. Rodzi to pytanie, co z was za elitarna grupa, prawda? W mgnieniu oka połowa waszych zaginęła.

- Przed wydaniem oceny wolałbym ustalić, kim jest nieprzyjaciel - powiedział Reacher.

- Kimkolwiek jest, z pewnością nie mamy do czynienia z Armią Czerwoną.
- Nigdy nie walczyliśmy z Armią Czerwoną. Służyliśmy w amerykańskich siłach zbrojnych.

- Rozejrzę się - powiedział Mauney. - Sprawdzę, czy osiemdziesiąta pierwsza powietrznodesantowa odniosła jakieś poważniejsze zwycięstwa.

- Sugeruje pan, że ktoś poluje na naszą ósemkę?
- Niczego nie sugeruję. Z pewnością nie można tego wykluczyć. Sprowadzenie waszej czwórki oznaczało stworzenie sytuacji, w której nie ma przegranych. Gdybyście się nie pojawili, uznałbym, że was dopadli, a wówczas mielibyśmy kolejne elementy układanki.

Gdybyście przyjechali, posłużylibyście za przynętę. Być może udałoby się was wykorzystać do wypłoszenia tamtych z kryjówki.

- A jeśli na nas nie polują?

- Wówczas kręcilibyście się w okolicy, czekając na pogrzeb. Nie mój problem.

- Pojechaliście do Vegas.

- Nie.

- W takim razie jak dowiedzieliście się o zaginięciu dwóch naszych?

- Zadzwońłem - wyjaśnił Mauney. - Pozostaję w bliskim kontakcie z szeryfem z Nevady, a ten często współpracuje z gliniarzami z Vegas. Wasi ludzie, Sanchez i Orozco, zaginęli trzy tygodnie temu. Mieszkania obydwu zostały przewrócone do góry nogami. W ten sposób się dowiedziałem. Telefon. Bardzo przydatny wynalazek.

- Zostały splądrowane jak biuro Franza?

- Podobnie.

- Czy coś przeoczyli?

- Dlaczego mieliby coś przeoczyć?

- Ludziom czasami się to zdarza.

- Czyżby coś przeoczyli w biurze Franza? „Potraktujemy go jak dupowatego komendanta żandarmerii polowej. Będziemy brać i nie damy nic w zamian”, rzekł wcześniej Reacher. Mauney okazał się lepszy od dupowatego komendanta żandarmerii polowej. Sprawa była jasna. Wyglądał na dobrego gliniarza. Nie był idiotą. Może nawet dałoby się z nim współpracować. Reacher skinął głową i powiedział:

- Ze Względów bezpieczeństwa Franz wysyłał pliki komputerowe na własny adres. Nie znaleźli ich, podobnie jak wy. Mamy je.

- Z jego skrytki pocztowej?

Reacher skinął głową.

- To przestępstwo federalne - przypomniał Mauney. - Powinieneś mieć nakaz rewizji.

- Nie dostałbym go - wyjaśnił Reacher. - Jestem na emeryturze.

- W takim razie nie powinieneś tego ruszać.

- Aresztuj mnie.

- Nie mogę - powiedział Mauney. - Nie jestem federalnym.

- Co przeoczyli w Vegas?

- To jakaś wymiana? Reacher skinął głową.

- Ty pierwszy.

- W porządku - zgodził się Mauney. - W Vegas przeoczyli serwetkę, na której coś napisano. Papierową serwetkę, jaką dają w chińskich restauracjach. Leżała poplamiona i zwinięta w kulkę w kubie na śmieci w kuchni Sancheza. Przypuszczam, że Sanchez jadł, gdy zadzwonił telefon. Zapisał coś, aby przenieść to do notatnika lub teczki, których nie mamy. Później wyrzucił serwetkę do kosza, ponieważ już jej nie potrzebował.

- Skąd wiemy, że to, co na niej napisał, ma jakiś związek ze sprawą?

- Nie wiemy - odparł Mauney. - Ale czas zdarzenia skłania do namysłu. Zamówienie chińszczyzny było ostatnią rzeczą, jaką Sanchez zrobił w Las Vegas.

- Co na niej zapisał?

Mauney schylił się, położył sfatygowaną teczkę na kolanach i otworzył zamki. Uniósł wieko i wyciągnął przezroczystą plastikową koszulkę zawierającą barwną kserokopię. Strona miała ciemną krawędź w polu, którego nie wypełniła serwetka. Na poznaczonej kropkami papierowej fakturze widniały plamy i ślady zagnieceń. I krótka notatka nakreślona znanym pismem Jorge Sancheza: *650 per \$100k*. Wyrazne pismo wyrażające pewność siebie, pochylone do przodu. Niebieski długopis kulkowy, którego atrament odcinał się wyraźnie na tle niebielonego beżowego papieru.

650 per \$100k.

- Co to może znaczyć? - zapytał Mauney.

- Wiem ryle co ty - odparł Reacher. Przyglądał się cyfrom, wiedząc, że wtóruje mu Dixon. K było przypuszczalnie skrótem oznaczającym tysiąc. Wojskowi z pokolenia Sancheza często się nim posługiwali, wyrobiwszy sobie ten nawyk na lekcjach matematyki, podczas studiów inżynierskich lub po długich latach służby za granicą, gdzie odległości mierzono w kilometrach zamiast milach. Kilometr stanowiący około 60 procent mili nazywano kolokwialnie „klickiem”. *Per* było łacińskim słowem oznaczającym „na”, np. „litry na kilometry” czy „kilometry na godzinę”.

- Sądzę, że jest to propozycja, zaoferowana cena - powiedział Mauney. - Że możesz mieć sześćset pięćdziesiąt sztuk czegoś za sto tysięcy.

- Albo informacja rynkowa - wtrącił O'Donnell. - Że sześćset pięćdziesiąt sztuk czegoś poszło po sto tysięcy za sztukę. W sumie dałoby to sześćdziesiąt pięć milionów dolarów. Spora transakcja. Wystarczająca, aby zabić.

- Zdarzało się, że zabijano dla sześćdziesięciu pięciu centów - powiedział Mauney. - Nie zawsze potrzeba do tego milionów dolarów.

Karla Dixon siedziała w milczeniu. Nieporuszona, cicha, zatopiona w myślach. Reacher domyślał się, że dostrzegła w „650” coś, czego on nie spostrzegł. Nie miał pojęcia co. Trudno było uznać taką liczbę za interesującą.

650 per \$100k.

- Inne pomysły? - zapytał Mauney. Nikt nie powiedział ani słowa.

- Co znaleźliście w skrytce pocztowej Franza?

- Pendrive - odpowiedział Reacher. - Do komputera.

- Co na nim jest?

- Nie wiemy. Nie potrafiliśmy złamać hasła.

- Możemy spróbować - zaproponował Mauney. - Mamy tu laboratorium komputerowe.

- Sam nie wiem. Została tylko jedna próba.

- Nie ma wyboru. To dowód w sprawie, dlatego należy do nas.- Podzielcie się informacjami? Mauney skinął głową.

- Przecież współpracujemy.

- W porządku. - Reacher skinął Neagley, która włożyła rękę do torby na zakupy i wyjęła srebrny plastikowy przedmiot. Podała mu go w zamkniętej dłoni. Odebrał pendrive i przekazał go Mauneyowi.

- Życzę powodzenia - powiedział.

- Jakież wskazówki? - zapytał Mauney.

- Pewnie to jakaś liczba - rzekł Reacher. - Franz lubił cyfry.

- Okej.

- Nawiasem mówiąc, Franz nie został wyrzucony z samolotu.

- Wiem - odparł Mauney. - Użyliśmy tego chwytu, aby was zainteresować. Wyrzucili go z pokładu helikoptera. Wiecie, ile prywatnych helikopterów ma zasięg lotu pozwalający dotrzeć do miejsca, w którym go znaleźliśmy?

- Nie.

- Ponad dziewięć tysięcy.

- Sprawdziliście gabinet Swana?

- Został zwolniony. Nie miał gabinetu.

- Zajrzeliście do jego domu?

- Przez okna - wyjaśnił Mauney. - Dom nie został przeszukany.

- Zajrzeliście do łazienki?

- Szyby w łazience są z matowego szkła.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział Reacher. - Sprawdziliście Swana i wysłaliście ludzi szeryfa z Nevady, aby sprawdzili Sancheza i Orozco. Dlaczego nie zadzwoniliście do dystryktu Kolumbii, Nowego Jorku i Illinois, aby dowiedzieć się o pozostałych?

- Ponieważ mieliśmy czym się zajmować.

- Czym?

- Miałem ich czterech na taśmie. Franza, Swana, Sancheza i Orozco. Całą czwórkę. Nagranie z systemu monitoringu wideo wykonane w noc poprzedzającą zaginięcie Franza.

33

Curtis Mauney nie czekał, aż go o to poproszą, lecz ponownie otworzył teczkę i wyjął kolejną plastikową koszulkę, w której znajdowało się zdjęcie zatrzymanej klatki z czarno-białego nagrania systemu monitoringu wideo. Zdjęcie przedstawiało czterech mężczyzn stojących obok siebie przed czymś, co przypominało kontuar sklepowy. Reacher nie dostrzegł żadnych szczegółów, ponieważ zdjęcie było odwrócone i znajdowało się daleko od niego.

- Zidentyfikowałem ich na podstawie starych fotografii, które Franz trzymał w sypialni w pudełku po butach schowanym w szafie wnekowej - wyjaśnił Mauney. Po tych słowach puścił zdjęcie dalej, podając je Neagley. Ta przyjrzała się mu przez chwilę. Na jej twarzy nie pojawił się żaden znak, z wyjątkiem światła odbitego od błyszczącej fotografii. Po kilku sekundach przekazała je Dixon, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Ta wpatrywała się w nie przez dziesięć długich sekund, raz zamrugła i oddała je O'Donnellowi. O'Donnell wziął fotografię, bacznie się jej przyjrzał, potrząsnął głową i oddał Reacherowi.

Z lewej strony kadru widniał spoglądający w prawo Manuel Orozco, którego kamera uchwyciła w tym jego stanie ciągłej nerwowości. Obok z rękami w kieszeniach i cierpliwym wyrazem twarzy stał Calvin Franz. Następny był Tony Swan zwrócony przodem do kamery, spoglądający przed siebie. Po prawej - Jorge Sanchez w koszuli zapiętej pod szyją. Bez krawata, z palcem wetkniętym za kołnierzyk. Reacher doskonale znał tę pozę. Widział ją tysiące razy. Oznaczała, że Sanchez ogolił się jakieś dziesięć godzin wcześniej i zaczął mu dokuczać zarost odrastający na szyi. Chociaż w dolnym prawym rogu zdjęcia nie było godziny, Reacher wiedział, że wykonano je wczesnym wieczorem.

Wszyscy sprawiali wrażenie nieco postarzałych. Orozco miał siwe włosy na skroniach i podkrążone, zmęczone oczy. Franz może nawet zrzucił kilka kilogramów. Z jego ramion zniknęło trochę mięśni. Swan był szerszy niż kiedyś, miał wydatny tors i był grubszy w pasie.

Krótkie włosy zaczesał do tyłu. Grymas niezadowolenia tak często pojawiający się na twarzy Sancheza zamienił się w trwały układ zmarszczek biegnących od nosa do brody i okalających usta.

Wydawali się starsi, może nawet odrobinę mądrzejsi. Spoglądając na ich zdjęcie, można było dostrzec ogromną ilość talentu, doświadczenia i możliwości. Poczucie koleżeństwa i niedawno odnowionego wzajemnego zaufania. Czterech twardzieli. Zdaniem Reachera czterech spośród najlepszych na świecie.

Kto lub co zdołało ich pokonać?

Za ich plecami dostrzegł znajome wąskie przejście między regałami sklepowymi.

- Gdzie je wykonano? - zapytał Reacher.

- W aptece w Culver City - wyjaśnił Mauney. - Obok biura Franza. Aptekarz ich zapamiętał. Swan kupił aspirynę.

- To do niego niepodobne.

- Dla psa. Zwierzak cierpiał na zapalenie stawu biodrowego. Dawał mu codziennie ćwiartkę aspiryny. Farmaceuta poinformował Swana, że ten lek często podaje się psom. Szczególnie dużym.

- Ile aspiryny kupił?

- Duże opakowanie. Dziewięćdziesiąt sześć tabletek. Generyczną postać leku.

- Gdyby podawał mu ćwiartkę dziennie, starczyłoby na rok i dziewiętnaście dni - zauważyła Dixon.

Reacher spojrział ponownie na zdjęcie. Czterech facetów. Wszyscy rozluźnieni, żadnego śladu pośpiechu, jakby dysponowali mnóstwem czasu. Aspiryna miała wystarczyć psu na ponad rok.

Niczego się nie spodziewali.

Kto lub co ich pokonało?

- Mogę zatrzymać to zdjęcie? - zapytał.

- W jakim celu? - zdziwił się Mauney. - Zobaczyłeś coś szczególnego.

- Czterech starych przyjaciół. Mauney skinął głową.

- Zatrzymaj je. To kopia.

- Co dalej?

- Zostańcie tutaj - polecił Mauney. Zamknął wieko teczki i przekręcił zamki, których kliknięcie wydało głośny dźwięk w panującej ciszy. - Trzymajcie się na widoku i dzwońcie, jeśli zauważycie, że ktoś tu węszy. Żadnych działań na własną rękę, rozumiano?

- Przyjechaliśmy na pogrzeb - powiedział Reacher.

- Czyj?

Na to pytanie Reacher nie odpowiedział. Wstał, odwrócił się i ponownie spojrzął na fotografię Raquel Welch. W szkłe, za którym umieszczono zdjęcie, ujrzał podnoszącego się Mauneya i pozostałych. Kiedy ludzie wstają, pochylają się do przodu, a zatem przez chwilę są bliżej niż wówczas, gdy siedzieli. Dlatego kolejną czynnością o charakterze społecznym jest wycofanie się, odwrócenie, rozproszenie, poszerzenie kręgu, uszanowanie cudzej przestrzeni. Oczywiście Neagley okazała się najszybsza. Mauney odwrócił się do drzwi, w stronę wąskiego przejścia między fotelami. O'Donnell ruszył w drugą stronę, do wnętrza hotelu. Dixon zrobiła krok, odsuwając się od stolika, drobna, zwinna i bystra.

Tylko Thomas Brant ruszył w inną stronę niż pozostali.

Do środka zamiast na zewnątrz.

Reacher nie odrywał wzroku od tafli szkła, za którą widniała fotografia Raquel. Obserwował brązowe odbicie Brania. Od początku wiedział, co się stanie. Brant zamierzał poklepać golewą ręką po prawym ramieniu. Reacher miał się pytająco odwrócić i zainkasować potężny prawy prosty w twarz.

Brant zrobił kolejny krok. Reacher skupił wzrok na złotym pierścieniu w dolinie między piersiami Raquel. Lewa dłoń Brania powędrowała do przodu, a prawa, cofnęła się. Wyprostował palec wskazujący lewej dłoni, podczas gdy prawa zacisnęła się w pięść wielkości piłki do softballu. Dobra, chociaż nie imponująca technika. Reacher wyczuł, że tamten nie umieścił stóp w idealnej pozycji. Brant był gościem wszczyńającym burdy, a nie wojownikiem. Sam spowolnił się o połowę.

Poczuł klepięcie w ramię.

Ponieważ Reacher wiedział, co się stanie, odwrócił się szybciej niż zwykle i zablokował cios lewą dłonią tuż przed nosem. Tak jakby złapał niską piłkę gołą dłonią w polu wewnętrznym. Silny cios, zadany przez gościa o sporej masie. Dźwięk uderzenia był głośny jak cholera. Reacher poczuł piekący ból sięgający ścięgien.

Później potrzebne było jedynie nadludzkie opanowanie.

Zwierzęcy instynkt i pamięć mięśniowa nakazywały mu walnąć czołem w uszkodzony nos Branta. Bez większego namysłu. Pod wpływem adrenaliny. Ruch tułowia z biodra, wystarczające odchylenie, aby zadać cios. Reacher opanował go w wieku pięciu lat. Ta reakcja miała się stać niemal obowiązkowa w jego późniejszym życiu.

Tym razem ją powstrzymał.

Stał nieruchomo, trzymając zaciśniętą pięść Branta. Spojrzął mu w oczy, zrobił wydech i potrząsnął głową.

- Raz przeprasilem - powiedzial. - Teraz robie to po raz drugi. Jesli tego ci malo, poczekaj, az zamkniemy sprawe. Bede w okolicy. Sprowadzisz dwuch kumpli i napadniecie mnie we trzech, gdy nie bede sie niczego spodziewal. Chyba to fair, nie?

- Moze to zrobie - odparl Brant.

- Powinienes. Tylko starannie dobierz kumpli. Nie pros facetow, ktorzy nie stac na spedenie sześciu miesiecy w szpitalu.

- Twardziel.

- To nie ja nosze szyne na twarzy. Przerwal im Curtis Mauney:

- Nie chce zadnych bojek. Ani teraz, ani pozniej. - Po tych slowach odciagnal Branta za kołnier. Reacher poczekal, az obaj znikna w drzwiach, a nastepnie skrzywil sie i dziko potrzasnal lewa reka.

- Cholera, ale piecze.

- Zrob sobie oklad z lodu - poradzila Neagley.

- Potrzyмай w niej puszkę zimnego piwa - zaproponowal O'Donnell.

- Zapomnij o wszystkim i pozwol, zebym powiedziala ci, co mysle o liczbie sześćset pięćdziesiąt - powiedziala Dixon.

34

Poszli do pokoju Dixon, która starannie ułożyla arkusze na lozku.

- Okej - oznajmila. - Mamy tu siedem kolejnych miesiecy kalendarzowych. To analiza jakichs wynikow. Dla uproszczenia nazwijmy je trafieniami i pudłami. Pierwsze trzy miesiace sa całkiem niezle. Duzo trafien, niewiele pudeł. Przeciętna trafien rzędu dziewięćdziesięciu procent. Wiem, ze chcecie, abym byla dokladna, wiec powiem, ze chodzi dokladnie o osiemdziesiąt dziewięć i pięćdziesiąt trzy setne procent.

- Mow dalej - powiedzial O'Donnell.

- W czwartym miesiacu mamy do czynienia ze spadkiem, który od tego czasu stale sie pogłębia.

- Przecież wszyscy o tym wiemy - zachnela sie Neagley.

- Na potrzeby argumentacji przyjmijmy pierwsze trzy miesiace za punkt odniesienia. Wiemy, ze moga osiagnac wynik rzędu dziewięćdziesięciu procent. Sa do tego zdolni. Przypuscmy, ze mogliby i osiagaliby takie wyniki w nieskonczoność.

- To im sie nie udalo - zaprotestowal O'Donnell.

- Wlasnie. Mogli, lecz im sie nie udalo. Do czego to doprowadzilo?

- Pudlowali czesciej niz przedtem - odpowiedziala Neagley.

- Ile razy więcej?

- Nie mam pojęcia.

- A ja tak - odparła Dixon. - Gdyby udało im się utrzymać dotychczasowy poziom, uniknęliby dokładnie sześciuset pięćdziesięciu pudeł.

- Naprawdę?

- Naprawdę - przytaknęła Dixon. - Liczby nie kłamią, a procenty są rodzajem liczb. Pod koniec trzeciego miesiąca wydarzyło się coś, co miało ich kosztować sześćset pięćdziesiąt nieudanych prób.

Reacher skinął głową. W sumie sto osiemdziesiąt trzy dni i dwa tysiące sto dziewięćdziesiąt siedem zdarzeń. Tysiąc trzysta czternaście trafień i osiemset osiemdziesiąt trzy kiks. Rozkład wyników był wyraźnie nierównomierny. Pierwsze trzy miesiące: osiemset dziewięćdziesiąt siedem zdarzeń, osiemset dwa trafienia i dziewięćdziesiąt pięć pudeł. Kolejne cztery miesiące: tysiąc trzysta zdarzeń, marnych pięćset dwanaście trafień i katastrofalna liczba siedmiuset dziewięćdziesięciu ośmiu pudeł, z których można by uniknąć sześciuset pięćdziesięciu, gdyby coś nie uległo zmianie.

- Szkoda, że nie wiemy, czego szukać - powiedział.

- To sabotaż - stwierdził O'Donnell. - Zapłacili komuś, aby coś spieprzył.

- Po tysiąc dolców za każde zdarzenie? - zapytała Neagley. - Sześćset pięćdziesiąt razy? Niezła robota, pod warunkiem że potrafisz ją zdobyć.

- Sabotaż odpada - zaprzeczył Reacher. - Za sto tysięcy można by z łatwością przekupić całą fabrykę lub biuro. Może nawet całe miasteczko. Nie musiałbyś płacić za każdym razem.

- W takim razie o co chodzi?

- Nie mam pojęcia.

- A jednak wszystko do siebie pasuje - zauważyła Dixon. - Nie sądzicie? Istnieje wyraźny matematyczny związek pomiędzy tym, o czym wiedzieli Franz i Sanchez.

Minutę później Reacher podszedł do okna w pokoju Dixon i wyjrzał na zewnątrz.

- Czy możemy przyjąć, że Orozco wiedział to co Sanchez?

- Jasne - odpowiedział O'Donnell. - I vice versa, przecież byli kumplami. Wspólnie pracowali. Rozmawiali ze sobą cały czas.

- Zatem brakuje nam tego, co wiedział Swan. Tamci zostawili jakieś ślady. On nie pozostawił niczego.

- Jego dom jest czysty. Nic tam nie ma.

- Podobnie jak w jego biurze.

- Nie miał biura. Został zwolniony.

- Całkiem niedawno. Jego gabinet pozostał wolny. New Age Defense Systems zwalnia pracowników i nie zatrudnia nikogo na ich miejsce. Mają dużo wolnej przestrzeni. Gabinet Swana został pewnie tymczasowo zamknięty. Komputer nadal stoi na biurku. Może w szufladach biurka zostały jakieś notatki lub coś w tym rodzaju.

- Chcesz się ponownie spotkać z tą heterą?

- Myślę, że powinniśmy.

- Powinniśmy zadzwonić, zanim tam pojedziemy.

- Lepiej będzie, jeśli pojawimy się bez uprzedzenia.

- Chciałbym zobaczyć gabinet Swana - rzekł O'Donnell.

- Ja również - powiedziała Dixon.

Prowadziła Dixon. Ona wypożyczyła wóz, ona prowadzi. Skręciła w kierunku wschodniej części Sunset, zmierzając do autostrady Sto Jeden. Neagley wyjaśniła jej, co powinna zrobić, gdy się na niej znajdzie. Trudna trasa. Samochody poruszające się w żółtym tempie. Ale droga prowadząca przez Hollywood była niezwykle malownicza. Widać było, że jazda sprawia przyjemność Dixon. Lubiła Los Angeles.

Facet w ciemnoniebieskim chryslerze śledził ich przez całą drogę. Przed wjazdem na autostradę, kiedy minęli studia nagraniowe KTLA, wybrał numer.

- Cała czwórka jedzie na wschód - powiedział szefowi. - Wszyscy są w jednym samochodzie.

- Jestem nadal w Kolorado - odpowiedział tamten. - Obserwuj ich dalej, dobrze?

35

Dixon wjechała przez otwartą bramę New Age Defense Systems i zaparkowała na tym samym miejscu dla gości co Neagley, dokładnie na wprost lśniącej sześciennej bryły biurowca. Piękne drzewa stały nieruchomo w ciężkim powietrzu. Za kontuarem dostrzegli tę samą recepcjonistkę. Ubraną w tę samą koszulkę polo. Zareagowała równie ociężale jak poprzednio. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi, lecz podniosła głowę dopiero wówczas, gdy Reacher położył dłoń na kontuarze.

- Czym mogę służyć? - zapytała.

- Chcielibyśmy zobaczyć się ponownie z panią Berenson - wyjaśnił. - Z działu kadr.

- Sprawdzę, czy ma teraz czas - odparła recepcjonistka. - Proszę usiąść.

O'Donnell i Neagley usiedli, lecz Reacher i Dixon stali. Dixon była zbyt niespokojna, aby tego dnia spędzić więcej czasu na siedząco. Reacher stał, ponieważ gdyby usiadł obok Neagley, wywołałby u niej uczucie przytłoczenia, a gdyby wybrał inne miejsce, zastanawiałaby się dlaczego.

Po czterech minutach oczekiwania usłyszeli znajomy odgłos uderzeń obcasów o posadzkę. Berenson wyłoniła się z korytarza za rogiem i bez wahania ruszyła w ich stronę. Mijając recepcjonistkę, skinęła głową w geście podziękowania. Gościom posłała dwa uśmiechy - jeden Reacherowi i Neagley, ponieważ już się znali, drugi O'Donnellowi i Dixon, ponieważ nie wiedziała, kim są. Dostrzegli blizny pod makijażem Berenson, wyczuli chłodny dystans. Otworzyła aluminiowe drzwi i stanęła nieruchomo, dopóki wszyscy nie weszli do środka.

Ponieważ w sali konferencyjnej były cztery krzesła, Berenson zajęła miejsce przy oknie. Uprzejmy gest podkreślający psychologiczną dominację. Goście musieli podnieść głowę, aby na nią spojrzeć i mrużyć oczy z powodu promieni słońca, które świeciły ją od tyłu.

- W jaki sposób mogę wam dzisiaj pomóc? - zapytała. W jej tonie dało się wyczuć nutkę protekcjonalności. Lekkie poirytowanie. Nieznaczne zaakcentowanie dzisiaj.

- Tony Swan zaginał - odparł Reacher.

- Zaginał?

- Tak jak „zaginał w akcji”. Nie możemy go odnaleźć.

- Nie pojmuję.

- Nie jest to zbyt trudne do zrozumienia.

- Swan może być dosłownie wszędzie. Mógł znaleźć pracę w innym stanie, wyjechać na dawno odkładane wakacje do miejsca, które zawsze pragnął odwiedzić. Ludzie czasami tak postępują w sytuacji, w jakiej znajdował się pan Swan. To jak obserwowanie promieni słońca prześwitujących zza chmur.

- Jego pies zdechł z pragnienia, uwięziony w domu. Trudno dopatrzeć się w tym promieni słońca zza chmur - odparł O'Donnell. - Ja widzę same chmury. Swan nigdzie nie wyjechał, aby zrealizować swoje plany.

- Jego pies? To straszne!

- Właśnie - przytaknęła Dixon.

- Suka nazywała się Maisi - dodała Neagley.

- Nie wiem, jak mogłabym wam pomóc - powiedziała Berenson. - Pan Swan odszedł ponad trzy tygodnie temu. Czy nie powinna się tym zająć policja?

- Badają sprawę - wyjaśnił Reacher. - Podobnie jak my.

- Nie mam pojęcia, w czym mogłabym okazać się przydatna.

- Chcielibyśmy zobaczyć jego biurko i komputer. Dziennik. Mógł zostawić w nim jakieś notatki. Informacje, zapiski na temat spotkań.

- Jakie zapiski?

- Na temat tego, co mogło spowodować jego zaginięcie.

- Nie zniknął z powodu New Age Defense Systems.

- Być może. Wiadomo jednak, że ludzie załatwiają w biurze prywatne sprawy. Robią notatki na temat swojego osobistego życia.

- Nie tutaj.

- Dlaczego nie? Cały czas zajmujecie się sprawami zawodowymi?

- Nie znajdziecie żadnych notatek. Żadnego papieru. Żadnych długopisów ani ołówków. To podstawowa zasada bezpieczeństwa. Nasze środowisko jest całkowicie pozbawione papieru. Tak jest bezpieczniej. Przyjęliśmy taką filozofię. Człowiek, który pomyśli o jej złamaniu, jest natychmiast zwalniany. Wszystkie dane są zapisywane w pamięci komputerów. Mamy wewnętrzną sieć z zaporami bezpieczeństwa i automatycznym wyrwykowym systemem monitorowania danych.

- W takim razie czy moglibyśmy zobaczyć jego komputer? - zapytała Neagley.

- Pewnie moglibyście - odpowiedziała Berenson. - Nie sądzę jednak, aby wam to coś dało. W ciągu trzydziestu minut od odejścia pracownika wyjmujemy i niszczymy twarde dyski jego komputera. Rozbijamy go w drobny mak. Fizycznie. Młotkami. To kolejna zasada bezpieczeństwa, którą stosujemy.

- Młotkami? - zdziwił się Reacher.

- To jedyna skuteczna metoda. W przeciwnym razie można odzyskać dane.

- Zatem nie pozostał po nim żaden ślad?

- Obawiam się, że tak.

- Macie bardzo surowe zasady.

- Wiem. Pan Swan sam je wprowadził. W pierwszym tygodniu pracy. Był to pierwszy poważniejszy wkład, który wniósł do działalności naszej firmy.

- Czy z kimś rozmawiał? - zapytała Dixon. - Miał przyjaciół? Czy miał tu kogoś, z kim mógł się podzielić swoimi troskami?

- Sprawami osobistymi? - zapytała Berenson. - Wątpię. Nie byłoby to właściwe. W firmie odgrywał rolę gliny. Aby być skutecznym, musiał udawać niedostępnego.

- A jego szef? - wtrącił O'Donnell. - Mogli przecież ze sobą rozmawiać. Z zawodowego punktu widzenia płynęli w tej samej łódce.

- Zapytam go - powiedziała Berenson.

- Jak się nazywa?

- Nie mogę udzielać takich informacji.

- Jest pani bardzo dyskretna.

- Pan Swan na to nalegał.

- Możemy się z nim spotkać?

- Obecnie nie ma go w mieście.

- Kto prowadzi kram?

- W pewnym sensie pan Swan. Procedury, które wdrożył, nadal działają.

- Rozmawiał z panią?

- O sprawach osobistych? Nie, nigdy.

- Czy tydzień przed zwolnieniem sprawiał wrażenie zdenerwowanego lub zmartwionego.

- Nie zauważyłam.

- Czy wykonywał wiele telefonów?

- Tak, podobnie jak my wszyscy.

- Co pani zdaniem mogło się mu przytrafić?

- Moim zdaniem? - zdziwiła się Berenson. - Naprawdę nie mam pojęcia. Odprowadziłam go do samochodu i powiedziałam, że gdy sytuacja ulegnie poprawie, będę go błagała, żeby wrócił. Odparł, że będzie czekał. Więcej go nie widziałam.

Wrócili do samochodu Dixon i odjechali. Reacher obserwował w lustrzanych panelach, jak odbicie forda staje się coraz mniejsze.

- Zmarnowany czas - powiedziała Neagley. - Mówiłam, że powinniśmy zadzwonić.

- Chcieliśmy zobaczyć, gdzie pracował - odparła Dixon.

- „Pracował” to niewłaściwe słowo - zauważył O'Donnell. - Wykorzystali go, to wszystko. Przez rok korzystali z jego wiedzy, a następnie wykopali na bruk. Wdrożyli jego pomysły, nie dając mu pracy.

- Na to wygląda - przytaknęła Dixon.

- Niczego tu nie produkują. Budynek jest pozbawiony ochrony.

- To jasne. Muszą mieć gdzieś fabrykę. W jakimś odludnym miejscu.; -
- W takim razie dlaczego UPS nie dysponuje tym adresem?
- Może jest zastrzeżony. Może nie adresują tam przesyłek.
- Chciałbym wiedzieć, co produkują.
- Dlaczego? - zapytała Dixon.
- Zwykła ciekawość. Im więcej wiesz, tym więcej masz szczęścia.
- W takim razie dowiedz się - powiedział Reacher.
- Nie mam kogo zapytać.
- A ja mam - wtrąciła się Neagley. - Znam gościa pracującego w dziale zamówień

Pentagonu.

- Zadzwoń do niego - polecił Reacher.

Ciemnowłosy czterdziestolatek podający się za Alana Masona właśnie kończył spotkanie w swoim pokoju w Denver. Jego gość zjawił się punktualnie w towarzystwie jednego ochroniarza. Mason uznał oba fakty za pozytywny sygnał. Cenił punktualność w biznesie, a przewagę rzędu dwóch na jednego uważał za luksus. Często prowadził interesy, mając po drugiej stronie sześciu lub dziesięciu.

Dobry początek, po którym odnotował znaczący postęp. Obyło się bez kiepskich argumentów tłumaczących opóźnienie dostawy, zaniżonych liczb lub innych trudności. Żadnej przynęty ani zmiany stanowiska. Żadnej próby renegotjowania umowy ani zawyżonych cen. Wszystko zgodnie z umową. Sześćset pięćdziesiąt sztuk po tysiąc dolarów każda.

Mason otworzył walizkę, a jego klient rozpoczął zmuśny proces przeliczania jej zawartości. Środki na koncie w banku szwajcarskim i obligacje na okaziciela nie budziły żadnych wątpliwości. Wystarczyło rzucić na nie okiem. Ocena diamentów była bardziej subiektywna. Oczywiście, podał wagę w karatach, lecz dużo zależało od czystości i szlifowania kamieni. W rzeczywistości ludzie Masona celowo zaniżyli ich wartość, aby tamci byli zadowoleni. Gest Masona szybko został dostrzeżony. Klient wyraził zadowolenie i zgodził się, że walizka zawiera sześćdziesiąt pięć milionów dolarów.

W tym momencie stała się jego własnością.

W zamian Mason otrzymał klucz i kartkę.

Klucz był mały i stary, odrapany i zużyty, zwyczajny i pozbawiony oznaczeń. Przypominał klucz, który ślusarz wykona na oczekaniu w każdym sklepie żelaznym. Mason usłyszał, że jest to klucz do kłódki kontenera oczekującego w jednym z doków Los Angeles.

Kartka była kwitem załadunkowym, na którym zawartość kontenera opisano jako sześćset pięćdziesiąt odtwarzaczy DVD.

Kiedy gość Masona i jego ochroniarz wyszli, ten poszedł do łazienki i spalił swój paszport w muszli klozetowej. Pół godziny później opuścił hotel jako Andrew McBride i skierował się w stronę lotniska. Ze zdumieniem stwierdził, że z niecierpliwością czeka na muzykę jugbandową.

Frances Neagley zadzwoniła do Chicago z samochodu Dixon. Poprosiła asystenta, aby wysłał e-mail do jej znajomego w Pentagonie z wyjaśnieniem, że nie ma jej w biurze. Że jest w Kalifornii i nie ma dostępu do bezpiecznej linii. I że ma pytanie na temat tego, co wytwarza New Age Defense Systems. Wiedziała, że jej znajomy woli odpowiedzieć na e-mail niż rozmawiać przez komórkę na otwartym paśmie.

- Masz w biurze bezpieczne telefony? - zdziwił się O'Donnell.

- Jasne.

- To niesamowite. Kim jest ten facet?

- Gościem, który jest mi winien przysługę - odpowiedziała Neagley.

- Wystarczająco dużą, aby dostarczyć to, o co prosimy?

- Zawsze.

Dixon zjechała ze Sto Pierwszej w Sunset i skręciła na zachód do hotelu. Ulice były zakorkowane. Zostało im niecałe pięć kilometrów. Biegacz pokonałby ten dystans szybciej od nich. Kiedy przybyli na miejsce, zauważyli crown vica czekającego przed wejściem. Nieoznaczony policyjny radiowóz. Nie należał do Thomasa Branta. Był nowszy, nie miał uszkodzeń i posiadał nieco inny odcień.

Crown vic należał do Curtisa Mauneya.

Mauney wysiadł, gdy tylko Dixon zaparkowała. Podszedł do nich niski, krępy, stary i zmęczony. Stanął przed Reacherem i zawahał się, aby po chwili zapytać:

- Czy jeden z waszych przyjaciół miał tatuaż na plecach? Zadał to pytanie delikatnym tonem.

Cicho.

Ze współczuciem.

- Chryste - jęknął Reacher.

Manuel Orozco przez cztery lata uczęszczał do college'u za pieniądze armii, mając nadzieję, że zostanie oficerem piechoty. Jego mała siostra bardzo się bała, że brat polegnie w walce, a rozległe obrażenia twarzy spowodują, iż nie zostanie zidentyfikowany. W rezultacie ona nigdy się nie dowie, co go spotkało. Orozco powiedział jej o nieśmiertelnikach. Odparła, że wojskowy identyfikator może zostać zerwany lub zgubiony. Wspomniał o odciskach palców. Ona na to, że może stracić kończyny. Powiedział o identyfikacji za pomocą dokumentacji stomatologicznej. Ona odparła, że pocisk może mu rozerwać szczękę. Później zdał sobie sprawę, że jej lęk miał głębsze podłoże, wówczas jednak uznał, iż rozwieje go duży tatuaż umieszczony w górnej części pleców. Napis *Orozco, M.*, wytatuowany dużymi czarnymi literami z równie dużym numerem służbowym poniżej. Kiedy wrócił do domu i triumfalnie ściągnął koszulkę, z zaskoczeniem stwierdził, że dzieciak płacze jeszcze głośniej.

W końcu udało mu się uniknąć służby w piechocie i trafić do 110. oddziału żandarmerii. Reacher od razu ochrzcił go „workiem marynarskim”, ponieważ szerokie oliwkowe plecy Orozco wyglądały jak wojskowy worek z nazwiskiem i numerem. Piętnaście lat później Reacher stał na skąpanym w słońcu parkingu Chateau Marmont, mówiąc:

- Znaleźliście kolejne ciało.
- Obawiam się, że tak - odparł Mauney.
- Gdzie?
- W tym samym rejonie. W rowie.
- Zrzucili go z helikoptera?
- Na to wygląda.
- To Orozco - rzekł Reacher.
- Takie nazwisko ma wypisane na plecach - przytaknął Mauney.
- W takim razie dlaczego pytasz?
- Musimy mieć pewność.
- Wszystkie zwłoki powinny być równie łatwe do zidentyfikowania.
- Kto jest najbliższym krewnym zmarłego?
- Ma gdzieś siostrę. Znacznie młodszą.
- W takim razie powinienesz dokonać formalnej identyfikacji. Gdybyś był tak uprzejmy. Młodsza siostra nie powinna tego oglądać.
- Jak długo leżał w tym rowie?
- Długo.

Wsiadli do samochodu i Dixon ruszyła za Mauneyem do kostnicy hrabstwa położonej na północ od Glendale. Nikt się nie odezwał słowem. Reacher siedział z tyłu, obok O'Donnella i robił to samo co on. Mimowolnie wspominał Orozco. Facet był prawdziwym kpiarzem. Po części zachowywał się tak rozmyślnie, po części, nieświadomie. Chociaż miał meksykańskie korzenie, przyszedł na świat w Teksasie i wychował w Nowym Meksyku, przez wiele lat udawał białego Australijczyka. Do każdego mówił „stary”. Doskonale nadałby się na dowódcę, chociaż nigdy nie wydawał rozkazów. Czekał, aż młodszy oficer lub żołnierz zrozumie, o co mu chodzi, a następnie mówił: „Jeśli nie masz nic przeciwko, stary, bardzo proszę”. Powiedzonko to stało się równie znane jak „nie zadzieraj”.

„Kawy?”

„Jeśli nie masz nic przeciwko, stary, bardzo proszę”. „Papierosa?”

„Jeśli nie masz nic przeciwko, stary, bardzo proszę”. „Chcesz, abym zastrzelił jego matkę?”. „Jeśli nie masz nic przeciwko, stary, bardzo proszę”. - Przecież już wiedzieliśmy - zaczął O'Donnell. - To nie jest niespodzianka.

Nikt nie odpowiedział.

Kostnica hrabstwa okazała się nowym ośrodkiem medycznym ze szpitalem po jednej stronie szerokiej nowej ulicy. Po drugiej znajdował się punkt, w którym przyjmowano ciała z miast niemających własnej kostnicy. Biały betonowy sześcian na kolumnach sięgających pierwszego piętra. Samochód przewożący zwłoki mógł wjechać do środka budynku aż do ukrytych drzwi windy. Schludnie, czysto i dyskretnie. Po kalifornijsku. Mauney zaparkował na miejscu dla gości w pobliżu drzew. Dixon stanęła obok niego. Wsiadli i zatrzymali się na chwilę, rozprostowując kości, rozglądając się i marnując czas.

Nikt nie pragnął tej podróży.

Mauney ruszył przodem. W pobliżu oznaczonego pasami przejścia znajdowała się winda dla personelu. Mauney wcisnął guzik i po chwili rozsunęły się drzwi. Poczuli chłodne, przesycone chemikaliami powietrze. Mauney wszedł pierwszy, po nim Reacher, O'Donnell, Dixon i Neagley.

Mauney nacisnął przycisk oznaczony czwórką.

Drzwi trzeciego piętra były zimne jak drzwi chłodni mięsnej. Weszli do prostego pomieszczenia z szerokim wewnętrznym oknem zasłoniętym żaluzjami. Tu dokonywano identyfikacji. Mauney przeszedł przez pokój, kierując się do sali ze zwłokami. W trzech ścianach znajdowały się drzwi szuflad chłodni. Kilkanaście. Powietrze było lodowate, przesycone zapachami, pełne refleksów odbijanych od stalowych powierzchni. Mauney

wyciągnął jedną z szuflad. Wysunęła się bez oporu, jakby była umieszczona na kulkowej prowadnicy. Na całą długość, dopóki nie zatrzymała się na gumowych ogranicznikach.

Wewnątrz znajdowało się ciało mężczyzny hiszpańskiego pochodzenia. Nadgarstki i kostki denata związane twardym rzemieniem, który głęboko wpił się w ciało. Ręce skrepowano za plecami. Głowa i barki zostały poważnie uszkodzone. Zwłoki były prawie nie do rozpoznania.

- Uderzył głową o ziemię - rzekł cicho Reacher - jeśli został w taki sposób związany i wyrzucony z helikoptera.

- W pobliżu zwłok nie było żadnych śladów - wyjaśnił Mauney.

Inne szczegóły medyczne były trudne do rozpoznania. Ciało znajdowało się w zaawansowanym stadium rozkładu, lecz z powodu pustynnego upału i suchego powietrza wyglądało jak zmumifikowane. Wydawało się skurczone, pomniejszone, zapadnięte, twarde jak podeszwa. Puste. Dostrzegli niewielkie uszkodzenia spowodowane przez zwierzęta. Upadek do rowu zapobiegł większym.

- Rozpoznajesz go? - zapytał Mauney.

- Niezupełnie - odparł Reacher.

- Zobacz tatuaż. Reacher nawet nie drgnął.

- Chcesz, abym wezwał sanitariusza?

Reacher potrząsnął głową i wsunął dłoń pod lodowaty bark denata. Uniósł ciało, które przewróciło się dziwnie, jakby stanowiło jedną sztywną bryłę - kłodę lub pniak. Kiedy zwłoki znalazły się na brzuchu, związane ręce powędrowały w górę, jakby do ostatka toczyły rozpaczliwą walkę o uwolnienie.

Z pewnością tak było, pomyślał Reacher.

Tatuaż był lekko pofałdowany, zwinięty, zmięty i pomarszczony z powodu luźnej tkanki martwiczej i nienaturalnego wewnętrznego nacisku górnej części ramion.

Napis wyblakł pod wpływem czasu.

Mimo to nie było żadnych wątpliwości.

Orozco, M.

Pod spodem numer służbowy składający się z dziewięciu cyfr.

- To on - rzekł Reacher. - To Manuel Orozco.- Jest mi ogromnie przykro - powiedział Mauney. Przez chwilę panowała cisza. Słysząc było jedynie chłodne powietrze wypychane przez aluminiowe przewody wentylacyjne.

- Czy nadal przeczესujecie okolice? - zapytał Reacher.

- W poszukiwaniu pozostałych? Nie robimy tego w sposób aktywny, jakby zaginęło dziecko.

- Czy macie tu również Franza? W jednej z tych cholernych szuflad?

- Chcesz go zobaczyć? - zapytał Mauney.

- Nie - odpowiedział Reacher. Spojrzał na Orozco i zapytał: - Kiedy przeprowadzicie autopsję?

- Wkrótce.

- Czy sznur coś nam powie?

- Przypuszczalnie jest zbyt pospolity.

- Wiadomo, kiedy Orozco zginął?

Mauney uśmiechnął się słabo jak gliniarz do gliniarza.

- Kiedy uderzył o ziemię.

- To znaczy kiedy?

- Trzy, cztery tygodnie temu. Sądzymy, że zginął przed Franzem, lecz nigdy się tego nie dowiemy.

- Dowiemy się - zaprzeczył Reacher.

- Jak?

- Zapytam tego, kto to zrobił. Zapewniam cię, że mi powie. Będzie błagał o taką możliwość.

- Żadnych niezależnych działań, pamiętasz?

- Możesz sobie pomarzyć.

Mauney został, aby odwalić papierkową robotę, podczas gdy Reacher, Neagley, Dixon i O'Donnell zjechali na dół, aby wyjść na ciepło i słońce. Stali na parkingu, nie odzywając się ani słowem, nie robiąc niczego, gotując się z tłumionej wściekłości. To normalne, że żołnierze myślą o śmierci. Żyją w jej cieniu i ją akceptują. Niektórzy nawet jej pragną. W głębi duszy chcą jednak, aby była sprawiedliwa. Ja i on. Niech zwycięży lepszy. Pragną też, aby była godna. Niezależnie od tego, jakim wynikiem zakończy się starcie, chcą, aby walka miała znaczenie.

Żołnierz, który poległ z rękami skrępowanymi na plecach, kojarzy się z najohydniejszym aktem przemocy. Z bezradnością, poddaniem i torturami. Z bezsilnością.

Ten widok pozbawił ich wszelkich złudzeń.

- Chodźmy - powiedziała Dixon. - Tracimy czas.

W hotelu Reacher spędził trochę czasu nad fotografią, którą dostał od Mauneya. Zdjęciem z apteki. Zamrożonym kadrem z systemu monitoringu. Jak zwykle niespokojny Manuel Orozco stał z lewej, patrząc w prawo. Obok niego Calvin Franz z rękami w kieszeniach i cierpliwym wyrazem twarzy. Następnie spoglądający przed siebie Tony Swan. I Jorge Sanchez z prawej, z palcem wetkniętym za kołnierzyk.

Czterech przyjaciół.

Dwóch z nich nie żyło.

Przypuszczalnie zabito wszystkich czterech.

- Co za pieprzona sytuacja - rzekł O'Donnell. Reacher skinął głową.

- Poradzimy sobie.

- Naprawdę? - zapytała Neagley. - Czy uda się nam tym razem?

- Tak jak kiedyś.

- Nigdy nie spotkało nas coś takiego.

- Zmarł mój brat.

- Wiem, lecz to, co się tu wydarzyło, jest gorsze. Reacher ponownie przytaknął.

- To fakt.

- Miałem nadzieję, że jakimś cudem trzem pozostałym nic się nie stało.

- Wszyscy mieliśmy.

- Byliśmy w błędzie. Oni nie żyją.

Poszli do pokoju Dixon tylko po to, by przekonać się, że praca to pojęcie względne. Znaleźli się w ślepych zaułku. Nie mieli żadnego punktu zaczepienia. Ich samopoczucie nie poprawiła Neagley, która po wizycie w swoim apartamencie znalazła wiadomość od znajomego z Pentagonu: „Przykro mi, nie mogę udzielić żadnych informacji. Działalność New Age Defense Systems jest objęta tajemnicą”. Krótka wiadomość, pozbawiona treści i lekceważąca.

- Wygląda na to, że facet nie ma wobec ciebie większych zobowiązań - zauważył O'Donnell.

- Jesteś w błędzie - odparła Neagley. - Gość ma wobec mnie większy dług, niż sądzisz. Ta odmowa mówi więcej o New Age Defense Systems niż o mnie lub o nim.

Zaczęła przeglądać zawartość skrzynki odbiorczej, by po chwili się zatrzymać. Natrafiła na inną wiadomość od tego samego faceta. Podpisaną innym imieniem, nadaną z innego adresu e-mailowego.

- To darmowe konto e-mailowe jednorazowego użytku - wyjaśniła.

Kliknęła ikonę listu i przeczytała: „Frances, miło, że się odezwałaś. Powinniśmy się spotkać. Wolisz obiad czy kino? Powinienem zwrócić twoje płyty z muzyką Hendriksa. Dzięki za pożyczenie. Wszystkie są wspaniałe. Szósty kawałek w drugim albumie jest bardzo dynamiczny. Daj mi znać, kiedy przyjedziesz do Waszyngtonu. Zadzwoń, gdy tylko będziesz mogła”.

- Ma twoje płyty? - zapytał Reacher.

- Nie - odpowiedziała Neagley. - Nie mam żadnych płyt Jimiego Hendriksa. Nie lubię jego muzyki.

- Poszliście kiedyś do kina lub na obiad? - zaciekawiał się O'Donnell.

- Nigdy - zaprzeczyła Neagley.

- Musiał cię pomylić z inną kobietą.- To mało prawdopodobne - ocenił Reacher.

- Przesłał zaszyfowaną wiadomość - oznajmiła Neagley. - Odpowiedź na moje pytanie. Inne wytłumaczenie odpada. Niebudzący podejrzeń e-mail z oficjalnego adresu i zaszyfowany ciąg dalszy z jednorazowego konta. Ostro się asekuje.

- Co to za szyfr? - zapytała Dixon.

- Musi mieć coś wspólnego z szóstym kawałkiem z drugiego albumu Hendriksa.

- Jaki tytuł nosi drugi album Hendriksa? - zapytał Reacher.

- *Electric Lady land* - poinformował go O'Donnell.

- Ten album był późniejszy - zaprzeczyła Dixon. - Pierwszy nosił tytuł *Are You Experienced*.

- Ten z nagimi kobietami na okładce?

- To *Electric Lady land*.

- Wspaniała okładka.

- Jesteś odrażający.

- Drugi album to *Axis Bold As Love* - przerwał im Reacher.

- Jaki tytuł nosił szósty utwór? - zapytała Dixon.

- Nie mam pojęcia.

- Kiedy zaczyna się twarda gra, twardziele idą na zakupy - odparł O'Donnell.

Ruszyli na wschód Sunset i dotarli do sklepu Tower Records. Weszli do klimatyzowanego pomieszczenia pełnego młodych ludzi i głośnej muzyki i na półce z napisem „Rock/Pop” odnaleźli literę „H”. Całe mnóstwo albumów Jimiego Hendriksa. Reacher rozpoznał cztery stare płyty oraz kilka albumów wydanych pośmiertnie. Były też trzy egzemplarze *Axis Bold As Love*. Reacher wyciągnął jeden i przewrócił na drugą stronę. Pudełko było zafoliowane, a sklepowy kod kreskowy zasłaniał drugą połowę listy utworów.

Podobnie było na drugim egzemplarzu.

I trzecim.

- Zerwij folię - powiedział O'Donnell.

- Mam ukraść płytę?

- Nie, zerwij plastikowe opakowanie.

- Nie mogę, płyta nie jest naszą własnością.

- Bijesz gliniarzy, a nie chcesz uszkodzić folii?

- To zupełnie inna sprawa.

- Co zamierzasz zrobić?

- Kupię ją. Przesłuchamy płytę w samochodzie. Samochody mają odtwarzacze CD, prawda?

- Od stu lat - potwierdziła Dixon.

Reacher wziął płytę i stanął w kolejce za dziewczyną mającą na twarzy więcej metalu niż gość, który oberwał granatem. Podszedł do kasy i odliczył trzynaście dolców ze zwitka ośmiuset dolarów, po raz pierwszy w życiu stając się właścicielem płyty kompaktowej.

- Rozpakuj ją - poradził O'Donnell.

Płyta była ściśle zafoliowana. Reacher oderwał róg paznokciem, a następnie rozerwał zębami plastikowe opakowanie. Gdy się go pozbył, odwrócił okładkę i przesunął palcem po liście utworów.

- „Little Wing” - powiedział.

O'Donnell wzruszył ramionami. Neagley spojrzała pustym wzrokiem.

- To żadna pomoc - stwierdziła Dixon.

- Znam tę piosenkę - oznajmił Reacher.

- Błagam, tylko nie śpiewaj - poprosiła Neagley.

- Co to oznacza? - zapytał O'Donnell.

- To oznacza, że New Age Defense Systems produkuje broń o nazwie Little Wing.

- Jasne, w dalszym ciągu nie wiemy jednak, co to takiego.

- Pewnie to coś związanego z aeronautyką. Zdalnie sterowany samolot czy coś w tym rodzaju.

- Czy ktoś słyszał o takiej broni? - zapytała Dixon. - Nikt?

O'Donnell pokręcił głową.

- Ja, nie - dodała Neagley.

- Zatem mamy do czynienia z jakąś supertajną bronią - rzekła Dixon. - W dystrykcie Kolumbii nikt nie chce o niej rozmawiać, podobnie na Wall Street i w kręgu znajomych Neagley.

Reacher próbował otworzyć pudełko, które okazało się zamknięte naklejką z tytułem biegnącą przez całe górne łączenie. Rozerwał ją paznokciem na małe lepkie kawałki.

- I jak tu się dziwić, że wytwornie płytowe przeżywają trudności? - powiedział. - Nie ułatwiają czerpania przyjemności z zakupu towaru.

- Co zrobimy? - zapytała Dixon.

- A co było w e-mailu?

- Przecież wiesz.

- O co ci chodzi?

- Co było napisane?

- Mieliliśmy znaleźć szósty utwór w drugim albumie Hendriksa.

- I?

- I nic.

- Skądże! Napisał, aby niezwłocznie zadzwonić.

- To śmieszne - powiedziała Neagley. - Skoro nie napisał wiadomości, dlaczego miałby mi powiedzieć przez telefon.

- Nie napisał „zadwoń do mnie”. W zaszyfrowanej wiadomości liczy się każde słowo.

- Musi chodzić o kogoś innego. Facet wie, że znasz kogoś, kto może ci pomóc.

- Kto ma mi pomóc, skoro on nie może?

- Ktoś, kogo znasz, a on o tym wie. Może chodzi o kogoś z Waszyngtonu, skoro użył nazwy tego miasta, a każde słowo ma znaczenie.

Neagley otworzyła usta, aby zaprzeczyć, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Zatrzymała się.

- Jest pewna kobieta - powiedziała. - Diana Bond. Znamy ją oboje. Pracuje w biurze gościa z Kapitolu. Członka senackiej komisji obrony.

- Właśnie o to chodzi. Kim jest ten facet?

Neagley wymieniła znane nazwisko, które najwyraźniej nie cieszyło się powszechną sympatią.

- Masz przyjaciółkę, która pracuje dla tego dupka?
- Diana Bond nie jest moją przyjaciółką.
- Mam nadzieję.
- Ludzie potrzebują pracy, Reacher. Ty jesteś wyjątkiem.
- Dajmy temu spokój. Jej szef podpisuje czek, więc muszą mu składać sprawozdania.

Facet wie, czym jest Little Wing, a zatem ona także wie.

- Nie, jeśli sprawa jest objęta tajemnicą.
- Uwierz mi. Ten gość nie potrafiłby samodzielnie napisać własnego nazwiska. Jeśli on wie, wie również Diana Bond.

- Nie powie mi.

- Powie. Zagrasz ostro. Zadzwonisz i powiesz, że dowiedziałaś się o Little Wing i zamierzasz poinformować prasę, iż źródłem przecieku było biuro jej szefa. Powiesz, że ceną za twoje milczenie jest przekazanie wszystkich informacji, które ma na temat tej broni.

- To chwyć poniżej pasa.

- Raczej polityka. Skoro pracuje dla tego faceta, z pewnością to zrozumie.

- Czy to konieczne? Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie?

- Im więcej wiesz, tym więcej masz szczęścia.

- Nie chcę jej w to mieszać.

- Chce tego twój kumpel z Pentagonu - rzekł O'Donnell.

- To tylko domysły Reachera.

- Nie, to coś więcej. Pomyśl o e-mailu, który ci przesłał. Napisał, że szósty utwór jest bardzo dynamiczny. Dziwaczne określenie. Mógł napisać „cudowny” lub „wspaniały”, lecz użył określenia „bardzo dynamiczny”. „B” i „D” jak inicjały Diany Bond.

38

Neagley uparła się, że zadzwoni do Diany Bond pod warunkiem, że nikt nie będzie słuchał. Kiedy wrócili do hotelu, udała się w odległy koniec holu, wykręciła kilka numerów, a następnie przeprowadziła poważną rozmowę. Wróciła po dwudziestu minutach, które wydały się wiecznością. Z lekkim wyrazem zdegustowania na twarzy. Komunikując nieznaczny dyskomfort mową ciała. Nie mogła jednak ukryć podniecenia.

- Potrzebowałam trochę czasu, aby do niej dotrzeć - powiedziała. - Okazuje się, że jest niedaleko stąd. Od kilku dni przebywa w bazie sił powietrznych w Edwards. Mają tam jakąś ważną prezentację.

- Właśnie dlatego twój znajomy napisał, abyś zadzwoniła do niej jak najszybciej. Wiedział, że jest w Kalifornii. Liczy się każde słowo.

- Co powiedziała? - zapytał Reacher.

- Przyjedzie tu - oznajmiła Neagley. - Chce się z nami spotkać osobiście.

- Naprawdę? - zdziwił się Reacher. - Kiedy?

- Tak szybko, jak zdoła.

- Imponujące.

- Żebyś wiedział. To Little Wing musi być bardzo ważne.

- Masz wyrzuty sumienia z powodu tego telefonu?

Neagley skinęła głową.

- Mam wyrzuty sumienia z powodu wszystkiego.

Poszli do pokoju Neagley i spojrzeli na mapę, aby określić najwcześniejszy możliwy czas przybycia Diany Bond. Baza w Edwards znajdowała się po drugiej stronie pasma San Gabriel, na pustyni Mojave, w odległości ponad stu kilometrów na północny wschód, obok Palmdale i Lancaster, w połowie drogi do Fort Irwin. Oznaczało to dwie godziny oczekiwania, jeśli Berenson wyruszyła natychmiast. Dłużej, jeśli tego nie uczyniła.

- Idę na spacer - oznajmił Reacher.

- Pójdę z tobą - zaproponował O'Donnell.

Ruszyli ponownie w kierunku wschodniej części Sunset, gdzie West Hollywood łączył się z właściwym Hollywood. Było wczesne popołudnie i Reacher czuł, jak słońce przypieka mu niemal łysą głowę. Można było odnieść wrażenie, że promienie zyskiwały na sile, odbijając się od wiszących w powietrzu cząsteczek zanieczyszczeń.

- Powinienem kupić czapkę - powiedział.

- Raczej lepszą koszulę - doradził O'Donnell. - Teraz możesz sobie na nią pozwolić.

- Może to zrobię.

Ujrzeli sklep, który minęli w drodze do Tower Records. Należący do jednej z popularnych sieci. Sklep miał elegancką, gustownie urządzone wystawę, lecz nie należał do drogich. Sprzedawano w nim bawełniane ubrania, dżinsy, spodnie khaki, koszule i T-shirty. I czapeczki. Ubrania były nowe, lecz wyglądały jak używane, wielokrotnie uprane. Reacher wybrał jedną z czapczek, niebieską, bez napisu. Nigdy nie kupił niczego z napisem. Zbyt

dużo czasu przeżył w mundurze. Przez trzynaście długich lat nosił naszywki z nazwiskiem, plakietki i rozmaite „literki”.

Poluzował pasek z tyłu i przymierzył.

- Co sądzisz? - zapytał przyjaciela.

- Lepiej poszukaj lustra - doradził O'Donnell.- To, co zobaczę w lustrze, nie ma żadnego znaczenia. To ty śmiejesz się z mojego wyglądu.

- Ładna czapeczka.

Reacher pozostawił ją na głowie i przeszedł na drugą stronę sklepu do niskiego stołu, na którym piętrzył się stos T-shirtów. Na środku stołu umieszczono tors manekina, na który naciągnięto dwie z nich, jedną na drugą, jasno - i ciemnozieloną. Dolna koszulka wystawała u dołu pod rękawami i kołnierzykiem górnej. Łącznie dwie warstwy sprawiały wrażenie grubych i mocnych.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Reacher.

- Nieźle się prezentują - ocenił O'Donnell.

- Powinny mieć różny rozmiar?

- Nie.

Reacher wybrał jasno - i ciemnoniebieską w rozmiarze XXL. Zdjął czapeczkę i zaniósł trzy artykuły do kasy. Podziękował za torbę, odgryzł metki i ściągnął starą koszulkę kreglarską. Stał i czekał rozebrany do pasa i owiewany lodowatym powietrzem z klimatyzatora.

- Macie tu kubek na śmieci? - zapytał. Dziewczyna za ladą pochyliła się i podniosła plastikowy kubek z workiem. Reacher umieścił w nim starą koszulkę i włożył nowe, jedną na drugą. Ułożył je, podwinął rękawy, aby czuć się wygodnie, i naciągnął czapeczkę na głowę. Wyszli na ulicę i skręcili na wschód.

- Przed czym uciekasz? - zapytał O'Donnell.

- Przed niczym.

- Mogłeś zatrzymać starą koszulkę.

- To śliska sprawa - wyjaśnił Reacher. - Jeśli będę nosił zapasową koszulkę, szybko dołączy do nich druga para spodni. Wkrótce okaże się, że będę potrzebował walizki. Później przyjdzie kolej na dom, samochód i plan oszczędnościowy, i będę musiał wypełniać mnóstwo formularzy.

- Ludzie to robią.

- To nie dla mnie.

- A zatem przed czym uciekasz?

- Może nie chcę być taki jak inni.
- Ja taki jestem. Mam dom, samochód i plan oszczędnościowy. Wypełniam formularze.

- Twój wybór.

- Myślisz, że jestem pospolity? Reacher skinął głową.

- Przynajmniej pod tym względem.

- Nie każdy może być taki jak ty.

- Każdy kij ma dwa końce. Niektórzy nie potrafią być tacy jak ty.

- A chciałbyś?

- Tu nie chodzi o chęci. Po prostu nie potrafię.

- Dlaczego?

- Okej, uciekam.

- Przed czym? Przed staniem się takim jak ja?

- Przed staniem się kim innym, niż byłem.

- Wszyscy się zmieniamy.

- Nie wszyscy musimy to lubić.

- Mnie się to nie podoba, ale jakoś sobie radzę - odparł O'Donnell.

Reacher skinął głową.

- Świetnie ci idzie, Dave. Mówię serio. Martwię się o siebie. Kiedy patrzę na ciebie, Neagley i Karłę, czuję się jak nieudacznik.

- Naprawdę?

- Tylko spójrz na mnie.

- Jedyłą rzeczą, którą mamy w odróżnieniu od ciebie, są walizki.

- A co ja mam w odróżnieniu od was?

O'Donnell nie odpowiedział. Na skrzyżowaniu z Vine skręcili na północ. Był środek popołudnia w drugim co do wielkości mieście Ameryki, gdy ujrzeli dwóch facetów z pistoletami wyskakujących z jadącego samochodu.

39

Samochód był nowym czarnym sedanem marki Lexus. Zatrzymał się gwałtownie, wyrzucając na chodnik dwóch gości w odległości jakichś trzydziestu metrów przed Reacherem. Faceta z workiem i drugiego trzymającego prochy. To oni urzędowali na pustym placu za muzeum figur woskowych. Uzbrojeni w pistolety AMT hardballer - wykonaną ze stali nierdzewnej replikę colta government 1911 kalibru.45. Dłonie trzymające broń lekko

drżały, poruszając się w górę i obracając pistolet o dziewięćdziesiąt stopni do pozycji poziomej, tak jak trzymają go źli faceci na filmach.

O'Donnell wsunął ręce do kieszeni.

- Czegoś od nas chcą? - zapytał.

- Ode mnie - wyjaśnił Reacher, oglądając się za siebie. Nie obawiał się trafienia niewłaściwie trzymanej czterdziestki z odległości trzydziestu metrów. Choć był dużym facetem, dane statystyczne przemawiały na jego korzyść. Broń ręczna jest przeznaczona do użytku w zamkniętych pomieszczeniach. W sytuacji dużego napięcia, w rękach specjalisty jej zasięg skutecznego rażenia wynosi około czterech metrów. Nawet gdyby go nie trafili, pocisk mógłby wyrządzić krzywdę przypadkowemu przechodniowi. Uszkodzić jakiś przedmiot. Dosięgnąć człowieka idącego po przeciwnej stronie ulicy lub nisko lecący samolot. Zniszczenia i straty wśród ludności cywilnej. Na ulicy było mnóstwo potencjalnych ofiar. Mężczyzn, kobiet, dzieci oraz innych postaci, których Reacher nie potrafił zaliczyć do żadnej ze wspomnianych kategorii.

Spojrzał do przodu. Tamci nie zmienili pozycji. Wykonali najwyżej kilka kroków. O'Donnell nie odrywał od nich wzroku.

- Powinniśmy rozegrać to z dala od ulicy, Dave - powiedział Reacher.

- Zrozumiałem - przytaknął O'Donnell.

- W lewo - rzucił Reacher. Przesunął się ku krawędzi chodnika i spojrzał w lewą stronę. Najbliższe drzwi prowadziły do salonu tarota, w którym przepowiadano przyszłość. Umysł Reachera pracował na wysokich obrotach, z chłodną skutecznością. Reacher poruszał się w naturalny sposób, lecz świat wokół niego wyraźnie zwolnił tempo. Chodnik zamienił się w czterowymiarowy wykres. Wykres o osiach oznaczonych jako przód, tył, bok i czas.

- Drzwi po lewej, metr za tobą, Dave - powiedział. O'Donnell przypominał niewidomego. Nie spuszczał tamtych z oczu. Usłyszał głos Reachera i szybko odwrócił głowę w lewą stronę. Ten otworzył drzwi, wpuścił go do środka i zamknął za sobą. Napastnicy ruszyli za nimi. Oddaleni o dwadzieścia metrów. Reacher wepchnął się do środka za O'Donnellem. Salon tarota był prawie pusty. W środku znajdowała się jedynie dziesięcioletnia dziewczyna siedząca samotnie przy stole. Jadalnym stole długości około dwóch metrów, przykrytym czerwoną tkaniną sięgającą podłogi. Błat pokrywały karty. Kobieta miała długie czarne włosy i fioletową suknię z etaminy, która przypuszczalnie zabarwiała jej skórę.

- Jest tu tylne pomieszczenie? - zapytał Reacher.

- Toaleta - odpowiedziała.

- Idź tam i połóż się na podłodze. Natychmiast.

- Co się dzieje?

- Ty mi powiedz.

Nie poruszyła się, dopóki O'Donnell nie wyciągnął ręk z kieszeni. Kastet na prawej pięści wyglądem przypominał uśmiech rekina. W lewej trzymał nóż sprężynowy. Zamknięty. Po chwili otworzył go w taki sposób, że rozległ się dźwięk przypominający odgłos pękającej kości. Dziewczyna zerwała się z miejsca i uciekła. Angelina, która pracowała przy Vine, знаła reguły gry.

- Kim oni są? - zapytał O'Donnell.

- Tymi, którzy przed chwilą kupili mi koszulki.

- Będą problemy?

- Być może.

- Mamy jakiś plan?

- Lubisz hardballera?

- Lepszy taki niż żaden.

- W porządku. - Reacher uniósł krawędź obrusu, przykucnął i wpełzł pod stół na kolanach. O'Donnell wsunął się z lewej strony, poprawiając tkaninę. Dotknął jej końcem noża i delikatnie rozciął, tworząc mały otwór, który poszerzył, nadając palcami kształt oka. Następnie zrobił to samo po stronie Reachera. Ten oparł płasko dłonie na wewnętrznej stronie blatu. O'Donnell przełożył nóż do prawej ręki, opierając lewą podobnie jak Reacher.

Czekali.

Tamci dopadli drzwi w ciągu ośmiu sekund. Przystanęli i spojrzeli do środka przez szybę, a następnie szarpnęli za klamkę i weszli do środka. Zatrzymali się ponownie, w odległości dwóch metrów od stołu, z bronią wyciągniętą przed siebie i kolbą przekreśloną na płask.

Ostrożnie wykonali kolejny krok.

Ponownie stanęli.

Chociaż O'Donnell miał kastet na prawej dłoni i trzymał w niej nóż, tylko ona była wolna. Odliczył na palcach. Kciuk, palec wskazujący i środkowy. Raz, dwa, trzy.

Na trzy unieśli stół, wyrzucając go do przodu. Ten wykonał ćwierć obrotu, przelatując trzy metry w powietrzu. Błat obrócił się pionowo, zgarniając pistolety, a następnie z impetem uderzając napastników w pierś i twarz. Ciężki mebel. Drewniany. Może dębowy. Powalił tamtych w jednej chwili. Runęli na plecy w obłoku kart tarota i spoczęli nieruchomo pod blatem, przykryci splątaną czerwoną tkaniną. Reacher podniósł się i stanął na przewróconym

stole, jakby surfował na desce, a następnie kilkakrotnie podskoczył. O'Donnell poczekał, aż Reacher skończy, a później przesunął stół kilkanaście centymetrów w tył, odsłaniając tułów i dłonie trzymające broń. Zabrał hardballery, przecinając obu mięśnie i ścięgna oddzielające kciuk od palca wskazującego. Bolesny zabieg zniechęcający do trzymania broni do czasu zagojenia się rany, co mogło zająć sporo czasu w zależności od stosunku klienta do prawidłowych zasad żywienia i antyseptyki. Na twarzy Reachera pojawił się przelotny uśmiech. Metoda, którą się posłużyli, należała do standardowego repertuaru jego zespołu. Nagle uśmiech zniknął, bo przypomniał sobie, że opracował ją Jorge Sanchez, który teraz leżał gdzieś martwy na pustyni.

- Niewielki problem - rzekł O'Donnell.

- Nadal jesteśmy niezli - odparł Reacher. O'Donnell wsunął swój ceramiczny ryszczunek do kieszeni i wetknął hardballera za pasek, ukrywając go pod kurtką. Podał drugi Reacherowi, który umieścił go w kieszeni spodni, dodatkowo zasłaniając go koszulką. Wyszli na zewnątrz i ponownie ruszyli na północ Vine, by po chwili skręcić na zachód w Hollywood Boulevard.

Karla Dixon oczekiwała na nich w holu Chateau Marmont.

- Dzwonił Curtis Mauney - oznajmiła. - Spodobało mu się to, co zrobiliście z przesyłką Franza. Poprosił policję z Vegas, aby przeszukali biuro Sancheza i Orozco. Chyba coś znaleźli.

40

Pół godziny później Mauney zjawił się osobiście. Wszedł do holu zmęczony, taszcząc sfatygowaną skórzaną teczkę. Usiadł i zapytał:

- Kim jest Adrian Mount?

Reacher podniósł głowę. Azhari Mahmoud, Adrian Mount, Alan Mason, Andrew MacBride i Anthony Matthews. Syryjczyk i cztery fałszywe nazwiska, którymi się posługiwał. Mauney nie miał pojęcia, że o tym wiedzą.

- Nie wiem - odparł.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie.

Mauney położył teczkę na kolanach, otworzył wieko i wyciągnął kartkę papieru. Podał im. Była zamazana i niewyraźna. Przypominała przefaksowaną kopię jakiegoś dokumentu lub kserokopię faksu. W główce widniał napis „Departament Bezpieczeństwa Krajowego”, nie

przypominał jednak oficjalnego nagłówka. Raczej wydruk pliku komputerowego przechwyconego przez hakera. Zapisanego w systemie DOS i zawierającego informację, że facet o nazwisku Adrian Mount zarezerwował w British Airways miejsce na lot z Londynu do Nowego Jorku. Rezerwacja została zrealizowana dwa tygodnie temu, a facet znalazł się w Stanach przed trzema dniami. Przyleciał pierwszą klasą, kupując bilet w jedną stronę. Z Heathrow na JFK. Miejsce 2K. Ostatni nocny lot, drogi bilet zapłacony ważną kartą kredytową. Rezerwację zrobiono za pośrednictwem strony internetowej British Airways, chociaż nie sposób określić, w jakim miejscu na świecie kliknięto przycisk myszki.

- Czy te informacje znajdowały się w jego poczcie? - zapytał Reacher.

- Zostały zapisane w pamięci faksu. Wiadomość nadeszła dwa tygodnie temu. W urzędzeniu skończył się papier. Wiemy, że dwa tygodnie temu Sancheza i Orozca nie było w Vegas. A zatem była to odpowiedź na pytanie zadane przynajmniej tydzień wcześniej.

- Jakież nazwiska?

- Udało się nam odnaleźć pismo zawierające prośbę Sancheza i Orozca. Podobnie jak Franz przesyłali notatki na własny adres. Dokładnie cztery nazwiska. - Mauney wyciągnął z teczki drugą kartkę papieru pokrytą odręcznym zamasztywym pismem Manuela Orozco. „Adrian Mount, Alan Mason, Andrew MacBride, Anthony Matthews. Sprawdzić daty przybycia w DHS”^{*}. * Department of Homeland Security - Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Pospieszna, niestarannie sporządzona notatka, chociaż charakter pisma Orozca w ogóle trudno było uznać za schludny.

Cztery nazwiska. Nie pięć. Na liście nie było Azhariego Mahmouda. Reacher odgadł, że Orozco wiedział, iż Mahmoud, kimkolwiek był, posługiwał się sfalszowanym paszportem. Falszywe nazwiska nie mają sensu, jeśli człowiek ich nie używa.

- DHS - powiedział Mauney. - Chodzi o Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Czy wiesz jak trudno cywilowi uzyskać pomoc DHS? Twój kumpel Orozco musiał mieć tam kogoś, kto był mu winien dużą przysługę, lub wydać cholernie dużo na łapówki. Muszę ustalić dlaczego.

- Może chodzi o jakieś interesy w kasynie.

- Możliwe. Tyle że ochroniarze z Vegas nie przejmują się, jeśli w Nowym Jorku wyląduje jakiś zły facet. Pasażerowie przylatujący do Nowego Jorku zwykle wyruszają do kasyna w Atlantic City. To problem kogoś innego.

- Może ze sobą współpracują. Może stworzyli własną sieć. Faceci najpierw jadą do New Jersey, a później do Vegas.

- Możliwe - powtórzył Mauney.

- Czy Adrian Mount faktycznie przyleciał do Nowego Jorku?

Mauney skinął głową.

- W komputerze INS*^{Immigration and Naturalization Service} zapisano, że przekroczył granicę w czwartym terminalu. Była noc, dlatego terminal siódmy był już zamknięty. Samolot wylądował z opóźnieniem.

- A później?

- Zameldował się w hotelu Madison Avenue.

- I?

- Zniknął. Wszelki ślad po nim zaginął.

- Ale?

- Sięgnęliśmy po kolejne nazwisko. Alan Mason przyleciał do Denver w Kolorado i wynajął pokój w hotelu w centrum miasta.

- I?

- Nie wiemy, co było dalej. W dalszym ciągu sprawdzamy.

- Sądzicie, że chodzi o tego samego faceta?

- To oczywiście. Zdradzają to identyczne inicjały.

- Wynikałoby stąd, że ja i przewodniczący Sądu Najwyższego to jedna i ta sama osoba.

- Fakt, zachowujesz się, jakbyś nim był.

- Kim on jest?

- Nie mam pojęcia. Inspektor INS go nie zapamiętał. Ci goście z terminalu czwartego oglądają dziesięć tysięcy twarzy dziennie. Nie zapamiętała go również obsługa hotelowa. Nie rozmawialiśmy jeszcze z ludźmi z Denver. Pewnie oni również go nie pamiętają.

- Nie zrobili mu zdjęcia ci z imigracyjnego?

- Próbujemy je zdobyć.

Reacher wrócił do pierwszego faksu. Informacji z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego zawierającej szczegóły na temat pasażera.

- To Brytyjczyk - powiedział.

- Niekoniecznie - zauważył Mauney. - Ma przynajmniej jeden brytyjski paszport. To wszystko.

- Co zamierzacie zrobić?

- Zaczniemy śledzić pozostałych z listy. Andrew MacBride lub Anthony Matthews wcześniej czy później gdzieś się pojawią. Wówczas przynajmniej dowiemy się, gdzie go szukać.

- Czego od nas oczekujecie?

- Czy kiedykolwiek słyszeliście te nazwiska?
- Nie.
- Nie macie przyjaciół o inicjałach „A” i „M”?
- Nie przypominam sobie.
- A wrogów?
- Nie sędzę.
- Czy Orozco znał kogoś o tych inicjałach?
- Nie mam pojęcia. Nie rozmawiałem z nim od dziesięciu lat.
- Myliłem się - powiedział Mauney. - W sprawie sznura, którym skrupowano mu ręce i nogi. Poprosiłem jednego z moich ludzi, aby go obejrzał. Ten sznur trudno uznać za zwyczajny. Został wykonany z szałasu, przypuszczalnie w Indiach.
- Gdzie można go dostać?
- Nie można go kupić na terenie Stanów. Musiał przybyć do Ameryki wraz z towarem, który sprowadzono.
- Z czym?
- Ze zwiniętymi dywanami, belami bawełnianego materiału, przedmiotami tego rodzaju.
- Dzięki za informacje.
- Nie ma sprawy. Wyrazy współczucia.

Kiedy Mauney wyszedł, wrócili do pokoju Dixon. Bez wyraźnego powodu. Nadal tkwili w martwym punkcie. O'Donnell oczyścił z krwi sprężynowca i obejrzał zdobyczne hardballery w typowy dla siebie drobiazgowy sposób. Pistolety zostały wyprodukowane przez zakłady AMT w pobliskim Irwindale, w Kalifornii. Magazyneki były załadowane pociskami kalibru.45. Hardballery były sprawne i znajdowały się w idealnym stanie. Czyste, naoliwione, nieuszkodzone, co wskazywało, że zostały niedawno skradzione. Dealerzy narkotyków zwykle nie przywiązują większej wagi do wyboru broni. Chodziło im wyłącznie o to, aby pistolety stanowiły wierną kopię modelu, który był w sprzedaży od 1911 roku. Magazynek mieścił zaledwie siedem pocisków, co było wystarczające w świecie pełnym sześciopalcowej broni, lecz nie mogło sprostać nowoczesnym pistoletom na piętnaście i więcej pocisków.

- Gówno - oceniła Neagley.
- Lepsze to od kamieni - odparł O'Donnell.

- Ten pistolet jest za duży na moją dłoń - powiedziała Dixon. - Osobiście wolę glocka dziewiętnaście.

- Ja lubię wszystko, co działa - dodał Reacher.

- Glock ma magazynek na siedemnaście naboji.

- Na jedną głowę wystarczy jeden pocisk. Nigdy nie goniło mnie siedemnasta ludzi.

- Nie można tego jednak wykluczyć.

Ciemnowłosy czterdziestolatek posługujący się nazwiskiem MacBride siedział w kolejce podziemnej na lotnisku w Denver. Miał jeszcze trochę czasu, więc jeździł tam i z powrotem pomiędzy głównym terminalem a halą C, przy której znajdowała się stacja końcowa. Słuchał muzyki jugbandowej. Czuł się lekki, uwolniony od ciężaru, swobodny. Miał niewielki bagaż. Żadnej ciężkiej walizki. Tylko jedna zmiana ubrania i teczka. W teczce miał list przewozowy ukryty w książce o twardej oprawie. Klucz do kłódki spoczywał bezpiecznie w ukrytej kieszeni.

Mężczyzna w ciemnoniebieskim garniturze siedzący w ciemnoniebieskim chryslerze wybrał numer komórki szefa. - Wrócili do hotelu - oznajmił. - Cała czwórka.

- Wpadli na nasz trop? - zapytał szef.

- Nie umiem powiedzieć.

- Jakie masz przeczucie?

- Sądzę, że tak.

- W porządku. Pora ich sprzątnąć. Zostaw ich i wracaj. W ciągu kilku godzin przystąpimy do akcji.

41

O'Donnell wstał, podszedł do okna w pokoju Dixon i zapytał:

- Co mamy?

Kiedyś było to rutynowe pytanie. Ważny element standardowej procedury działania grupy specjalnej. Silnie zakorzeniony nawyk. Reacher przywiązywał ogromną wagę do ciągłej oceny sytuacji. Podkreślał znaczenie przesiewania zgromadzonych danych, formułowania nowych hipotez, badania, ponownej oceny, analizowania informacji pod innym kątem w świetle późniejszych faktów. Tym razem nikt nie zareagował z wyjątkiem Dixon:

- Czterech martwych przyjaciół. W pokoju zapanowała cisza.

- Chodźmy na obiad - powiedziała Neagley. - Nie ma powodu, żebyśmy zagłodzili się na śmierć.

Obiad. Reacher przypomniał sobie knajpę, w której zjedli burgera dwadzieścia cztery godziny temu. Sunset Boulevard, zgiełk, grube hamburgery, zimne piwo. Okrągły stół dla czterech osób. Rozmowa. Uwaga przesuwiała się po kolei na każdego z nich. Zawsze jeden mówił, a trzech słuchało. Ruchoma piramida, w której to jeden, to drugi znajdował się na szczycie.

Jeden mówi, trzech słuchają.

- To błąd - powiedział.

- Jedzenie to błąd? - zdziwiła się Neagley.

- Skąd, idźcie na obiad, jeśli macie ochotę. Popelniliśmy błąd. Poważny błąd koncepcyjny.

- W jakim punkcie?

- To mój błąd. Wyciągnąłem fałszywe wnioski.

- Jak?

- Dlaczego nie możemy znaleźć klienta Franza?

- Nie wiem.

- Ponieważ Franz go nie miał. Pomyliliśmy się. Jego ciało znaleziono na początku, więc uznaliśmy, że chodziło o niego. Jakby od niego wszystko się zaczęło. Jakby to on mówił, a trzech pozostali słuchali. A jeśli to nie on wszystko zaczął?

- W takim razie kto?

- Cały czas powtarzaliśmy, że nie narażałby się na niebezpieczeństwo, gdyby nie chodziło o kogoś wyjątkowego. Wobec kogo czuł się w pewnym sensie zobowiązany.

- W ten sposób wracamy do hipotezy, że to od niego wszystko się zaczęło i od klienta, którego nie potrafimy odnaleźć.

- Nie, źle wyobrażamy sobie hierarchię. Nie musiało być tak, że najpierw był klient, następnie Franz i pozostali przybywający mu z pomocą. Szczerze mówiąc, sądzę, że Franz znajdował się niżej w porządku dziobania. Nie siedział na czubku drzewa. Rozumiecie, o co mi chodzi? A jeśli to on pomagał jednemu z pozostałych? Jeśli nie mówił, lecz słuchał? Może była to sprawa Orozca, którą ten prowadził w imieniu jednego ze swoich klientów? Lub Sancheza? Gdyby potrzebowali pomocy, do kogo by zadzwonili?

- Do Franza i Swana.

- Właśnie. Od początku byliśmy w błędzie. Trzeba przyjąć inną hipotezę. Że Franz otrzymał dramatyczny telefon od Orozca lub Sancheza. Od kogoś, kto miał dla niego

szczególne znaczenie. Komu był coś winien. Nie klienta, lecz człowieka, któremu nie mógł odmówić. Musiał wkroczyć do akcji i pomóc niezależnie od tego, co pomyślałaby Angela i Charlie.

W pokoju zapadło milczenie.- Orozco skontaktował się z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego. To trudna sprawa. Jedyne kreatywne posunięcie, które dostrzegliśmy do tej pory. Można odnieść wrażenie, że Orozco zrobił więcej od Franza.

- Ludzie Mauneya sądzą, że Orozco zginął przed Franzem - zauważył O'Donnell. - To może mieć znaczenie.

- Tak - przytaknęła Dixon. - Gdyby to Franz prowadził sprawę, dlaczego zlecałby tak poważne zadanie Orozcowi? Według mnie sam zrobiłby to lepiej. To wskazuje, że kolejność zdarzeń była inna, nie sądzicie?

- Masz rację - odparł Reacher. - Nie popełnijmy kolejny raz tego samego błędu. A może wszystko zaczęło się od Swana?

- Swan nie pracował.

- W takim razie od Sancheza, a nie od Orozca.

- Raczej od ich obu.

- Sugerowałoby to, że chodzi o Vegas, a nie Los Angeles. Czy nasze liczby mogą mieć coś wspólnego z kasynem?

- Niewykluczone - przytaknęła Dixon. - Być może chodzi o liczbę wygranych po rozpracowaniu systemu.

- Jaką grę rozgrywa się dziewięć, dziesięć lub dwanaście razy dziennie?

- Praktycznie każdą. Nie istnieje coś takiego jak minimalna lub maksymalna liczba rozgrywek.

- Karty?

- Niemal na pewno, jeśli w grę wchodzi system. O'Donnell skinął głową.

- Sześćset pięćdziesiąt nieprzewidzianych wygranych po sto tysięcy. To wzbudziłoby zainteresowanie każdego.

- Nie pozwoliliby facetowi wygrać sześćset pięćdziesiąt razy przez cztery kolejne miesiące.

- Może było ich kilku. Może mamy do czynienia z kartelem.

- Musimy pojechać do Vegas.

W tym momencie zadzwonił telefon w pokoju Dixon. Podniosła słuchawkę. Jej pokój, jej telefon. Słuchała przez chwilę, a następnie podała ją Reacherowi, mówiąc:

- To Curtis Mauney, do ciebie.

Reacher odebrał słuchawkę i przedstawił się.

- Andrew MacBride wsiadł do samolotu w Denver. Leci do Las Vegas. Informuję was o tym wyłącznie przez uprzejmość. Zostańcie tam, gdzie jesteście. Żadnych samodzielnych działań, zrozumiano?

42

Postanowili, że zamiast lecieć, pojadą do Vegas samochodem. Łatwiej wszystko zaplanować i zorganizować, a do celu dotrą w tym samym czasie. Poza tym na pokład nie mogliby zabrać pistoletów, a wiedzieli, że broń wcześniej czy później będzie im potrzebna. Reacher zszedł na dół, czekając, aż pozostali się spakują. Neagley pojawiła się pierwsza. Wymeldowała się i podpisała rachunek, nawet na niego nie patrząc. Postawiła swoją torbę przy drzwiach i przysiadła się do Reachera. Drugi zjawił się O'Donnell, a na końcu Dixon z kluczykami samochodu od Hertz.

Umieścili rzeczy w bagażniku i zajęli miejsca. Dixon i Neagley z przodu, Reacher i O'Donnell z tyłu. Ruszyli na wschód od Sunset, przebijając się przez zakorkowane ulice w stronę Piętnastki. Zamierzali pojechać nią na północ przez góry, a następnie ruszyć na północny wschód do Vegas.

Piętnastka biegła w pobliżu miejsca, nad którym trzy tygodnie wcześniej przynajmniej dwukrotnie zawisł helikopter. Na wysokości dziewięciuset metrów, w samym środku nocy, z otwartymi drzwiami. Reacher postanowił sobie, że nie będzie patrzył, lecz to zrobił. Kiedy zjechali ze wzgórz, przyłapał się na tym, że spogląda na zachód w kierunku płaskich brązowych połaci pustyni. Podobnie uczyniła Neagley. I Dixon. Na chwilę oderwała wzrok od drogi, aby spojrzeć w lewo. Zmrużyła oczy w promieniach zachodzącego słońca i opadły jej kąciki ust.

Zatrzymali się na obiad w Barstow, w Kalifornii, w nędznej przydrożnej jadłodajni, która nie miała żadnych zalet poza tą, że stała przy autostradzie. Przed nimi rozciągało się pustkowie. Knajpa była brudna, obsługa ospała, a jedzenie kiepskie. Chociaż Reacher nie był smakoszem, nawet on poczuł się oszukany. Kiedyś Reacher, Dixon lub Neagley, a z pewnością O'Donnell poskarżyliby się lub cisnęli krzesłem w okno, jednak tego wieczoru nikt się nie odezwał. Zjedli trzy dania, popili słabą kawą i ruszyli dalej.

Mężczyzna w ciemnoniebieskim garniturze zadzwonił z parkingu przy Chateau Marmont.

- Wyjechali. Cała czwórka.
- Dokąd? - zapytał jego szef.
- Recepcjonistka sądzi, że do Vegas. Podслуchała rozmowę.
- Świetnie. Tam to załatwimy. Wszystko w jednym miejscu. Nie leć. Wróć samochodem.

Kiedy czarnowłosy czterdziestolatek podający się za Andre w MacBride'a opuścił rękaw łączący samolot z terminalem lotniska w Los Angeles, pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę, był rząd automatów do gry. Czarnych, srebrnych i złotych masywnych skrzyń z migoczącymi neonowymi światłami. Ze dwadzieścia sztuk ustawionych plecami do siebie w rzędzie liczącym po dziesięć maszyn. Każdy z automatów miał przed sobą wykonany z winylu taboret. Każdy był wyposażony w wąską szarą półkę u dołu z popielniczką po lewej i uchwytem na kubek po prawej stronie. Dwanaście z dwudziestu taboretów było zajętych. Mężczyźni i kobiety wpatrywali się w ekran osobliwym wzrokiem wyrażającym zmęczenie i koncentrację.

Andrew MacBride postanowił spróbować szczęścia. Pomyślał, że rezultat będzie zwiastunem przyszłego sukcesu. Jeśli wygra, wszystko będzie dobrze.

A jeśli przegra?

Uśmiechnął się. Wiedział, że jeśli przegra, zdoła to sobie jakoś wytłumaczyć. Nie był przesądny.

Usiadł na taborecie, opierając łokieć na teczce. W kieszeni trzymał portmonetkę. Wyciągnął ją i wysypał na dłoń wszystkie ćwierćdolarówki, które udało mu się uzbierać. Nie było tego wiele. Ułożył krótki szereg monet na półce pomiędzy popielniczką i uchwytem na kubek.

Jedna po drugiej wsunął je do automatu, słuchając przyjemnego metalicznego dźwięku. Czerwone diody elektroluminescencyjne wyświetliły informację, że ma cztery próby. Powinien nacisnąć duży panel dotykowy, aby rozpocząć grę. Zużyty i poplamiony dotknięciami milionów palców.

Zaczął go naciskać raz za razem.

Cztery pierwsze próby zakończyły się fiaskiem.

Za piątym razem wygrał.

Rozległ się stłumiony dźwięk dzwonka i cicha syrena. Automat zakołysał się lekko, jakby solidna maszyna ukryta w środku odliczała setkę ćwierćdolarówek. Monety zabrzęczały i wysypały się do wklęsłego metalowego naczynia w pobliżu jednego z jego kolan.

Z Barstow w Kalifornii do Las Vegas w Nevadzie było jakichś trzysta kilometrów. W nocy, gdy jedzie się Piętnastką i wystrzega lotnych patroli oraz policji innych stanów, pokonanie drogi zajmowało nieco ponad trzy godziny. Dixon oznajmiła, że z chęcią poprowadzi. Mieszkała w Nowym Jorku, więc jazda samochodem była dla niej czymś nowym. O'Donnell drzemał na tylnym fotelu, a Reacher wyglądał przez okno.

- Cholera, zapomnieliśmy o Dianie Bond - jęknęła Neagley. - Jedzie z bazy Edwards. Po dotarciu na miejsce stwierdzi, że wyjechaliśmy.

- Nie przejmuj się - odparła Dixon.

- Powinnam do niej zadzwonić - powiedziała Neagley, jednak na pustyni Mojave jej komórka nie miała zasięgu.

Do Las Vegas dotarli o północy, kiedy zdaniem Reachera miasto prezentowało się najlepiej. Bywał tu wcześniej. W ciągu dnia Vegas miało absurdalny wygląd. Wydawało się niezrozumiałe, trywialne, jarmarczne, obnażone. W nocy, w świetle rozjarzonych neonów przypominało wspaniałą fantazję. Wjechali do miasta od gorszej strony i Reacher ujrzał betonowy bar pozbawiony okien, z którego ścian odchodził tynk. Nad przybytkiem widniał napis pozbawiony znaków przestankowych: „Zimne piwo ostre dziewczyny”. Po przeciwnej stronie ciągnął się szereg zapuszczonych moteli i jeden sfatygowany hotelowy wieżowiec. On sam zacząłby poszukiwanie noclegu od tej okolicy, lecz Dixon jechała dalej bez słowa, zmierzając do pałaców lśniących w odległości kilometra przed nimi. Stała na parkingu przed jakimś hotelem o włoskiej nazwie, a po chwili otoczyła ich zgraja parkingowych i boyów, którzy zabrali bagaż i odstawili samochód na parking. Hol był wyłożony kafelkami, pełny oczek wodnych, fontann i szmeru automatów do gry. Reacher spojrzął ponad jej ramieniem.

- Drogi hotel - ocenił z refleksyjną zadumą.

- Może uda się nam pójść na skróty - odpowiedziała Neagley. - Może znali Orozca i Sancheza. Może nawet podpisali z nimi umowę na ochronę.

Reacher skinął głową. *Przeszli z wielkiej wojskowej maszyny do czegoś takiego.* Tym razem określenie „coś takiego” oznaczało ogromny skok w górę przynajmniej w kategorii potencjalnego wynagrodzenia. Cały hotel dosłownie ociekał forszą. Oczka wodne i fontanny miały symboliczną wymowę. Mnóstwo wody pośrodku pustyni świadczyło o bogactwie zapierającym dech w piersi. Ktoś zainwestował w to wszystko ogromne pieniądze. Ogromny musiał być też strumień forsy, który tędy przepływał. Gdyby Sanchez i Orozco ochraniaли tak

duże przedsięwzięcie, można by twierdzić, że odnieśli duży sukces. Zdał sobie sprawę, że jest niezwykle dumny ze starych kumpli. Był jednak zaskoczony. Kiedy odchodził z wojska, zdawał sobie sprawę, że rozpoczyna kolejny, ostatni rozdział swojego życia, lecz nie wybiegał w przyszłość dalej niż na jeden dzień. Nie snuł żadnych planów ani nie pielęgnował wizji.

Okazało się, że inni ją mieli.

Jak?

Dlaczego?

Neagley wręczyła im cztery karty z kodem otwierającym pokoje. Umówili się, że wezmą prysznic i za dziesięć minut spotkają się na dole, aby mimo późnej pory od razu przystąpić do pracy. Vegas żyło dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czas nie odgrywał tu większej roli. Wszyscy znali powiedzenia o braku okien i zegarów w kasynach i, o ile Reacher orientował się w tych sprawach, były one prawdziwe. Nic nie mogło tamować strumienia napływającej gotówki. Z pewnością nie było też nic lepszego od zmęczonego faceta, który przegrywa przez całą noc.

Pokój Reachera znajdował się na szesnastym piętrze. Był to czarny betonowy sześcian umeblowany na wzór weneckiego salonu sprzed kilku wieków. W sumie efekt nie był szczególnie przekonujący. Na dodatek Reacher nigdy nie był w Wenecji. Otworzył składaną szczoteczkę do zębów i umieścił ją w szklance stojącej w łazience. Na tym zakończył rozpakowywanie. Opłukał twarz wodą i przesunął ręką po krótko ostrzyżonej czuprynie, a następnie zszedł na dół w celu przeprowadzenia wstępnego rozpoznania.

Nawet w tak eleganckim hotelu większość powierzchni na parterze zajmowały automaty do gry. Cierpliwe, niestrudzone, kontrolowane przez mikroprocesor, wyrzucały zaledwie niewielki ułamek forsy, którą do nich wrzucano przez dwadzieścia cztery godziny dziennie, siedem dni w tygodniu. Reacher słyszał dzwonki i pobrzękiwanie. Wielu wygrywało, lecz jeszcze więcej odchodziło z kwitkiem. Niewielka ochrona. Ale nie było możliwości, aby coś tu ukraść lub oszukać, zważywszy na mechaniczną naturę automatów i ścisły nadzór Komisji Gier stanu Nevada. Wśród setek gości Reacher wypatrzył jedynie dwóch pracowników ochrony. Mężczyznę i kobietę ubranych jak pozostali i znudzonych podobnie jak oni, różniących się od gości jedynie brakiem maniakałnego błysku nadziei w oczach.

Pomyślał, że Sanchez i Orozco nie traciliby czasu na pilnowanie automatów do gry.

Ruszył przed siebie do ogromnej sali z tyłu, w której grano w ruletkę, pokera i blackjacka. Podniósł głowę i zobaczył kamery. Spojrzał w lewo, w prawo i przed siebie. Zobaczył gości grających o wysoką stawkę oraz ochroniarzy i dziwki zastygłych w napięciu.

Przystanął obok stołu do ruletki. Z tego, co się orientował, ruletka w zasadzie nie różniła się od automatów do gry. Goście dostarczali pieniędzy, koło kierowało strumień forsy do innych graczy, a jeśli kula znalazła się w polu 0 lub 00, wszystko zgarniało kasyno. Ściśle określony procent dla kasyna równie niepowstrzymany i wiarygodny jak mikroprocesor w automacie do gry.

Pomyślał, że Sanchez i Orozco nie poświęcaliby wiele czasu na ruletkę.

Przeszedł do karcianych stolików, gdzie naprawdę coś się działo. Gry karciane należały do jedynych, w których jakąś rolę odgrywała ludzka inteligencja. A tam gdzie pojawia się ludzka inteligencja, podąża za nią zbrodnia. Gracz cechujący się opanowaniem, doskonałą pamięcią i podstawową wiedzą z dziedziny statystyki mógł pokonać system, co wszakże nie było żadnym przestępstwem. Wygranie z losem nie pozwoliłoby jednak facetowi zarobić sześćdziesięciu pięciu milionów dolców w cztery miesiące. Szanse były zbyt małe, chyba że pula byłaby wielkości produktu krajowego brutto małego państwa. Pasma zwycięstw ciągnące się nieprzerwanie przez cztery miesiące wymagałoby udziału w tym gigantycznym przekręcie krupierów. Zaangażowania wielu rozdających i równie wielu graczy. Może nawet setek jednych i drugich.

Może wszyscy pracownicy kasyna grali przeciwko inwestorom.

Albo całe miasto.

Stawka wystarczająca, aby zabić.

W pomieszczeniu dało się zauważyć dużo zabezpieczeń. Kamery obserwowały graczy i rozdających. Niektóre z nich były duże i widoczne, inne - małe i dyskretne. Oprócz nich były pewnie całkiem niewidoczne. Salę patrolowali mężczyźni i kobiety w strojach wieczorowych ze słuchawką w uchu i mikrofonem na przegubie dłoni. Niczym agenci Secret Service. Byli też inni, działający w zwyczajnych ciuchach. Reacher naliczył pięciu w ciągu minuty. Pomyślał, że wielu przeoczył.

Wrócił do holu tą samą drogą i znalazł Karłę Dixon czekającą przy fontannie. Wzięła prysznic i zmieniła dzinsy oraz kurtkę skórzaną na czarne spodnium. Włosy Karli były mokre i opadały na plecy. Spodnium zapięte, bez bluzki pod spodem. Prezentowała się wspaniale.

- Vegas zostało założone przez mormonów - odezwała się. - Wiedziałeś?

- Nie - odparł Reacher.

- Dziś miasto rozwija się tak szybko, że dwa razy do roku trzeba drukować książkę telefoniczną.

- O tym też nie wiedziałem.

- Co miesiąc powstaje siedemset nowych domów.

- Skończy im się woda.

- To pewne, tymczasem kują żelazo póki gorące. Same przychody z hazardu sięgają siedmiu miliardów dolarów rocznie.

- Czuję się tak, jakbym czytał przewodnik. Dixon skinęła głową.

- Mam jeden w swoim pokoju. Co roku miasto odwiedza trzydzieści milionów gości. Oznacza to, że każdy z nich w trakcie wizyty traci ponad dwieście dolców.

- Dwieście trzydzieści trzy dolary i trzydzieści trzy centy - dodał automatycznie Reacher. - Można to uznać za definicję irracjonalnego postępowania.

- Za definicję istoty ludzkiej - powiedziała Dixon. - Każdy sądzi, że będzie tym jednym, któremu się uda.

Po chwili zjawił się O'Donnell. Ten sam garnitur, inny krawat, być może świeża koszula. Jego buty lśniły w świetle reflektorów. Może znalazł w łazience ściereczkę do polerowania obuwia.

- Trzydzieści milionów gości rocznie - zaczął.

- Wiem, Dixon mi powiedziała - wyjaśnił Reacher. - Czytała tę samą książkę.

- Dziesięć procent wszystkich mieszkańców naszego kraju. Spójrzcie na to miejsce.

- Podoba ci się?

- Sprawia, że widzę Sancheza i Orozca w całkiem nowym świetle.

Reacher skinął głową.

- Mówiłem ci, wszyscy ruszyliście przed siebie i awansowaliście.

Z windy wysiadła Neagley, ubrana podobnie jak Dixon w elegancki czarny kostium. Włosy miała mokre i starannie zaczesane.

- Właśnie wymieniamy się faktami z przewodnika - powiedział Reacher.

- Nie przeczytałam swojego - odparła Neagley. - Zamiast tego zadzwoniłam do Diany Bond. Przyjechała do miasta, poczekała godzinę i wróciła.

- Jest na nas wkurzona?

- Martwi się. Nie chciałaby, aby nazwa Little Wing przedostała się do mediów. Powiedziałam, że złożę jej wizytę..

- Dlaczego?

- Zaintrygowała mnie. Po prostu lubię wiedzieć.

- Tak jak ja - odpowiedział Reacher. - W tej chwili chciałbym wiedzieć, czy ktoś w tym mieście zrobił przekręt na sześćdziesiąt pięć milionów dolarów. I jak tego dokonał.

- Naprawdę wielki przekręt - dodała Dixon. - Trzy procent całkowitego przychodu w skali roku.

- Dwa przecinek siedemdziesiąt osiem - sprostował odruchowo Reacher.

- Weźmy się wreszcie roboty - zaproponował O'Donnell.

43

Zaczęli od biurka konsjerżera i pytania o dyżurnego szefa ochrony. Konsjerż zapytał, czy są jakieś problemy, na co Reacher odparł:

- Chyba mamy wspólnych przyjaciół.

Szef ochrony zjawił się po dłuższej chwili - widać spotkania towarzyskie zajmowały dalekie miejsce na liście jego priorytetów. Facet okazał się mężczyzną średniego wzrostu we włoskich butach i garniturze wartym kilka tysięcy dolarów. Miał około pięćdziesiątki, lecz nadal był szczupły i wysportowany. Sprawiał wrażenie panującego nad sytuacją i zrelaksowanego, chociaż zmarszczki wokół oczu wskazywały, że w poprzedniej robocie odbył przynajmniej dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat ciężkiej harówki. Dobrze maskował swoje zniecierpliwienie, przedstawił się i uściśnił wszystkim rękę. Powiedział, że nazywa się Wright i zasugerował, aby porozmawiali w jakimś spokojnym miejscu. W czysto odruchowy sposób, pomyślał Reacher. Wewnętrzny instynkt i wykształcenie nakazywały mu przenieść potencjalne zagrożenie w ustronne miejsce. Nic nie mogło tamować przepływu gotówki.

Znaleźli cichy kąt. Oczywiście bez krzeseł. Żadne kasyno w Vegas nie oferowało gościom wygodnego miejsca do siedzenia z dala od głównego miejsca akcji. Z tego samego powodu światła w pokojach były przyćmione. Gość czytający w swoim apartamencie stałby się zupełnie bezużyteczny. Kiedy stanęli w zgrabnym kręgu, O'Donnell wyciągnął swoją licencję prywatnego detektywa wydaną przez dystrykt Kolumbii oraz coś w rodzaju listu akredytacyjnego wydanego przez policję metra. Dixon pokazała własną licencję i dokument wydany przez policję nowojorską. Neagley miała dokument wystawiony przez FBI. Reacher nie okazał niczego, a jedynie wygładził koszulkę, ukrywając pod nią pistolet tkwiący w kieszeni.

- Kiedyś pracowałem w FBI - powiedział Wright, zwracając się do Neagley.

- Znał pan Manuela Orozco i Jorge Sancheza?

- Znałem czy znam? - zapytał Wright.

- Czy znał ich pan? - powtórzył Reacher. - Orazco na pewno nie żyje, sądzymy, że Sanchez również.

- To wasi przyjaciele?

- Z armii.

- Bardzo mi przykro.

- Nam również.

- Kiedy zginęli?

- Trzy, cztery tygodnie temu.

- Jak?

- Nie wiemy. Dlatego tu jesteśmy.

- Znałem ich - powiedział Wright. - Całkiem dobrze. Znali ich wszyscy z branży.

- Korzystał pan z ich usług? Zawodowo?

- Nie. Nie zlecamy usług zewnętrznym jednostkom. Jesteśmy zbyt dużą firmą. Podobnie jest z innymi większymi kasynami.

- Wszystko załatwiacie sami? Wright skinął głową.

- To miejsce, do którego przyjeżdżają agenci FBI i oficerowie policji, aby umrzeć. Zatrudniamy najlepszych. Zarobki są tak wysokie, że gliniarze ustawiają się w kolejce. Nie ma dnia, abym nie przeprowadził rozmowy przynajmniej z dwoma, którzy przyjechali tu na ostatnie wakacje przed emeryturą.

- Jak w takim razie poznał pan Orozca i Sancheza?

- Zajmowali się prowadzeniem czegoś, co przypomina obóz szkoleniowy. Jeśli ktoś wpada na nowy pomysł, nie wypróbujemy go tutaj. Byłoby to czyste szaleństwo. Udoskonalamy go gdzie indziej. Utrzymujemy dobre stosunki z takimi ludźmi jak Orozco i Sanchez, ponieważ potrzebujemy ich fachowej wiedzy. Spotykamy się co jakiś czas, rozmawiamy, urządzamy konferencje, obiady, koktajl party.

- Czy byli bardzo zajęci? Czy pan jest bardzo zajęty?

- Jak jednoręczny tapeciarz.

- Słyszał pan o Azharim Mahmoudzie?

- Nie. Kto to taki?

- Nie wiemy. Sądzymy, że posługuje się fałszywym nazwiskiem.

- Tutaj?

- Jest w Vegas. Mógłby pan sprawdzić rejestry hotelowe?

- Mogę sprawdzić nasz i zadzwonić do znajomych.

- Proszę sprawdzić również Andrew MacBride'a i Anthony'ego Matthews.

- Subtelne.

- Skąd wiecie, że jakiś karciarz oszukuje?

- Wygrywa - wyjaśnił Wright.

- Ludzie muszą czasem wygrać.

- Wygrywają tyle, na ile im pozwolimy. Jeśli wygrają więcej, znaczy, że oszukują.

Wszystko sprowadza się do statystyki. Liczby nie kłamią. Nie chodzi o to jak, lecz czy.

- U Sancheza znaleźliśmy kartkę z liczbami - powiedział O'Donnell. - Sześćdziesiąt pięć milionów dolarów. Sto tysięcy razy sześćdziesiąt pięć zdarzeń w ciągu czterech kolejnych miesięcy.

- I?

- Czy te liczby z czymś się panu kojarzą?

- Na przykład z czym?

- Z jakimś przekrętem.

- Ile by to dało w ciągu roku? Prawie dwieście milionów?

- Sto dziewięćdziesiąt pięć - sprostował Reacher.

- To możliwe - rzekł Wright. - Staramy się, aby straty nie przekroczyły ośmiu procent.

Taki cel wyznacza sobie nasza branża. Oznacza to, że tracimy ponad dwieście milionów dolarów rocznie. Z drugiej strony jeden przekręt na dwieście milionów wydaje się nieprawdopodobny. Chyba że w grę wchodziłoby coś nowego, znacznie lepszego od starych numerów. W takiej sytuacji cel ograniczenia strat do ośmiu procent byłby nierealny. Zaczynacie mnie niepokoić.

- Sanchez i Orozco byli zaniepokojeni - odparł Reacher. - Sądzymy, że to ich zabiło.

- Byłaby to wielka sprawa - powiedział Wright. - Sześćdziesiąt pięć milionów w cztery miesiące? Musieliby wciągnąć w to krupierów, kierowników sal i ochroniarzy. Uszkodzić kamery i wymazać taśmy. Kupić milczenie kasjerów. Byłby to przekręt na skalę całej branży.

- To możliwe.

- W takim razie dlaczego nie rozmawiają ze mną gliniarze?

- Trochę ich wyprzedzamy.

- Policję z Vegas? Gości z Komisji Kontroli Gier? Reacher potrząsnął głową.

- Nasi przyjaciele zginęli na terenie hrabstwa Los Angeles. Sprawę prowadzi kilku tamtejszych szeryfów.

- Wyprzedzacie ich? Co to znaczy?

Reacher nie odpowiedział. Wright zamilkł na chwilę, a następnie przyjrzał się uważnie każdemu z nich. Najpierw Neagley, następnie Dixon, O'Donnellowi i Reacherowi.

- Zaraz - rzekł. - Nic nie mówcie. Znaliście się z wojska? Należeliście do grupy specjalnej. Jesteście ich dawnymi kumplami. Ciągłe was wspominali.

- W takim razie rozumie pan, dlaczego tu jesteśmy. Pracował pan z ludźmi.

- Powiadomicie mnie, jeśli się czegoś dowiecie?

- Trzeba na to zasłużyć - odparł Reacher.

- Jest pewna dziewczyna - powiedział Wright. - Pracuje w paskudnym miejscu z paleniskiem w centrum sali. W barze, tam gdzie kiedyś znajdowała się Riwiera. Była blisko z Sanchezem.

- Jego dziewczyna?

- Niezupełnie. Może kiedyś łączyły ich zażyłe stosunki. Będzie wiedziała więcej ode mnie.

44

Wright wrócił do pracy, a Reacher zapytał konsjerżę, gdzie znajdowała się Riwiera. Bar był położony w gorszej części miasta. Poszli pieszo. Była pustynna noc, gorąca i sucha. Na horyzoncie, ponad słupem smogu i łuną światła miasta, jaśniały gwiazdy. Chodniki były zasłane wyrzuconymi barwnymi pocztówkami reklamującymi usługi prostytutek. Można było odnieść wrażenie, że wolny rynek obniżył cenę do pięćdziesięciu dolarów pomniejszonych o jednego centa. Reacher nie miał wątpliwości, że wspomniana kwota szybko wzrośnie, gdy tylko nieszczęsny klient sprowadzi dziewczynę do swojego pokoju. Kobiety na zdjęciach wyglądały atrakcyjnie, chociaż Reacher wiedział, że nie są prawdziwe. Były to zdjęcia modelek z Rio lub Miami ubranych w niewinne kostiumy kąpielowe. Sanchez i Orozco musieli mieć ręce pełne roboty. Wright powiedział, że byli zajęci jak Jednoręki tapeciarsz” i Reacher był skłonny mu uwierzyć.

Dotarli do betonowego baru z odchodzącym tynkiem i napisem „Zimne piwo ostre dziewczyny” i skręcili w kłębowisko uliczek, przy których stały parterowe otynkowane budynki. W niektórych mieściły się motele, w innych sklepy spożywcze, restauracje i bary. Przed wszystkimi stały znaki na wysokim słupie składające się z białej tablicy z szybą oraz poziomymi uchwytyami na wsuwane czarne litery. Wszystkie litery miały ten sam smukły kształt, więc trzeba było dobrze się skoncentrować, aby zobaczyć co jest w środku. Sklepy spożywcze reklamowały sześciopakami napojów gazowanych za jednego dolara dziewięćdziesiąt dziewięć centów, motele szczyciły się klimatyzacją, basenem i telewizją

kablową, a restauracje proponowały szwedzki bufet śniadaniowy czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę, z którego po uiszczeniu opłaty można było korzystać bez żadnych ograniczeń. Bary informowały o godzinach, w których podawano napoje za niższą cenę i stałe niższe ceny za większego drinka. Wszystkie wyglądały podobnie. Minęli pięć lub sześć, zanim dostrzegli znak „Fire Pit”.

Znak stał na zewnątrz otynkowanego betonowego budynku pozbawionego okien i przypominającego pudełko do butów. Miejsce nie przypominało baru. Mogło się w nim znajdować dosłownie wszystko. Klinika chorób przenoszonych drogą płciową lub kościół na obrzeżach miasta. W środku było całkiem inaczej. Człowiek nie miał wątpliwości, że znalazł się w barze w Vegas. W lokalu pomalowanym na purpurowo, przy stołach przykrytych ciemnoczerwonymi obrusami piło, krzyczało, śmiało się i głośno rozmawiało pięćset osób. We wnętrzu nie było żadnych prostych lub kwadratowych kształtów. Bar, przy którym krążył tłum gości, miał długi i wygięty kształt przypominający literę „S”. Koniec litery „S” wił się wokół wpuszczonego w podłogę zagłębienia. Środek otchłani tworzyło sztuczne palenisko. Rolę płomieni odgrywały postrzępione wstęgi pomarańczowego jedwabiu unoszone w górę przez strumień powietrza dobywającego się z ukrytego wentylatora. Tkanina falowała, poruszała się i tańczyła w promieniach jaskrawo-czerwonego światła. Sala była podzielona na obite aksamitnym pluszem kabiny. Wszystkie były zajęte. Ludzie tłoczyli się wokół otchłani ognia. Z ukrytych głośników dolatywała głośna muzyka. Kelnerki w skąpych strojach zgrabnie przedzierały się przez tłum, wysoko unosząc tacę.

- Urocze miejsce - zauważył O'Donnell.

- W policyjnym guście - przytaknęła Dixon.

- Znajdźmy dziewczynę i zabierzmy ją na zewnątrz - zaproponowała Neagley. Źle się czuła w ścisku. Odnalezienie dziewczyny okazało się trudniejsze, niż sądzili. Reacher zapytał barmankę o znajomą Jorge Sancheza. Kobieta najwyraźniej wiedziała, o kogo chodzi, lecz powiedziała, że jej koleżanka skończyła pracę o północy. Nazywała się Milena. Na wszelki wypadek Reacher zadał to samo pytanie dwóm kelnerkom i otrzymał dwie identyczne odpowiedzi. Ich koleżanka, Milena, była blisko związana z ochroniarzem, który nazywał się Sanchez. Tej nocy poszła do domu, aby się przespać i wrócić następnego dnia na kolejną dwunastogodzinną ciężką zmianę. Nikt nie potrafił podać jej adresu.

Reacher zostawił swoje nazwisko wszystkim trzem kobietom. Kiedy wrócił do pozostałych, przedarli się przez tłum i wyszli na zewnątrz. Vegas o pierwszej nad ranem było nadal oświetlone i buczało, jednak po opuszczeniu hałaśliwego baru wydawało się tak ciche i spokojne jak chłodna szara powierzchnia księżycy.

- Jaki mamy plan? - zapytała Dixon.

- Wrócimy tu o jedenastej trzydzieści - powiedział Reacher. - Złapiemy ją w drodze do roboty.

- Co robimy do tego czasu?

- Nic. Odpoczniemy.

Wrócili na Strip i ramię przy ramieniu wolnym krokiem ruszyli w stronę hotelu. Czterdzieści metrów za nimi raptownie przyhamował ciemnoniebieski chrysler i zaparkował przy krawężniku.

45

Facet w ciemnoniebieskim garniturze zadzwonił natychmiast.

- Znalazłem ich. To niewiarygodne. Pojawili się tuż przede mną.

- Cała czwórka? - zapytał szef.

- Mam ich przed sobą.

- Możesz ich zlikwidować?

- Tak sędzę.

- W takim razie zrób to. Nie czekaj na posiłki. Załatw sprawę i wracaj.

Mężczyzna w garniturze zakończył rozmowę i ruszył od krawężnika. Przejechał przez cztery pasy ruchu i zaparkował w bocznej uliczce przy sklepie spożywczym oferującym najtańsze papierosy w mieście. Wysiadł, zamknął wóz i ruszył w dół Stripu z prawą dłonią ukrytą w kieszeni kurtki.

W Las Vegas na metr kwadratowy powierzchni przypada więcej pokoi hotelowych niż w jakimkolwiek miejscu na świecie, lecz Azhari Mahmoud nie zameldował się w żadnym z nich. Znajdował się w wynajętym domu na przedmieściach oddalonym pięć kilometrów od Stripu. Dom został wydzierżawiony na dwa lata z myślą o operacji, którą zaplanował, lecz której nie zdążył zrealizować. Dziś był równie bezpieczny jak wtedy. Mahmoud stał w kuchni, przeglądając leżącą na blacie książkę telefoniczną.

Przez Strip nieustannie przelewała się fala przebudowy niczym woda w wannie. Niegdyś Riwierra wyznaczała koniec prestiżowej części miasta. Jej budowa wywołała boom inwestycyjny, który sprawił, że wzdłuż ulicy jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać kolejne domy. Kiedy zabudowania sięgnęły drugiego końca, standardy poszły w górę i Riwierra nagle wydała się stara i nieelegancka w porównaniu z nowszymi gmachami. W rezultacie w

odwrotnym kierunku ruszyła nowa fala inwestycji. Ciągłe trwały jakieś prace budowlane na odcinku jednej przecznicy, oddzielając nowe, dopiero co wzniesione gmachy od nieco starszych, które za chwilę miały zostać zburzone. W miarę postępu prac drogi i chodniki stawały się coraz prostsze. Nowe pasy mchu przebiegały bez przeszkód, a stare wiły się pomiędzy rumowiskami. W tej części miasto wydawało się ciche i opuszczone, przypominało niezamieszkaną ziemię niczyją.

Właśnie w takim rejonie wyłonił się facet w ciemnoniebieskim garniturze, podążając za swoim celem. Tamci szli ramię przy ramieniu, wolnym krokiem, jakby kierowali się w konkretne miejsce, lecz dysponowali nieograniczonym czasem na pokonanie drogi. Neagley była z lewej, Dixon z prawej, a Reacher i O'Donnell w środku. Szli blisko siebie, lecz nie dotykali się. Jakby maszerowali w zwartym szyku, całą szerokością chodnika. Łącznie tworzyli cel szerokości jakichś trzech metrów. To Neagley wybrała stary chodnik. Zrobiła to całkiem przypadkowo, a pozostali podążyli jej śladem.

Mężczyzna w garniturze wyciągnął pistolet z prawej kieszeni kurtki. Daewoo DP 51 wyprodukowany w Korei Południowej, czarny, mały, kupiony nielegalnie, niezarejestrowany, nie do wyśledzenia. Magazynek mieścił trzynaście nabołów parabellum kalibru 9 milimetrów. Właściciel pistolem nosił go w jedyny bezpieczny sposób, którego nauczył się na długoletnim szkoleniu: pusta komora nabożowa, zabezpieczony spust.

Trzymał broń w prawej dłoni, naciskając cyngiel zabezpieczonego pistoletu i ćwicząc kolejność. Postanowił, że najpierw zlikwiduje największy cel. Z doświadczenia wiedział, że takie postępowanie daje najlepsze rezultaty. Pierwszą kulę pośle w plecy Reachera, następny będzie O'Donnell. Później wykona ostry zwrot w lewo i trafi Neagley, by wykonać kolejny zwrot w prawo, w stronę Dixon. Cztery strzały w ciągu trzech sekund, oddane z odległości sześciu metrów. Na tyle blisko, by odchylenie w lewo i prawo było skrajne. Maksymalny kąt rzędu dwudziestu stopni. Czysta geometria. Prosta sprawa. Żadnych problemów.

Rozejrzał się wokół.

Nikogo.

Spojrzał za siebie. Czysto.

Odbezpieczył broń, chwytając lufę daewoo lewą dłonią i przeładowując prawą. Poczul pierwszy nabój wpychany do komory.

Noc nie była cicha. Zewsząd dochodził zgiełk miasta. Ruch samochodów na Stripie, buczenie skraplaczy na odległych dachach, szum wyciągów, przytłumiony gwar setek tysięcy ludzi grających w karty. Mimo to Reacher usłyszał dźwięk broni przeładowanej sześć metrów

za jego plecami. Bardzo wyraźnie. Był to dźwięk, który nauczył się bezbłędnie rozpoznawać. Przypominał trwającą ułamek sekundy symfonię, którą zarejestrował w najdrobniejszym szczególe. Odgłos towarzyszący tarcu jednej metalowej części o drugą, metaliczny rezonans częściowo stłumiony przez mięsistą dłoń, opuszkę kciuka i boczną powierzchnię palca wskazującego. Wdzięczne ciągnięcie się sprężyny magazynka, kliknięcie wsuwanego do komory naboju w mosiężnej łusce oraz powrót zamka. Wszystkie te dźwięki dotarły do jego uszu w jednej trzydziestej części sekundy i zostały przetworzone w tym samym czasie.

Jego życie i dzieje były pozbawione wielu rzeczy. Nigdy nie zaznał stabilności, normalności, wygody i konwenansów. Nigdy nie liczył na nic z wyjątkiem zaskoczenia, nieprzewidywalności i niebezpieczeństwa. Precyzyjnie odebrał sygnał i równie precyzyjnie określił jego źródło. Dźwięk przeładowywanej broni nie wywołał w nim paraliżującego szoku, lęku, ukłucia niewiary. Można by odnieść wrażenie, że uważał za coś całkiem naturalnego i zrozumiałego, iż w środku nocy słyszy, jak nieznajomy szykuje się do strzelenia mu w plecy. Nie było nawet cienia wahania, domysłów, wątpliwości lub zahamowań. Jedynie czysto mechaniczny problem przypominający niewidzialny czterowymiarowy diagram przedstawiający czas, przestrzeń, cele, szybko mknące kule i wolno poruszające się ciała.

Po upływie kolejnej jednej trzydziestej części sekundy pojawiła się reakcja.

Wiedział, że pierwsza kula będzie przeznaczona dla niego. Zdawał sobie sprawę, że każdy rozsądny napastnik będzie chciał najpierw zlikwidować największy cel. Tak podpowiadał zdrowy rozsądek. Zatem pierwsza kula będzie przeznaczona dla niego.

Albo dla O'Donnella.

Lepiej być przesadnie ostrożnym, niż żałować.

Silnie pchnął O'Donnella prawym ramieniem, przewracając go na Dixon, a następnie wykonał rzut na Neagley. Odlecieli w przeciwną stronę. Kiedy padał na kolana, usłyszał huk wystrzału i ujrzał kulę przelatującą przez pustą przestrzeń w kształcie litery „V”, tam gdzie ułamek sekundy wcześniej znajdowały się jego plecy. Jeszcze nie runął na chodnik, a już trzymał w ręku hardballera. Obliczył kąty i trajektorie, zanim wyciągnął go zza paska spodni. Pistolet miał dwa zabezpieczenia. Tradycyjną dźwignię z tyłu i zabezpieczenie na rękojeści, zwalniane po właściwym uchwyceniu kolby.

Zanim odbezpieczył broń, postanowił, że nie będzie strzelał. Przynajmniej nie od razu.

Runął na Neagley, na skraju wewnętrznej części chodnika. Napastnik znajdował się na środku. Kula wystrzelona pod dowolnym kątem poszybowałaby w kierunku drogi. Gdyby chybił, mogłaby trafić w przejeżdżający samochód. Nawet gdyby trafił tamtego, pocisk i tak

mógłby razić przejeżdżające pojazdy. Kula kalibru.45 przeszłaby bez trudu przez ciało i kości. Z dziecinną łatwością. Potężna siła. Duża penetracja.

W ułamku sekundy podjął decyzję, że poczeka na O'Donnella, który znajdował się pod lepszym kątem. Znacznie korzystniejszym. Upadł na Dixon, blisko krawężnika. Obok rynsztoka. Linia strzału była skierowana do środka. W stronę budynków. Chybiony strzał lub kula, która przeszła na wylot, nie wyrządziłyby nikomu szkody. Pocisk utkwiłby w stercie piasku.

Lepiej, aby to O'Donnell strzelił.

Przekreślił się, uderzając o ziemię. Funkcjonował w trybie, w którym jego umysł pracował gorączkowo, a świat wokół zwalniał. Czuł, że jego ciało oblepia lepka melasa. Krzyczał na nie „szybciej”, „szybciej”, „szybciej”, lecz ono reagowało ospale. Tuż obok upadała Neagley z taką precyzją, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Kątem oka spostrzegł jak jej ramię uderza o ziemię, a siła rozpędu porusza głową niczym szmacianą lalką. Odwrócił się z największym trudem, jakby ktoś przyczepił mu do głowy ogromny ciężar. Zobaczył, jak pada Dixon, pchnięta przez O'Donnella.

Ujrzał jak lewe ramię O'Donnella unosi się z bolesną powolnością. Dostrzegł jego dłoń. Kciuk odbezpieczający hardballera.

Tamten oddał kolejny strzał. Wcześniej zaplanowany, w próżnię, tam gdzie przed chwilą znajdowały się plecy O'Donnella. Najwyraźniej wykonywał sekwencję strzałów. Tę, którą wcześniej przećwiczył. *Strzał-ruch ręki-strzał*. Reacher, a po nim O'Donnell. Mądry plan, lecz gość nie potrafił zareagować na nieoczekiwany obrót wydarzeń. Tak jakby jego umysł zablokował korek parowy. Facet był niezły, lecz nie wystarczająco dobry.

Reacher ujrzał dłoń O'Donnella zaciskającą się na kolbie i palec pociągający za spust. Uniósł lufę pistolem. Wystrzelił.

Strzał oddany z pozycji leżącej na chodniku. Zanim zdążył właściwie ułożyć ciało.

Za nisko, pomyślał Reacher. W najlepszym razie trafił go w nogę. Podniósł głowę. Miał słusność. Tamten dostał w nogę. Tyle że postrzał w nogę pociskiem kalibru.45 o dużej prędkości nie jest błahostką. Przypomina przewiercenie kończyny szybko obracającym się długim wiertłem. Spustoszenie było olbrzymie. Facet dostał kulkę w dolną część uda. Kość udowa eksplodowała od wewnątrz, jakby umieszczono w niej bombę. Niesamowity ból. Paralizujący szok. Masywny upływ krwi z rozerwanych tętnic.

Chociaż nadal stał, dłoń z pistoletem opadła. O'Donnell zerwał się na równe nogi, wykonując rzut do przodu, a jednocześnie wkładając rękę do kieszeni. Dopadł tamtego i

uderzył go w twarz kastetem. W sam środek, całym impetem ciała ważącego sto kilogramów. Tak jakby walnął w arbuza ciężkim młotem.

Mężczyzna upadł na plecy. O'Donnell kopnął jego pistolet i przykucnął, przyciskając mu broń do gardła.

Gra skończona.

46

Reacher pomógł Dixon wstać. Neagley podniosła się o własnych siłach. O'Donnell obszedł leżącego, próbując nie wdepnąć w kałużę krwi, która powstała w okolicach jego nogi. Nie było wątpliwości, że doszło do uszkodzenia tętnicy udowej. Zdrowe ludzkie serce jest bardzo sprawną pompą, lecz w tym wypadku zajmowało się wyrzucaniem na chodnik całej krwi rannego.

- Odsuń się, Dave - poprosił Reacher. - Niech się wykrwawi. Nie ma powodu, aby zaprzętać sobie nim głowę.

- Co za jeden? - zapytała Dixon.

- Być może nigdy się tego nie dowiemy - odpowiedziała Neagley. - Jego twarz jest zupełnie zmasakrowana.

Miała słuszość. Ceramiczny kastet O'Donnella dobrze wykonał swoje zadanie. Gość wyglądał tak, jakby został zaatakowany młotkiem i nożem. Reacher chwycił faceta za kołnierz i pociągnął do tyłu. Jezioro krwi zmieniło kształt, upodabniając się do czerwonej łyżki. Wykorzystując opór suchego chodnika przykucnął i sprawdził kieszenie.

Były puste.

Brak portfela i dokumentów. Nic.

Jedynie kluczyki do samochodu i pilot na zwyczajnym stalowym kółku.

Facet był blady i zaczynał sinieć. Reacher przyłożył palec do tętnicy szyjnej i wyczuł nieregularny, urywany puls. Z rany na udzie wypływała spieniona krew. W jego układzie krwionośnym było dużo powietrza. Krew na zewnątrz, powietrze do środka. Prosta sprawa. Natura nie znosi próżni.

- Facet jest na wylocie - powiedział.

- Dobry strzał, Dave - pochwaliła Dixon.

- Strzelałem lewą ręką - odparł O'Donnell. - Mam nadzieję, że zauważyłaś.

- Przecież jesteś praworęczny.

- Upadłem na prawe ramię.

- Niesamowite - przyznał Reacher.

- Co usłyszałeś?

- Odgłos przeładowywanej broni. Nabyłem tej umiejętności w wyniku ewolucji. Ten dźwięk przypomina trzask gałązki pękającej pod ciężarem drapieżnika.

- Twoja przewaga wynika z faktu, że bliżej ci do człowieka jaskiniowego niż nam.

- Żebyś wiedział.

- Kto postępuje w taki sposób? Rusza do ataku, nie przeładowawszy uprzednio broni?

Reacher cofnął się i spojrzał na leżącego.

- Chyba go rozpoznaję - powiedział.

- W jaki sposób? - zdziwiła się Dixon. - Nie poznałaby go własna matka.

- Garnitur - zauważył Reacher. - Chyba gdzieś go widziałem.

- Tutaj?

- Nie wiem. Gdzieś. Nie pamiętam dokładnie gdzie.

- Zastanów się.

- Nigdy nie widziałem tego garnituru - powiedział O'Donnell.

- Ani ja - dodała Neagley.

- I ja - przyłączyła się Dixon. - Ale to dobry znak, nie sądzicie? Nikt nie próbował nas zabić w Los Angeles. Musimy się zbliżyć do rozwiązania zagadki.

Reacher rzucił Neagley pistolet i kluczyki postrzelonego, a następnie odsunął sztachtetę w parkanie, który odgradzał miejsce budowy od ulicy. Szybko przeniósł ciało do środka, starając się, aby plama krwi była jak najmniejsza. Facet w dalszym ciągu krwawił. Reacher przeciągnął go przez plac, za wysoki kopiec żwiru, aż znalazł szeroki oszalowany drewnem wykop głębokości około trzech metrów i dnie wysypanym żwirem. Wykop pod betonowy fundament. Wtoczył ciało do środka. Spadło trzy metry w dół, ciężko uderzając o żwir i przewracając się na bok.

- Poszukajcie szpadla - powiedział. - Trzeba przysypać go żwirem.

- Czy on nie żyje? - zapytała Dixon.

- A jakie to ma znaczenie?

- Powinniśmy go przewrócić na plecy. W ten sposób będziemy potrzebowali mniej żwiru.

- Zgłaszasz się na ochotnika? - zapytał Reacher.

- Mam na sobie dobry garnitur. Do tej pory odwaląłem całą brudną robotę.

Reacher wzruszył ramionami i wskoczył do wykopu. Przewrócił leżącego nogą i ułożył w żwirze. Podciągnął się i odebrał szpadel od O'Donnella. Do przysypania ciała

potrzebowali dziesięciu tacek żwiru. Neagley znalazła hydrant, rozwinęła wąż i odkręciła wodę. Umyła chodnik, splukując krew do ścieku. Później wycofała się za pozostałymi, zmywając z piasku ślady stóp. Reacher włożył oderwaną sztachtetę na miejsce. Zatoczył koło i sprawdził okolicę. *Nie idealnie, lecz całkiem znośnie*. Wiedział, że pozostawili mnóstwo śladów, które bez trudu wypatrzyłby sprawny zespół dochodzeniowy, nie dostrzegł jednak niczego, co zwróciłoby czyjąś uwagę w najbliższym czasie. Zapewnili sobie margines bezpieczeństwa. W najgorszym razie kilka godzin. Może dłużej. Być może beton zostanie wylany następnego dnia i facet dołączy do grona zaginionych. Pomyślał, że nie będzie pierwszym, który zniknął w fundamentach domu w Vegas.

Zrobił głęboki wydech.- W porządku - powiedział. - Do rana mamy wolne.

Otrzepli się, uformowali szyk i wolnym krokiem ruszyli w kierunku Stripu, ramię przy ramieniu, gotowi odpocząć, okazało się jednak, że w hotelowym holu czekał na nich Wright. Szef ochrony kasyna. Jak na gościa z Vegas nie miał szczególnie pokerowej twarzy. Było jasne, że coś go gryzie.

47

Gdy tylko weszli do holu, Wright mszył w ich stronę energicznym krokiem, a następnie zaprowadził w to samo ustronne miejsce co poprzednio.

- Azhari Mahmoud nie zameldował się w żadnym hotelu w Vegas - powiedział. - To pewne. Podobnie jak Andrew MacBride i Anthony Matthews.

Reacher skinął głową.

- Dzięki, że sprawdziłeś - rzekł.

- Wykonałem również kilka pilnych telefonów do kolegów. To lepsze, niż nie spać całą noc ze zmartwienia. Wiecie, czego się dowiedziałem? Gadacie brednie. W ciągu ostatnich czterech miesięcy nie mogło tu dojść do przekrętu na sześćdziesiąt pięć milionów dolarów. Do niczego takiego nie doszło.

- Jesteś pewny? Wright skinął głową.

- Wykonaliśmy wszystkie alarmowe audyty przepływu gotówki. Nie wydarzyło się nic podejrzanego. Zwyczajne transakcje. To wszystko. Nic więcej. Prześlę wam rachunek za prozac. Ostatniej nocy przedawkowałem.

Znaleźli bar w pobliżu holu, kupili piwo i usiedli w rzędzie przed czterema wolnymi automatami. Reacher udawał, że raz za razem zgarnia całą pulę, jakby grał w kuszącą klientów reklamie. Koła stanęły na czterech wisienkach, światełka migotały, ścigając się po

tablicy. Cztery koła z ośmioma symbolami. Znikoma szansa wygranej, nawet bez ingerencji ukrytego mikroprocesora. Reacher próbował obliczyć, ile ton ćwierćdolarówek trzeba by wrzucić do środka. Nie wiedział, ile dokładnie waży jedna moneta. Pewnie niewielki ułamek kilograma, jednak ciężar monet szybko uległby zwielokrotnieniu. Pomyślał o ogromnym obciążeniu ścięgien, zmęczeniu mięśni, kontuzji wywołanej wielokrotnie ponawianym obciążeniem. Ciekawe, czy właściciele kasyn mają akcje klinik ortopedycznych. Bardzo możliwe.

- Wright wykombinował, że byłby to przekręt na skalę całej branży - powiedziała Dixon. - Powiedział to prosto z mostu. Musieliby przekupić krupierów, kierowników sal i kasjerów, zabezpieczyć kamery i taśmy. Równie dobrze mogliby sfingować sztuczny przepływ gotówki. Zainstalować program, który informowałby, że wszystko jest w porządku, dopóki byłoby im to potrzebne. Na ich miejscu postąpiłabym podobnie.

- Kiedy odkryliby przekręt? - zapytał Reacher.

- Podczas zamykania ksiąg pod koniec roku finansowego. Wówczas pieniądze są albo ich nie ma.

- W jaki sposób Sanchez i Orozco mogliby się o tym dowiedzieć?

- Może dotarli do kogoś na końcu łańcucha pokarmowego i cofnęli się do początku.

- Kto musiałby w tym uczestniczyć?

- Najważniejsi ludzie.

- Tacy jak Wright?

- Niewykluczone - odparła Dixon.

- Rozmawialiśmy z nim, a pół godziny później ktoś próbował strzelić nam w plecy.

- Musimy odnaleźć przyjaciółkę Sancheza - powiedziała Neagley. - Zanim zrobi to ktoś inny.

- Nie możemy - rzekł Reacher. - Żaden bar nie poda adresu dziewczyny bandzie nieznajomych.

- Moglibyśmy powiedzieć, że jest w niebezpieczeństwie.

- Myślisz, że nie słyszeli tego wcześniej?

- Dowiedzmy się adresu w inny sposób - powiedziała Dixon. - Za pośrednictwem UPS.

- Nie znamy nawet jej nazwiska.

- W takim razie co robimy?

- Weźmy na wstrzymanie i poczekajmy do rana.

- Może powinniśmy zmienić hotel? Jeśli Wright jest jednym z nich...

- To bez sensu. Facet ma kumpli w całym mieście. Po prostu zamknijcie drzwi.

Reacher posłuchał własnej rady, gdy tylko wrócił do pokoju. Przekręcił zamek i założył łańcuch. Oczywiście nie powstrzymałoby to zdeterminowanego napastnika, lecz dałoby Reacherowi dodatkową sekundę lub dwie, a dokładnie tyle potrzebował.

Włożył pistolet do szuflady nocnego stolika. Wsunął ubranie pod materac, aby się odprasowało, i wziął długi gorący prysznic. Później zaczął rozmyślać o Karli Dixon.

Była sama.

Może tego nie lubiła.

Może czułaby się bezpieczniej, gdyby przebywała w czyimś towarzystwie.

Owinął się ręcznikiem i podreptał do telefonu. Zanim dotarł do aparatu, usłyszał pukanie. Zmienił kierunek. Zignorował judasza. Nie lubił przykładać oka do nieosłoniętej szyby. Wystarczyło, by napastnik stojący na korytarzu poczekał aż otwór ściemnieje i wpakował w niego kulę dużego kalibru. W ten sposób mógłby spowodować wielkie spustoszenie. Pocisk wraz z odłamkami szkła i metalu dostałyby się do oka i mózgu i wyleciał z drugiej strony czaszki. Zdaniem Reachera judasz był bardzo kiepskim wynalazkiem.

Zdjął łańcuch i przekręcił zamek. Otworzył drzwi.

Przed nim stała Karla Dixon.

Ubrana. Pomyślał, że musiała być ubrana, aby przejść korytarzem i wjechać windą. Czarny kostium bez bluzki.

- Mogę wejść? - zapytała. - Właśnie miałem do ciebie zadzwonić - odparł Reacher.

- Słusznie.

- Szedłem do telefonu.

- Dlaczego?

- Poczulem się samotny.

- Ty?

- Ja. Mam nadzieję, że ty również.

- Wpuścisz mnie do środka?

Szeroko otworzył drzwi. Weszła. W ciągu minuty odkrył, że nie tylko bluzki nie miała pod spodem.

Neagley zadzwoniła o dziewiątej trzydzięci z aparatu przy łóżku.

- Dixon nie ma w pokoju - oznajmiła.

- Może ćwiczy - odpowiedział Reacher. - Biega lub coś w tym rodzaju.

Dixon uśmiechnęła się i poruszyła u jego boku, ciepła i leniwa.

- Dixon nie ćwiczy - rzekła Neagley.

- W takim razie może bierze prysznic?

- Dzwoniłam dwukrotnie.

- Uspokój się. Zadzwoń do niej. Śniadanie za pół godziny. Do zobaczenia na dole.

Rozłączył się, a następnie podał słuchawkę Dixon, wyjaśniając, aby policzyła do sześćdziesięciu zadzwoniła do pokoju Neagley i powiedziała, że dopiero co wyszła z wanny. Pół godziny później wszyscy jedli śniadanie w hotelowej restauracji przy dźwięku automatów do gry. Po godzinie byli na Stripie, ponownie kierowali się do baru z otchłanią ognia.

48

Rano Vegas wydawało się płaskie i małe, obnażone w ostrych promieniach pustynnego słońca. Światło było bezlitosne. To, co nocą przypominało impresjonistyczne obrazy, w dzień raziło sztucznością i tandetą. Tym razem szli w kwadracie, jedna dwójka za drugą. W ten sposób stanowili mniejszy cel. Czujnie obserwowali okolicę z przodu i z tyłu.

Z przodu i z tyłu nie było nikogo. Na ulicy panował niewielki ruch, a chodnik był pusty. Rano w Vegas panował największy spokój.

Cisza panowała także na placu budowy w połowie Stripu. Miejsce sprawiało wrażenie opustoszałego. Zupełny bezruch.

- Mamy niedzielę? - zapytał Reacher.

- Nie - odpowiedział O'Donnell.

- Może jest święto?

- Nie.

- W takim razie dlaczego nikt nie pracuje.

Nie zauważyli również żadnych gliniarzy ani taśmy odgradzającej miejsce popełnienia przestępstwa. Nie prowadzono dochodzenia. Cisza, spokój. Reacher dostrzegł sztachtę, którą wyjął poprzedniej nocy. Ziemia i piasek splukany przez Neagley zamieniły się w błoto. Na chodniku widniała ogromna sucha plama. Do kraty kanalizacyjnej wpływała ostatnia cienka i wilgotna strużka. Oczywiście wokół panował bałagan, lecz czy na placu budowy kiedykolwiek był porządek? *Nie idealnie, lecz całkiem znośnie.* Nie dostrzegli niczego, co mogłoby zwrócić czyjąś uwagę.

- Dziwna sprawa - rzekł Reacher.

- Może skończyła im się forsa - powiedział O'Donnell.

- Szkoda. Facet niebawem zacznie cuchnąć.

Poszli dalej. Tym razem dokładnie wiedzieli dokąd. W świetle dnia odnaleźli drogę na skróty, wiodącą przez kłębowisko splątanych uliczek. Dotarli do baru z otchłanią ognia od drugiej strony. Lokal nie był jeszcze otwarty. Usiedli na niskim murku, mrużąc oczy od słońca. Było bardzo ciepło, niemal upalnie.

- W Vegas jest dwieście jeden dzień bezchmurnych dni w ciągu roku - wyjaśniła Dixon.

- Latem temperatura dochodzi do czterdziestu stopni Celsjusza - dodał O'Donnell.

- Zimą spada niemal do zera.

- Opady roczne sięgają stu milimetrów.

- Czasami spada tu kilkadziesiąt milimetrów śniegu.

- Nadal nie zdążyłam otworzyć swojego przewodnika - oznajmiła Neagley.

Kiedy zegar w głowie Reachera wskazał za dwadzieścia dwunasta, zaczęli nadchodzić pierwsi pracownicy. Przybywali od strony ulicy w luźnych gromadkach, pojedynczo lub dwójkami. Mężczyźni i kobiety poruszali się w zółwym tempie, bez większego entuzjazmu. Kiedy przechodzili, Reacher pytał kobiety, czy mają na imię Milena. Wszystkie odpowiadały przecząco.

Później na chodniku ponownie zapanowała cisza.

Dziewięć minut przed dwunastą zjawiała się kolejna grupa. Reacher zrozumiał, że przyjechał następny autobus. Minęły ich trzy dziewczyny. Młode, zmęczone, swobodnie ubrane, z dużymi białymi tenisówkami na nogach.

Żadna nie nazywała się Milena.

Zegar w głowie Reachera zadzwonił. Do dwunastej została minuta. Neagley spojrzała na zegarek.

- Martwisz się? - zapytała.

- Nie - odparł Reacher, ponieważ za jej plecami spostrzegł dziewczynę, to musiała być ta, której szukali. Znajdowała się w odległości pięćdziesięciu metrów od nich. Spieszyła się. Była niska, szczupła i ciemnowłosa, ubrana w wypłowiałe niebieskie dżinsy biodrówki i krótki biały T-shirt. W pępku miała lśniący kolczyk, a na ramię zarzuciła niebieski nylonowy plecak. Długie kruczoczarne włosy opadały do przodu, okalając ładną twarz, która mogła należeć do siedemnastolatki. Sądząc po sposobie, w jaki się poruszała, musiała dobiegać trzydziestki. Wyglądała na zmęczoną i zaaferowaną. Na nieszczęśliwą.

Reacher wstał z murku, gdy znalazła się w odległości trzech metrów od nich, i zapytał:

- Milena?

Ostrożnie zwolniła kroku jak każda kobieta zaczepiona na ulicy przez rosnącego nieznajomego. Spojrzała na drzwi baru i przeciwległy chodnik, jakby zastanawiała się nad drogą ucieczki. Potknęła się lekko, nie wiedząc, czy się zatrzymać, czy zacząć uciekać.

- Jesteśmy przyjaciółmi Jorge - wyjaśnił Reacher.

Spojrzała na Reachera, a następnie na pozostałych, by ponownie skupić na nim wzrok. Zaczęła się domyślać, kim są. Najpierw było to zdumienie i nadzieja, później niewiara i akceptacja. Reacher pomyślał, że takich uczuć, na dodatek w identycznej kolejności, musi doświadczać pokerzysta dostający czwartego asa.

Później w jej oczach pojawiło się coś w rodzaju spokojnego zadowolenia, jakby wbrew najgorszym oczekiwaniom mit dostarczający otuchy okazał się prawdą.

- Jesteście jego kumplami z wojska - wyjąkała. - Wspominał, że przyjedziecie.

- Kiedy?

- Mówił o tym cały czas. Powtarzał, że gdyby znalazł się w tarapatkach, przyslibyście mu z pomocą.

- Przyjechaliśmy. Gdzie możemy pogadać?

- Uprzedzę, że się spóźnię. - Uśmiechnęła się nieśmiało, okrążyła ich i weszła do baru. Wyszła dwie minuty później, szybszym krokiem, wyższa, z wyprostowanymi ramionami, jakby ktoś zdjął jej ciężar z pleców. Jakby nie była dłużej sama. Wyglądała na młodą i rozsądną. Miała jasnobrażowe oczy, jasną skórę i szczupłe dłonie człowieka, który ciężko pracował od dziesięciu lat.

- Pozwólcie, że zgadnę - zaczęła. Odwróciła się w stronę Neagley i powiedziała: - Ty musisz być Neagley. - Następnie popatrzyła na Dixon. - W takim razie ty jesteś Karla. - Spojrzała na Reachera i O'Donnella: - Wy to Reacher i O'Donnell, prawda? Jeden wielki, drugi przystojny. - O'Donnell uśmiechnął się do Mileny, która spojrzała na Reachera i powiedziała: - Mówili, że szukaliście mnie ostatniej nocy.

- Chcieliśmy pogadać o Jorge.

Milena wstrzymała oddech, nerwowo przełknęła ślinę i zapytała:

- On nie żyje, prawda?

- Przypuszczalnie tak - odparł Reacher. - Wiemy o śmierci Manuela Orozco.

- Nie - jęknęła.

- Bardzo mi przykro - powiedział Reacher.

- Gdzie możemy pogadać? - zapytała Dixon.

- Chodźmy do Jorge - zaproponowała Milena. - Do jego mieszkania. Powinniście je zobaczyć.

- Słyszeliśmy, że wywrócono je do góry nogami.
- Trochę posprzątałam.
- To daleko stąd?
- Możemy pójść pieszo.

Wrócili na Strip całą piątka. Szli obok siebie. Plac budowy w dalszym ciągu był opuszczony. Żadnych gliniarzy. Milena dwukrotnie zapytała, czy Sanchez nie żyje, jakby ponawianie pytania mogło jej przynieść upragnioną odpowiedź. Reacher dwukrotnie odpowiedział: „Przypuszczalnie tak”.

- Nie wiecie tego na pewno?
- Nie znaleziono jego ciała.
- Znalezli ciało Orozca?
- Tak, widzieliśmy je.
- Co się stało z Calvinem Franzem i Tonym Swanem? Dlaczego nie ma ich z wami?
- Franz nie żyje, Swan pewnie też.
- Na pewno?
- Franz, na pewno.
- A Swan?
- Nie ma pewności.
- Nie macie pewności także co do Jorge?
- Nie ma pewności, lecz jest to bardzo prawdopodobne.
- Rozumiem.

Szła przed siebie, nie chcąc się poddać, nie chcąc się wyzbyć nadziei. Mijali okazałe hotele, kiczowate kopie słynnych budowli z całego świata skupione na obszarze kilkuset metrów kwadratowych. Później ujrzeli domy mieszkalne. Milena poprowadziła ich w lewo, a następnie skręciła w prawo, w równoległą ulicę. Zatrzymała się w cieniu zielonej markizy, dalej znajdował się hol budynku, który przeżywał okres świetności cztery fale rozbudowy wstecz.

- To tutaj - wyjaśniła. - Mam klucz.

Zdjęła plecak i wyciągnęła portmonetkę. Rozpięła ją i wyjęła mosiężny, pokryty patyną klucz.

- Od dawna go znałaś? - zapytał Reacher. Zawahała się przez chwilę, zastanawiając się, czy użyć czasu przeszłego, próbując uniknąć ostatecznego rozstrzygnięcia.

- Poznaliśmy się kilka lat temu - odpowiedziała. Poprowadziła ich do holu. Za biurkiem siedział portier.

Przywitał ją tak, jakby się znali. Pokazała im windę. Wjechali na dziewiąte piętro i mszyli w prawo korytarzem pokrytym wyblakłą farbą. Stanęli przy zielonych drzwiach. Otworzyła kluczem.

Pomieszczenie nie przytłaczało wielkością, chociaż nie było małe. Dwie sypialnie, salon, kuchnia. Proste dekoracje, głównie białe. Trochę jasnych nieco staromodnych kolorów. Duże okna. Kiedyś rozciągał się z nich piękny widok na pustynię, dzisiaj wyrastał przed nimi kolejny budynek wzniesiony przecznicę dalej.

Zwykłe mieszkanie mężczyzny, proste, pozbawione ozdób i dekoracji. W środku panował ogromny bałagan.

Ktoś wyrócił wszystko do góry nogami podobnie jak biuro Calvina Franza. Ściany, podłoga i sufity były wykonane z betonu, więc nie zostały zniszczone przez intruzów. Pozostałe przedmioty spotkał podobny los jak sprzęty Franza. Zdarto tapicerkę i potrzaskano meble. Fotele, kanapy, biurko i stół. Wszędzie wały się książki i papiery. Rozbito telewizor i zestaw stereo. Porozrzucano płyty CD. Podniesiono i rzucono na bok dywany. Kuchnia została niemal całkowicie zniszczona.

Porządki Mileny ograniczały się do zgarnięciu gruzu na sterty i wepchnięcia wyprutego pierza do poduszek. Poukładała niektóre książki i papiery obok roztrzaskanych półek, z których je zrzucano.

Nie mogła zrobić nic więcej. Beznadziejne zadanie.

Reacher znalazł w kuchni kubek na śmieci, w którym zdaniem Curtisa Mauneya znaleziono zmiętą serwetkę. Kubek został wyrwany z gniazda pod zlewem i rzucony w drugi koniec pokoju. Niektóre rzeczy wypadły na zewnątrz, inne pozostały.

- Widzę w tym wszystkim więcej gniewu niż skuteczności - powiedział. - Jakby niszczenie było celem samym w sobie. Jakby napastnicy byli równie wściekli jak zmartwieni.

- Zgadzam się - przytaknęła Neagley.

Reacher otworzył drzwi i wszedł do głównej sypialni. Łóżko zostało wywrócone do góry nogami. Materac rozpruto. Wszędzie leżały rozrzucone ubrania. Połamane półki. Jorge Sanchez był schludnym człowiekiem, a jego naturalna skłonność została dodatkowo wzmocniona długimi latami życia podporządkowanego wojskowym standardom i rygorom. W mieszkaniu nie pozostał po nim żaden ślad. Najmniejszego cienia lub echa.

Milena apatycznie przemierzała mieszkanie, układając przedmioty w sterty, czasami zatrzymując się, aby przekartkować książkę lub spojrzeć na zdjęcie. Ustawiła zniszczoną kanapę we właściwej pozycji, chociaż wiedziała, że nikt już na niej nie usiadzie.

- Czy gliniarze tu byli? - zapytał Reacher.

- Tak - odpowiedziała.

- Co mówili?

- Uważają, że ludzie, którzy to zrobili, udawali monterów telefonicznych lub pracowników telewizji kablowej.

- Rozumiem.

- Moim zdaniem po prostu przekupili portiera. To znacznie łatwiejsze.

Reacher skinął głową. *Vegas, miasto przekrętów.*

- Czy gliniarze domyślają się, dlaczego to zrobiono?

- Nie.

- Kiedy ostatni raz widziałas Jorge?

- Poszliśmy na obiad - odparła. - Do chińskiej restauracji.

- Kiedy?

- W jego ostatnią noc w Vegas.

- Byłaś tutaj?

- Byliśmy sami.

- Napisał coś na serwetce - powiedział Reacher. Milena skinęła głową.

- Ktoś do niego zadzwonił? Ponownie przytaknęła.

- Kto?

- Calvin Franz - odparła.

49

Milena chwiała się na nogach, więc Reacher oczyścił kuchenny blat z kawałków rozbitej porcelany, aby zrobić jej miejsce. Podciągnęła się i usiadła, opierając się na dłoniach wsuniętych pod kolana.

- Musimy ustalić, czym zajmował się Jorge - zaczął Reacher. - Odkryć przyczynę tego, co się stało.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Przecież spędzaliście razem czas.

- Dużo czasu.

- Znaliście się dobrze.

- Bardzo dobrze.
- Od wielu lat?
- Z pewnymi przerwami.
- Musiał ci wspominać o swojej pracy.
- Mówił o niej cały czas.
- O czym myślał?
- Interesy kiepsko szły - powiedziała Milena. - Nie dawało mu to spokoju.
- Jego firma? Tutaj, w Vegas? Milena skinęła głową.
- Na początku wszystko było wspaniale. Jeszcze kilka lat temu mieli pełne ręce roboty. Mnóstwo kontraktów. Później duże kasyna zaczęły się wycofywać. Zatrudnili własną ochronę.

Jorge mówił, że to nieuchronne. Kiedy firma osiągnie pewną wielkość, takie postępowanie zaczyna mieć sens.

- Szef ochrony naszego hotelu powiedział, że Jorge był zajęty. Jak jednoręki tapeciarsz. Milena uśmiechnęła się.

- Chciał być miły. Jorge udawał, że nie dzieje się nic złego. Podobnie jak Manuel Orozco. Początkowo mówili: Będziemy udawali, aż faktycznie staniemy się zajęci. Później powtarzali: Będziemy udawali, teraz i nigdy więcej. Próbowali trzymać fason. Byli zbyt dumni, aby prosić.

- Co sugerujesz? Wszystko zaczęło się walić?

- Bardzo szybko. Zaczęli brać dorywczo fizyczną robotę. Pracowali jako bramkarze w klubach, wyrzucali oszustów z miasta, tego rodzaju rzeczy. Kiedyś udzielali konsultacji hotelom. Później praktycznie przestali. Tamci zawsze uważali, że wiedzą lepiej, nawet jeśli było inaczej.

- Widziałaś, co Jorge napisał na serwetce?

- Oczywiście, posprzątałam po obiedzie, gdy wyszedł. Zapisał na niej jakieś liczby.

- Wiesz, co oznaczają?

- Nie, wiem jednak, że bardzo go zmartwiły.

- Co później zrobił? Po telefonie od Franza.

- Zadzwoił do Manuela Orozca. Od razu. Orozco też się zmartwił.

- Jak to wszystko się zaczęło? Kto do nich przyszedł?

- Przyszedł?

- Kto był ich klientem? - zapytał Reacher.

Milena spojrzała mu w oczy, następnie odwróciła się i popatrzyła na O'Donnella, Dixon i Neagley.

- Nie słuchacie, co mówię - powiedziała. - Oni nie mieli klientów. Od jakiegoś czasu.

- Coś musiało się wydarzyć - rzekł Reacher.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Ktoś do nich przyszedł z jakąś sprawą. Kiedy wykonywali robotę lub siedzieli w biurze.

- Nie wiem, kto do nich przyszedł.

- Jorge o tym nie wspominał?- Nie. Jednego dnia siedzieli beczynnie, a drugiego uwijali się jak mucha z niebieską dupą. Tak mówili. Jak mucha z niebieską dupą, a nie jednoręki tapeciarz.

- Nie wiesz, co się stało? Milena pokręciła głową.

- Nie powiedzieli mi.

- Kto może wiedzieć?

- Żona Orozca.

50

W zrujnowanym mieszkaniu zapadła grobowa cisza. Reacher spojrzał na Milenę i zapytał:

- Orozco był żonaty? Milena skinęła głową.

- Miał trójkę dzieci.

Reacher odwrócił się do Neagley:

- Dlaczego o tym nie wiedzieliśmy?

- Nie jestem wszechwiedząca - odparła Neagley.

- Powiedzieliśmy Mauneyowi, że jego najbliższym krewnym jest siostra.

- Gdzie mieszkał Orozco? - zapytał Reacher.

- Przy tej samej ulicy - odparła Milena. - W domu takim jak ten.

Milena poprowadziła ich kolejne pół kilometra od centrum miasta do apartamentowca po przeciwnej stronie ulicy. Do mieszkania Orozca. Mieszkanie znajdowało się w budynku podobnym do domu Sancheza. Ten sam wiek, ten sam styl, ta sama konstrukcja, ta sama wielkość. Niebieska markiza nad chodnikiem zamiast zielonej jak u Sancheza.

- Jak ma na imię pani Orozco? - zapytał Reacher.

- Tammy - odpowiedziała Milena.

- Będzie w domu?

Milena skinęła głową.

- Pewnie śpi. Pracuje nocami. W kasynie. Wraca do domu, wsadza dzieci do szkolnego autobusu i kładzie się spać.

Obudził ją portier. Zadzwoił do mieszkania z lokalnej centrali. Podniosła słuchawkę po długim oczekiwaniu. Portier podał nazwisko Mileny, a następnie Reachera, Neagley, Dixon i O'Donnella. Wyczuł nastrój i uczynił to poważnym tonem. Nie pozostawił żadnej wątpliwości, że przynieśli złe nowiny.

Nastąpił kolejny okres długiego oczekiwania. Reacher pomyślał, że Tammy Orozco próbuje połączyć cztery nowe nazwiska z nostalgicznymi wspomnieniami męża, dodać dwa do dwóch. Wyobraził sobie, że wkłada podomkę. Wielokrotnie składał wizyty wdowom. Wiedział, jak się potoczą dalsze wydarzenia.

- Możecie wejść na górę - odparł portier.

Wjechali na siódme piętro, ledwo mieszcząc się w ciasnej kabinie. Na korytarzu skręcili w lewo i stanęli przed niebieskimi drzwiami. Były otwarte. Milena mimo to zapukała i wprowadziła ich do środka.

Tammy Orozco okazała się małą, zgarbioną kobietą. Leżała na kanapie. Potargane czarne włosy, jasna skóra, wzorzysta podomka. Przypuszczalnie miała czterdzieści lat, lecz teraz wyglądała jak stuletnia staruszka. Podniosła głowę, zupełnie ignorując Reachera, O'Donnella, Dixon i Neagley. W ogóle na nich nie spojrzała. Wyczuli wyraźną wrogość. Nie zazdrość ani bliżej nieokreśloną niechęć jak u Angeli Franz. Miejsce tamtych uczuć zajął gniew. Popatrzyła na Milenę i zapytała:

- Manuel nie żyje, prawda?

Milena usiadła obok niej i powiedziała:

- Oni tak twierdzą. Bardzo mi przykro.

- Jorge też?

- Nie wiemy tego na pewno.

Kobiety objęły się i zaczęły płakać. Reacher postanowił poczekać, aż przestaną. Wiedział, jak to jest. Mieszkanie Orozca było większe do mieszkania Sancheza. Trzy sypialnie, inny rozkład, pokoje na inne strony. Stęchłe powietrze zalatywało smażonym jedzeniem. Mieszkanie było zniszczone i niechlujne. Może dlatego, że zostało przetrząśnięte trzy tygodnie temu, a może zawsze znajdowało się w stanie chaosu, ponieważ mieszkało w nim dwoje dorosłych i trójka dzieci. Reacher nie znał się na dzieciach, lecz po rozrzuconych

książkach i zabawkach domyślił się, że pociechy Orozca były małe. Zauważył lalki i misie, gry wideo i wymyślne konstrukcje z plastikowych klocków. Dzieciaki musiały mieć pięć, siedem i dziewięć lat. Coś w tym rodzaju. Wszystkie pojawiły się na świecie stosunkowo niedawno. Po zakończeniu służby. Tego ostatniego Reacher był absolutnie pewien. W końcu Tammy Orozco podniosła głowę i zapytała:

- Jak to się stało?

- Policja przekaże pani szczegóły - odpowiedział Reacher.

- Cierpiał?

- Śmierć była natychmiastowa - wyjaśnił, tak jak go uczono dawno temu. Wszyscy żołnierze zabici podczas akcji ginęli błyskawicznie, chyba że można było dowiedzieć, iż stało się inaczej. Uważano, że taka wiadomość stanowi pociechę dla bliskich. Reacher pomyślał, że jeśli chodzi o Orozca, formalnie rzecz biorąc, było to zgodne z prawdą. Po schwytaniu, torturach, dręczeniu głodem i pragnieniem Manuel odbył przejażdżkę helikopterem zakończoną wirowaniem w powietrzu i krzykiem podczas trwającego dwadzieścia sekund upadku.

- Dlaczego? - zapytała Tammy.

- Próbujemy to ustalić.

- Powinniście. Przynajmniej tyle możecie zrobić.

- Właśnie dlatego tu przyszliśmy.

- Tutaj nie znajdziecie odpowiedzi.

- Musi tu być. Zacznijmy od tego, kto był ich klientem. Tammy spojrzała zdumionym wzrokiem na Milenę, z twarzą wilgotną od łez.

- Klientem? - zapytała. - Jeszcze tego nie wiecie?

- Nie - odparł Reacher. - Nie pytalibyśmy, gdyby było inaczej.- Oni nie mieli klientów - wyjaśniła Milena w imieniu Tammy. - Stracili ich. Przecież wam mówiłam.

- Od czegoś musiało się zacząć - powiedział Reacher. - Ktoś musiał do nich przyjść ze swoją sprawą. Spotkać się w biurze lub kasynie.

- Tak się nie stało - odparła Tammy.

- W takim razie sami musieli trafić na ślad. Powinniśmy tylko ustalić gdzie, kiedy i jak.

Zapadło długie milczenie, a później Tammy powiedziała:

- Naprawdę nie rozumiecie? To nie miało nic wspólnego z nimi. Nic. I nic wspólnego z Vegas.

- Nie?

- Nie.

- Od czego wszystko się zaczęło?

- Zostali wezwani na pomoc - wyjaśniła Tammy. - Tak to się zaczęło. Pewnego dnia, zupełnie nieoczekiwanie. Przez waszego przyjaciela z Kalifornii. Jednego z jego kumpli z armii.

51

Azhari Mahmoud wyrzucił paszport Andrew MacBride'a w Dumpster i przeistoczył się w Anthony'ego Matthews'a w drodze do wypożyczalni U-Haul. Miał kilka kart kredytowych i ważne prawo jazdy wystawione na to nazwisko. Adres na dokumencie oparłby się bardziej wnikliwemu badaniu. W wskazanym miejscu znajdował się prawdziwy dom z mieszkaniami, a nie jedynie skrzynka na listy lub pusty plac. Adres na kartach kredytowych był identyczny. Upływ lat sprawił, że Mahmoud wiele się nauczył.

Postanowił, że wypożyczy ciężarówkę średniej wielkości. Ogólnie rzecz biorąc, zawsze opowiadał się za rozwiązaniami średniego kalibru. Mniej rzucały się w oczy. Pracownicy zapamiętywali ludzi, którzy wypożyczali największe i najmniejsze przedmioty. Wystarczała mu ciężarówka średniej wielkości. Chociaż nie był człowiekiem wykształconym, potrafił wykonać proste działanie arytmetyczne. Wiedział, że objętość otrzymuje się przez pomnożenie wysokości przez szerokość i długość. Obliczył, że ładunek składający się z sześciuset pięćdziesięciu skrzynek można rozłożyć w taki sposób, aby szerokość wynosiła trzy metry, głębokość cztery, a wysokość półtora metra. Początkowo sądził, że dziesięć skrzynek ustawionych w rzędzie nie wejdzie do żadnej ciężarówki, później jednak zrozumiał, że może je ustawić na węższym boku. Powinno się udać.

Wiedział, że wszystko się uda, bo nadal miał przy sobie sto ćwierćdolarówek, które wygrał na lotnisku.

Złożyli wyrazy współczucia wdowie, przekazali jej adres Curtisowi Mauneyowi i wyszli. Odprowadzili Milenę do barn z otchłanią ognia. Musiała zarabiać na życie, a tego dnia już straciła trzy godziny. Powiedziała, że wylaliby ją, gdyby spóźniła się na popołudniową promocję. Wraz z upływem czasu na Stripie panował coraz większy ruch, jednak plac budowy w dalszym ciągu pozostał opuszczony. Ani żywej duszy. Plama w kanale ściekowym nareszcie wyschła. Poza tym nic się nie zmieniło. Słońce stało wysoko na niebie. Nie było upalnie, lecz wystarczająco ciepło. Reacher myślał o tym, jak płytko zakopali zwłoki. O rozkładzie ciała, gazach, przykrym odorze, zaintrygowanych zwierzętach.

- Macie tu kojoty? - zapytał.

- W mieście? - zdziwiła się Milena. - Nigdy żadnego nie widziałam.

- Okej.

- Dlaczego pytasz?

- Tak z ciekawości.

Poszli dalej, tym samym skrótem, który wybrali poprzednio. Dotarli do baru lekko po piętnastej.

- Tammy jest wściekła - powiedziała Milena. - Przykro mi z tego powodu.

- Spodziewaliśmy się tego - odparł Reacher.

- Była tam, gdy przyszli przeszukać dom. Spała. Uderzyli ją w głowę. Przez tydzień leżała nieprzytomna. Niczego nie pamięta. Teraz obwinia o wszystko człowieka, który zadzwonił do Orozca.

- To zrozumiałe - rzekł Reacher.

- Ja nie mam do was żalu - powiedziała. - To nie wy zadzwoniliście. Domyślam się, że połowa z was była w to zaangażowana, a połowa nie.

Weszła do baru, nie oglądając się za siebie. Drzwi się zamknęły. Reacher usiadł na murku, na którym czekał tego ranka.

- Przykro mi, ludzie - powiedział. - Straciliśmy mnóstwo czasu. To wyłącznie moja wina.

Nikt nie odpowiedział

- Neagley powinna objąć dowodzenie. Straciłem instynkt.

- Mahmoud przyjechał tutaj, a nie do Los Angeles - zauważyła Dixon.

- Pewnie miał przesiadkę. Teraz jest już w Los Angeles.

- Dlaczego nie wybrał bezpośredniego lotu?

- Dlaczego posługiwał się czterema fałszywymi paszportami? Kimkolwiek jest, to bardzo ostrożny człowiek. Zostawia fałszywe tropy.

- Zaatakowano nas tutaj, a nie w Los Angeles - ciągnęła Dixon. - To nie ma najmniejszego sensu.

- Wszyscy podjęliśmy decyzję, aby tu przyjechać - dodał O'Donnell. - Nikt się nie sprzeciwiał.

Reacher usłyszał dźwięk syreny dolatujący od strony Stripu. Nie był to niski sygnał wozu strażackiego ani oszalały skowyt karetki. To szybko jechał policyjny radiowóz. Reacher podniósł głowę i spojrział na plac budowy oddalony kilometr od nich. Wstał, zasłonił oczy i

wyteżył wzrok. Pomyślał, że jeden radiowóz to nic. Gdyby na placu budowy zjawił się brygadzysta i odkrył coś niepokojącego, przyjechałby cały konwój.

Czekał.

Nic się nie wydarzyło. Nie było kolejnych syren, kolejnych radiowozów, żadnego konwoju. Rutynowa kontrola drogowa. Zrobił kolejny krok, aby lepiej widzieć. Aby się upewnić. Dostrzegł czerwony i niebieski błysk za rogiem obok sklepu spożywczego. Czerwony plastikowy klosz tylnych świateł. Samochód zaparkowany w słońcu. Ciemnoniebieskie błotniki.

Wóz.

Ciemnoniebieski lakier.

- Wiem, gdzie go widziałem - powiedział.

52

Stanęli wokół chryslera w bezpiecznej odległości. Z szacunkiem, jakby mieli do czynienia z ogrodzonym eksponatem na wystawie sztuki nowoczesnej. Model 300C. Ciemnoniebieski. Na kalifornijskich numerach. Zaparkowany tuż przy krawężniku. Zamknięty. Chłodny i nieruchomy. Lekko przybrudzony podróżą. Neagley wyjęła kluczyki, które Reacher znalazł w kieszeni umierającego. Trzymała je w wyciągniętej ręce, jak tamten pistolet. Wcisnęła pilota.

Ciemnoniebieski chrysler mrugnął światłami i usłyszeli dźwięk otwieranych drzwi.

- Stał obok hotelu Chateau Marmont - powiedział Reacher. - Czekał w nim ten sam facet. Garnitur idealnie pasował do koloru lakieru. Pomyślałem, że to chwyt firmy wynajmującej limuzyny z szoferem.

- Powiedzieli mu, że przyjedziemy - rzekł O'Donnell. - Pewnie początkowo uznali to za zagrożenie, a później - pocieszenie. Kazali mu nas sprzątnąć. Prawdopodobnie zobaczył nas na chodniku, gdy tylko przyjechalśmy do miasta. Niemal wpadliśmy na niego. Gość miał szczęście.

- Rzeczywiście, prawdziwy szczęściarz - przytaknął Reacher. - Oby wszyscy nasi wrogowie mieli tyle szczęścia co on.

Otworzył drzwi kierowcy. Wóz pachniał nową skórą i plastikiem. Wnętrze nie miało najmniejszej skazy. W przegrodach na drzwiach znaleźli mapy, nowiuteńkie i starannie złożone. To wszystko. Na wierzchu nie leżało nic więcej. Reacher wsunął do środka długie ramię i otworzył schowek na rękawiczki. W środku był portfel i telefon komórkowy. Na tym koniec. Płaski portfel przeznaczony do noszenia w tylnej kieszeni spodni. Sztywny prostokąt

wykonany z czarnej skóry z klamrą na banknoty z jednej strony i miejscem na karty kredytowe z drugiej. Zwiłek banknotów. Ponad siedemset dolarów. Głównie pięćdziesiątki i dwudziestki. Reacher wyjął wszystkie i wetknął do kieszeni spodni.

- Dzięki temu odsunę poszukiwanie roboty o kolejne dwa tygodnie - wyjaśnił. - Każdą chmurę otacza srebrna poświata.

Wywrócił portfel na drugą stronę. Część z kartami kredytowymi była pełna. Znalazł aktualne prawo jazdy z Kalifornii i pięć kart. Dwie karty visa, amex i mastercard. Długi termin ważności. Prawo jazdy i wszystkie karty wystawiono na nazwisko Saropian. Adres na prawie jazdy miał pięciocyfrowy numer, nazwę ulicy w Los Angeles i kod pocztowy, który nic nie mówił Reacherowi.

Rzucił portfel na fotel pasażera.

Telefon komórkowy był małym, składanym srebrnym urządzeniem z okrągłym monitorem ciekłokrystalicznym z przodu. Doskonały zasięg, lecz słabe baterie. Reacher otworzył wieczko i ekran zaświecił. Gość otrzymał pięć wiadomości głosowych.

Podał telefon Neagley.

- Potrafisz je odsłuchać? - zapytał.

- Musiałabym znać jego hasło.

- Sprawdź do kogo dzwonił.

Neagley przejrzała menu i wybrała odpowiednie opcje.

- Wszystkie rozmowy przychodzące i wychodzące były kierowane pod ten sam numer - oznajmiła. - Kierunkowy trzysta jeden. Los Angeles.

- Telefon stacjonarny czy komórka?

- Nie można wykluczyć żadnej możliwości.

- Pachołek dzwonił do swojego szefa? Neagley skinęła głową.

- I na odwrót. Szef wydawał rozkazy pachołkowi.- Mogłabyś zadzwonić do swojego asystenta w Chicago, aby zdobył nazwisko i adres tego gościa?

- W ostateczności.

- Niech zacznie szukać. I niech sprawdzi rejestrację samochodu.

Neagley zadzwoniła do biura z własnej komórki. Reacher Otworzył schowek środkowego podłokietnika, lecz znalazł w nim wyłącznie długopis i samochodową ładowarkę do telefonu. Sprawdził tył. Nic. Wysiadł i zajrzał do bagażnika. Zapasowa opona, lewarek, klucz francuski. To wszystko.

- Brak bagażu - powiedział. - Facet nie planował dłuższej wyprawy. Uznał, że stanowią łatwy cel.

- Niewiele się pomylił - zauważyła Dixon.

Neagley zamknęła wieko telefonu zabitego i zwróciła go Reacherowi. Ten rzucił go na fotel pasażera obok portfela. Po chwili jednak go podniósł.

- Paskudna sytuacja, nie sądzicie? - powiedział. - Nie wiemy, kto go wysłał, nie wiemy skąd i dlaczego?

- Ale? - zapytała Dixon.

- Ale mamy przynajmniej jego numer. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy do niego zadzwonić i przekazać pozdrowienia.

- Chcemy tego?

- Sądzę, że tak.

53

Wsiedli do zaparkowanego chryslera, aby odizolować się od zgiełku. Grube, ciężkie drzwi zamknęły się szczelnie z dźwiękiem, jaki powinny wydawać drzwi luksusowego sedana. Reacher otworzył wieczko telefonu zabitego i przejrzał ostatnio wybierane numery. Zaznaczył ostatni i wcisnął zielony przycisk. Przyłożył słuchawkę do ucha i czekał. Słuchał. Nigdy nie miał własnej komórki, lecz wiedział, jak jej używać. Ludzie czuli, jak komórka wibruje w kieszeni lub słyszeli dzwonek, wyciągali i patrzyli, kto dzwoni, a następnie podejmowali decyzję, czy odebrać. W sumie wszystko trwało nieco dłużej niż w przypadku telefonu stacjonarnego. Przynajmniej pięć lub sześć dzwonek.

Telefon zadzwonił po raz pierwszy.

Po raz drugi.

I trzeci.

Później ktoś go odebrał w prawdziwym pośpiechu.

- Gdzie się, u diabła, podziewałeś?

Niski głos. Starszy mężczyzna. Rosły. Za poirytowaniem i pośpiechem krył się wygładzony akcent mieszkańca Zachodniego Wybrzeża. Profesjonalny, a jednak kryjący nutkę cwaniactwa. Reacher nie odpowiedział. Bacznie wsłuchiwał się w dźwięki dolatujące z otoczenia. Nie usłyszał żadnych. Cisza, jakby tamten dzwonił z zamkniętego pomieszczenia lub cichego biura. - Halo - powtórzył głos. - Halo? Gdzie, u diabła, byłeś? Co się dzieje?

- Kto mówi? - zapytał Reacher, jakby miał absolutne prawo wiedzieć. Jakby przypadkowo wykręcił niewłaściwy numer.

Facet nie chwycił przynęty. Pewnie dostrzegł na ekranie identyfikator dzwoniącego.

- Z kim rozmawiam? - zapytał wolno. Reacher odpowiedział po chwili:

- Twój chłopcaś zawiódł ostatniej nocy. Nie żyje i został pogrzebany. Dosłownie. Idziemy po ciebie.

Zapadła długa cisza.

- Reacher? - zapytał głos.

- Wiesz, jak się nazywam - odpowiedział Reacher. - To nie fair, bo ja nie znam twojego nazwiska.

- Nikt nie obiecywał, że życie będzie fair.

- Fakt. Sprawiedliwe czy nie, ciesz się tym, co ci z niego zostało. Kup sobie butelkę czerwonego wina, wypożycz film DVD. Tylko nie kupuj całej skrzynki. Zostały ci najwyżej dwa dni.

- Nic nie wiecie.

- Wyjrzyj przez okno.

Reacher usłyszał raptowny dźwięk. Szelest marynarki. Delikatny odgłos fotela obrotowego. Biuro. Facet ma na sobie garnitur. Biurko jest zwrócone przodem do drzwi.

Na obszarze o numerze kierunkowym 310 jest zaledwie milion takich.

- Nic nie wiecie - powtórzył głos.

- Wkrótce się zobaczymy - obiecał Reacher. - Polecimy sobie helikopterem. Tak jak to robiłeś wcześniej. Z jedną wielką różnicą. Moi przyjaciele przypuszczalnie się opierali. Ty nie będziesz. Będziesz błagał, abym pozwolił ci skoczyć. Obiecuję.

Zamknął klapkę i rzucił aparat na kolana. W samochodzie zapadło milczenie.

- Pierwsze wrażenia? - zapytała Neagley. Reacher wykonał głęboki wydech.

- Jakiś dyrektor - powiedział. - Ważniak. Szef. Nie jest głupi. Zwyczajny głos. Własny gabinet z oknem i zamkniętymi drzwiami.

- Gdzie?

- Nie umiem powiedzieć. Nie słyszałem żadnych dźwięków z zewnątrz. Żadnych odgłosów ruchu, huku przelatujących samolotów. Nie był zmartwiony tym, że mamy jego numer telefonu. Daję głowę, że aparat został zarejestrowany na inną osobę. Tak jak samochód.

- Co robimy?

- Wracamy do Los Angeles. Nigdy nie powinniśmy byli go opuszczać.

- Wszystko zaczęło się od Swana - rzekł O'Donnell. - Nie sądzicie? Nic nie wskazuje, że chodziło o Franza. Z Sanchezem i Orozkiem jest podobnie. Kto nam pozostał? Swan musiał coś odkryć, gdy zakończył pracę w New Age Defense Systems. A może miał wszystko przygotowane i czekał.

Reacher skinął głową.

- Musimy porozmawiać z jego byłym szefem. Ustalić, czy przed odejściem podzielił się z nim jakimiś osobistymi zmartwieniami. - Odwrócił się do Neagley. - Umów się ponownie z Dianą Bond. Tą z Waszyngtonu. W sprawie Little Wing. Musimy mieć jakąś kartę przetargową. Dawny szef Swana może okazać się bardziej rozmowny, gdy się przekona, że wiemy o czymś ważnym i w zamian obiecamy milczenie. Oprócz tego jestem po prostu ciekaw.

- Ja również - odpowiedziała Neagley.

Ukradli chryslera. Nawet z niego nie wysiedli. Reacher wziął kluczyki od Neagley, uruchomił silnik i podjechał do hotelu. Poczekał przed wejściem, aż pozostali się spakują. Wóz nawet mu się spodobał. Cichy i potężny. Widział jego kształt w hotelowym oknie. Pasował do niego niebieski lakier. Był masywny, niepozorny i subtelny jak młotek. Maszyna stworzona w sam raz dla niego. Sprawdził przyrządy i gadżety, a następnie podłączył telefon zabitego do ładowarki i zamknął wieko schowka między fotelami.

Dixon wróciła pierwsza z boyem hotelowym taszczącym jej bagaż i parkingowym biegnącym po samochód. Chwilę później nadeszli Neagley i O'Donnell. Razem. Neagley wkładała do torebki rachunek zapłacony kartą kredytową, jednocześnie zamykając wieczko telefonu.

- Sprawdziliśmy tablicę rejestracyjną - powiedziała. - Ślady prowadzą do podstawionej spółki o nazwie Walter, mającej firmową skrytkę pocztową w centrum Los Angeles.

- Wspaniale - skwitował Reacher. - Walter jak Walter Chrysler. Założę się, że telefon należy do korporacji o nazwie Alexander jak Graham Bell.

- Walter Corporation dzierżawi łącznie siedem samochodów - dodała Neagley.

Reacher skinął głową.

- Musimy to zapamiętać. Mają znaczne posiłki czekające gdzieś w odwodzie.

Dixon powiedziała, że O'Donnell pojedzie z nią pożyczonym wozem. Reacher otworzył bagażnik i Neagley włożyła do środka swoje bagaże, a następnie usiadła obok niego w fotelu pasażera.

- Gdzie zamieszkamy? - zapytała Dixon przez otwartą szybę.

- W innym miejscu - powiedział. - Do tej pory widzieli nas w Wilshire i Chateau Marmont. Czas zmienić sposób postępowania. Musimy znaleźć miejsce, w którym nie będą nas szukać. Proponuję Dunes w Sunset.

- Co to takiego?

- Motel. Niskiej kategorii.

- Bardzo podły?

- Jest w porządku. Mają tam łóżka i zamki w drzwiach.

Reacher i Neagley odjechali pierwsi. W mieście były korki, lecz Piętnastka okazała się pusta i Reacher rozpoczął rejs przez pustynię. Samochód był cichy, szybki i elegancki. Przez pierwszych trzydzieści minut Neagley wydzwaniała do bazy sił powietrznych w Edwards, próbując skontaktować się z Dianą Bond, zanim jej komórka straci zasięg. Reacher zapomniał o niej i skupił uwagę na drodze. Był dobrym kierowcą, lecz daleko mu było do doskonałości. Nauczył się prowadzić w armii i nigdy nie był na kursie dla cywilów. Nigdy nie zdał też cywilnego egzaminu ani nie otrzymał cywilnego prawa jazdy. Neagley była znacznie lepszym kierowcą. I znacznie szybszym. Kiedy skończyła rozmawiać, zaczęła się niecierpliwie wiercić, raz po raz spoglądając na szybkościomierz.

- Kierujesz, jakbyś ukradł ten wóz - zauważyła. - Co faktycznie zrobiłeś.

Przyspieszył odrobinę. Zaczął mijać inne pojazdy, między innymi średniej wielkości ciężarówkę wypożyczoną w U-Haul jadącą na zachód prawym pasem.

Dwadzieścia kilometrów przed Berstow dogoniła ich Dixon. Zamrugła światłami, zrównała się z nimi, a O'Donnell zaczął udawać, że je. Niczym bezsilni masochiści zatrzymali się w tej samej restauracji co poprzednio. W promieniu wielu kilometrów nie było nic innego, a wszystkim doskwierał głód. Nie jedli lunchu.

Jedzenie był równie paskudne jak wcześniej, a rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Mówili głównie o Sanchezie i Orozco. O tym, jak trudno się utrzymać małej firmie. A szczególnie, jak trudno tego dokonać byłym wojskowym. Wkroczyli do świata cywilów z błędnymi założeniami. Oczekiwali przewidywalności, którą znali. Bezpośredniości, otwartości, uczciwości i gotowości do wspólnego ponoszenia ofiar. Reacher doskonale rozumiał, o czym mówili Dixon i O'Donnell. Był ciekaw, jak naprawdę sobie radzą i co ukrywają pod fasadą. Jak to wyglądało na papierze, kiedy trzeba było obliczyć podatek. I jak będzie wyglądało za rok. Dixon była w kłopotcie, ponieważ nie wykonała ostatniego zlecenia. O'Donnell na jakiś czas wyjechał z miasta, aby dotrzymać towarzystwa chorej siostrze. Tylko Neagley wydawała się nie mieć żadnych zmartwień. Odniosła niewątpliwy sukces. Sukces większy od grupy jedenastu procent najlepszych ludzi, którzy odeszli z armii.

Kiepska sprawa. "Zostałeś daleko w tyle", powiedziała Dixon.

„Zwykle tak właśnie się czuję”, odparł.

„Jedyną rzeczą, którą mamy w odróżnieniu od ciebie, są walizki”, rzekł O'Donnell.

„A co ja mam w odróżnieniu od was?”, spytał.

Zakończył posiłek będąc nieco bliżej odpowiedzi niż wcześniej.

Po Berstow minęli Victorville i Lake Arrowhead. Później na horyzoncie pojawiły się góry. Zanim do nich dotarli, tym razem po prawej, pojawiły się nieużytki, nad którymi zawisł helikopter. Reacher ponownie obiecał sobie, że nie spojrzy w tamtą stronę, jednak zrobił to jeszcze raz. Odwrócił wzrok od drogi i przez kilka sekund spoglądał na północ, a następnie na zachód. Pomyślał, że gdzieś tam leżą zwłoki Sancheza i Swana. Nie miał powodu, aby sądzić, że jest inaczej.

Wjechali w obszar dobrego zasięgu i komórka Neagley zadzwoniła. Diana Bond. Dostała wiadomość, że wszyscy muszą natychmiast opuścić Edwards.

- Powiedz, aby przyjechała do restauracji Denny'ego w Sunset. Tam gdzie spotkaliśmy się wcześniej. - Neagley zrobiła niezadowoloną minę. - Po tym, co przed chwilą zjedliśmy, będziemy się tam czuli jak u Maxima w Paryżu.

Neagley umówiła się na spotkanie, a Reacher zredukował bieg i samochód zaczął się wspinać na pierwsze z niskich wzgórz pasma San Antonio. Niecałą godzinę później byli już w motelu Dunes.

W Dunes cena noclegu nawet nie zbliżała się do trzycyfrowej liczby, a goście musieli zostawić kaucję za telewizyjnego pilota, przekazywanego przez obsługę z wielkim namaszczeniem razem z kluczem do drzwi. Reacher zapłacił gotówką, używając zwitka skradzionych banknotów, dzięki czemu nie musieli podawać prawdziwych nazwisk i dokumentów tożsamości. Zaparkowali samochody tak, by nie były widoczne od strony ulicy, i przegrupowali się w ciemnym sfatygowanym holu obok pralni. Tak anonimowi jak anonimowa może być czwórka ludzi w hrabstwie Los Angeles. Miejsce w stylu Reachera.

Godzinę później do Neagley zadzwoniła Diana Bond, mówiąc, że wjeżdża na parking przed restauracją Denny'ego.

54

Przeszli niewielki odcinek Sunset, wstąpili do oświetlonego neonami holu restauracji Denny'ego i ujrzeli czekającą na nich wysoką blondynkę. Była sama. Cała w czerni. Czarny żakiet, czarna bluzka, czarna spódniczka, czarne pończochy i czarne buty na wysokim

obcasie. Poważny styl Wschodniego Wybrzeża, trochę nie na miejscu na Zachodnim i bardzo nie na miejscu u Denny'ego. Szczupła, atrakcyjna, inteligentna, trzydziestokilkuletnia.

Wyglądała na lekko poirytowaną i zaaferowaną.

Lekko zmartwioną.

Neagley przedstawiła wszystkich.

- To Diana Bond - powiedziała. - Z dystryktu Kolumbii, a ostatnio z bazy sił powietrznych w Edwards.

Diana Bond miała ze sobą jedynie małą torebkę z krokodylowej skóry. Żadnej teczki, chociaż Reacher nie oczekiwał, że przyniesie notatki i plany. Poprowadzili ją przez sfatygowaną salę do okrągłego stolika z tyłu. Pięć osób nie zmieściłoby się w kabinie. Kiedy przysła kelnerka, zamówili kawę. Po chwili wróciła z pięcioma ciężkimi kubkami i dzbankiem. Nalała wszystkim. Każdy pociągnął w milczeniu jeden łyk. Zaczęła Diana Bond. Bez zbędnych ceregieli.

- Mogłabym kazać was wszystkich aresztować. Reacher skinął głową.

- Jestem zaskoczony, że pani tego nie zrobiła - odpowiedział. - Szczerze mówiąc, oczekiwałem, że przyprowadzi pani ze sobą kilku agentów.

- Wystarczyłby jeden telefon do Agencji Wywiadu Obrony - rzekła Bond.

- Dlaczego pani tego nie uczyniła?

- Staram się być kulturalna.

- I lojalna - dodał Reacher. - Wobec swojego szefa.

- I kraju. Radzę, abyście zrezygnowali z tego wątku śledztwa.

- Wówczas podróżowałyby pani na darmo.

- Z radością uczynię to jeszcze raz.

- Za pieniądze podatników.

- Proszę mi tego oszczędzić.

- Jesteśmy głusi na prośby.

- Odwołuję się do waszego patriotyzmu. Chodzi o bezpieczeństwo narodowe.

- W sumie nasza czwórka odsłużyła w wojsku sześćdziesiąt lat - rzekł Reacher. - A pani ile?

- Nie byłam w wojsku.

- Ile lat odsłużył pani szef?

- Ani jednego.

- W takim razie proszę nie opowiadać nam bajeczek o patriotyzmie i bezpieczeństwie narodowym, okej? Nie ma pani wymaganych kwalifikacji.

- Dlaczego interesuje was Little Wing?

- Nasz przyjaciel pracował dla New Age Defense Systems. Staramy się uzupełnić jego nekrolog.

- Nie żyje?

- Przypuszczalnie.

- Bardzo mi przykro.

- Dziękuję.

- Ponownie nalegam, abyście nie naciskali mnie w tej sprawie.

- Nie ma mowy.

Diana Bond milczała przez dłuższą chwilę, a następnie skinęła głową.

- Zawrzyjmy układ. Opowiem wam o wszystkim w zarysie, jeśli przyrzekniecie na sześćdziesiąt lat służby, że nie będziecie drążyli dalej.

- W porządku.

- I nigdy więcej o was nie usłyszę.

- Okej.

Kolejna długa przerwa. Jakby Bond zmagala się z własnym sumieniem.

- Little Wing to nowy rodzaj torpedy - powiedziała. - Dla floty okrętów podwodnych na Pacyfiku. Całkiem zwyczajna z wyjątkiem udoskonalonego systemu sterowania, za który odpowiada nowa elektronika.

Reacher uśmiechnął się.

- Dobra bajeczka - rzekł. - Nie wierzymy pani.

- Dlaczego?

- Nigdy nie uwierzemy w pierwszą odpowiedź, jakiej pani udzieli. Chce nas pani zbyć. Nie wspominałem, że przez większość owych sześćdziesięciu lat musieliśmy wysłuchiwać kłamstw, więc potrafimy je rozpoznać. Na dodatek część wspomnianego czasu poświęciliśmy na czytanie bzdurnych raportów produkowanych przez Pentagon, dlatego rozumiemy język, którym operują wojskowi. Ci goście nazwaliby nową torpedę Litte Fish. Oprócz tego New Age Defense Systems to nowa firma. Mogli zbudować swoją siedzibę w dowolnym miejscu. Gdyby pracowali dla marynarki, wybraliby San Diego, Connecticut, Newport News lub Wirginię. Nie uczynili tego. Zbudowali biuro we wschodnim Los Angeles. Najbliżej tego miejsca są bazy sił powietrznych, między innymi w Edwards, z którego pani przyjechała. Ta broń nosi nazwę Little Wing, zatem musi mieć jakiś związek z lotnictwem.

Diana Bond wzruszyła ramionami.

- Musiałam spróbować - oznajmiła.

- Niech pani spróbuje jeszcze raz - doradził Reacher. Kolejna pauza.
- To broń piechoty - zaczęła. - Wojsk lądowych, a nie powietrznych. New Age Defense Systems ma siedzibę we wschodnim Los Angeles, aby być w pobliżu Fort Irwin, a nie Edwards. Ale ma pan rację, to broń powietrzna.
- A konkretnie?
- Przenośny odpalany ręcznie pocisk ziemia-powietrze. Broń nowej generacji.
- Jaką ma siłę rażenia? Diana Bond potrząsnęła głową.
- Nie mogę powiedzieć.
- Musi pani, w przeciwnym razie kariera pani szefa będzie skończona.
- To nie fair.
- Czemu?
- Mogę jedynie powiedzieć, że jest to rewolucyjne rozwiązanie.
- Już to pani mówiła. Oznacza to, że będzie przestarzała za rok zamiast za pół roku od dziś.
- Raczej za dwa lata.
- Na czym polega jej działanie?
- Nie skontaktujecie się z mediami. Zdradzilibyście własny kraj.
- Jeśli pani nie wierzy, niech się pani przekona.
- Mówi pan poważnie?
- Tak poważnie jak o raku płuc.
- Nie wierzę.
- Proszę nam powiedzieć, co to jest, w przeciwnym razie pani szef od jutra zacznie szukać nowej pracy. Gdyby o to chodziło, wyświadczylibyśmy wielką przysługę temu krajowi.
- Nie lubicie go.
- Czy jego w ogóle ktoś lubi?
- Prasa tego nie opublikuje.
- Niech pani marzy dalej. Bond zamilkła na kolejną minutę.
- Obiecacie, że nie powiecie o tym nikomu - powiedziała.
- Już to zrobiliśmy - przypomniał Reacher.
- To skomplikowane urządzenie.
- Jak technika raketowa?
- Znacie stingerà używanego obecnie? - zapytała. Reacher skinął głową.
- Widziałem go w akcji. Wszyscy widzieliśmy.- Jak działa?

- Nakierowuje się na ślad cieplny pozostawiony przez silnik samolotu.

- Niestety, jest wystrzeliany z ziemi - wyjaśniła Bond. - Na tym polega jego główna wada. Musi się jednocześnie wznosić i manewrować, dlatego jest stosunkowo wolny i mało skuteczny. Lecący pocisk widać na ekranie radaru wycelowanego w ziemię, dzięki temu pilot może go wymanewrować. Można się też przed nimi bronić, używając flar pozorujących.

- A Little Wing?

- Little Wing to rewolucyjne rozwiązanie. Podobnie jak większość genialnych pomysłów opiera się na bardzo prostym rozwiązaniu. W fazie wznoszenia pocisk całkowicie ignoruje cel, przystępując do jego zniszczenia w fazie spadania.

- Rozumiem - powiedział Reacher. Bond skinęła głową.

- Kiedy się wznosi, przypomina głupią raketę. Bardzo, bardzo szybko. Osiąga wysokość około trzech kilometrów, następnie zwalnia, zatrzymuje się i zaczyna pikować w dół. Wtedy włączają się urządzenia elektroniczne i pocisk zaczyna namierzać cel. Jest wyposażony w powierzchnie kontrolne i raketowy silnik pomocniczy umożliwiający manewrowanie. Ponieważ większość pracy wykonuje siła ciężenia, manewrowanie jest bardzo precyzyjne.

- Spada na zdobycz - rzekł Reacher. - Jak jastrząb. Bond ponownie przytaknęła.

- Z ogromną szybkością - dodała. - Znacznie przekraczając prędkość dźwięku. Pocisku nie można zatrzymać. Radar naziemny jest zwrócony w dół. W dół wystrzelwane są flary. Dzisiejsze samoloty są całkiem bezbronne od góry. Kiedyś nie było w tym nic złego. Z góry niewiele im zagrażało. Obecnie sytuacja uległa zmianie. Właśnie dlatego sprawa jest tak delikatna. Przez okres najbliższych dwóch lat nasze pociski ziemia-powietrze będą nie do pobicia. W tym czasie każdy, kto zdobędzie Little Wing, będzie mógł zniszczyć dowolny cel w powietrzu. Może nawet dłużej. Wszystko zależy od tego, jak szybko pojawią się nowe zabezpieczenia.

- Prędkość pocisku sprawi, że nie będzie to łatwe - zauważył Reacher.

- Prawie niemożliwe - odparła Bond. - Nasz czas reakcji jest zbyt wolny. Oznacza to, że urządzenia obronne będą musiały działać automatycznie, a to z kolei, że będziemy musieli zaufać, iż komputer zdoła odróżnić ptaka lecącego sto metrów wyżej, Little Wing znajdującego się w odległości dwóch kilometrów i satelitę oddalonego o sto kilometrów. W powietrzu może zapanować chaos. Linie lotnicze będą chciały zapewnić sobie ochronę przed atakiem terrorystów. Nad lotniskami cywilnymi zrobi się tłoczno. Błędne rozlokowanie maszyn w powietrzu stanie się normą zamiast wyjątkiem. Na dodatek trzeba będzie wyłączyć

zabezpieczenia w fazie startu i lądowania, co oznacza, że samolot będzie całkiem bezbronny dokładnie wtedy, gdy nie może sobie na to pozwolić.

- Coś okropnego - rzekła Dixon.

- Na szczęście to czysta teoria - dodał O'Donnell. - Jak rozumiem, prace nad Little Wing nie zostały jeszcze zakończone.

- Nie mogę powiedzieć nic więcej - przerwała Bond.

- Przecież już się pani zgodziła.

- Pytacie o sprawy objęte tajemnicą handlową.

- Fakt, to ważniejsze od tajemnicy wojskowej.

- Prototypy działają - powiedziała Bond. - Test beta wypadł znakomicie. Niestety, pojawiły się problemy w produkcji.

- Pocisków, elektroniki czy tego i tego?

- Elektroniki - odparła Bond. - Technika raketowa ma ponad czterdzieści lat. W Denver w Kolorado mogą produkować pociski, nie przerywając snu. Mają problemy z układem elektronicznym. Tutaj, w Los Angeles. Nawet nie zaczęli produkcji seryjnej. W dalszym ciągu składają je na stołach montażowych. A teraz nawet to diabli wzięli.

Reacher skinął głową w milczeniu. Przez chwilę spoglądał przez okno, a następnie wyciągnął kilka serwetek z serwetnika, rozłożył, poukładał jedna na drugiej i przycisnął cukiernicą. Restauracja niemal opustoszała. Dwaj faceci siedzieli samotnie w oddzielnych kabinach po przeciwnej stronie. Promienie popołudniowego słońca na zewnątrz zaczęły słabnąć. Czerwone i żółte neony tworzące ogromny znak restauracji stawały się coraz wyraźniejsze. Niektóre samochody przejeżdżające ulicą miały włączone światła.

- Czy projekt Little Wing zakończył się fiaskiem podobnie jak wiele innych przedsięwzięć? - zapytał O'Donnell. - Kolejne marzenie Pentagonu, które zakończyło się puszczeniem z dymem mnóstwa dolarów.

- Miało być inaczej - zaprotestowała Diana Bond.

- Tak jak zawsze.

- Nie jest to zupełna klapa. Nie działają tylko niektóre podzespoły.

- To samo mówili o karabinie M-szesnaście. To prawdziwa pocięcha, gdy człowiek idzie z taką bronią na patrol.

- M-szesnaście w końcu udało się usprawnić. Podobnie będzie z Little Wing. Warto poczekać. Czy wiecie, który samolot jest najlepiej chroniony na świecie?

- Pewnie Air Force One. Politycy dbają przede wszystkim o własny tyłek.

- Little Wing zestrzeliłby go bez trudu - oznajmiła Bond.

- Sprowadźcie tę broń jak najszybciej - powiedział O'Donnell. - To znacznie łatwiejsze od głosowania.

- Powinieneś przeczytać Ustawę patriotyczną. Mogliby cię aresztować za takie słowa.

- Więzienia okazałyby się zbyt małe - odparł O'Donnell.

Kelnerka wróciła i stanęła nad nimi. Najwyraźniej liczyła na większe zamówienie od wypijanej w dużej ilości kawy. Dixon i Neagley dostrzegły sygnał i zamówiły deser lodowy. Diana Bond podziękowała. O'Donnell poprosił o hamburgera. Kelnerka nie ruszyła się z miejsca, spoglądając wymownie na Reachera. Ten jej nie dostrzegł. W dalszym ciągu bawił się serwetkami, to kładąc na nich cukiernicę, to ją podnosząc.

- A pan? - zapytała kelnerka. Reacher uniósł głowę.

- Placek jabłkowy - poprosił. - Z lodami. I jeszcze jedną kawę.

Kelnerka odeszła, a Reacher wrócił do swoich serwetek. Diana Bond podniosła torebkę z podłogi i ostentacyjnie ją otrzepała.

- Powinam już wracać.

- W porządku - powiedział. - Dziękujemy, że pani przyszła.

55

Diana Bond wyruszyła w długą drogę do Edwards, a Reacher wyrównał serwetki i ustawił na nich cukiernicę, dokładnie na środku. Po chwili pojawiły się desery, kolejna kawa i hamburger O'Donnella. Reacher zjadł połowę swojego placka i przerwał. Siedział przez chwilę w milczeniu, wyglądając przez okno. Następnie drgnął raptownie, wskazał na cukiernicę, spojrzał na Neagley i zapytał:

- Wiesz, co to jest?

- Cukier - odpowiedziała.

- Nie, to przycisk do papieru.

- Co z tego?

- Kto nosi pistolet bez naboju w komorze?

- Człowiek, który został tak wyszkolony.

- Na przykład gliniarz lub były gliniarz. Były policjant z Los Angeles.

- I?

- Smoczyca z New Age Defense Systems nas okłamała. Ludzie robią notatki. Gryzmołą. Lepiej pracują z papierem i ołówkiem. Środowisko pozbawione papieru nie istnieje.

- Sytuacja mogła ulec zmianie od czasu, gdy ostatnio pracowałaś.

- Podczas naszej pierwszej rozmowy powiedziała, że Swan używał swojego kawałka muru berlińskiego jako przycisku do papieru. Trudno używać przycisku do papieru w środowisku, które jest go całkowicie pozbawione, nieprawdaż?

- Może użyła przenośni? - rzekł O'Donnell. - Przycisk do papieru, pamiątka, ozdoba na biurko, co za różnica?

- Kiedy byliśmy tam pierwszy raz, musieliśmy poczekać, żeby wjechać na parking. Pamiętasz.

Neagley skinęła głową.

- Przez bramę wyjeżdżała jakaś ciężarówka.

- Jaka?

- Samochód firmy sprzedającej kserokopiarki. Z serwisu lub działu handlowego.

- Po co kserokopiarka w środowisku pozbawionym papieru?

Neagley nie odpowiedziała.

- Jeśli okłamała nas w jednej sprawie, mogła skłamać w pozostałych.

Nikt się nie odezwał.

- Szef ochrony New Age Defense Systems jest byłym gliniarzem z Los Angeles. Założę się, że podobnie większość jego ludzi. Bezpieczeństwo przede wszystkim, komora naboju pusta. To podstawowe zasady.

Pozostali w dalszym ciągu milczeli.

- Zadzwoń do Diany Bond. Powiedz, aby natychmiast wróciła.

- Przecież dopiero co wyszła - zdziwiła się Neagley.

- Nie odjechała daleko. Może zawrócić. Jestem pewien, że jej samochód ma kierownicę.

- Nie będzie chciała.

- Będzie musiała. Powiedz, że jeśli tego nie uczyni, w gazetach znajdzie się znacznie więcej od nazwiska jej szefa.

Diana Bond potrzebowała nieco ponad pół godziny, aby dotrzeć na miejsce. Korki, skomplikowane zjazdy z autostrad. Zauważyli, jak jej samochód wjeżdża na parking. Minutę później była przy stole. Nie siedziała, lecz stała. Wściekła.- Zawarliśmy umowę - powiedziała. - Jedna rozmowa i zostawiacie mnie w spokoju.

- Jeszcze tylko sześć pytań - rzekł Reacher. - Później damy pani spokój.

- Idź pan do diabła.

- To ważne.

- Nie dla mnie.

- Wróciła pani, chociaż nie musiała. Mogła pani zadzwonić do Agencji Wywiadu Obrony. Tego również pani nie zrobiła. Proszę przestać udawać. Udzieli nam pani odpowiedzi.

Zapanowało milczenie. Nie słychać było żadnych dźwięków z wyjątkiem odgłosu opon samochodów sunących bulwarem i dalekiego szumu dobiegającego z kuchni. Może hałasu zmywarki.

- Sześć pytań? - zapytała Bond. - Zgoda, ale będę uważnie liczyła.

- Proszę usiąść. Może zamówić jakiś deser? - zaproponował Reacher.

- Nie chcę deseru. Nie tutaj - odburknęła, lecz usiadła na tym samym krześle co poprzednio.

- Pytanie pierwsze - zaczął Reacher. - Czy New Age Defense Systems ma rywala? Konkurenta zajmującego się produkcją podobnej broni?

- Nie - zaprzeczyła Diana Bond.

- Nikt nie jest sfrustrowany i rozgoryczony, ponieważ ktoś przebił jego ofertę?

- Nie - powtórzyła. - New Age zajmuje wyjątkową pozycję.

- W porządku. Pytanie drugie. Czy rządowi naprawdę zależy na zakupie Little Wing?

- A dlaczego, do jasnej cholery, miałoby nie zależeć?

- Ponieważ rząd staje się nerwowy na samą myśl o stworzeniu nowej broni, jeśli nie ma środków do jej zwalczania

- Nigdy nie słyszałam o takim argumencie.

- Naprawdę? Przypuśćmy, że Little Wing dostanie się w niepowołane ręce i zostanie skopiuwana. Pentagon wie, jakie szkody mogłaby wyrządzić taka broń. Czy bylibyśmy szczęśliwi, gdyby użyto jej przeciwko nam?

- To nie wchodzi w grę - odparła Bond. - Gdybyśmy rozumowali w ten sposób, niczego byśmy nie zrobili. Przerwano by projekt Manhattan, zaprzestano prac nad budową myśliwców ponaddźwiękowych.

- Okej. - Reacher skinął głową. - Proszę nam teraz powiedzieć o warsztatach montażowych New Age.

- Czy to trzecie pytanie?

- Tak.

- Co dokładnie chcecie wiedzieć?

- Proszę nam wyjaśnić, jak odbywa się montaż. Nigdy nie pracowałem w branży elektronicznej.

- Moduły elektroniczne Little Wing są montowane ręcznie w sterylnych pomieszczeniach laboratoryjnych. Przez kobiety z czepkami na głowie, używające szkieł powiększających i lutownic.

- Praca idzie wolno.

- Oczywiście. Kilkanaście sztuk dziennie zamiast setek lub tysięcy.

- Kilkanaście?

- Taki jest obecnie przeciętny poziom produkcji. Od dziewięciu do trzynastu sztuk dziennie.

- Kiedy przystąpili do ręcznego montażu?

- To czwarte pytanie?

- Tak.

- Jakież siedem miesięcy temu.

- Jak im szło?

- Czy to piąte pytanie?

- Nie, rozwinięcie czwartego.

- Przez trzy miesiące nie mieli problemów. Moduły działały bez zarzutu.

- Pracują sześć dni w tygodniu, prawda?

- Tak.

- Jakie mają problemy?

- To ostatnie pytanie?

- Nie, kolejne rozwinięcie.- Po zmontowaniu moduły są testowane. Coraz więcej nie działało prawidłowo.

- Kto przeprowadzał testy?

- Mają dyrektora kontroli jakości.

- Kogoś z zewnątrz?

- Nie. Początkowo facet był inżynierem konstruktorem. Na obecnym etapie tylko on potrafi testować moduły, ponieważ jedynie on wie, jak powinny działać.

- Co się dzieje, gdy moduł zostanie odrzucony?

- Niszczą go.

Reacher nie odpowiedział ani słowa.

- Naprawdę muszę już jechać - rzekła Diana Bond.

- Ostatnie pytanie. Czy obciążycie im fundusze z powodu zaistniałych problemów? Czy zwolnili część załogi?

- Skądże - zaprzeczyła Bond. - Odbiło wam? To nie działa w taki sposób. Utrzymaliśmy budżet na dotychczasowym poziomie, a oni zachowali dotychczasowych pracowników. Musieli. My również musieliśmy. Ta broń jest nam potrzebna.

56

Diana Bond wyszła po raz drugi, a Reacher wrócił do swojego placka. Jabłka były zimne, skórka twarda, a lody roztopiły się i rozlały po całym talerzu. Miał to gdzieś. Nie delektował się deserem.

- Powinniśmy to uczcić - powiedział O'Donnell.

- Tak uważasz? - zdziwił się Reacher.

- Oczywiście, wiemy już, co się stało.

- I dlatego powinniśmy świętować?

- A czemu nie?

- Okej, przedstaw mi swoją wersję wydarzeń.

- Dobrze. Swan nie zajmował się żadną prywatną sprawą. Prowadził dochodzenie dotyczące New Age Defense Systems. Sprawdzał, dlaczego po pierwszych trzech miesiącach wyniki testów uległy gwałtownemu pogorszeniu. Martwił się, że w New Age może być kret. Potrzebował pomocy z zewnątrz, ponieważ w firmie założono podsłuch, a jego biuro było wrywkowo monitorowane. Dlatego zatrudnił Franza, Sancheza i Orozca. Komu jak nie im mógł zaufać?

- Najpierw przeanalizowali wyniki produkcji. To liczby, które znaleźliśmy. Siedem miesięcy, sześć dni w tygodniu. Później wykluczyli sabotaż. New Age nie ma rywala, który mógłby na tym zyskać, a Pentagon nie prowadził zakulisowych działań wymierzonych przeciwko nim. - I co?

- Co pozostało? Ustalili, że gość od kontroli jakości sfałszował dane, uznając sześćset pięćdziesiąt podzespołów za wadliwe. Chociaż w dokumentach firmy odnotowano ich zniszczenie, w rzeczywistości sprzedano je potajemnie po sto tysięcy za sztukę Azhariemu Mahmoudowi występującemu pod jednym z fałszywym nazwisk. Stąd lista nazwisk i notatka Sancheza sporządzona na serwetce.

- I?

- Doprowadzili do przedwczesnej konfrontacji z New Age i zostali zamordowani. Firma wymyśliła historyjkę, aby wytłumaczyć zniknięcie Swana, a ta smoczyca Berenson nas nią uraczyła.

- I dlatego mamy świętować?

- Wiemy, co się stało, Reacher. Zawsze świętowaliśmy takie chwile.

Reacher nie odpowiedział.

- To jak home run - ciągnął O'Donnell. - Nie sądzisz? Wiesz co? To prawie zabawne. Powiedziałeś, że powinniśmy pogadać z dawnym szefem Swana. Sądzę, że już to zrobiliśmy. Kto inny mógł odebrać ten telefon? Kto inny jak nie dyrektor ochrony New Age?

- Przypuszczalnie masz rację.

- W takim razie w czym problem?

- Pamiętasz, co powiedziałeś w hotelu w Beverly Hills?

- Nie, mówiłem wiele rzeczy.

- Powiedziałeś, że chciałbyś naszczać na grób ich przodków.

- Zrobię to.

- Nie zrobisz - powiedział Reacher. - Ani żadne z nas. Właśnie dlatego nie da nam to satysfakcji i właśnie dlatego nie możemy świętować.

- Przecież są w tym mieście. Stanowią łatwy cel.

- Sprzedali potajemnie sześćset pięćdziesiąt sprawnych podzespołów. Co z tego wynika? Jeśli ktoś jest zainteresowany technologią, kupuje jedno urządzenie i je kopiuje. Jeśli ktoś decyduje się na zakup sześciuset pięćdziesięciu, chce mieć również do nich pociski. W Kolorado kupiono nie tylko moduły elektroniczne, lecz pociski i wyrzutnie. Właśnie o to chodzi. Ten Azhari Mahmoud dysponuje sześciuset pięćdziesięcioma najnowszymi pociskami ziemia-powietrze. Niezależnie od tego, kim jest, łatwo się domyślić, co zamierza. Szykuje się coś dużego. Będziemy musieli zawiadomić władze. Nikt nie odpowiedział.

- W chwili gdy wrzucimy dziesiątaka do automatu, zaroi się od federalnych. Nie przejdziemy bez pozwolenia na drugą stronę ulicy, nie mówiąc o dorwaniu tych gości. Trzeba będzie się wycofać i grzecznie patrzeć, jak tamci zatrudniają prawników i jedzą trzy pełne posiłki dziennie przez kolejnych dziesięć lat, odwołując się do coraz to wyższych instancji.

Cisza.

- Właśnie dlatego nie możemy świętować - wyjaśnił Reacher.

- Zadarli ze specjalną grupą śledczą, a my nie możemy im przyłożyć.

Reacher nie zmrużył oka tej nocy. Nie przespał ani sekundy. „Zadarli ze specjalną grupą śledczą, a my nie możemy im przyłożyć”. Przewracał się z boku na bok godzina po godzinie, nie mogąc zasnąć. Chociaż miał otwarte powieki, nawiedzały go dziwne obrazy i gorączkowe halucynacje. Widział Calvina Franza spacerującego, rozmawiającego, śmiejącego się, pełnego zapału, energii, sympatii i troski. Widział zmrużone oczy Jorge Sancheza, cień uśmiechu na ustach, złoty ząb i nieustanny cynizm, który koniec końców okazywał się równie pokrzepiający jak nieodłączny dobry humor. Widział Tony’ego Swana, niskiego, krępego, otwartego i prawego człowieka. Widział Manuela Orozco z absurdalnym tatuażem, fałszywym akcentem, dowcipami i metalicznym klikaniem jego wszechobecnej zapalniczki Zippo.

Przyjaciele.

Przyjaciele, których nie pomścili. Porzuceni przyjaciele.

Później zjawily się kolejne postacie tak realne, jakby zawisły pod sufitem. Angela Franz, schludna, starannie ubrana, z oczami pełnymi lęku. Charlie kołyszący się w swoim małym drewnianym foteliku. Milena prześlizgująca się niczym duch z rozświetlonego słońcem Vegas do mroku panującego w barze. Tammy Orozco na kanapie. Trójka jej zagubionych dzieci chodzących po wywróconym do góry nogami mieszkaniu w poszukiwaniu ojca. Chociaż ich nigdy nie spotkał, zobaczył dwie dziewczynki i chłopca, mieli dziewięć, siedem i pięć lat. Ujrzał psa Swana merdającego długim ogonem i szczekającego basem. W jego wizjach pojawiła się nawet skrzynka pocztowa Swana stojąca obok jego domu w Santa Ana.

Poddał się dopiero o piątej rano, ubrał i wyszedł na spacer. W Sunset skręcił na zachód. Przeszedł gniewnym krokiem dwa kilometry, mając nadzieję, że ktoś na niego wpadnie, potrafi go lub wejdzie mu w drogę i że będzie mógł odburknąć, warknąć, krzyknąć, uwalniając się w ten sposób od frustracji. Niestety, chodnik był pusty. W Los Angeles nikt nie spaceruje, a już z pewnością nie o piątej rano. Z pewnością trzyma się też z daleka od rozwścieczonego nieznajomego olbrzyma. Cisza panowała także na bulwarze. Żadnego ruchu, jeśli nie liczyć mijających go co jakiś czas anonimowych używanych sedanów wiozących do pracy zwykłych pracowników i samotnego harleya z otyłym siwowłosym cymbałem w skórzanym ubraniu. Reachera rozdrażnił hałas motoru, więc pokazał tamtemu środkowy palec. Harley zwolnił i przez cudowną chwilę Reacher miał nadzieję, że tamten się zatrzyma i zrobi awanturę. Niestety, tym razem szczęście mu nie dopisało. Motocyklista tylko spojrzał na niego, dodał gazu i szybko odjechał.

W pewnej odległości po prawej stronie dostrzegł pusty plac otoczony drucianą siatką. Na ławce przy ulicy zauważył małą grupkę robotników pracujących na dniówkę. Czekali w

słońcu, licząc na znalezienie zajęcia. Drobni ludzie o brązowej karnacji ze zmęczonym, stoickim wyrazem twarzy. Pili kawę przy wózku jakiejś misji, stojącym na zewnątrz czegoś, co wyglądało na dom kultury. Reacher ruszył w tamtą stronę i zapłacił sto dolarów za kawę ze skradzionego zwitka banknotów. Powiedział, że to datek. Kobieta stojąca za wózkiem przyjęła pieniądze bez słowa. Zapewne w Hollywood widywali jeszcze większych dziwaków.

Kawa była dobra. Jak u Denny'ego. Sączył ją powoli, oparty o drucianą siatkę. Wygięła się pod jego ciężarem jak trampolina. Miał wrażenie, że płynie. Pochylony, z kubkiem kawy przy ustach i mgłą w głowie. Później mgła się rozwiła i Reacher zaczął myśleć. O Neagley i jej tajemniczym znajomym z Pentagonu. „Jest mi winien przysługę” - powiedziała. - Większą, niż sądzisz”.

Kiedy dopił kawę i wyrzucił kubek, pojawił się słaby płomyk nadziei. Zarys nowego planu. Szansa powodzenia rzędu pięćdziesięciu procent. To lepiej niż w ruletce.

Wrócił do motelu o szóstej rano. Nie mógł znaleźć pozostałych. Nikogo nie było w pokoju. Ruszył w dół Sunset i znalazł ich u Denny'ego, w tej samej kabinie, w której spotkał się z Neagley na początku. Usiadł na wolnym miejscu. Po chwili kelnerka ułożyła przed nim papierową matę, brzęknęła nożem i widelcem, postawiła kubek. Zamówił kawę, naleśniki, bekon, kiełbaski, jajka, grzanki i dżem.

- Jesteś głodny? - zapytała Dixon.
- Umieram z głodu - odpowiedział.
- Gdzie byłeś?
- Spacerowałem.
- Nie spałeś?
- Ani minuty.

Kelnerka wróciła z dzbankiem kawy i napełniła jego kubek. Pociągnął spory łyk. Inni zamilkli. Dłubali w swoich talerzach, zmęczeni i zniechęceni. Pomyślał, że nie spali, podobnie jak on.

- Kiedy zadzwonimy? - zapytał O'Donnell.
- Może nie będziemy musieli - odpowiedział Reacher. Nikt nie zareagował.
- Trzeba ustalić ogólne zasady - zaczął. - Na samym początku. Jeśli Mahmoud ma pociski, ta sprawa nas przerasta. Musimy się z tym pogodzić i żyć dalej. Stawka jest zbyt wysoka. Facet należy do organizacji paramilitarnej i chce uczynić z Bliskiego Wschodu strefę zakazu lotów lub jest członkiem grupy terrorystycznej i planuje akcję, przy której atak na Twin Towers wyda się dniem spędzonym na plaży. W każdym wypadku będą setki lub

tysiące zabitych. Może nawet dziesiątki tysięcy. To sprawia, że nasze zmartwienia schodzą na dalszy plan. Zgoda?

Dixon i Neagley skinęły głową, unikając jego spojrzenia.

- Nie ma tu żadnego jeśli - zaprotestował O'Donnell. - Trzeba przyjąć, że Mahmoud ma pociski.

- Nie - odparł Reacher. - Musimy przyjąć, że ma moduły elektroniczne. Nie wiemy, czy ma rakiety i wyrzutnie. Jedno i drugie jest równie prawdopodobne. Pół na pół. Najpierw załatwił rakiety albo elektronikę. Zadzwonimy dopiero wówczas, gdy będziemy wiedzieli, że ma jedno i drugie.

- Jak się tego dowiemy?

- Neagley zadzwoni do swojego znajomego w Pentagonie. Wykorzysta wszystkie atuty, którymi dysponuje. Facet przeprowadzi w Kolorado coś w rodzaju audytu. Jeśli stwierdzą jakies braki, wypadamy z gry. Jeśli okaże się, że pociski nadal tam są, gra będzie się nadal toczyła.

Neagley spojrzała na zegarek. Na zachodzie było tuż po szóstej, a na wschodzie tuż po dziewiątej. W Pentagonie od godziny wrzało jak w ulu. Wyciągnęła telefon i zadzwoniła.

58

Znajomy Neagley nie był głupi. Uparł się, że oddzwoni spoza budynku, z innej komórki. Wiedział, że każdy automat w promieniu dwóch kilometrów od Pentagonu jest nieustannie monitorowany. Musiała upłynąć godzina, aby przejechał na drugą stronę rzeki i dotarł do telefonu na zewnątrz małego sklepiku spożywczego przy New York Avenue.

Wtedy dopiero zaczął się ubaw.

Kiedy Neagley powiedziała mu, czego chce, zaczął wymieniać różne powody, dla których spełnienie jej życzenia było niemożliwe. Wtedy ona zaczęła wyliczankę. Facet był jej winien całe mnóstwo nie byle jakich przysług. Sprawa była oczywista. Reacher zaczął mu współczuć. Gdyby w imadle znalazły się czyjeś jaja, lepiej żeby Neagley nie trzymała pokrętła, doszedł do wniosku. Tamten w końcu ustąpił i zgodził się na wszystko przed upływem dziesięciu minut. Później zaczęli omawiać zwykłe logistyczne szczegóły. Jak wykonać robotę, kto ma się tym zająć, co zostanie uznane za potwierdzenie. Neagley zasugerowała, że ludzie z wydziału kryminalnego żandarmerii powinni przyjechać niezapowiedziani i porównać zapisy w księgach ze stanem magazynowym. Znajomy przyznał jej rację i poprosił o tydzień. Neagley dała mu cztery godziny.

Reacher spał cztery godziny. Kiedy opracowali plan i podjęli decyzję, zrelaksował się do takiego stopnia, że nie mógł powstrzymać opadających powiek. Wrócił do pokoju i zwałił się na łóżko. Po godzinie zjawiała się pokojówka. Odesłał ją i ponownie zasnął. Później u drzwi stała Dixon. Oznajmiła, że Neagley czeka na nich w holu z wiadomościami.

Wiadomości Neagley nie były ani dobre, ani złe. Coś pomiędzy. New Age nie miało fabryki w Kolorado, a jedynie biuro. Produkcję pocisków zlecali fabryce w Denver. Mieli tam kilka egzemplarzy Little Wing. Oficer wydziału kryminalnego żandarmerii obejrzał je wszystkie, przeliczył i stwierdził, że ich liczba odpowiada zapisom w księgach. Wszystko było jak należy. Żadnych problemów. Wszystko z wyjątkiem tego, że dokładnie sześćset pięćdziesiąt sztuk czekało w oddzielnym zabezpieczonym magazynie na transport do Nevady, gdzie miały zostać rozebrane i zniszczone.

- Z jakiego powodu? - zapytał O'Donnell.

- Pociski produkowane obecnie to Mark Two - wyjaśniła Neagley. - Pozbywają się wadliwych Mark One.

- A tych jest dokładnie sześćset pięćdziesiąt.

- Właśnie.

- Czym się od siebie różnią?

- Pociski Mark Two mają małą fluorescencyjną strzałkę ułatwiającą załadunek w ciemności.

- Na tym koniec?

- Właśnie.

- To przekręt.

- Oczywiście. Chodzi o to, aby dokumenty były w porządku, kiedy ludzie Mahmouda będą wywozili pociski przez bramę.

Reacher skinął głową. Wartownik walczyłby na śmierć i życie, aby uniemożliwić bezprawne wywiezienie broni. Widząc dokument i uzasadnienie, przepuściłby rakiety z uśmiechem i przyjacielskim pozdrowieniem. Nawet jeśli powodem byłby brak małej strzałki namalowanej na czymś, co kosztowało więcej, niż zarobił w ciągu ostatniego roku.

- W jaki sposób montuje się na nich moduł elektroniczny? - zapytał.

- Moduł elektroniczny umieszcza się w środku, a nie na zewnątrz - wyjaśniła Neagley.

- W bocznej części korpusu jest port dostępu. Odkręcasz klapkę i wkładasz moduł. Później musisz jedynie dokonać sprawdzenia i kalibracji.

- Mógłbym to zrobić?

- Wątpię. Musiałbyś zostać przeszkolony. Na polu walki to zadanie będzie należało do specjalisty.

- A zatem także Mahmoud nie będzie umiał. Ani żaden z jego ludzi.

- Musimy przyjąć, że już mają kogoś takiego. Nie wydaliby sześćdziesięciu pięciu milionów dolarów, gdyby nie wiedzieli, jak to zrobić.

- Czy możemy doprowadzić do odwołania rozkazu ich wywiezienia?

- Bez wszczynania alarmu to wykluczone. Równie dobrze moglibyśmy zadzwonić do FBI.

- Zostały ci jeszcze jakieś atuty, Neagley?

- Kilka.

- Skontaktuj się ze swoim znajomym i powiedz, aby ktoś do nas zadzwonił w chwili, gdy pociski opuszczają fabrykę.

- A do tego czasu?

- Do tego czasu Mahmoud nie będzie miał pocisków, a my będziemy mieli pełną swobodę działania.

59

Rozpoczął się wyścig z czasem. Wiedzieli, że w momencie otwarcia drzwi magazynu w Kolorado inne drzwi w Los Angeles zostaną zamknięte. Mimo to czekało ich mnóstwo przygotowań. Trzeba było ustalić wiele rzeczy, między innymi zdobyć adres fabryki. Szklany biurowiec New Age we wschodniej części Los Angeles nie mógł być kwaterą główną wroga. Choćby dlatego, że nie zauważyli tam helikoptera.

Musieli również ustalić nazwiska sprawców.

Odkryć, kto wiedział i kto leciał.

- Chcę dopaść wszystkich - oznajmił Reacher.

- Także smoczycę? - zapytała Neagley.

- Ją na samym początku. Okłamała mnie. Potrzebowali sprzętu, ubrań, środków łączności i dodatkowych pojazdów.

I treningu, pomyślała Neagley.

- Jesteśmy starzy, powolni i zardzewiali - powiedziała. - Daleko nam do dawnej formy.

- Nie jesteśmy tacy kiepscy - zaprotestował O'Donnell.

- Kiedyś wpakowałbyś tamtemu dwie kulki między oczy zamiast przypadkowo jednej w nogę.

Siedzieli w holu jak czterej podróżni zastanawiający się nad sposobem spędzenia dnia. Jeśli chodzi o uzbrojenie, mieli dwa hardballery i daewoo DP 51 zdobyty w Vegas. Siedem naboń w każdym hardballerze i jedenaście w daewoo. O'Donnell, Dixon i Neagley mieli prywatne komórki zarejestrowane na prawdziwe nazwisko i prawdziwy adres, w przeciwieństwie do Reachera, który nie miał niczego. To o wiele za mało. Mieli fordę 500 wypożyczonego u Hetza na Dixon i zdobycznego chryslera. To o wiele za mało. O'Donnell miał wart tysiąc dolarów garnitur od krawca ze Wschodniego Wybrzeża, a Neagley i Dixon - dzinsy, żakiety i kreacje wieczorowe. To o wiele za mało.

Neagley zapewniła ich, że forsa nie stanowi problemu, nie rozwiązywało to jednak problemu czasu. Potrzebowali niewykrywalnych komórek na kartę, czterech nierzucających się w oczy samochodów i ubrań roboczych. Oznaczało to cały dzień zakupów. Potrzebowali broni i amunicji. W najlepszym razie ulubionych pistoletów i dużej ilości zapasowej amunicji. W najgorszym - jeszcze jednego sprawnego gnata i dużej ilości zapasowej amunicji. To kolejny dzień zakupów. Podobnie jak większość amerykańskich miast Los Angeles miało kwitnący czarny rynek, gdzie można było kupić broń, której nikt nie potrafił wysledzić, jednak jego spenetrowanie wymagało czasu.

Dwa dni na przygotowanie sprzętu.

Jakieś dwa dni na obserwację i poszukiwania.

- Nie mamy czasu na trening - rzekł Reacher.

Azhari Mahmoud miał czas na spokojne zjedzenie lunchu. Wybrał uliczną restaurację w Laguna Beach. Zatrzymał się nieopodal w wynajętym domku jednorodzinny. Wystarczająco bezpieczny. Umowa dzierżawy była legalna. W okolicy mieszkało wielu przyjezdnych. Ciężarówka U-Haul zaparkowana przed jakimś domem nie wzbudzała niczyjzego zainteresowania. Jego stała dwie ulice dalej na parkingu, zamknięta i pusta.

Wkrótce miała się zappełnić.

Ludzie, którzy byli jego kontaktem w New Age, podkreślali, że Little Wing nie może zostać użyte na terenie Stanów Zjednoczonych. Powiedział, że zamierzają ją wykorzystać na granicy Kaszmiru przeciwko indyjskim samolotom wojskowym. Oczywiście kłamał. Był zdumiony, że wzięli go za Pakistańczyka. Był zdumiony, że interesują ich jego zamiary. Może byli patriotami. A może mieli krewnych, którzy sporo latali na trasach krajowych.

Dyplomacja nakazywała jednak pójść na pewne ustępstwa, aby uzyskać je od drugiej strony. Stąd chwilowa niedogodność związana z wysyłką kontenera i lokalizacją doków. Mahmoud pomyślał, że ten problem da się łatwo rozwiązać. W południowej Kalifornii było

wielu robotników gotowych pracować na dniówkę. Obliczył sobie, że załadowanie ciężarówki U-Haul zajmie im nie więcej niż trzy minuty.

Uznali, że nie będą mieli problemu z zakupem ubrań i telefonów. W każdym centrum handlowym to znajdą. Co innego z bronią - można ją było zdobyć na czas lub nie. Dixon chciała glocka 19. Neagley miała większą dłoń, więc poprosiła o glocka 17. O'Donnell był miłośnikiem beretty. Reacherowi było wszystko jedno. Nie miał zamiaru do nikogo strzelać, po chwili dodał jednak, że wzięłby glocka, SIG-a, berettę lub H&K - wszystko, co strzela nabojami parabellum kalibru 9 milimetrów. W ten sposób cała czwórka używałaby tej samej amunicji. Tak było praktyczniej.

Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa z samochodami. Bardzo trudno znaleźć brykę, która nie rzuca się w oczy. W końcu O'Donnell zasugerował, że najlepsze będą „ryżowe rakiety” - małe japońskie sedany i coupe z głośnym, dużym tłumikiem, obniżonym zawieszeniem, zużytymi oponami i niebieskimi reflektorami. Plus przyciemnione szyby. Trzy lub czteroletnie egzemplarze powinny być tanie, a w mieście było ich pełno. Taki wóz w Kalifornii jest prawie niewidzialny. O'Donnell utrzymywał, że z psychologicznego punktu widzenia będzie to idealnym kamuflaż. W powszechnej opinii ryżowe rakiety były tak silnie kojarzone z latynoskimi gangami ulicznymi, że nikt nie pomyślałby, iż za przyciemnionymi szybami siedzą byli żołnierze. Uznali, że samochody i telefony są ważniejsze od broni. W ten sposób przynajmniej dwoje lub troje z nich będzie mogło rozpocząć obserwację. Jeśli pojedą do sklepu Radio Shack po telefony, przy okazji mogą wpaść do Gap lub sklepu z dżinsami, aby załatwić ubrania. Później, wtopieni w otoczenie, mogliby się rozdzielić i wyruszyć na plac z używanymi autami, aby kupić niezbędne środki transportu.

Wszystko to wymagało gotówki. Dużo gotówki. To z kolei oznaczało, że Neagley musi skoczyć do kasy. Reacher podwiózł ją zdobycznym chryslerem i czekał na zewnątrz banku w Beverly Hills. Po piętnastu minutach wyszła z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w brązowej torbie na kanapki. Półtorej godziny później mieli ubrania i telefony. Zwyczajne aparaty na kartę bez dodatkowych funkcji, bez kamery, gier czy kalkulatora. Oprócz tego kupili ładowarki samochodowe i słuchawki. W sklepie z tanimi ubraniami przy bulwarze Santa Monica nabyli miękkie szare koszulki z dżinsu, spodnie i czarne wiatrówki z grubego płótna. Dwa komplety dla O'Donnella, Dixon i Neagley, jeden dla Reachera. Oprócz tego w sklepie turystycznym przy Melrose zaopatrzyli się w rękawiczki, czapki wełniane i buty.

Przebrali się w motelu i spotkali na dziesięć minut w holu, aby zapisać swoje numery i nauczyć się posługiwania funkcją telefonu konferencyjnego. Następnie wyruszyli na

północny zachód od bulwaru Van Nuys w poszukiwaniu samochodów. W każdym mieście jest przynajmniej jeden rejon, w którym roi się od salonów samochodowych. Los Angeles ma ich więcej niż jeden. Właściwie ma ich wiele. O'Donnell słyszał, że najlepsze salony są przy Van Nuys na północ od autostrady Ventura. Faktycznie, dobrze usłyszał. Trafili na istny róg obfitości. Nieograniczony wybór, nowe i używane, tanie i drogie, bez żadnych zbędnych pytań. Cztery godziny później wydali niemal wszystkie pieniądze Neagley przeznaczone na transport i stali się właścicielami czterech używanych hond. Dwóch lekko stukniętych civiców i dwóch z lekka uszkodzonych prelude. Dwóch srebrnych i dwóch białych. Wszystkie cztery były zdezelowane i niewiele im brakowało do całkowitego zużycia. Mimo to nadal ruszały z miejsca, zatrzymywały się i dawały kierować, a na dodatek nie przyciągały spojrzeń.

Razem ze zdobyczym chryslerem musieli odwieźć do Sunset pięć wozów, a mieli tylko czterech kierowców, więc wykonali dwa kursy. Następnie każdy wsiadł do własnej hondy i razem wyruszyli w kierunku wschodniego Los Angeles oraz szklanego sześciennego biurowca New Age Defense Systems. Z powodu korków dotarli na miejsce dopiero pod koniec dnia. Biuro było zamknięte i opustoszałe. Nie znaleźli nic wartego obejrzenia.

Za pomocą trybu konferencyjnego obmyślili plan i pojechali na obiad do Pasadeny. Znaleźli bar kanapkowy obok ruchliwej ulicy i usiedli przy stoliku nakrytym dla czterech osób. Po dwoje, ramię przy ramieniu, w nowych szarych ubraniach z dzinsu. W stroju przypominającym mundur. Chociaż nikt się do tego nie przyznał, Reacher wiedział, że wszyscy są zadowoleni. Skupieni, pełni energii, zapału, gotowi do walki o wysoką stawkę. Rozmawiali o przeszłości. Wyskokach, przekrętach, skandalach, aktach przemocy. Nagle minione lata uleciały i Reacher oczyma wyobraźni zastąpił szary kolor zielonym, a Pasadenę - Heidelbergiem, Manilą lub Seulem.

Dawna paczka ponownie razem.

Dwie godziny później wrócili na Sunset. O'Donnell i Neagley zaproponowali, że obejmą pierwszą wartę przy budynku New Age. Reacher i Dixon mieli zdobyć broń. Przed pójściem do łóżka Reacher sięgnął po telefon znaleziony w chryslerze zabitego i wybrał numer, pod który dzwonił z Vegas, Nie usłyszał odpowiedzi, jedynie sygnał poczty głosowej. Nie zostawił wiadomości.

Reacher wiedział, że najlepszym sposobem zdobycia niemożliwej do wyśledzenia broni jest ukradzenie jej komuś, kto wcześniej zrobił to samo. Lub komuś, kto nielegalnie wszedł w jej posiadanie. Dzięki temu nie będzie oficjalnej reakcji. Najwyżej nieoficjalna jak w przypadku handlarzy narkotyków działających na tyłach muzeum figur woskowych, lecz z tą bez trudu sobie poradzą.

Załatwienie czterech pistoletów było znacznie większym wyzwaniem. Zwykle trudniej przygotować sprzęt dla grupy niż dla pojedynczego człowieka. Sytuacja była tym trudniejsza, że w grę wchodził konkretny rodzaj amunicji. Trzeba było również wziąć pod uwagę stan broni i jej utrzymanie. Pijąc pierwszą poranną kawę, Reacher przeprowadził abstrakcyjne obliczenia. Parabellum kalibru 9 milimetrów to popularny nabój, ale na ulicach pełno było trzydziestekósemek, czterdziestek-piątek, dwudziestekdwójek, trzydziestekpiątek i czterdziestek w wielu różnych odmianach. Przypuśćmy, że prawdopodobieństwo zdobycia pistolem na naboje parabellum 9 milimetrów wynosi jeden do czterech, a to, że łup okaże się śmieciem, jeden do trzech. Musieliby wykonać czterdzieści osiem skoków, aby zdobyć to, czego pragną. Zajęłoby im to cały dzień i przerodziło się w falę kradzieży.

Później przyszło mu do głowy, aby znaleźć nieuczciwego kwatermistrza. Fort Irwin znajdował się niedaleko stąd. Albo jeszcze lepiej, nieuczciwego kwatermistrza piechoty morskiej. Camp Pendleton leżał dalej od Irwin, lecz droga była lepsza, dlatego w pewnym sensie było tam bliżej. Na dodatek w szeregach marines panowało niemal obowiązkowe przekonanie, że beretta M9 to broń, na której nie można polegać. Zbrojmistrze byli gotowi uznać pewne egzemplarze za wadliwe. Niektóre okazałyby się sprawne, a inne nie. Niesprawna broń opuściłaby magazyn tylnymi drzwiami po sto dolców za sztukę. Podobny mechanizm działania jak przy przekręcie w New Age. Tyle że zorganizowanie zakupu mogłoby zająć całe dni. Nawet tygodnie. Trzeba by zdobyć zaufanie drugiej strony. Trudna sprawa. Dawno temu Reacher zrobił to kilka razy, gdy działał pod przykrywką. Mnóstwo roboty, a zysk niewielki.

Karla Dixon twierdziła, że ma lepsze rozwiązanie. Wymyśliła je podczas śniadania. Oczywiście odrzuciła pomysł, aby pójść do sklepu i kupić broń legalnie. Ani ona, ani Reacher nie wiedzieli, jak się to robi w Kalifornii. Uznali, że broń zostanie zarejestrowana, że sprzedawca poprosi o dokument tożsamości i że na pewno przez jakiś okres sklep będzie mógł odstąpić od umowy. zaproponowała, aby opuścili hrabstwo Los Angeles i wjechali na teren sąsiadującego z nim od południa hrabstwa Orange, w którym przewagę mieli zwolennicy republikanów. Mogliby znaleźć lombard i szczerze szastając forszą Neagley, wykorzystać mniej surowe prawo. Uważała, że większe poszanowanie drugiej poprawki do

konstytucji i wyższa marża wystarczą, aby załatwić sprawę. Utrzymywała, że będą mieli duży wybór. Że będą mogli przebierać jak w ulęgałkach.

Chociaż Reacher nie podchodził do tego pomysłu entuzjastycznie, w końcu wyraził zgodę. Poradził, aby zastąpiła dzinsy czarnym kostiumem. Zasugerował również, aby pojechali ciemnoniebieskim chryslerem zamiast jedną ze sfatygowanych hond. Dzięki temu będzie wyglądała jak zatroskany obywatel z warstwy średniej. W ten sposób wzbudzi mniej podejrzeń. Powinna kupować pistolety po jednym. On wystąpi w roli doradcy. Sąsiada, który miał w przeszłości kontakt z bronią.

- Sądziysz, że nasi dotarli tak daleko? - zapytała Dixon.

- Dalej - odpowiedział Reacher.

Skinęła głową.

- Wiedzieli o wszystkim. Kto, co, gdzie, dlaczego i jak. A jednak coś im przeszkodziło. Co?

- Nie mam pojęcia - odparł Reacher. Sam zadawał sobie to pytanie od wielu dni.

Wyruszyli do hrabstwa Orange zaraz po śniadaniu. Nie wiedzieli, o której otwierają lombardy, pomyśleli jednak, że rano będzie w nich mniejszy ruch. Reacher prowadził. Najpierw Stopierwszą, następnie Piątką, w taki sam sposób, w jaki GPS poprowadził O'Donnella do domu Swana. Tym razem zostali trochę dłużej na autostradzie i zjechali w przeciwną stronę, na wschód. Dixon chciała najpierw zajrzeć do Austin. Słyszała o tym mieście wiele złych rzeczy. Lub dobrych, w zależności od punktu widzenia.

- Co zamierzasz robić, gdy to wszystko się skończy?

- To zależy, czy przeżyję.

- Sądziysz, że ci się nie uda?

- Neagley miała rację, nie jesteśmy już tacy jak kiedyś. Tamci nie byli, to pewne.

- Myślę, że damy sobie radę.

- Mam nadzieję.

- Chciałbyś wpaść do Nowego Jorku?

- Tak.

- Ale?

- Nie planuję sobie życia, Karla.

- Dlaczego?

- Rozmawiałem już o tym z Dave'em.

- Ludzie mają plany.

- Wiem. Ludzie tacy jak Calvin Franz, Jorge Sanchez i Manuel Orozco. I Tony Swan. Swan planował, że będzie dawał psu aspirynę przez następne pięćdziesiąt cztery i pół tygodnia.

Jechali ulicami biegnącymi równolegle do autostrady. W promieniach porannego słońca mijali senne pasáže handlowe, stacje benzynowe i banki dla zmotoryzowanych. Sklepy z materacami, solaria i salony meblowe były zamknięte na głucho.

- Kto w południowej Kalifornii korzysta z solarium?

Pierwszy lombard dostrzegli obok księgarni w ekskluzywnym pasażu handlowym. Wszystko było nie tak. Po pierwsze, sklep był zamknięty. Na okna zasunięto żelazną kratę. Po drugie lombard przyjmował niewłaściwy towar. Na wystawie były jedynie stare srebrne sztuce i biżuteria. Talerze, misy na owoce, pierścienie na serwetki, szpilki do włosów, naszyjniki, ozdobne ramki na zdjęcia. I ani jednego glocka. Ani jednego sig-sauera, żadnej beretty czy H&K.

Pojechali dalej.

W odległości dwóch przecznic na wschód od autostrady znaleźli właściwe miejsce. Było otwarte. Na wystawie stało całe mnóstwo elektrycznych gitar, masywne męskie sygnety z dziewięciokaratowego złota z małymi diamentami oraz tanie zegarki.

I broń.

Nie na wystawie, lecz w wyraźnie widocznej długiej szklanej gablocie obok lady. Z pięćdziesiąt sztuk broni - rewolwerów i pistoletów automatycznych, czarnych i niklowanych, z gumową i drewnianą rękojeścią-ułożonej w schludnym szeregu. Odpowiednie miejsce.

Niestety, nieodpowiedni właściciel. Praworządny obywatel. Biały, trzydziestokilkuletni, z lekką nadwagą, o dobrych genach, które popsuło nadmierne łakomstwo. Nad jego głową wisiało zezwolenie na handel bronią. Wymienił klauzule prawne jak kapłan recytujący liturgię. Po pierwsze, kupujący musi uzyskać pozwolenie na broń, które uprawniało do zakupu. Po drugie, musiał przedstawić trzy niezależne zaświadczenia, pierwsze potwierdzające, że nie próbował kupić innego egzemplarza broni w ciągu ostatnich trzydziestu dni, drugie, że nie figuruje w stanowym rejestrze przestępców, trzecie, że nie figuruje w podobnym rejestrze federalnym w komputerze NCIC*. National Crime Information Center.

Później Dixon musiałaby poczekać dziesięć dni na odbiór, na wypadek gdyby planowała popełnić zbrodnię w afekcie.

Dixon otworzyła torebkę, aby facet zobaczył gruby zwitek banknotów. Pozostał niewzruszony. Spojrzał tylko na forsy i odwrócił wzrok.

Poszli dalej.

Pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód Azhari Mahmoud stał w promieniach słońca i lekko spocony obserwował opróżnianie kontenera i przeładowywanie jego zawartości do ciężarówki U-Haul. Skrzynie były mniejsze, niż sądził. Pomyślał, że to zrozumiałe, skoro moduły, które się w nich znajdowały, nie były większe od paczki papierosów. Pomyślał też, że zarejestrowanie ładunku jako elementów kina domowego było głupim posunięciem. Chyba że można by je przedstawiać jako osobiste odtwarzacze DVD. Takie, jakie ludzie zabierają do samolotu. Albo jako odtwarzacze plików MP3 z białymi przewodami i małymi słuchawkami. To brzmiałoby bardziej wiarygodnie.

Uśmiechnął się do siebie. *Samoloty.*

Reacher jechał na wschód zygżakiem od jednego sklepu z taną odzieżą do drugiego i wypatrywał tańszej części miasta. Był pewny, że wielu ludzi mieszkających na obszarze od Beverly Hills do Malibu doświadcza trudności finansowych, ale nie rzucało się to w oczy. W pewnych częściach Tustin było jednak inaczej. Stał się czujny, gdy dotarli do salonów z oponami oferujących cztery opony radialne za mniej niż sto dolarów. Niemal natychmiast został nagrodzony. Zauważył lombard po prawej, a w tym samym momencie Dixon dostrzegła drugi, po lewej stronie ulicy. Miejsce Dixon wyglądało na większe, więc zawrócili na następnych światłach i po drodze zauważyli trzy inne.

- Spory wybór - zauważył Reacher. - Możemy zaryzykować eksperyment.

- Jaki? - zapytała Dixon.

- Podejście bezpośrednie. Będziesz musiała zostać w samochodzie. Za bardzo przypominasz glinę.

- Przecież sam chciałeś, abym tak się ubrała.

- Zmiana planu.

Reacher zaparkował chryslera w miejscu, w którym nie było go widać z wnętrza sklepu. Wyciągnął z torebki Dixon zwitek banknotów, wsunął je do kieszeni i wysiadł, aby się rozejrzeć. Duża sala jak na lombard. Reacher przywykł do zakurzonych klitek miejskich lombardów. Ten okazał się dużym salonem wielkości typowego sklepu z dywanami, mającym okna po dwóch stronach wejścia. Na wystawie było dużo sprzętu elektronicznego, aparatów fotograficznych, instrumentów i biżuterii. I karabinów. Kilkanaście karabinków sportowych umieszczono pionowo za lasem gitarowych gryfów. Porządna broń, pomyślał Reacher, chociaż nie chodziło mu o zastosowanie sportowe. Pomyślał, że to nie w porządku polować

na jelenia z ukrycia, z odległości stu metrów, zza drzewa, mając pudełko naboju o dużej prędkości. Znacznie sprawiedliwsze byłoby przyczepienie sobie rogów i stanięcie do walki łeb w łeb. Wtedy głupi zwierzak miałby równe szanse. A może większe. Pewnie dlatego myśliwi woleli tego nie próbować.

Wszedł pod markizę osłaniającą drzwi i zajął do środka. Od razu zrezygnował. Za duży sklep. Zbyt wielu pracowników. Metoda bezpośredniego podejścia jest skuteczna wyłącznie w prywatnej atmosferze, jeden na jeden. Wrócił do samochodu:

- Pomyliłem się. Musimy poszukać czegoś mniejszego.

- Po drugiej stronie ulicy - powiedziała Dixon. Wyjechali z parkingu, pojechali sto metrów na zachód i zawrócili na światłach. Wrócili i zaparkowali na zniszczonym wybetonowanym placu przed sklepem z piwem. Obok znajdował się sklep z tanimi witaminami i kolejny lombard. Nie był to typowy miejski lombard, lecz miał tylko jedno okno i z pewnością był zakurzony. Na wystawie roilo się od typowych śmieci. Zegarków, perkusji, talerzy i gitar. Mimo mroku, który panował w środku, dostrzegli szklaną gablotę zajmującą całą tylną ścianę. Była pełna broni krótkiej. Ze trzysta sztuk. Wisiały lufą w dół, na gwoździu przechodzącym przez osłonę spustu. Za ladą stał facet. Był sam.

- To miejsce w moim stylu - zauważył Reacher.

Wszedł bez Dixon. Na pierwszy rzut oka właściciel przypominał faceta, którego spotkali na początku. Biały, trzydzieści kilka lat, porządny. Mogli być braćmi. Ten byłby z pewnością czarną owcą w rodzinie. Podczas gdy pierwszy miał błyszczącą różową cerę, skóra drugiego miała szarawy odcień z powodu nadużywania szkodliwych substancji i była poznaczona niebieskimi i fioletowymi tatuażami z poprawczaka lub więzienia. Albo okresu służby w marynarce. Wytrzeszczał zaczerwienione oczy, jakby podłączyli go do prądu.

Łatwa sprawa, pomyślał Reacher.

Wyciągnął z kieszeni znaczną część zwitka Neagle, rozwinął banknoty, a następnie rzucił na ladę z odpowiedniej wysokości, tak aby wydały miły, głośny dźwięk. Sporo używanych pieniędzy waży więcej, niż podejrzewa większość ludzi. Papier, farba drukarska, brud, tłuszcz. Właściciel lombardu zdołał skupić wzrok wystarczająco długo, aby im się przyjrzeć.

- Mogę w czymś pomóc?

- Z pewnością - odpowiedział Reacher. - Przed chwilą odebrałem kilka lekcji wychowania obywatelskiego. Wygląda na to, że człowiek, który chce sobie kupić cztery gnaty musi pokonać wiele przeszkód.

- Racja - odparł tamten, wskazując kciukiem za plecy. Na ścianie wisiało zezwolenie na sprzedaż broni podobnie jak w pierwszym lombardzie.

- Nie można tego jakoś ominąć? - zapytał Reacher. - Albo przeskoczyć?

- Nie - zaprzeczył facet. - Przeszkody to przeszkody. - Po tych słowach uśmiechnął się, jakby wygłosił niezwykle głęboką uwagę. Przez ułamek sekundy Reacher miał ochotę chwycić go za głowę i rozwalić nią szybę gabloty. Później tamten spojrzał na forszę. - Muszę przestrzegać prawa stanu Kalifornia. - Wypowiedział te słowa w charakterystyczny sposób, a jego wzrok spoczął na słodkim przedmiocie pożądania. Reacher domyślił się, że za chwilę usłyszy coś przyjemnego. - Jesteś prawnikiem? - zapytał sprzedawca.

- Czy wyglądam na prawnika? - odpowiedział Reacher.

- Kiedyś z jednym rozmawiałem - oznajmił facet. Założę się, że wiele razy, pomyślał Reacher. Głównie w zamkniętym pomieszczeniu, w którym stół i krzesła były przykręcone do podłogi.

- Jest rozwiązanie - ciągnął sprzedawca. - W przepisach.

- Jakie? - zapytał Reacher.

- Pewien szczegół techniczny - wycodził po kilku nieudanych próbach. Miał problem z wymawianiem twardych spółgłosek. - Bez dopełnienia wszystkich formalności ja, ty ani nikt inny nie może sprzedać broni drugiemu.

- Ale?

- Ale ja, ty czy ktoś inny może ją wypożyczyć. Wypożyczenie broni na okres nieprzekraczający trzydziestu dni jest dozwolone.

- Naprawdę? - zdziwił się Reacher.

- Tak mówi prawo.

- Interesujące.

- Tak jak w rodzinie - wyjaśnił tamten. - Mąż pożyczka żonie, ojciec córce.

- Rozumiem.

- Lub wśród przyjaciół - kontynuował sprzedawca. - Przyjaciel może pożyczyć pistolet przyjacielowi na trzydzieści dni, tymczasowo.

- Jesteśmy przyjaciółmi? - zapytał Reacher.

- Moglibyśmy być - odpowiedział facet.

- Jakie rzeczy robią dla siebie przyjaciele?

- Pożyczają sobie różne rzeczy. Jeden pożyczka pistolet, a drugi trochę kasy.

- Ale tylko na pewien czas - sprostował Reacher. - Na trzydzieści dni.

- Z pożyczkami bywa różnie. Czasami trzeba je spisać na straty. Element ryzyka. Ludzie się przeprowadzają, rozchodzą. Z przyjaciółmi nigdy nie wiadomo.

Reacher zostawił pieniądze na ladzie i podszedł do szklanej gabloty. Było w niej trochę złomu i trochę dobrej broni. Połowę stanowiły rewolwery, połowę pistolety automatyczne. Broń automatyczna była przeceniona o dwie trzecie, a najlepsze marki o jedną trzecią. Jedna czwarta z tych ostatnich była na naboje dziewięćmilimetrowe.

W sumie trzynaście odpowiednich pistoletów. Z trzystu. Cztery i trzy dziesiąte procent. Gorzej, niż wykalkulował przy śniadaniu. Prawie dwukrotnie.

Siedem z tych, które się nadawały, było glockami. Najwyraźniej kiedyś były modne, lecz już przestały. Jedna dziewiętnastka i sześć siedemnastek. Sądząc po wyglądzie zewnętrznym, ich stan wahał się od dobrego do idealnego.

- Przypuśćmy, że pożyczysz mi cztery glocki - powiedział Reacher.

- Przypuśćmy, że bym tego nie zrobił - odparł tamten.

Reacher odwrócił się. Forsa zniknęła. Spodziewał się tego. W ręce sprzedawcy błysnął pistolet. Tego się nie spodziewał.

Jesteśmy starzy, powolni i zardzewiali, powiedziała Neagley. Daleko nam do dawnej formy. Zrozumiałem, pomyślał Reacher.

Facet trzymał colta pythona. Niebieskawa stal węglowa, rękojeść z orzecha włoskiego. Lufa długości dwudziestu centymetrów, nabój magnum.357. Nie było to największy rewolwer na świecie, lecz niewiele mu brakowało. Z pewnością nie należał do najmniejszych. Pewnie był najbardziej właściwy.

- Nie postępujesz jak przyjaciel - zauważył Reacher.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi - odpowiedział sprzedawca.

- Postępujesz jak głupiec - kontynuował Reacher. - Jestem teraz w bardzo złym humorze.

- Będziesz musiał się z tym pogodzić. Trzymaj ręce na widoku.

Reacher zatrzymał się, a następnie uniósł ręce na połowę długości. Dłonie na zewnątrz, rozłożone palce, żadnego zagrożenia.

- Wyjdź tak, abyś nie oberwał drzwiami.

Sklep był wąski. Reacher stał z tyłu, tamten za ladą, w jednej trzeciej odległości od drzwi. Przejście między regałami było ciasne. Przez okno wpadały jasne promienie słońca.

- Wyjdź ze sklepu, Elvis - polecił facet.

Reacher stał przez chwilę nieruchomo. Wsłuchiwał się w dźwięki. Spojrzał w lewo i w prawo, obejrzał za siebie. W lewym końcu sali były drzwi. Pewnie do łazienki. Nie sądził,

aby znajdowało się tam pomieszczenie biurowe. Dostrzegł jakieś papiery na ladzie. Nikt nie trzyma dokumentów na ladzie, jeśli ma oddzielny pokój. Gość był sam. Brak współnika, brak wsparcia.

Żadnych dodatkowych niespodzianek.

Reacher przybrał minę, którą oglądał w Vegas. Minę żalosego nieudacznika. „Musiałem spróbować. Aby wygrać, musisz zaryzykować”. Zrobił krok do przodu, trzymając ręce na wysokości barków. Jeden krok. Dwa. Trzy. Po wykonaniu czwartego znalazł się naprzeciw tamtego. Dzielili ich jedynie szerokość lada. Odwrócił się w stronę drzwi. Facet stał zwrócony do niego pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Lada miała szerokość około siedemdziesięciu centymetrów. Niecały metr.

Lewe ramię Reachera wystrzeliło na zewnątrz.

Podobno Muhammad Ali miał zasięg ręki około metra, a jego dłonie poruszały się z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Reacher nie był Alim. Było mu do niego daleko. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę jego słabszą stronę. Lewa pięść Reachera poruszała się z prędkością nieprzekraczającą setki. To wszystko. Sto kilometrów na godzinę to niecałe dwa kilometry na minutę, a to oznacza, że pięść Reachera przemknęła nad ladą z prędkością trzydziestu trzech metrów na sekundę. Do pokonania drogi potrzebowała mniej niż trzydzieści tysięcznych sekundy. Po przebyciu połowy zacisnęła się w pięść.

Trzydzieści tysięcznych sekundy to zbyt krótki czas, aby pociągnąć za spust pythona. Rewolwer to skomplikowany mechanizm, a rewolwer wielkości pythona działa ciężiej od innych. Rzadko dochodzi do przypadkowego strzału. Facet nawet nie zdążył napiąć palca. Pięść Reachera grzmotnęła go w twarz, zanim jego mózg zdołał to zarejestrować. Reacher był wolniejszy od Muhammada Alego, lecz miał znacznie dłuższe ręce, co oznaczało, że głowa sprzedawcy przyspieszała przez dodatkowe pół metra, zanim ręka Reachera wyprostowała się na pełną długość. Rozpędzała się, dopóki nie wyrznęła w ścianę za ladą, rozbijając szybę, za którą znajdowało się pozwolenie na sprzedaż broni.

W tym momencie ręka zaczęła zwalniać i opadać.

Reacher był za ladą, zanim ciało tamtego osunęło się na podłogę. Kopnął pythona i użył jego kolby, by połamać facetowi palce obu dłoni. Zwyczajna konieczność w środowisku, w którym jest tyle broni. Szybsze rozwiązanie od krępowania nadgarstków. Następnie wyciągnął mu z kieszeni forszę Neagley i odnalazł klucze. Przeskoczył na drugą stronę lada i przeszedł na tył sklepu do oszklonej gabloty. Zabrał siedem glocków, wyciągnął walizkę z wystawy z używanym bagażem i wrzucił broń do środka. Następnie wytarł odciski palców z kluczy i odciski dłoni z blatu, aby po chwili wyjść na słońce.

W Austin zatrzymali się w legalnym sklepie z bronią i kupili amunicję. Dużo. Tym razem nie było żadnych zakazów. Później ruszyli na północ. Jechali w wolnym tempie. Na wysokości Anaheim otrzymali telefon od O'Donnella. Dzwonił ze wschodniego Los Angeles.

- Nic się nie dzieje - powiedział.

- Nic?

- Zero aktywności. Nie powinienes był dzwonić do niego z Vegas. Popeliłeś błąd. Wpadli w panikę. Mam wrażenie, że wprowadzili stan podwyższonej czujności.

61

Reacher i Dixon dotarli do Hollywood Stojedynką, zostawili chryslera na parkingu motelu i pojechali dwiema hondami do wschodniego Los Angeles. Reacher wziął srebrne coupe prelude z uszkodzonym czwartym cylindrem. Wóz miał szerokie opony, które sunęły wyłobieniami drogi, i tłumik o gardłowym brzmieniu, które bawiło go przez pierwsze trzy przecznice, a później zaczęło irytować. Tapicerka cuchnęła płynem do czyszczenia, a rysa widniejąca na przedniej szybie wydłużała się za każdym razem, gdy wjechał na jakiś wybój. Na szczęście mógł wystarczająco daleko odsunąć siedzenie, aby zająć wygodną pozycję. No i klimatyzacja działała. W sumie niezły wóz na prowadzenie inwigilacji.

Przestawili komórki w tryb konferencyjny i zatrzymali się w znacznej odległości od siebie. Reacher zaparkował dwie przecznice od biurowca New Age, pomiędzy archiwum i szarym budynkiem hurtowni, by z odległości sześćdziesięciu metrów obserwować sytuację. Parking był pusty, a brama zamknięta. Zamknięte były również drzwi recepcji. Wokół panowała cisza.

- Kto jest w środku? - zapytał Reacher.

- Bardzo możliwe, że nie ma nikogo - odparł O'Donnell. - Jesteśmy tu od piątej i nikt się nie pojawił.

- A nasza smoczyca?

- Nie.

- Recepcjonistki też nie ma? - Nie ma.

- Mamy ich numer telefonu?

- Zanotowałam numer do centrali - powiedziała Neagley. Wyrecytowała numer, a Reacher wprowadził go do swojej komórki i wcisnął zielony przycisk.

Właściwy sygnał. Brak odpowiedzi.

Ponownie włączył tryb konferencyjny.

- Liczyłem, że uda się nam pojechać za którymś do miejsca, gdzie produkują moduły.

- Nic z tego - odparł O'Donnell.

Na linii zapadło milczenie. Nie dostrzegli w szklanej bryle śladów aktywności.

Pięć, dziesięć, dwadzieścia minut.

- Wystarczy tego - rzekł Reacher. - Wracamy do bazy. Ostatni stawia lunch.

Ostatni przyjechał Reacher. Nie jeździł zbyt szybko. Kiedy wturlał się na plac, trzy hondy już tam stały. Zaparkował swoją prelude w dyskretnym miejscu, wyjął z bagażnika walizkę ze skradzionymi pistoletami i zaniósł do swojego pokoju. Później poszedł do Denny'ego. Od razu spostrzegł nieoznakowany samochód Curtisa Mauneya stojący na parkingu. Crown vic szeryfa hrabstwa Los Angeles. Później przez okno zauważył Mauneya siedzącego przy okrągłym stoliku w restauracji razem z Neagley, O'Donnellem i Dixon. Przy tym samym, którego używali podczas spotkania z Dianą Bond. Pięć krzeseł. Jedno puste, jakby na kogoś czekało. Na stole nic nie było. Nawet wody z lodem, serwetek czy zastawy. Jeszcze nie złożyli zamówienia. Najwyraźniej zjawili się przed chwilą. Reacher wszedł do środka i usiadł. Po chwili pełnego napięcia milczenia Mauney oznajmił:

- Witam ponownie. Cisza.

Przeniknięta atmosferą współczucia.

- Sanchez czy Swan? - zapytał Reacher.

Mauney nie odpowiedział.

- Co? Znaleźliście obu?

- Dojdziemy do tego. Najpierw powiedz, dlaczego się ukrywacie.

- Kto powiedział, że się ukrywamy?

- Wyjechaliście z Vegas. Nie zarejestrowaliście się w żadnym hotelu w Los Angeles.

- To nie znaczy, że się ukrywamy.

- Zaszyliście się w zachodnim Hollywood pod fałszywymi nazwiskami. Wydał was pracownik motelu. Jako grupa rzucacie się w oczy. Odnalezienie was nie sprawiło problemu. Nie trudno się było domyślić, że przyjdziecie tu na lunch. Gdybym was nie znalazł, przyszedłbym w porze obiadu lub jutro w porze śniadania.

- Jorge Sanchez czy Tony Swan? - zapytał ponownie Reacher.

- Tony Swan - odparł Mauney.

- W ciągu ostatnich tygodni nauczyliśmy się kilku rzeczy - ciągnął Mauney. - Pozwoliliśmy, aby myszołowy odwały naszą robotę. W każdej wolnej chwili jedziemy na pustynię, bawiąc się w ornitologów. Jeśli staniesz z lornetką na dachu samochodu, zwykle zobaczysz, co trzeba. Dwa myszołowy krążące w powietrzu oznaczają kojota ukąszonego przez węża. Więcej niż dwa - coś większego.

- Gdzie? - zapytał Reacher.

- W tym samym rejonie.

- Kiedy?

- Jakiś czas temu.

- Helikopter?

- Nie ma innej możliwości.

- Jesteście pewni, że to on?

- Leżał na plecach. Ręce związane z tyłu. Mogliśmy pobrać odciski palców. W kieszeni miał portfel. Bardzo mi przykro.

Nadeszła kelnerka. Ta sama co wczoraj. Zatrzymała się w pobliżu stołu, wyczuła nastrój i odeszła.

- Dlaczego się ukrywacie? - zapytał Mauney.

- Nie ukrywamy się - powtórzył Reacher. - Po prostu czekamy na pogrzeb.

- A fałszywe nazwiska?

- Chciałeś, abyśmy posłużyli wam za przynętę. Kimkolwiek są ci ludzie, nie zamierzamy stać się łatwym łupem.

- Jeszcze nie wiecie, kim są?

- A wy?

- Żadnych działań na własną rękę, okej?

- Jesteśmy na Sunset Boulevard - rzekł Reacher. - To teren policji Los Angeles. Mówisz w ich imieniu?

- Potraktuj to jak przyjacielską radę - odparł Mauney.

- Przyjąłem.

- Andrew McBride zniknął w Vegas. Przyjechał do miasta, nigdzie się nie zameldował, nie wypożyczył samochodu, nie odleciał. Błędny trop.

Reacher skinął głową.

- Paskudna sprawa, co?

- Niejaki Anthony Matthews wynajął ciężarówkę w U-Haul.

- To ostatnie nazwisko na liście Orozca.

- Gra zbliża się do końca.

- Dokąd pojechał?

- Nie mam pojęcia. - Mauney wyciągnął z górnej kieszeni cztery wizytówki, ułożył w wachlarz i ostrożnie umieścił na stole. Z jego nazwiskiem i dwoma numerami telefonu. - Zadzwońcie do mnie. Mówię poważnie. Możecie potrzebować pomocy. Nie macie do czynienia z amatorami. Tony Swan wyglądał na niezłego twardziela. A przynajmniej to, co z niego zostało.

Mauney wrócił do pracy, a kelnerka zjawiła się pięć minut później i zawisa nad stołem. Reacher odgadł, że nikt nie ma szczególnej ochoty najedzenie, lecz każdy i tak coś zamówił. Stare przyzwyczajenie. Jedz, kiedy możesz, nie ryzykuj, że później zabraknie ci energii. Swan jadł wszędzie, w każdym czasie, właściwie przez cały czas. Podczas sekcji, ekshumacji, w miejscu popełnienia zbrodni. Reacher był niemal pewny, że Swan wsuwał kanapkę z wołowiną, kiedy znaleźli Douga - rozkładające się zwłoki mężczyzny ze szpadlem w głowie.

Nikt tego nie potwierdził.

Wszyscy milczeli. Za oknem świeciło jasne słońce. Piękny dzień. Błękitne niebo z małymi białymi chmurkami. Po bulwarze przesuwały się samochody. Klienci wchodzili i wychodzili. Dzwoniły telefony, stacjonarne w kuchni, komórkowe w kieszeniach gości. Reacher jadł metodycznie i mechanicznie, nie mając zielonego pojęcia, co jest na jego talerzu.

- Sądzicie, że powinniśmy się przeprowadzić? - zapytała Dixon. - Mauney wie, gdzie jesteśmy.

- Nie podoba mi się, że pracownik motelu nas wydał - powiedział O'Donnell. - Powinniśmy mu ukraść te cholerne piloty.

- Przeprowadzka nie jest konieczna - odparł Reacher. - Mauney nie stanowi zagrożenia. Oprócz tego chcę wiedzieć, kiedy znajdą Sancheza.

- Co robimy? - zapytała Dixon.

- Odpoczywamy - powiedział Reacher. - Wyjdziemy ponownie po zapadnięciu zmroku. Złożymy wizytę w New Age. Inwigilacja nic nie da. Pora na bardziej aktywne działania.

Zostawił na stole dziesięć dolarów dla kelnerki i zapłacił przy kasie. Wyszli na słońce i zatrzymali się na chwilę, mrużąc oczy, a następnie wrócili do Dunes.

Reacher poszedł po walizkę, a później wszyscy zebrali się w pokoju O'Donnella, aby sprawdzić skradzione glocki. Dixon wzięła dziewiętnastkę i powiedziała, że jest z niej zadowolona. O'Donnell przejrzał sześć pozostałych siedemnastek i wybrał trzy najlepsze. Dobrali do nich magazynki, aby Neagley i Reacher mogli szybko ponownie załadować broń. Dixon będzie musiała ręcznie załadować pistolet po wystrzeleniu pierwszych siedemnastu pocisków. Nic wielkiego. Jeśli nie trafisz w cel siedemnastoma pociskami, to znaczy, że nie uważałeś, a Reacher i Dixon uważali. Dixon zawsze uważała, przynajmniej kiedyś.

- Jakie zabezpieczenia mogą mieć w tym budynku? - zapytał Reacher.

- Bardzo dobre zamki - powiedziała Neagley. - Alarm antywłamaniowy w bramie. Przypuszczam, że w nocy urządzenie otwierające drzwi w recepcji jest podłączone do czujnika zbliżeniowego. W całym gmachu są pewnie czujniki ruchu. Oprócz tego być może alarm antywłamaniowy w niektórych gabinetach. Wszystkie podłączone do linii telefonicznej. Może nawet za pomocą sieci bezprzewodowej lub łącza satelitarnego.

- Kto zareaguje na sygnał?

- Bardzo dobre pytanie. Pewnie nie gliniarze. Są zbyt słabi. Przypuszczam, że pracownicy ich ochrony.

- Nie funkcjonariusze rządowi?

- To miałyby sens. Pentagon wydaje na nich mnóstwo forsy, więc powinien chcieć być w to zaangażowany. Ale wątpię, by tak się stało. Dzisiaj wiele rzeczy nie ma sensu. Władze zleciły zapewnienie bezpieczeństwa na lotniskach prywatnym firmom. Najbliższe biuro Agencji Wywiadu Obrony jest daleko stąd. Myślę, że interwencję przeprowadzi ochrona New Age niezależnie od tego, jak tajnym projektem jest Little Wing.

- Ile czasu zajmie nam otwarcie bramy?

- A kto powiedział, że będziemy chcieli to zrobić? Nie mamy kluczy, a tego zamka nie da się otworzyć zardzewiałym gwoździem. Nie sądzę, aby udało się nam otworzyć któryś z ich zamków.

- Zamkami zajmę się osobiście. Ile będziemy mieli czasu po wejściu do środka?

- Dwie minuty - powiedziała Neagley. - W takiej sytuacji nie możemy liczyć na więcej.

- Okej, wchodzimy o pierwszej nad ranem - zdecydował Reacher. - Obiad o szóstej. Odpocznijcie.

Ruszyli do swoich pokoi. Poszedł za nimi z kluczykami zdobycznego chryslera w rękę. Neagley spojrzała na niego lekko zdziwiona.

- Już go nie potrzebujemy - wyjaśnił. - Odprowadzę go, ale wcześniej zajadę do myjni. Powinniśmy zachowywać się jak kulturalni ludzie.

Reacher pojechał chryslerem na bulwar Van Nuyes, na północ od autostrady Ventura. Do miejsca, w którym obok siebie stały salony samochodowe. Sprzedawano w nich nowe i używane auta, tanie i drogie, o jarmarcznym i klasycznym wyglądzie, oprócz tego opony, felgi, preparaty do lakiem, smary. Wymieniano tłumiki i resory. Handlowano częściami zamiennymi. Były też myjnie.

Ogromny wybór. Myjnie automatyczne, bezdotykowe myjnie ręczne, warsztaty myjące podwozie parą, punkty oferujące potrójne woskowanie i kompleksowe czyszczenie wnętrza. Reacher przejechał dwa kilometry w jedną i drugą stronę. Wybrał cztery miejsca, które oferowały wszystkie usługi. Zajeżdżał do pierwszego i poprosił o pełne umycie samochodu. Gromadka facetów w kombinezonach zajęła się jego wozem. Reacher stanął w słońcu i patrzył, jak pracują. Najpierw odkurzyli wnętrze, a następnie chrysler został przeciągnięty przez szklany tunel na ruchomym stanowisku, spryskany wodą przez cały rząd dysz oraz wszelkiego rodzaju środkami czyszczącymi i płynami. Mężczyźni z gąbkami umyli karoserię, a inni, stojący na plastikowych stopniach, wytarli dach. Później auto zostało wciągnięte pod ryczącą suszarkę i wyjechało na zewnątrz, na płytę postojową, gdzie czekali inni faceci, gotowi zaatakować wnętrze aerozolami i szmatami. Wyczyścili każdy centymetr kwadratowy powierzchni, pozostawiając wóz lśniący, nieskazitelny i lekko wilgotny od resztek oleistej substancji. Reacher zapłacił, dał napiwek, wyciągnął z kieszeni rękawiczki, nałożył i odjechał.

Zatrzymał się sto metrów dalej, w drugim miejscu, które wybrał. Poprosił o pełne czyszczenie. Recepcjonista spojrzał na niego zdumiony, a następnie wzruszył ramionami i wezwał pracowników. Reacher ponownie stanął w słońcu i obserwował przedstawienie. Odkurzanie, mycie szamponem, wnętrze, aerozole i ręczniki. Zapłacił, dał napiwek, włożył rękawiczki i wrócił do motelu.

Postawił wóz w rogu parkingu, w słońcu, aby wyschnął. Później przeszedł jedną długą przecznicą na południe, w stronę Fountain Avenue. Znalazł dawną aptekę, która przekształciła się w sklep handlujący małym sprzętem gospodarstwa domowego. Wszedł do środka i wybrał cztery latarki Maglite na trzy baterie. Czarne. O solidnej budowie. Wystarczająco małe, aby można nimi było swobodnie operować, wystarczająco duże, by mogły posłużyć za maczugę. Dziewczyna przy kasie włożyła je do białej torby z napisem „I

Love LA". Trzy duże litery i czerwony symbol serca. Reacher mszył do motelu, delikatnie kołysząc torbą i wsłuchując się w cichy szelest plastiku.

Kolejny obiad u Denny'ego nie wchodził w grę. Zamówili pizzę w Domino i zjedli ją w podniszczonym holu obok pralni. Obiad popili napojami gazowanymi z hałaśliwego czerwonego automatu stojącego na zewnątrz. Idealny posiłek przed zaplanowaną akcją. Trochę pustych kalorii, trochę tłuszczu, nieco węglowodanów złożonych. Jedzenie dające energię, wystarczające na jakichś dwanaście godzin. Wiele lat temu wyjaśnił im to pewien wojskowy lekarz.

- Jakie mamy cele na dzisiejszy wieczór? - zapytał O'Donnell.

- Trzy - odpowiedział Reacher. - Po pierwsze, Dixon rozejrzy się w recepcji. Po dmgie, Neagley odnajdzie gabinet smoczycy i przetrząśnie go. Ty i ja zajrzemy do innych pomieszczeń, aby zobaczyć, co tam mają. Sto dwadzieścia sekund. Wchodzimy i wychodzimy. Po trzecie, wylegitymujemy ochroniarzy, którzy przyjadą.

- Czy później zostaniemy w okolicy?

- Ja tak - odparł Reacher. - Wy wróćcie do motelu.

Reacher poszedł do swojego pokoju, umył zęby i wziął długi gorący prysznic. Później wyciągnął się na łóżku i uciął sobie długą drzemkę. Zegar tykający w jego głowie obudził go trzydzieści minut po północy. Przeciągnął się, ponownie umył zęby i ubrał. Włożył szare dżinsowe spodnie, szarą koszulkę i czarną kurtkę przeciwdeszczową, którą zapiął pod szyję. Później mocno zawiązał buty. Kluczyki do chryslera wsunął do jednej kieszeni spodni, zapasowy magazynek glocka do drugiej. Komórka zdobyta w Vegas trafiła do jednej kieszeni koszuli, a jego własna do drugiej. Latarkę Maglite wetknął do jednej kieszeni kurtki, a glocka do drugiej. To wszystko.

Zszedł na parking dziesięć minut przed pierwszą. Pozostali już na niego czekali. Mroczne trio trzymające się z dala od światła.

- Okej - zaczął, zwracając się do O'Donnella i Neagley. - Wy pojedziecie waszymi hondami. - Po tych słowach odwrócił się do Dixon: - Karla, ty pojedziesz moim prelude. Zaparkujesz niedaleko, przodem na zachód. W środku zostawisz kluczyki. Wrócisz z Dave'em.

- Naprawdę chcesz zostawić chryslera?

- Nie potrzebujemy go.

- Pełno w nim naszych odcisków palców, włosów i komórek nabłonka.

- Już nie. Zadbala o to gromadka facetów przy Van Nuys. Chodźmy.

Tręcili się zaciśniętymi pięściami jak futboliści, wykonując stary rytuał, a następnie rozdzielili i wsiedli do samochodów. Reacher wślizgnął się do chryslera i przekręcił kluczyk w stacyjce. Ośmiocylindrowy silnik nisko zamruczał w ciemności. Usłyszał dźwięk uruchamianych hond. Mniejsze silniki krztusiły się i warczały, stare tłumiki wydawały głośne dudnienie. Wycofał i ruszył w stronę wyjazdu. W lusterku wstecznym zobaczył trzy pary jasnych niebieskich reflektorów. Na Sunset skręcił na wschód, później na południe w La Brea i jeszcze raz na wschód w Wilshire. Zobaczył, że pozostali jadą za nim cały czas. Mały zdezelowany konwój w nocnym świetle ulic.

63

Kiedy minęli Macarthur Park i wjechali na Stodziesiątkę, wielkie miasto ogarnęła cisza. Po prawej stronie rozciągało się milczące, opustoszałe centrum. Chinatown lśniło światłami, lecz na ulicach nie było żadnego ruchu. Leżący po przeciwnej stronie stadion Dodgersów był ogromny, ciemny i pusty. Później zjechali z autostrady i skręcili na wschód w boczne uliczki. Poruszanie się nimi sprawiało trudność nawet w dzień, a co dopiero w nocy. Reacher pokonał tę drogę już trzykrotnie, dwa razy jako kierowca i raz jako pasażer, więc uznał, że wie, gdzie skręcić.

Udało się bez problemu. Zwolnił trzy przecznice przed budynkiem New Age i poczekał na pozostałych. Okrążył dwa kwartały, aby sprawdzić okolicę, a następnie wykonał kolejne okrążenie, tym razem ograniczając się do jednej przecznicy. Powietrze było wilgotne. Szklany sześcian wydawał się mroczny i opuszczony. Na parkingu oświetlały piękne drzewa reflektory. Krąg światła wokół nich odbijał się od lustrzanych paneli. Nie zauważył innych świateł. Drut kolczasty na ogrodzeniu w ciemności sprawiał wrażenie szarego. Główna brama była zamknięta. Reacher minął ją i zwolnił. Opuścił szybę, wytknął rękę na zewnątrz i zatoczył krąg palcem w rękawiczce jak sędzia baseballu sygnalizujący home run. „Jeszcze jedno okrążenie”. Kiedy wykonali trzy czwarte rundy, wskazał miejsce, w którym mieli zaparkować. Najpierw Neagley, następnie O'Donnell, a za nim Dixon w srebrnym preludie. Zwolnili i zatrzymali się. Reacher przesunął ręką w poprzek szyi, dając znak, aby wyłączyli silnik i wysiedli. O'Donnell cofnął się do bramy, wrócił i powiedział:

- To bardzo duży zamek.

Reacher w dalszym ciągu siedział za kółkiem pracującego na wolnych obrotach chryslera. Okno nadal było otwarte.

- Większe szybciej odpadają.

- Zrobimy to dyskretnie?

- Niezupełnie - odpowiedział Reacher. - Do zobaczenia przy bramie.

Ruszyli przodem. Włączył bieg i zaczął jechać za nimi. Asfaltowe ulice wokół działki New Age miały szerokość siedmiu metrów typową dla nowo budowanych dzielnic biznesowych. Żadnych chodników. Byli w Los Angeles. Ponad trzy tysiące dróg i mniej niż trzysta metrów chodnika. Brama prowadząca na parking New Age znajdowała się w kolistej zatoczce głębokości sześciu metrów, aby pojazdy mogły zjechać z drogi i spokojnie poczekać na wjazd. Odległość dzieląca bramę od przeciwległego pobocza wynosiła trzynaście metrów. Maniakalny mózg Reachera powiedział mu, że to tyle samo co czternaście i dwie dziesiąte jarda, pięćset dwanaście cali lub osiem tysięcznych mili. Skręcił pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w zatoczkę, zatrzymując przedni zderzak chryslera w odległości pięciu centymetrów od bramy. Następnie cofnął, aż poczuł, że tylne opony zjechały na pobocze. Mocno zahamował, włączył bieg i opuścił wszystkie cztery szyby. Poczul ostry podmuch chłodnego nocnego powietrza. Spojrzeli na niego. Pokazał, gdzie mają stanąć. Dwóch z lewej, jeden z prawej strony bramy.

- Zaczynamy mierzyć czas - zawołał. - Dwie minuty.

Wcisnął pedał gazu, nie puszczając hamulca, aż cały samochód zaczął się trząść i kołysać. Po chwili zdjął nogę z hamulca i wcisnął gaz do dechy. Wóz wystrzelił do przodu jak rakietą. Przejechał trzynaście metrów, paląc tylne opony i wyjąc, a następnie z całej siły uderzył w bramę. Zamek odpadł, brama otworzyła się na oścież i odskoczyła do tyłu. W chryslerze eksplodowało kilka poduszek powietrznych. W kierownicy i w tablicy rozdzielczej przed fotelem pasażera, kurtyny boczne i poduszki z tyłu. Reacher był na to przygotowany. Prowadził jedną ręką, drugą zasłaniając twarz. Bez problemu zatrzymał poduszkę kierowcy łokciem. Cztery otwarte okna złagodziły wstrząs wywołany uderzeniem i uratowały bębunki w uszach, mimo to czuł się oszołomiony. To tak jakby do człowieka siedzącego w samochodzie ktoś wystrzelił z magnum.44. Na frontowej ścianie budynku zaczęło niespokojnie migotać niebieskie światło stroboskopowe. Nawet gdyby towarzyszyła mu syrena, nie usłyszałby jej.

Zaparł się nogami. Wóz zatrzymał się na ułamek sekundy pod wpływem zderzenia z bramą, a następnie odzyskał prędkość, pozostawiając ślady opon na parkingu. Reacher wyprostował kierownicę i spojrzął za siebie. Tamci pędzili za nim. Popatrzył do przodu, położył obie ręce na kierownicy i ruszył w kierunku drzwi recepcji.

Gdy do nich dotarł, chrysler pędził z prędkością około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Przednie koła uderzyły w niski stopień. Samochód uniósł się i przeleciał przez drzwi

trzydzieści centymetrów nad ziemią. Szyba pękła, a framuga oderwała się od ściany. Wóz jechał dalej bez większych przeszkód. Opadł na posadzkę z zablokowanymi hamulcami i przesunął się do przodu, całkowicie niszcząc kontuar recepcji, zwalając mur tuż za nim i stając zagrzebany w gruz po przednią szybę z fragmentami kontuaru w środku.

Dixon będzie miała trudne zadanie, pomyślał.

Ułamek sekundy później przestał o tym myśleć, odpiął pasy i wyważył drzwi. Wypadł na posadzkę holu i odczołgał się na bok. Wokół błyskały małe światełka stroboskopowe. Zaczął odzyskiwać słuch. Do jego uszu doleciało głośnie wycie syreny. Skoczył na równe nogi i ujrzał, jak pozostali przeciskają się przez gruz leżący w wejściu i wpadają do środka.

Dixon biegła w kierunku tylnej części holu. O'Donnell i Neagley w stronę korytarza, z którego dwa razy wyłoniła się smoczyca. Mieli włączone latarki. Jasne stożki światła przeczesywały teren, kołysząc się przed nimi w obłokach białego pyłu. Wyciągnął własną i ruszył ich śladem. Minęło dwadzieścia sekund, pomyślał.

W połowie korytarza dostrzegł dwie windy. Przyciski na panelu wskazywały, że budynek miał dwa piętra. Nie nacisnął żadnego. Uznał, że system alarmowy zablokował kabiny. Otworzył na oścież sąsiednie drzwi i wypadł na schody. Dźwięk syreny był nie do zniesienia. Wbiegł na drugie piętro, przeskakując po dwa stopnie. Skoczył na korytarz. Nie potrzebował latarki. Stroboskopowe lampy urządzeń alarmowych oświetlały pomieszczenie niczym piekielną dyskotekę. Po obu stronach korytarza znajdował się rząd klonowych drzwi oddalonych sześć metrów od siebie. Gabinety. Na drzwiach dostrzegł tabliczki z nazwiskami. Długie czarne plastikowe prostokąty z wrytymi białymi literami. Spostrzegł Neagley zajętą wyważaniem drzwi z tabliczką „Margaret Berenson”. Światło stroboskopowe alarmu zamrażało ruch, powodując, że jej gesty wydawały się urywane i groteskowe. Drzwi się nie poddawały. Wyciągnęła glocka i trzykrotnie strzeliła w zamek. Trzy głośnie eksplozje. Mosiężne łuski wyleciały z komory i potoczyły się po dywanie, tworząc długi złoty łańcuch w świetle stroboskopowym. Neagley ponownie kopnęła drzwi i wpadła do środka.

Reacher pobiegł dalej. Minęły pięćdziesiąt dwie sekundy, pomyślał.

Przebiegł obok drzwi z tabliczką „Allen Lamaison”. Sześć metrów dalej ujrzał kolejne z tabliczką „Aniony Swan”. Oparł się o przeciwległą ścianę, wykonał półobrót i silnie kopnął drzwi ponad zamkiem. Drewno klonu pękło, drzwi zapadły się do środka, lecz zamek nie ustąpił. Dopelniał dzieła mocnym uderzeniem ręki i runął do środka.

Minęło sześćdziesiąt sekund, przypomniał samemu sobie.

Stanął nieruchomo, przeczesując światłem latarki gabinet zmarłego przyjaciela. Gabinet pozostał nietknięty. Tak jakby Swan wyszedł na chwilę do łazienki lub udał się na

lunch. Na wieszaku na kapelusze wisiała kurtka. Przeciwdeszczowa, barwy khaki. Stara, zużyta, w szkocką kratę jak kurtka golfowa. Krótka i szeroka. Dostrzegł szafki z dokumentami. Telefony. Skórzany fotel powygniatany przez ciało ciężkiego mężczyzny, który w nim siadywał. Dostrzegł komputer stojący na biurku. Nowy czysty notatnik. Długopisy i ołówki. Zszywacz. Zegar. Niewielką stertę papierów.

I przycisk do papieru, który je przytrzymał. Kawał betonu z muru berlińskiego o nieregularnym kształcie, wielkości pięści. Szary i wypolerowany od dotyku trzymających go dłoni. Jedna równa powierzchnia nosiła wyblakłe ślady niebieskich i czerwonych linii graffiti.

Reacher podszedł do biurka i wsunął do kieszeni bryłę betonu. Zgarnął stos papierów, zwinął je i wcisnął do drugiej kieszeni. Nagle poczuł coś miękkiego pod stopami. Skierował snop latarki na podłogę. Żywe czerwone barwy. Misterny wzór. Gruby włos. Wschodni dywan. Nowy. Przypominał sobie sznur, którym związano nadgarstki i kostki Orozca, i słowa Curtisa Mauneya: Został wykonany z sizalu, przypuszczalnie w Indiach. Musiał przybyć do Ameryki wraz z towarem, który sprowadzono.

Minęło osiemdziesiąt dziewięć sekund, pomyślał. Zostało jeszcze trzydzieści.

Podszedł do okna. Karla Dixon właśnie opuszczała parking. Jej spodnie i kurtka były pokryte białym pyłem. Przypominała ducha. Od czołgania się w pyle rozbitych płyt, pomyślał. Niosła jakieś papiery i biały kołonotatnik. Oświetlało ją urywane mruganie stroboskopowych reflektorów przed wejściem do budynku.

Zostało dwadzieścia sześć sekund.

Ujrzał w dole biegnącego O'Donnella, jakby uciekał z płonącego domu, sadzącego długimi susami, trzymającego coś przyciśniętego do piersi. Sekundę później przemknęła Neagley. Szybko, z rozwianymi czarnymi włosami. Silnie pracowała rękami, trzymając w każdej dłoni zielone teczki.

Dziewiętnaście sekund.

Przemierzył pokój i dotknął kurtki na wieszaku. Delikatnie poklepał ją po ramieniu jakby nadal była na Swanie. Później stanął za biurkiem i usiadł w fotelu. Usłyszał jego skrzypnięcie mimo wycia syren.

Dwanaście sekund.

Spojrzał na światła obłąkańczo migające w korytarzu i pomyślał, że mógłby po prostu poczekać. Wcześniej czy później, być może za niecałą minutę, zjawią się ludzie, którzy zamordowali jego przyjaciół. Dopóki ich liczba nie przekroczy trzydziestu czterech, mógłby tak sobie siedzieć i zdejmować jednego po drugim.

Pięć sekund.

Oczywiście nie było to możliwe. Po sprzątnięciu trzech lub czterech pozostali przegrupowaliby się w korytarzu i zaczęli myśleć o użyciu gazu łzawiącego, wezwaniu posiłków i włożeniu kamizelek kuloodpornych. Może nawet zdecydowaliby się na wezwanie glin lub FBI. Reacher wiedział, że nie mógłby zlikwidować tych, których trzeba, bez oblężenia trwającego trzy lub cztery dni, podczas którego musiałby stawić czoło kilku drużynom SWAT.

Jedna sekunda.

Zerwał się z fotela i skoczył przez rozbite drzwi. Na korytarzu skręcił w lewo, by po chwili znaleźć się na schodach. Neagley otworzyła mu drzwi. Na pierwszym piętrze znalazł się dziesięć sekund po czasie. Minał chryslera stojącego nieruchomo w holu i dotarł na parking z piętnastosekundowym spóźnieniem. W rozerwanej bramie miał czterdzieści sekund spóźnienia. Zaczął biec w kierunku słabego odbłasku srebrnego preluda. Wóz stał w odległości stu metrów od niego, daleki, niepozorny i samotny. Dwie pozostałe hondy już odjechały. Pokonał setkę w dwadzieścia sekund i skulił się we wnętrzu samochodu. Zatrzasnął drzwi. Ciężko oddychał przez otwarte usta. Odwrócił głowę i ujrzał kilka świateł w oddali. Samochody szybko jechały, kołysząc się na zakrętach i pochylając w przód z powodu gwałtownego hamowania.

64

W sumie trzy wozy. Nadjechały z dużą prędkością i stanęły na drodze w pobliżu uszkodzonej bramy. Zamarły nieruchomo, ustawione pod przypadkowym kątem, z pracującymi silnikami i światłem reflektorów przeszywającym nocną mgłę. Nowe chryslery 300C. Ciemnoniebieskie. Podobne do tego, który stał zaparkowany w holu New Age.

Z samochodów wysiadło pięciu facetów. Dwóch z pierwszego, jeden z drugiego i dwóch z trzeciego. Reacher był w odległości stu metrów od nich, obserwował, co się dzieje przez przyciemnioną szybę, zza rogu ogrodzenia New Age. Światła trzeciego wozu oślepiły go, powodując, że nie widział szczegółów. Gość, który przyjechał drugim samochodem, miał na sobie krótką kurtkę przeciwdeszczową wyglądającą na czarną. Pod spodem nosił biały T-shirt. Oglądał wyłamaną bramę, dając znak pozostałym, aby się nie zbliżali. Jakby brama stanowiła jakieś zagrożenie.

Były gliniarz, pomyślał Reacher. Instynktownie nie chce zatrzeć śladów w miejscu popełnienia przestępstwa.

Cała piątka utworzyła następnie zwarty szyk w kształcie grotu strzały. Facet w kurtce przeciwdeszczowej stanął najbliżej rumowiska. Ruszyli do przodu, powoli i ostrożnie, krok za

krokiem, na ugiętych nogach, z głowami pochylonymi do przodu, jakby byli zdumieni tym, co widzą. Nagle zatrzymali się i szybko wycofali za samochody. Silniki zamilkły, światła zgasły i wokół zapanował mrok.

Nie są głupi, pomyślał Reacher. Boją się zasadzki. Myślą, że nadal jesteśmy w środku.

Obserwował tamtych, dopóki jego oczy nie przywykły do ciemności. Wyjął komórkę, którą zdobył w Vegas i zaczął przeglądać menu, aż odnalazł ostatnio wybrany numer. Wcisnął klawisz i przyłożył aparat do ucha, obserwując, który z nich zareaguje.

Stawiał na gościa w kurtce przeciwdeszczowej.

Błąd.

Żaden się nie poruszył. Żaden nie wyciągnął z kieszeni komórki i nie sprawdził, kto dzwoni. Żaden nawet nie drgnął. Po jakimś czasie usłyszał sygnał poczty głosowej. Rozłączył się. Ponownie wybrał numer i ponownie nie zaobserwował żadnej reakcji. Żadnemu nie drgnął ani jeden mięsień. To niemożliwe, aby dyrektor ochrony wyruszył na pilną interwencję bez włączonej komórki. Żaden z tej piątki nie był szefem. Nie był nim gość w przeciwdeszczowej kurtce. W najlepszym razie zajmował trzecie miejsce w hierarchii, zaraz po Swanie. Był wolny i ociążały. Nie miał instynktownego zmysłu taktyki. Na jego miejscu byle półgłówki wykombinowałyby, co robić. Mały sześcienne biurowiec, w środku uzbrojeni napastnicy, do dyspozycji trzy solidne samochody. Dawno temu powinien był rozwiązać problem. Wszystkie wozy szybko wpadają do środka i rozjeżdżają się w różne strony. Okrążają budynek. Otwierają ogień. Dwóch gości z tyłu, dwóch z przodu i po kłopotcie.

Cywile, pomyślał Reacher.

Czekał.

W końcu facet w kurtce przeciwdeszczowej podjął właściwą decyzję. Wyjątkowo długo nad tym myślał. Kazał się wycofać swoim ludziom. Ci rozpędzili się i wjechali na parking z dużą prędkością. Reacher obserwował, jak okrążają budynek kilka razy, a następnie uruchomił silnik i ruszył na zachód.

Jechał bocznymi uliczkami, unikając autostrad. Zauważył, że tej nocy roило się na nich od gliniarzy, których nie widział nigdzie indziej. Uznał, że woli być przesadnie ostrożny. Zgubił drogę w pobliżu stadionu Dodgersów i zatoczył krąg bez celu, mijając Akademię Policyjną w Los Angeles. Zatrzymał się obok Echo Park i zadzwonił do pozostałych. Byli prawie w domu, sunęli na zachód z umiarkowaną prędkością jak bombowce powracające z nocnego rajdu.

Przegrupowali się w pokoju O'Donnella o trzeciej nad ranem. Posegregowali zdobyte dokumenty w trzy schludne sterty. Reacher wyciągnął z kieszeni rzeczy Swana i ułożył je obok. Nic szczególnie interesującego. Głównie notatki informujące o konieczności zatrudnienia personelu administracyjnego w nadgodzinach. I pisma uzasadniające nadgodziny, które już zostały przepracowane.

Równie mało interesujący był łup O'Donnella, chociaż w sensie negatywnym można go było uznać za pouczający. Z dokumentów wynikało, że szklany biurowiec pełnił funkcję centrum administracyjnego. Nie miał większych zabezpieczeń, ponieważ znajdowało się w nim niewiele rzeczy, które warto byłoby ukraść. Wykonywano tam drugorzędne prace projektowe i zbierano informacje, jednak najwięcej metrów kwadratowych zajmowali menedżerowie. Kadry, dział finansowy, logistyczny, techniczny i administracyjny. Nic istotnego.

Tym ważniejsze było znalezienie fabryki.

Pomogły im w tym dokumenty zdobyte przez Dixon. Dixon przetrząsnęła gruz zalegający recepcję, wczołgała się pod rozbitego chryslera i pięćdziesiąt sekund później wynurzyła z czymś, co było na wagę złota. W zamkniętej szufladzie znalazła spis telefonów wewnętrznych New Age, który leżał teraz na łóżku O'Donnella. Gruby plik luźnych kartek wpiętych do białego kołonotatnika. Na okładce widniało logo New Age Defense Systems. Większość kartek zawierała nazwiska, które nic im nie mówiły. Obok wypisano czterocyfrowe numery wewnętrzne. Na jednej z pierwszych stron odkryli schemat blokowy z oddziałami firmy. W kwadratach połączonych liniami tworzącymi sieć hierarchicznych powiązań widniały nazwiska. Dyrektor ochrony nazywał się Allen Lamaison. Figurą numer dwa był Tony Swan. Pod Swanem znajdowało się dwóch innych, a poniżej pięciu kolejnych. Jednym z nich był Saropian. Facet, który leżał martwy w fundamentach hotelu w Vegas. Martwy jak Tony Swan. W sumie dziewięciu. Dwóch nie żyło. Pozostało siedmiu.

- Przewróć na koniec - powiedziała Dixon.

Na ostatniej kartce widniały numery FedEx, UPS i DHL. I pełne adresy oraz numery stacjonarnych telefonów dwóch oddziałów dla firmy kurierskiej. Adres szklanego biurowca we wschodnim Los Angeles oraz biura podwykonawcy w Kolorado.

Na koniec, o dziwo, trzeci adres z wydrukowaną tłustym drukiem i podkreśloną adnotacją: „Nie kierować przesyłek na ten adres”.

Trzeci adres wskazywał miejsce, w którym prowadzili działalność produkcyjną.

Fabryka znajdowała się w Highland Park, w połowie drogi pomiędzy Glendale i South Pasadena. Dziesięć kilometrów na północny wschód od centrum, piętnaście kilometrów na wschód od miejsca, w którym mieszkali.

Wystarczająco blisko, aby złożyć wizytę.

- Przejdź do przodu - poleciła Dixon.

Reacher przewrócił kilka kartek. Cała część z numerami wewnętrznymi oddziału produkcyjnego.

- Sprawdź pod „P” - zasugerowała Dixon.

Litera „P” rozpoczynała się od faceta o nazwisku „Pascoe” i kończyła na nazwisku innego, który nazywał się „Purcell”. W połowie listy znaleźli „Biuro pilota”.

- Mamy helikopter - oznajmiła Dixon.

Reacher skinął głową, a po chwili jego twarz rozjaśnił uśmiech. Przypomnił sobie, jak Dixon wbiega do środka z latarką i pięćdziesiąt sekund później wybiega z budynku pokryta pyłem. Jego stary zespół. Mógłby ich wysłać do Atlanty, a wróciliby z recepturą produkcji coca-coli.

Neagley znalazła teczki personalne wszystkich pracowników ochrony. Dziewięć zielonych teczek. Jedna należała do Saropiana, jedna do Tony’ego Swana. Reacher je pomiął. Po co miałby do nich zaglądać? Zaczął od najważniejszego - Allena Lamaisona. Do wewnętrznej strony pierwszej kartki przyczepiono zdjęcie wykonane polaroidem. Lamaison był krępy facetem o grubym karku, z ciemnymi pozbawionymi wyrazu oczami i ustami, które wydawały się zbyt małe w stosunku do szczęki. Na następnej kartce znajdowały się dane osobowe, informujące, że gość odsłużył dwadzieścia lat w policji Los Angeles, w tym ostatnich dwanaście w wydziale kradzieży i zabójstw. Miał czterdzieści dziewięć lat.

Po nim byli dwaj inni zajmujący równorzędne trzecie miejsce w hierarchii. Pierwszy nazywał się Lennox. Czterdzieści jeden lat. Były glina. Krótkie siwe włosy. Masywna budowa ciała. Nalana czerwona twarz.

Drugim był facet w kurtce przeciwdeszczowej. Parker. Czterdzieści dwa lata, były glina z Los Angeles. Wysoki, szczupły, o bladej, zaciętej twarzy, którą zniekształcał złamany nos.

- Wszyscy są byłymi gliniarzami z Los Angeles - rzekła Neagley. - Z danych wynika, że wszyscy odeszli mniej więcej w tym samym czasie.

- Po jakimś skandalu?

- Skandale są zawsze. Statystycznie rzecz biorąc, trudno odejść z policji w okresie, który byłby ich pozbawiony.

- Czy twój człowiek w Chicago może zdobyć historię ich zatrudnienia?

Neagley wzruszyła ramionami.

- Możemy się włamać do ich komputera. Oprócz tego znam tam kilku ludzi. Mogę popytać.

- Co leżało na podłodze w gabinecie Berenson?

- Nowy wschodni dywan. Perski, niemal na pewno podróbka z Pakistanu.

Reacher skinął głową.

- W gabinecie Swana jest podobny. Muszą być we wszystkich pokojach członków zarządu.

Neagley wyciągnęła komórkę i nagrała się na pocztę głosową swojego asystenta w Chicago. Reacher odłożył teczkę Parkera i sprawdził fotografie czterech pozostałych ochroniarzy. Następnie zamknął tecki i starannie złożył, umieszczając na górze teczkę Parkera, jakby chciał ich zaliczyć do określonej kategorii.

- Dziś w nocy widziałem tych pięciu - powiedział.

- Jacy są? - zapytał O'Donnell.

- Kiepscy. Wolni i głupi.

- Gdzie byli dwaj pozostali?

- Pewnie w Highland Park. Tam gdzie jest towar. O'Donnell przesunął w jego stronę pięć oddzielnych teczek i zapytał:

- Jak mogliśmy stracić czterech ludzi w starciu z tak ofermowatymi gliniarzami?

- Nie mam pojęcia - odparł Reacher.

65

W końcu, tak jak przeczuwał, otworzył teczkę z danymi osobowymi Tony'ego Swana. Zatrzymał się na fotografii zrobionej polaroidem. Zdjęcie miało rok i daleko mu było do fotografii studyjnej, chociaż było znacznie wyraźniejsze od zdjęcia, które otrzymał od Curtisa Mauneya. Chociaż Swan odszedł z armii dziesięć lat temu, miał włosy krótsze niż wtedy. Wśród rekrutów panowała moda na golenie głowy, lecz oficerowie jej nie ulegali. Swan miał zwyczajną fryzurę z przedziałkiem. Wraz z upływem czasu włosy się przerzedziły i zmienił uczesanie na krótkiego jeża. Kiedyś jego włosy miały kasztanowobrazową barwę, teraz były przyprószone siwizną. Reacher zauważył wory pod oczami oraz fałdy tłuszczu i mięśni w okolicy szczęki. Kark wydawał się jeszcze szerszy niż kiedyś. Reacher był zdumiony, że ktoś produkuje koszulki z takim kołnierzykiem. Wielkości opony samochodowej.

- Co teraz? - zapytała Dixon, przerywając milczenie. Reacher wiedział, że w rzeczywistości nie było to pytanie. Chciała, aby przestał czytać. Pragnęła oszczędzić mu cierpienia. Zamknął teczkę i rzucił ją na łóżko z dala od innych, jakby należała do innej kategorii. Swan zasługiwał na lepszy los od przebywania w towarzystwie dawnych kolegów, nawet na papierze.

- Musimy ustalić, kto wiedział i kto leciał - odpowiedział Reacher. - Pozostali będą mogli pożyć trochę dłużej.- Kiedy to ustalimy?

- Dzisiaj. Ty i Dave rozejrzycie się w Highland Park. Neagley i ja wrócimy do wschodniego Los Angeles. Za godzinę. Odpocznij i sprawnij się na medal.

Reacher i Neagley opuścili motel o piątej rano. Pojechali dwiema hondami, jedną ręką prowadząc, drugą trzymając telefon i rozmawiając, jak ludzie dojeżdżający do pracy. Reacher powiedział, że jego zdaniem po telefonie alarmowym Lamaison i Lennox pojechali prosto do Highland Park. Standardowa procedura. Highland Park miało znacznie większe znaczenie. Atak na biuro we wschodnim Los Angeles mógł być pozorowany. Po nocy pozbawionej dodatkowych atrakcji obawy opadną i o świcie ci dwaj wyruszą na miejsce prawdziwego przestępstwa. Uznają, że szklany biurowiec nie nadaje się do użytku i dadzą wszystkim dzień wolny. Wszystkim oprócz szefów działów, którzy zostaną wezwani w celu oszacowania strat i stwierdzenia, co zginęło.

Neagley przyznała mu rację. Bez pytania zrozumiała, jaka jest następna część planu. Między innymi dlatego Reacher tak ją lubił.

Zaparkowali w odległości stu metrów od siebie, na różnych ulicach, tak aby nie rzucać się w oczy. Słońce podniosło się nad horyzontem i wstał szary świt. Reacher zaparkował pięćdziesiąt metrów do budynku New Age i widział słabe odbicie swojego samochodu w szklanych panelach. Małego, dalekiego i anonimowego. Jednego z setek, które stały w pobliżu. W okolicy zniszczonej recepcji zauważył ciężarówkę z platformą. Stalowa lina sięgała do środka, w mrok. Parker nadal tam był w swojej kurtce przeciwdeszczowej. Kierował operacją. Miał do pomocy jednego ochroniarza. Reacher odgadł, że trzej pozostali zostali odesłani do Highland Park, aby wspomóc Lamaisona i Lennox.

Lina ciężarówki z platformą szarpnęła i naprężyła się, jakby coś ciągnęła. Po chwili z holu wyłonił się tył ciemnoniebieskiego chryslera. Znacznie wolniej, niż do niego wjechał. Miał zarysowaną karoserię i uszkodzony przód. Przednia szyba pękła i lekko zapadła się do środka. W sumie samochód był w całkiem niezłym stanie. Delikatny i słaby jak młotek. Gdy

wóz stanął na platformie, kierowca unieruchomił jego koła i odjechał. Kiedy tylko zniknął, do środka wjechał inny bliźniaczo podobny, choć nieuszkodzony wóz. Następny ciemnoniebieski chrysler 300C. Szybki i pewny. Zatrzymał się na podjeździe. Ze środka wysiadł Allen Lamaison i obejrzał rozwaloną bramę.

Reacher rozpoznał go natychmiast na podstawie zdjęcia z jego teczki. Na pierwszy rzut oka facet miał jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył ze sto dwadzieścia kilogramów. Szeroki w ramionach, wąski w biodrach. Patykowate nogi. Wyglądał na szybkiego i zwinnego. Miał na sobie szary garnitur z białą koszulą i czerwonym krawatem. Jedną ręką przyciskał krawat do piersi, chociaż nie było wiatru. Rzucił okiem na bramę, wsiadł do samochodu i pojechał na parking. Zaparkował niedaleko rozbitych drzwi. Kiedy wysiadł, podszedł do niego Parker. Zaczęli rozmawiać.

Na wszelki wypadek Reacher wyciągnął komórkę znaną w Vegas i wybrał numer. W odległości pięćdziesięciu metrów od niego dłoń Lamaisona powędrowała do kieszeni i wyłoniła się ponownie z telefonem. Spojrzał na ekran i zamarł.

Mam cię, pomyślał Reacher.

Nie oczekiwał, że odbierze, a jednak Lamaison to zrobił. Otworzył klapkę, przysunął aparat do ucha i powiedział:

- Czego?

- Jaki miałeś dzień? - zapytał Reacher.

- Dopiero się zaczął.

- A noc?

- Zabiję cię.

- Wielu próbowało - odparł Reacher. - Nadal żyję, a oni nie.

- Gdzie jesteś?

- Wyjechałem z miasta. Tak jest bezpieczniej. Ale wrócę. Może za tydzień, może za miesiąc lub za rok. Na twoim miejscu przywykłym do oglądania się za siebie. Będiesz musiał często to robić.

- Nie boję się ciebie.

- W takim razie jesteś głupcem - odpowiedział Reacher i rozłączył się. Widział, jak Lamaison gapi się w telefon, a następnie wybiera jakiś numer. Nie oddzwonił do niego. Reacher czekał, lecz jego aparat pozostał głuchy. A Lamaison zaczął gadać, najwyraźniej z kimś innym.

Po dziesięciu minutach pojawił się Lennox w kolejnym ciemnoniebieskim 300C. Czarny garnitur, siwe, krótko przycięte włosy. Krępy, o nalanej czerwonej twarzy. Numer trzy. Podwładny Swana. Kolega Parkera. Wyłonił się, niosąc kartonową tacę z kubkami kawy, i zniknął w środku. Pięć minut po nim zjawiała się Margaret Berenson. Smoczyca. Szefowa kadr. Była siódma rano. Przyjechała srebrną toyotą średniej wielkości. Skręciła w prawo, przejechała przez plac i zaparkowała zgrabnie tuż przed drzwiami. Ostrożnie weszła do środka, obchodząc rumowisko. Po chwili wyszedł Lamaison i wysłał ochroniarza do bramy, aby pełnił obowiązki wartownika. Parker stanął w drzwiach, tworząc drugą linię obrony. Później przyjechali dwaj kolejni menedżerowie. Pewnie dyrektor finansowy i techniczny, pomyślał Reacher. Wartownik pomachał im na powitanie w wyrwie, jaka pozostała po bramie, a Parker uklonił się w drzwiach. Na koniec przybył jakiś dyrektor. Starszy gość. W jaguarze. Strażnik skinął mu głową z szacunkiem. Parker stanął na baczność. Starszy jegomość pogadał z Parkerem przez szybę i odjechał. Najwyraźniej był zwolennikiem dawania podwładnym dużej swobody działania.

Później zapadła trwająca dwie godziny cisza.

Mniej więcej w połowie tego czasu Dixon odezwała się z Highland Park. Ona i O'Donnell byli na posterunku od szóstej rano. Widzieli trzech ochroniarzy. Obserwowali, jak odjeżdża Lamaison i Lennox. Widzieli, jak przychodzą pracownicy. Cały czas we dwójkę krążyli wokół fabryki w promieniu dwóch przecznic, aby mieć pełniejszy obraz.

- To prawdziwa twierdza - oceniła Dixon. - Kilka budynków. Porządne ogrodzenie. Doskonała ochrona. Z tyłu jest lądowisko dla helikopterów. Jeden nawet tam stoi. Białe belki dwieście dwadzieścia dwa.

O dziesiątej trzydzieści wyszła smoczyca. Ostrożnie przedarła się przez zgliszcza i zatrzymała na płytkim stopniu na zewnątrz recepcji, aby po chwili ruszyć do swojej toyoty. Zadzwoił telefon Reachera. Aparat na kartę, który kupili Radio Shack, a nie telefon gościa z Vegas. Dzwoniła Neagley.

- Jedziemy razem? - zapytała.

- Absolutnie - odparł Reacher. - Ty zaraz za nią, ja za tobą. Pora zacząć rock and rolla.

Naciągnął rękawiczki i uruchomił swoją hondę w tym samym momencie, w którym Berenson uruchomiła toyotę. Ponieważ wjeżdżając na parking, skręciła w prawo, wyjeżdżając skręci w lewo. Reacher ruszył z pobocza, przejechał dwadzieścia metrów i zawrócił przy następnej ulicy. Długie siedzenie w samochodzie sprawiło, że zeszytniał. Przejechał wolno

obok ogrodzenia New Age. Berenson ruszyła przez parking. Przecnicę dalej zobaczył hondę Neagley. Sunęła wolno, ciągnąc za sobą obłok białej pary. Berenson dotarła do bramy i przejechała przez nią, nie zatrzymując pojazdu. Skręciła w lewo. Neagley wykonała równoległy zwrot i ruszyła dwadzieścia metrów za nią. Reacher zwolnił, odczekał chwilę i też zawrócił. Jakies siedemdziesiąt metrów za Neagley i dziewięćdziesiąt za Berenson.

66

Prelude miało niskie zawieszenie, więc Reacher nie siedział pod najwygodniejszym kątem, jednak przez większość czasu całkiem dobrze widział srebrną toyotę. Berenson jechała znacznie poniżej maksymalnej prędkości. Może miała jakieś punkty karne albo coś nie dawało jej spokoju. A może ślady po zderzeniu widniejące na ciemnoniebieskim chryslerze zapisały się w jej pamięci wyraźniej niż blizny na twarzy. Skręciła w prawo w Huntington Drive, która według Reachera stanowiła odcinek dawnej drogi sześćdziesiąt sześć. Jechała na północny wschód. Reacher zaczął podśpiewywać pod nosem, że niebawem się zabawi. Nagle przyhamował. Berenson zaczęła zwalniać i włączyła kierunkowskaz. Zamierzała skręcić w lewo. Jechała do South Pasadena.

Zadzwoił telefon. Neagley.

- Jadę za nią zbyt długo - powiedziała. - Na następnym skrzyżowaniu robię trzy skrety w prawo. Przesuń się bliżej.

Przyspieszył, nie rozłączając się. Berenson skręciła w Van Home Avenue. Wykonał skręt pięćdziesiąt metrów za nią. Nie widział jej samochodu. Droga była kręta. Przyspieszył ponownie, pokonał ostatni zakręt i zwolnił, widząc ją w odległości około czterdziestu metrów przed sobą. W lusterku wstecznym dostrzegł samochód Neagley.

Monterey Hills przeszło w South Pasadena, a po przekroczeniu granicy dzielącej oba miasta droga zmieniła nazwę na Via Del Rey. Ładna nazwa i ładne miejsce. Kalifornijskie marzenie. Niskie wzgórza, kręte uliczki, drzewa, wieczna wiosna, wieczne kwiaty. Reacher wychował się w ponurych bazach wojskowych w Europie i na obszarze Pacyfiku, dostając od ludzi książki ze zdjęciami pokazującymi, jak wygląda dom. Na większości wyglądał dokładnie jak w South Pasadena.

Berenson wykonała skręt w lewo, a następnie w prawo, by wjechać w spokojną uliczkę bez wylotu prowadzącą do dzielnicy mieszkalnej. Reacher dostrzegł małe domy wygrzewające się w porannym słońcu. Przyhamował. Może stuknięta honda nie rzucała się w oczy w Los Angeles, lecz nie na takiej ulicy jak ta. Zatrzymał się trzydzieści metrów dalej. Neagley zaparkowała tuż za nim.

- Teraz? - zapytała przez telefon.

Istnieją dwa sposoby złożenia wizyty komuś wracającemu z roboty. Można pozwolić mu się ogarnąć, a następnie podsunąć przekonujący powód, dla którego powinien nas wpuścić, lub pójść tuż za nim i wtargnąć do środka, gdy nadal trzyma w ręku klucze lub stoi w otwartych drzwiach.

- Teraz - odpowiedział Reacher.

Wysiedli, zamknęli drzwi i zaczęli biec. Bezpieczna sprawa. Samotny biegnący mężczyzna mógł wzbudzić podejrzenia. Rzadko wzbudzała je samotna kobieta. Mężczyzna i kobieta biegnący wspólnie byli zwykle brani za kompanów lub parę, która wyszła poćwiczyć.

Skręcili w ulicę, lecz w pierwszej chwili niczego nie zauważyli. Droga wspinała się w górę, a następnie opadała. Wbiegli na wzniesienie i ujrzeli otwierające się drzwi garażu obok domu po prawej stronie, w jednej trzeciej długości ulicy. Srebrna toyota Berenson stała na asfaltowym podjeździe. Dom był mały i schludny. Z ceglana fasadą. Starannie pomalowany. Na wysypanym kamieniami i żwirem podwórku rosło wiele różnokolorowych kwiatów. Nad drzwiami garażu spostrzegli obręcz do koszykówki. Uniesione drzwi wpuszczały do środka dość światła, aby mogli dostrzec dziecięce zabawki oparte o wewnętrzną ścianę. Rower, deskorolkę, kij baseballowy małej ligi, ochraniacze na kolana, kaski i rękawice.

Tylne światła toyoty zgasły i samochód wjechał do środka. Neagley ruszyła sprintem. Była znacznie szybsza od Reachera. Dopadła garażu, gdy drzwi zaczęły się zamykać. Reacher przybiegł dziesięć sekund po niej i zablokował stopą mechanizm bezpieczeństwa. Począł, aż drzwi podniosą się na wysokość pasa, schylił się i wszedł do środka.

Margaret Berenson zdążyła wysiąść z samochodu. Neagley trzymała ją jedną ręką za włosy, drugą krepując nadgarstki za plecami. Berenson stawiała umiarkowany opór. Przestała, gdy Neagley pochyliła jej głowę, dwukrotnie uderzając nią o maskę toyoty. Berenson opadła bezwładnie i zaczęła krzyczeć. Przestała sekundę później, gdy Neagley wyprostowała ją i odwróciła w stronę Reachera, a ten zadał jej cios w splot słoneczny. Delikatnie, tak by spuścić powietrze z płuc.

Reacher cofnął się o krok, nacisnął przycisk i drzwi zaczęły ponownie opadać.

Z sufitu zwisała słaba żarówka i gdy promienie słońca zniknęły, zastąpiło je przyćmione żółte światło. Po prawej stronie, w tylnej ścianie garażu, spostrzegł drzwi prowadzące na zewnątrz i drugie, do wnętrza domu. Obok dostrzegł panel z przyciskami alarmu.

- Jest włączony? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała Berenson bez tchu.

- Nie - zaprzeczyła Neagley. Wskazała głową rower i deskorolkę. - Dzieciak musi mieć jakieś dwanaście lat. Dziś rano mama wyszła wcześniej niż zwykle. Dzieciak musiał sam wsiąść do szkolnego autobusu. Inaczej niż zwykle. Włączanie alarmu nie należy do jego codziennych obowiązków.

- Może włączył go ojciec.

- Ojciec odszedł dawno temu. Mama nie nosi obrączki.

- Przyjaciół?

- Chyba żartujesz.

Reacher nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Wyciągnął kluczyki ze stacyjki toyoty, przejrzał je i znalazł właściwy. Włożył go do zamka i przekręcił. Drzwi się otworzyły. Po trzydziestu sekundach rozległ się sygnał alarmowy, nie błyskały żadne światła ani nie wyły syreny.

- Często pani kłamie, Berenson - zauważył. Nie odpowiedziała.

- Pracuje w kadrach. Na tym polega jej praca - rzuciła Neagley.

Reacher przytrzymał drzwi, a Neagley poprowadziła Berenson przez pralnię do kuchni. Dom powstał w epoce, gdy firmy deweloperskie nie budowały jeszcze kuchni wielkości hangaru lotniczego. Małe kwadratowe pomieszczenie wypełniały szafki i urządzenia, które były nowoczesne kilka lat temu. Na środku stał stół i dwa krzesła. Neagley posadziła Berenson na jednym z nich. Reacher poszedł do garażu i po chwili wrócił z w połowie zużytą taśmą izolacyjną. W rękawiczkach nie mógł jej rozwinąć, więc wrócił do kuchni i wyciągnął nóż z klonowego stojaka. Mocno przywiązał Berenson do krzesła. Tułów, ramiona i nogi. Szybko i sprawnie.

- Służyliśmy w armii - powiedział. - Już o tym wspominałem, prawda? Kiedy potrzebujemy informacji, najpierw zawijamy do pracowników firmy. Pani jest jednym z nich. Proszę zacząć mówić.

- Zwariowaliście - odparła Berenson.

- Proszę mi opowiedzieć o wypadku samochodowym.

- O czym?

- Pani blizny.

- To było dawno temu.

- Poważna sprawa?

- Bardzo.

- Tym razem może być znacznie gorzej. - Reacher położył na stole nóż kuchenny, a następnie wyciągnął glocka z jednej i kawał betonu Tony'ego Swana z drugiej kieszeni. - Rany cięte. Rany postrzałowe. Uderzenie tępym narzędziem. Pozwolę pani wybrać.

Berenson zaczęła płakać. Łkać i szlochać, bezradna i pozbawiona nadziei. Jej ramionami wstrząsnął dreszcz, głowa opadła i łzy zaczęły kapać na kolana.

- To na nic - rzekł Reacher. - Płaczesz przed niewłaściwym facetem.

Berenson podniosła głowę, odwróciła się i spojrzała na Neagley. Twarz tej ostatniej była tak pozbawiona wyrazu jak kawał betonu Swana.

- Zaczynij mówić - powiedział Reacher.

- Nie mogę. Oni zrobią krzywdę mojemu synowi.

- Kto?

- Nie mogę powiedzieć.

- Lamaison?

- Nie powiem.

- Czas podjąć decyzję, Margaret. Chcemy ustalić, kto wiedział i kto leciał. W tej chwili zaliczamy cię do ich grona. Zapewniam cię, że wołałabyś, abyśmy cię wykluczyli. Pora na poważną rozmowę.

- Skrzywdzą mojego syna.

- Lamaison?

- Nie mogę powiedzieć kto.

- Spójrz na to z naszego punktu widzenia. Jeśli będę miał wątpliwości, sprzątnę cię.

Berenson nie odpowiedziała ani słowa.

- Bądź rozsądna, Margaret - ciągnął Reacher. - Niezależnie od tego, kto zagraża twojemu synowi, będziesz miała w ręku mocny argument. Facet będzie martwy. Nikomu nie wyrządzi krzywdy.

- Nie mogę na to liczyć.

- Zastrzel ją - poradziła Neagley. - Marnuje nasz czas. Reacher podszedł do lodówki i otworzył ją. Wyjął plastikową butelkę wody mineralnej Evian. Niegazowanej. Francuskiej. Cena galonu trzykrotnie przewyższała cenę galonu benzyny. Odkręcił korek i pociągnął długi łyk. Podał Neagley. Potrząsnęła głową. Wylał resztę do zlewu i podszedł do stołu. Kuchennym nożem wyciął owalny otwór w dnie butelki. Dopasował go do wyłom lufy glocka tak zręcznie, że szyjka znalazła się w tej samej linii co szyjka butelki.

- To tłumik domowej roboty - wyjaśnił. - Sąsiedzi niczego nie usłyszą. Można go użyć tylko raz, lecz więcej nie będzie trzeba.

Umieścił pistolet w odległości pięćdziesięciu centymetrów od twarzy Berenson, tak że otwór butelki znalazł się na wysokości jej prawego oka.

Wtedy zaczęła mówić.

67

Z perspektywy czasu Reacher uznał, że sam mógłby wygłosić tę opowieść. Kiedy konstruktor zatrudniony na stanowisku inżyniera w Highland Park został dyrektorem kontroli jakości, zaczął zdradzać oznaki silnego stresu. Nazywał się Edward Dean i mieszkał daleko na północy, za górami. Tak się złożyło, że jego doroczna ocena wyników była zaplanowana trzy tygodnie po dziwnej zmianie zachowania. Jako doświadczony specjalista Margaret Berenson zauważyła jego stan i przeprowadziła z nim rozmowę.

Początkowo Dean utrzymywał, że źródłem jego problemów była przeprowadzka na północ. Pragnął spokojnego życia, więc kupił kilka akrów ziemi na pustyni, na południe od Palmdale. Twierdził, że wykończyły go dojazdy do pracy. Berenson nie uwierzyła w tę bajeczkę. Wszyscy ludzie pracujący w rejonie Los Angeles narzekali na dojazdy. Wtedy zaczął się skarżyć na sąsiadów. W okolicy mieszkali członkowie gangu motocyklowego, działały nielegalne wytwórnie metamfetaminy. Bardziej była skłonna w to uwierzyć. Słyszała mnóstwo opowieści o tym, co się dzieje na pustkowiach. Bolesna przypadkowa uwaga na temat córki Deana skłoniła ją do podejrzeń, że dziecko może mieć jakiś związek z jego problemem. Dziewczyna miała czternaście lat. Berenson dodała dwa do dwóch i otrzymała pięć. Pomyślała, że dziewczyna może zadawać się z motocyklistami lub eksperymentować z narkotykami, co wywoływało napiętą atmosferę.

Później zrewidowała swoją opinię. Problemy z jakością w Highland Park stały się powszechnie znane. Berenson wiedziała, że Dean jest za to częściowo odpowiedzialny. Jako jeden z menedżerów miał obowiązek dbać o jakość produkcji. Na dodatek odpowiadał przed Pentagonem za to, aby New Age dostarczało dobry towar. Berenson doszła do wniosku, że źródłem stresu był konflikt wewnętrzny. Ponieważ postępował zgodnie z prawem, zapomniała o swoich zastrzeżeniach.

Wtedy zaginął Tony Swan.

Po prostu zniknął. Jednego dnia był, a drugiego już go nie było. Jako doświadczony fachowiec Margaret Berenson od razu zauważyła jego nieobecność. Postanowiła zbadać sprawę. Było to jej obowiązkiem. Swan miał dostęp do tajnych informacji. W grę wchodziło bezpieczeństwo narodowe. Dobrała się do tego jak pies do kości. Zadawała różne pytania różnym ludziom.

Pewnego dnia wróciła do domu i odkryła, że Allen Lamaison gra z jej synem w koszykówkę na podjeździe.

Berenson bała się Lamaisona. Zawsze. Nie wiedziała jak bardzo, dopóki nie spostrzegła jak mierzwi czuprynę jej dwunastoletniego syna łapskiem, które z łatwością mogłoby zmiażdżyć mu czaszkę. Zasugerował, aby chłopak został na zewnątrz i poćwiczył rzuty osobiste, podczas gdy on wejdzie do środka i przeprowadzi poważną rozmowę z jego mamą.

Zaczął od wyznania. Opowiedział Berenson o tym, co spotkało Swana. Szczegółowo. Zasugerował przyczynę. Tym razem Berenson dodała dwa do dwóch i otrzymała cztery. Przypomniała sobie męki Deana. Krok po kroku Lamaison ujawnił, że Dean brał udział w tajnym przedsięwzięciu, że gdyby tego nie uczynił, jego córka zniknęłaby i została odnaleziona cała zakrwawiona pośród uradowanych członków gangu motocyklowego.

A może nigdy by jej nie znaleźli.

Lamaison powiedział, że to samo mogłoby spotkać syna Berenson. Dodał, że członkowie gangów motocyklowych lubią się zabawić z osobami obu płci. Większość z nich siedziała w więzieniu, a więzienie wypacza upodobania seksualne.

Ostrzegł ją i wydał dwa polecenia. Ostrzegł, że prędzej czy później w biurze pojawią się dwaj mężczyźni i dwie kobiety i zaczną zadawać pytania. Dawni przyjaciele Swana z wojska. W pierwszym poleceniu chodziło o to, aby się ich pozbyć w sposób stanowczy, uprzejmy i zdecydowany. W drugim, aby nikomu nie wspominać o tej rozmowie.

Później zabrał Berenson na górę i zmusił do wykonania pewnych czynności seksualnych. Jak powiedział, aby upewnić się, że właściwie go zrozumiała.

Później wyszedł i chwilę pograł z jej synem.

A potem odjechał.

Reacher jej uwierzył. W życiu wysłuchał wielu kłamstw, znacznie rzadziej miał do czynienia z ludźmi mówiącymi prawdę. Potrafił odróżnić jedno od drugiego. Wiedział, komu można zaufać, a komu nie. Był człowiekiem w najwyższym stopniu cynicznym, ale znał się na ludziach. Uwierzył w historyjkę o koszykówce, we wzmiankę o więzieniu i seksie. Ludzie pokroju Margaret Berenson nie zmyślają takich rzeczy. Nie potrafią. Nie mają wystarczająco bogatych doświadczeń. Sięgnął po nóż i rozciął taśmę. Pomógł jej wstać.

- Kto wiedział? - zapytał.

- Lamaison - odparła Berenson. - Lennox, Parker i Saropian.

- Nikt więcej?

- Nikt.

- A czterej pozostali? Dawni gliniarze z Los Angeles?

- Tamci są inni. Z innych czasów i innego miejsca. Lamaison nie zaufałby im w takiej sprawie.

- Dlaczego ich zatrudnił?

- To pionki. Potrzebował ludzi. Ufał im we wszystkich innych sprawach. Robili, co im kazał.

- Dlaczego zatrudnił Tony'ego Swana? Swan musiał go zawsze uwierać.

- Lamaison nie zatrudnił Swana. Nie chciał go. To ja przekonałam dyrektora naczelnego, że potrzebujemy kogoś o innym doświadczeniu. Nie było właściwe, aby wszyscy mieli to samo przygotowanie.

- To ty go zatrudniłaś?

- W zasadzie, tak. Przepraszam.

- Gdzie to się stało?

- W Highland Park. Tam mają helikopter. Są budynki zewnętrzne. To duży teren.

- Czy masz miejsce, do którego mogłabyś wyjechać? - zapytał Reacher.

- Wyjechać? - zdziwiła się Berenson.

- Na kilka dni, dopóki to wszystko się nie skończy.

- To się nie skończy. Nie znasz Lamaisona. Nie zdołasz go pokonać.

Reacher spojrział na Neagley.

- Nie zdołamy go pokonać? - zapytał.

- Bez trudu - odpowiedziała.

- Tamtych jest czterech - zauważyła Berenson.

- Trzech - poprawił ją Reacher. - Saropian nie żyje. Ich trzech przeciwko naszej czwórce.

- Zwariowaliście.

- Oni myślą podobnie. To pewne. Uważają, że jestem świrem.

Berenson zamilkła na dłuższą chwilę.

- Mogę pojechać do hotelu - powiedziała.

- Kiedy twój syn wraca do domu?

- Odbiorę go ze szkoły. Reacher skinął głową.

- Spakuj się.

- Dobrze.

- Kto leciał? - zapytał Reacher.

- Lamaison, Lennox i Parker. Trójka.
- Plus pilot - dodał Reacher. - Razem czterech.

Berenson poszła na górę, by się spakować, a Reacher odłożył nóż. Następnie wsunął do kieszeni kawał betonu Swana i zdjął butelkę z lufy glocka.

- Sądysz, że to by zadziało? - zapytała Neagley. - Jako tłumik?

- Wątpię - odparł Reacher. - Czytałem o tym w jakiejś książce. Na papierze działało. W rzeczywistym świecie butelka pewnie by eksplodowała i oślepiła mnie kawałkami plastiku. W każdym razie wyglądało nieźle, prawda? Dodatkowy efekt. To lepsze od zwykłego wycelowania pistolem.

Zadzwoił jego telefon. Ten na kartę, który kupili w Radio Shack, a nie komórka Saropiana, którą zdobył w Vegas. Okazało się, że to Dixon. Przez cztery i pół godziny kręcili się z O'Donnellem w okolicy Highland Park. Zobaczyli to, co mieli zobaczyć, i pomyśleli, że zaczynają zwracać na siebie uwagę.

- Wracajcie do domu - powiedział Reacher. - Zdobyliśmy to, czego potrzebowaliśmy.

Wtedy odezwał się telefon Neagley. Prywatny, a nie ten na kartę. Dzwonił jej współpracownik z Chicago. W Los Angeles była dziesiąta trzydzieści, a w Illinois pora lunchu. Nie poruszała się i nie zadawała pytań, po prostu słuchała. Zamknęła wieczko.

- Mamy wstępne informacje z poletka tutejszej policji - powiedziała. - W ciągu dwudziestu lat pracy przeciwko Lamaisonowi prowadzono osiemnaście postępowań wewnętrznych. Za każdym razem wychodził cało.

- Jakie były zarzuty?

- Sam mógłbyś je wymienić. Nieuzasadnione użycie siły, przekupstwo, korupcja, zaginione narkotyki, brakujące pieniądze. To zły facet, ale trzeba przyznać, że jest sprytny.

- W jaki sposób taki gość dostał pracę w firmie zbrojeniowej?

- A w jaki sposób dostał się do policji Los Angeles? Jak awansował? Stwarzając pozory i ciężko pracując, aby wyczyścić swoje konto. I mając partnera, który o wszystkim wiedział, lecz potrafił zachować milczenie.

- Gość musiał być równie zły jak on. Zwykle tak jest.

- Żebyś wiedział - odparła Neagley.

Czterdzieści minut później Berenson zameldowała się na dole z dwiema torbami. Z drogą torbą z czarnej skóry i jasnozielonym nylonowym workiem ze sportowym logo. Jej bagaż i bagaż dziecka, domyślił się Reacher. Umieściła torby w bagażniku toyoty. Neagley i

Reacher poszli po swoje samochody i podjechali pod dom Berenson, formując mały konwój. Podobnie jak podczas inwigilacji, lecz w innym celu. Neagley jechała tuż za nią, Reacher trzymał się w większej odległości. Po przejechaniu kilku kilometrów uznał, że O'Donnell był w błędzie, twierdząc, że w Kalifornii hondy najmniej rzucają się w oczy. Toyota byłaby znacznie lepsza. Patrzył na samochód Berenson i ledwie go widział.

Zatrzymała się przy szkole. Duży brązowy gmach pogrążony w głębokiej ciszy - zwyczajna szkoła, gdy wszystkie dzieciaki są na lekcji i pracują. Po dwudziestu minutach wyszła, ciągnąc za sobą chłopca o brązowych włosach. Dzieciak był niskiego wzrostu. Ledwie sięgał jej do ramienia. Wyglądał na lekko zaskoczonego, a jednocześnie uradowanego, że udało mu się urwać z zajęć.

Później Berenson przejechała krótki odcinek Stodziesiątką, skręciła w Pasadenie i ruszyła w stronę zajazdu położonego przy cichej ulicy. Reacher pochwalił jej wybór. Parking był za budynkiem, niewidoczny od strony ulicy. W drzwiach stał boy hotelowy, a za kontuarem dwie kobiety. Dużo czujnych oczu, zanim człowiek dotrze do wind i pokoiów. Lepiej niż w motelu.

Zostali na miejscu, aby Berenson i jej dzieciak mogli się spokojnie rozpakować. Pomyśleli, że dziesięć minut wystarczy. Wykorzystali ten czas, aby zjeść lunch w barze obok holu. Zamówili klubowe sandwicze. Reacher poprosił o kawę, a Neagley o napój gazowany. Kanapka przypadła do gustu Reacherowi. Szczególnie to, że mógł oczyścić zęby siateczką, którą była opleciona. Nie chciał gadać z ludźmi, mając kawałki kurczaka między zębami.

Kiedy kończył kawę, zadzwonił telefon. Znowu Dixon. Wróciła do motelu razem z O'Donnellem. W recepcji czekała na nich pilna wiadomość. Od Curtisa Mauneya.- Chce, żebyśmy pojechali do tego miejsca na północ od Glendale - powiedziała. - Natychmiast.

- Tam gdzie zawieźli Orozca?

- Tak.

- Mają Sancheza?

- Tego nie powiedział. Nie powiedział też, żebyśmy się, spotkali przy kostnicy. Mamy na niego czekać w szpitalu po drugiej stronie ulicy. Być może Sanchez nadal żyje.

68

Dixon i O'Donnell wyruszyli z motelu Dunes, a Reacher i Neagley sprzed zajazdu w Pasadenie. Oba miejsca znajdowały się w równej odległości od szpitala - dwudziestu kilometrów - na północ od Glendale.

Reacher pomyślał, że on i Neagley zjawią się pierwsi. Wzdłuż górzystych zboczy San Gabriel biegnęły autostrady i mieli prostą drogę Dwieściecziesiątką. Dixon i O'Donnell jechali na północny wschód, ukośnie do autostrad, przedzierając się przez korki.

Niestety, Dwieściecziesiątką okazała się zatłoczona. W odległości stu metrów od zjazdu samochody stanęły. Rzeka nieruchomych pojazdów wiała się w dal, migocząc w słońcu, spalając benzynę i tkwiąc w miejscu. Typowa panorama Los Angeles. Reacher spojrzął w lusterko i dostrzegł hondę Neagley stojącą tuż za nim. Białą czteroletnią hondę civic. Nie widział jej postaci. Szyba była zbyt mocno przyciemniona. W górnej części biegła ciemnoniebieska plastikowa taśma z napisem „Nieustraszony” wydrukowanym srebrnymi poszarpanymi literami. Pomyślał, że jeśli chodzi o Neagley, taki napis jest ze wszech miar właściwy.

Zadzwoił do niej.

- Przed nami doszło do wypadku - powiedziała. - Słyszałam przez radio.

- Wspaniale.- Jeśli Sanchez tak długo wytrzymał, wytrzyma jeszcze trochę.

- Jaki błąd popełnili? - zapytał Reacher.

- Nie wiem. Mieli do czynienia z trudniejszymi sprawami.

- Coś im przeszkodziło. Coś, czego nie przewidzieli. Od czego zacząłby Swan?

- Od Deana - rzekła Neagley. - Faceta od kontroli jakości. Zachowanie Deana musiało wzbudzić jego podejrzenia. Złe wyniki nie muszą wiele znaczyć. Złe wyniki i podejrzone zachowanie dyrektora kontroli jakości - tak.

- Czy wszystko z niego wydobył?

- Nie sądzę, dowiedział się jednak wystarczająco wiele, aby wyciągnąć wnioski. Swan był znacznie inteligentniejszy niż Berenson.

- Jaki był jego kolejny krok?

- Zrobił dwie rzeczy - odparła Neagley. - Zapewnił bezpieczeństwo Deanowi i zaczął gromadzić dowody.

- Z pomocą pozostałych.

- To było coś więcej niż pomoc. Właściwie zlecił im tę robotę. Musiał. Jego sytuacja w biurze była niepewna.

- Nie rozmawiał z Lamaisonem?

- Skądże. Zasada pierwsza, nikomu nie ufaj.

- W takim razie co im przeszkodziło?

- Nie mam pojęcia.

- W jaki sposób Swan zapewniłby bezpieczeństwo Deanowi?

- Skontaktowałby się z miejscową policją. Poprosił o ochronę, a przynajmniej o to, by regularnie sprawdzali jego dom.

- Lamaison to były glina. Może nadal ma tam kumpli. Może dali mu cynk.

- Niemożliwe - powiedziała. - Swan nie rozmawiał z gliniarzami z Los Angeles. Dean mieszkał za wzgórzem. To poza obszarem ich jurysdykcji.

Reacher przerwał na chwilę.

- To oznacza, że Swan z nikim nie gadał - doszedł do wniosku. - To ziemia Curtisa Mauneya, a ten nie słyszał o Deanie ani o New Age. O istnieniu Swana dowiedział się chyba dopiero po śmierci Franza.

- Swan nie pozostawiłby Deana bez ochrony.

- Może to wszystko nie zaczęło się od Deana lub Swan o nim nie wiedział. Może inaczej wpadł na trop.

- Jak? - zapytała Neagley.

- Nie mam pojęcia - odparł Reacher. - Niewykluczone, że dowiemy się tego od Sancheza.

- Myślisz, że żyje?

- Miej nadzieję na najlepsze.

- I bądź przygotowany na najgorsze.

Rozłączyli się. Sznur pojazdów lekko drgnął. Podczas trwającej niemal dwie minuty rozmowy pokonali jakieś pięć długości samochodu. Podczas pięciu kolejnych minut milczenia przesunęli się o kolejnych dziesięć, poruszali się sześć razy wolniej niż na piechotę. Ludzie wokół nie dawali za wygraną. Rozmawiali przez telefon, czytali, golili się, nakładali makijaż, palili, jedli, słuchali muzyki. Niektórzy nawet się opalali. Podwijali rękawy i wysuwali ręce przez otwarte okno.

Zadzwoiła komórka Reachera na kartę. Znowu Neagley.

- Nowe wiadomości z Chicago - powiedziała. - Weszliśmy do komputera policji w Los Angeles. Lennox i Parker są tacy jak Lamaison. Byli partnerami. Odeszli, aby uniknąć dwunastego dochodzenia wewnętrznego w ciągu dwunastu lat służby. Przez tydzień byli bez pracy, a później Lamaison zatrudnił ich w New Age.

- Cieszę się, że nie mam akcji tej firmy.

- Ja mam. To pieniądze Pentagonu. Jak myślisz, skąd biorą kasę?

- Nie ode mnie - odpowiedział Reacher.

Dwieście metrów dalej wyjechali na prostą i zobaczyli przyczynę ogromnego zatoru. W oddali, przez mgłę. Na lewym pasie stał zepsuty samochód. Trywialny powód, jednak cała autostrada zamarła w bezruchu. Reacher rozłączył się i zadzwonił do Dixon.

- Jesteście na miejscu? - zapytał.- Będziemy za dziesięć minut.

- Stoimy w korku. Zadzwon, jeśli będziesz miała dobrą wiadomość. Zadzwon, jeśli dostaniesz złe wieści.

Dotarcie do zepsutego samochodu wymagało kolejnych piętnastu minut i wykonania kilku śmiałych manewrów zmiany pasa. Później samochody drgnęły i wszyscy ruszyli z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, jakby nic się nie stało. Reacher i Neagley dotarli do szpitala dziesięć minut później. Dwadzieścia kilometrów w czterdzieści minut. Przeciętą prędkość trzydzieści kilometrów na godzinę.

Minęli kostnicę i zatrzymali się na placu dla gości. Przeszli przez nasłoneczniony plac do głównego wejścia. Reacher zauważył hondę O'Donnella, a później hondę Dixon. W holu stało mnóstwo czerwonych plastikowych krzeseł. Wokół panowała cisza. Nie dostrzegli Dixon lub O'Donnella. Ani Curtisa Mauneya. Za to zobaczyli długi kontuar, za którym stali jacyś ludzie. Nie pielęgniarki, lecz zwyczajni pracownicy. Reacher zapytał jednego z nich o Mauneya, lecz niczego się nie dowiedział. Zapytał o Jorge Sancheza. Ponownie nic. Zapytał o zgony i został skierowany do innego kontuaru w rogu sali.

Kiedy tam dotarł, powiedzieli mu, że ostatnio nikogo nie przywieziono. Nie wiedzieli nic o Jorge Sanchezie lub szeryfie Curtisie Mauneyu. Reacher wyciągnął komórkę, lecz został poproszony, aby nie używał jej w środku budynku, ponieważ może zakłócić działanie delikatnych urządzeń medycznych. Wyszedł na zewnątrz i zadzwonił do Dixon.

Brak odpowiedzi.

Wybrał numer O'Donnella.

Podobnie.

- Może wyłączyli komórki - powiedziała Neagley. - Może sana Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej lub czymś w tym rodzaju.

- U kogo? Sancheza tu nie ma.

- Muszą gdzieś tu być. Dopiero co przyjechali.

- Mam złe przeczucie - powiedział Reacher.

Neagley wyciągnęła wizytówkę Mauneya. Podała. Reacher wybrał numer jego komórki. Brak odpowiedzi. Wybrał numer stacjonarny. Podobnie.

Wtedy zadzwonił telefon Neagley. Prywatna komórka, nie komórka na kartę. Odebrała. Wysłuchała. Z pobladłej twarzy odpłynęła krew. Stała się jak wosk.

- To z Chicago - powiedziała. - Curtis Mauney był partnerem Lamaisona. Służyli razem dwanaście lat w policji Los Angeles.

69

Coś im przeszkodziło. Coś nieoczekiwanego. Neagley miała rację, niestety tylko w połowie. Dean mógł odegrać ważną rolę w całej sprawie, lecz to nie od niego wszystko się zaczęło. Swan dotarł do niego znacznie później, w inny sposób, kiedy pozostali byli już w to zamieszani. W przeciwnym razie trudno byłoby pojąć rozmiary katastrofy. Wyobraził sobie rozmowę Swana z Deanem, ostatni element układanki. W domu na północ od gór, na pustyni w okolicy Palmdale. W rajach tych, którzy uciekają przed wielkim miastem. W sanktuarium. Wyobraził sobie młodą dziewczynę przemykającą w milczeniu przez otwarte drzwi. Lęk na twarzy Deana i zatroskanie Swana. Wyobraził sobie, jak przyjaciel rekonstruuje przebieg wydarzeń - zachęcająco, szczerze, z pewnością siebie. Jak jedzie do jakiegoś zakurzonego biura szeryfa, rozmawia z Mauneyem, wyjaśnia, o co chodzi, prosi o pomoc, żąda jej. Wyobraził sobie, jak wychodzi, a Mauney podnosi słuchawkę. Jak przypieczętowanie los Swana. Los Franza, Orozca i Sancheza.

Coś nieoczekiwanego.

Reacher otworzył oczy i powiedział:

- Nie stracimy dwóch kolejnych. Dopóki żyję i oddycham.

Zostawili civic Neagley na szpitalnym parkingu i pojechali prelude Reachera. Właściwie nie mieli dokąd. Poruszali się tylko po to, aby być w ruchu. I rozmawiali tylko po to, by rozmawiać. Byli całkowicie zaskoczeni. Tamci manipulowali wydarzeniami, tak jak im było wygodnie. Mauney skłonił Angele Franz, aby do nich zadzwoniła. Wymyślił historyjkę o przynęcie, aby uzyskać wsparcie Thomasa Branta. Kiwał ich przez cały czas, przekazując informacje, które już znali, aby powstrzymać postęp śledztwa. Pytał, jak im idzie, aby sprawdzić, czy się poddali i zostawili ich w spokoju. Kiedy wyszło na jaw, że nie zrezygnują, postanowili przejąć inicjatywę i ich sprzątnąć. Najpierw w Vegas, później w Los Angeles.

Wrócili na Dwieściecziesiątkę. Był mały ruch i samochody szybko się poruszały.

- Jaki mamy plan? - zapytała Neagley.

- Nie mamy - odpowiedział Reacher.

Kartki z telefonami zdobyte przez Dixon znajdowały się w motelu, w pokoju O'Donnella, nie zamierzali jednak wracać na Sunset Boulevard. Nie w tej chwili. Połączyli zapamiętane fragmenty adresu fabryki w Highland Park i ruszyli w jej kierunku.

Highland Park odnaleźli bez trudu. Ładne miejsce pełne ulic, domów i centrów biznesowych oraz małych czystych fabryczek wytwarzających nowoczesne urządzenia. Trudniej było odszukać budynki New Age. Nie oczekiwali tablicy informacyjnej i jej nie ujrzeli. Zamiast niej wypatrywali nieoznakowanych budynków, wysokiego ogrodzenia i lądowiska dla helikoptera. Znaleźli kilka, taka okolica.

- Dixon wspomniała, że na lądowisku stał beli dwieście dwadzieścia dwa - rzekł Reacher. - Rozpoznałabyś taką maszynę, gdybyś ją zobaczyła?

- W ciągu pięciu ostatnich minut widziałam trzy - odparła Neagley.

- Powiedziała, że helikopter był biały.

- Takie były dwa.

- Gdzie?

- Drugi stał w odległości jakichś dwóch kilometrów stąd. Dwie przecznice w lewo i jedna w prawo. Pierwszy, trzy budynki wcześniej.

- Oba miejsca były ogrodzone?

- Tak.

- A zabudowania zewnętrzne?

- I tu, i tu.

Reacher zahamował i w niedozwolonym miejscu zawrócił. Ruszyli tam, skąd przyjechali. Dwukrotnie skręcił w lewo i raz w prawo. Zwolnił, a Neagley pokazała mu szare pokryte metalowym sidingiem budynki przycupnięte za ogrodzeniem, które mogłoby otaczać nowoczesne więzienie o zaostrzonym rygorze. Ogrodzenie miało wysokość co najmniej trzech metrów i szerokość jednego. Pomiędzy siatkami ułożono ściśle splecione zwoje drutu kolczastego. Na szczycie ogrodzenia umieszczono drut tnący. Bariera trudna do przebycia. Za ogrodzeniem stały cztery budynki. Jeden był dużym hangarem, trzy pozostałe - mniejsze. W pobliżu Reacher dostrzegł ogromny betonowy plac i helikopter o długim nosie. Biały, nieruchomy i spokojny.

- To beli dwieście dwadzieścia dwa? - zapytał Reacher.

- Na sto procent - odpowiedziała Neagley.

- Czy to to miejsce?

- Trudno powiedzieć.

Obok lądowiska dla helikopterów ujrzał pomarańczowy rękaw lotniskowy na wysokim słupie, zwisający bezwładnie w ciepłym suchym powietrzu. Na małym parkingu stało trzynaście samochodów. Ani jeden nie był drogim wozem, ani jeden - ciemnoniebieskim chryslerem.

- Jakimi samochodami jeżdżą robotnicy? - zapytał Reacher.

- Takimi jak te - odparła Neagley.

Reacher pojechał dalej. Minał dwa kolejne zabudowania. Drugie miejsce przypominało pierwsze. Duże ogrodzenie, cztery nieoznakowane budynki pokryte szarym metalowym sidingiem. Parking pełen tanich samochodów i lądowisko dla helikopterów z białym bellem 222. Brak tablic, oznakowań, brak informacji.

- Potrzebujemy dokładnego adresu - rzekł Reacher.

- Nie mamy czasu. Motel Dunes jest daleko stąd.

- Pasadena jest bliżej.

Przejechali krótki odcinek York Boulevard na wschód, a następnie skręcili w Stodziesiątkę. Piętnaście minut później zaparkowali przed zajazdem w Pasadenie. Po kolejnych pięciu minutach byli w pokoju Margaret Berenson. Powiedzieli jej, czego potrzebują. Nie wyjaśnili dlaczego. Chcieli podtrzymać iluzję własnej kompetencji, dla jej dobra.

Odpowiedziała, że pierwsze miejsce było tym, którego szukali.

Po piętnastu minutach ponownie przejechali obok niego. Ogrodzenie robiło wrażenie. Było potężne. Mógłby je sforsować czołg, lecz z pewnością nie samochód. Na pewno nie honda prelude, a nawet tak wielki wóz jak chrysler. Nie zdołałaby tego dokonać duża ciężarówka. W dodatku nie wiedzieli, jaką wytrzymałość ma drut kolczasty. Zanimby pękły, zewnętrzne zwoje mogłyby się rozciągnąć jak struna gitary, amortyzując siłę uderzenia, spowalniając pojazd i pozbawiając go siły rozpędu. Wewnętrzne zwoje uległyby sprasowaniu niczym gąbka. Jak sprężyna. Samochód zaplątałby się, zwolnił i w końcu stanął. Takiego ogrodzenia nie można pokonać w pojeździe kołowym. Nie można go sforsować pieszo. Człowiek z nożycami do cięcia drutu wykrwawiłby się na śmierć, zanim pokonałby jedną czwartą drogi. Odpadało również sforsowanie przeszkody górą. Drut tnący był zbyt szeroki i zbyt luźno zwinięty, aby można go było przesadzić za pomocą drabiny.

Reacher objechał cały kwartał. Fabryka zajmowała powierzchnię kilku akrów. Kwadratowa działka o boku około stu metrów. Cztery budynki. Jeden duży, trzy małe.

Wysuszona brązowa trawa i wysypane żużlem ścieżki. Ogrodzenie miało w sumie czterysta metrów długości i było pozbawione słabych punktów. Tylko jedna brama. Szeroka stalowa konstrukcja na kółkach, rozsuwającą się na bok. Z drutem kolczastym na szczycie. Obok budka dla wartowników.

- To konieczność - wyjaśniła Neagley. - Takie są wymagania Pentagonu.

W budce dostrzegli wartownika. Starszego faceta o siwiejących włosach. Szary mundur. Pas z kaburą na biodrach. Prosta robota. Wystarczyła przepustka lub inny dokument. Facet wciskał guzik i brama się otwierała. Brak przepustki lub innego dokumentu powodował, że gość tego nie robił i brama pozostawała zamknięta. Nad głową wartownika wisiała żarówka. Zapalał ją po zapadnięciu zmroku. Rzuciła miękką żółtawą poświatę w promieniu sześciu metrów.

- Nie ma sposobu, aby wejść do środka - powiedział Reacher.

- Myślisz, że oni w ogóle tam są?

- Muszą. To miejsce przypomina prywatne więzienie. Lepiej umieścić ich tu niż gdziekolwiek indziej. Pewnie przetrzymywali tutaj pozostałych.

- Jak ich schwytali?

- Mauney musiał ich aresztować na szpitalnym parkingu. Może pomogli mu ludzie Lamaisona. Załoczone miejsce, całkowite zaskoczenie. Co mieli robić?

Reacher pojechał dalej. Prelude nie rzucała się w oczy, lecz nie chciał, aby samochód widziano zbyt wiele razy w tym samym miejscu. Skręcił na najbliższym skrzyżowaniu i stanął w odległości pięciuset metrów od fabryki. Milczał. Nie miał nic do powiedzenia.

Telefon Neagley zadzwonił powtórnie. Jej prywatna komórka. Odebrała. Wysłuchała. Rozłączyła się i zamknęła oczy.

- Dzwonił mój znajomy z Pentagonu - oznajmiła. - Rakiety opuściły fabrykę w Kolorado.

70

Jeśli Mahmoud dostanie rakiety, sprawa ich przerośnie. Będą musieli pogodzić się z porażką i dalej żyć. Reacher spojrział na Neagley. Uniosła powieki i popatrzyła mu w oczy.

- Jak sądzisz, ile ważą? - zapytał Reacher.

- Ważą?

- Jaki mają ciężar. W kilogramach.

- Skąd mam wiedzieć. Są nowe. Nigdy ich nie widziałam.

- Tak sądziłem.

- Muszą być cięższe od stingerà, więcej potrafią. Z drugiej strony waga rakiety nie może być zbyt duża, żeby mógł ją przemieścić jeden człowiek. Razem z wyrzutnią, częściami zapasowymi i instrukcją rakietę waży pewnie jakieś dwadzieścia kilogramów.

- W sumie będzie szesnaście i pół tony.

- Potrzebna ciężarówka z naczepą - stwierdziła Neagley.

- Przeciętna prędkość na autostradach międzystanowych? Osiemdziesiąt kilometrów na godzinę?

- Pewnie tak.

- Pojedzie na północ I-dwadzieścia pięć i I-osiemdziesiąt, a później skręci na zachód, do Nevady. To jakieś tysiąc pięćset kilometrów. Mamy osiemnaście godzin. Powiedzmy dwadzieścia. Kierowca musi odpocząć.

- Nie pojedzie do Nevady - zaprzeczyła Neagley. - Nevada to ścierna. Przecież nie zamierzają ich niszczyć, tylko użyć.

- Nieważne. Istotne jest jedynie to, że miejsce, do którego jedzie, jest oddalone o osiemnaście godzin jazdy od Denver.

Neagley potrząsnęła głową.

- To chory pomysł. Nie możemy czekać dwadzieścia cztery godziny. Sam powiedziałeś, że mogą być dziesiątki tysięcy zabitych.

- Jeszcze nikt nie zginął.

- Nie możemy czekać - powtórzyła Neagley. - Łatwiej zatrzymać ciężarówkę, gdy będzie wyjeżdżała z Denver. Może pojechać dosłownie wszędzie. Do Nowego Jorku. Na lotnisko JFK albo La Guardia. Do Chicago. Chcesz, aby odpalili Little Wing na lotnisku O'Hare?

- Chyba nie.

- Każda minuta zwłoki oznacza, że ciężarówkę trudniej będzie odnaleźć.

- No to mamy moralny dylemat - przyznał Reacher. - Dwoje ludzi, których znamy, lub dziesięć tysięcy, których nie mieliśmy okazji poznać.

- Musimy komuś powiedzieć. Nie odpowiedział.

- Musimy, Reacher.

- Mogą nas nie posłuchać. Nie posłuchali przed jedenastym września.

- Szukasz wymówek. Zmienił się. Musimy komuś powiedzieć.

- Zrobimy to - zgodził się Reacher. - Tylko nie teraz.

- Karla i Dave będą mieli większe szanse, jeśli kilka drużyn SWAT stanie u ich boku.

- Żartujesz. Jeśli dojdzie do walki, zostaną uznani za nieuniknione ofiary wśród ludności cywilnej.

- Nawet nie zdołamy sforsować ogrodzenia - powiedziała Neagley. - Zginie Dixon, zginie O'Donnell, zginie dziesięć tysięcy i my.

- Chciałbyś żyć wiecznie?

- Nie chcę umrzeć jutro. A ty?

- Nie zależy mi.

- Poważnie.

- Nigdy mi nie zależało. Dlaczego miałoby być inaczej?

- Jesteś chory.

- Spójrz na jaśniejszą stronę sytuacji.

- Jaką?

- Może nie wydarzy się żadne z nieszczęść, o których wspomniałaś.

- Niby dlaczego?

- Może zwyciężymy. Ty i ja.

- Tutaj? Być może, ale później? Możesz sobie pomarzyć. Nawet nie wiemy, dokąd jedzie ta ciężarówka.

- Później się dowiemy.

- Tak sądzisz?

- Jesteśmy w tym dobrzy.

- Wystarczająco dobrzy, aby zaryzykować życie dziesięciu tysięcy ludzi dla dwóch?

- Mam nadzieję - odparł Reacher.

Pojechał dwa kilometry na południe i zaparkował ponownie na krętej bocznej uliczce przed warsztatem, w którym naprawiano harleje. W oddali widział helikopter New Age.

- Jaki mają system zabezpieczeń? - zapytał.

- Pewnie czujniki ruchu na ogrodzeniu, solidne zamki we wszystkich drzwiach i człowieka w budce wartowniczej przez całą dobę. Normalnie nie potrzeba nic więcej, ale dzisiaj nie będzie normalnie. Zapomnij o tym. Wiedzą, że jesteśmy w pobliżu. W środku będzie cała ochrona New Age, zabarykadowana, z bronią gotową do strzału.

- Siedmiu ludzi.

- Siedmiu, o których wiemy. Może być ich więcej.

- Może.

- Będą stali po jednej stronie ogrodzenia, a my po drugiej.

- Ogrodzenie zostaw mnie.

- Nie ma sposobu, aby je pokonać.- To nie będzie konieczne. Przecież mają bramę.

Kiedy zapadną całkowite ciemności?

- O dziewiątej.

- Wcześniej nie wystartują. Mamy siedem godzin. Siedem z dwudziestu czterech.

- Nigdy nie mieliśmy dwudziestu czterech godzin.

- Wybrałaś mnie na dowódcę. Jeśli mówię, że mamy, to tak jest.

- Mogli ich już zastrzelić.

- Nie zastrzelili Franza, Orozca ani Swana. Nie chcą zostawiać śladów balistycznych.

- To chore.

- Nie mam zamiaru stracić dwóch kolejnych ludzi - powiedział Reacher.

Ponownie objechali kwartał New Age, szybko i nie rzucając się w oczy. Zwracali uwagę na ukształtowanie terenu. Brama znajdowała się pośrodku frontowego ogrodzenia. Tuż za nią, na środku, stał główny budynek, do którego prowadził krótki podjazd. Z tyłu - trzy mniejsze zabudowania. Jedno blisko lądowiska, drugie nieco dalej. Trzecie sprawiało wrażenie oddzielonego od pozostałych, znajdowało się w odległości trzydziestu metrów od reszty. Wszystkie cztery budynki stały na betonowym fundamencie i miały szary siding z galwanizowanej blachy. Brakowało oznakowań i napisów. Surowe, praktycznie urządzone miejsce. Żadnych drzew i krzewów. Jedynie nierówno przystrzyżona brązowa trawa, żwirowe ścieżki i parking.

- Gdzie są chryslery? - zapytał Reacher.

- Na zewnątrz - odparła Neagley. - Szukają nas.

Wrócili do szpitala w Glendale. Neagley zabrała swój samochód z parkingu. Zatrzymali się w supermarkecie i kupili zapalki. Dwa opakowania wody mineralnej Evian. Dwanaście jednolitrowych opakowań, po sześć w plastikowej zgrzewce. Następnie weszli do sklepu z częściami samochodowymi. Kupili czerwony plastikowy kanister na dwadzieścia litrów benzyny i opakowanie szmat do polerowania samochodu.

Później zajechali na stację benzynową, aby napełnić zbiorniki samochodów i kanister.

Wyjechali z Glendale, ruszyli na południowy zachód i dotarli do Silver Lake. Reacher zadzwonił do Neagley.

- Powinniśmy wpaść do hotelu - powiedział.

- Mogą go nadal obserwować - zauważyła Neagley.

- Właśnie dlatego powinniśmy tam zajrzeć. Jeśli zlikwidujemy jednego z nich, nie trzeba będzie zaprzętać nim sobie głowy.

- Może być kilku.

- Słusznie. Im więcej, tym lepiej.

Sunset Boulevard biegł przez Silver Lake, na południe od jeziora. Długa droga. Reacher odnalazł ją i ruszył na zachód. Dziesięć kilometrów później przejechał obok motelu, nie zwalniając. Neagley jechała dwadzieścia metrów z tyłu, w swojej civic. Skręcili w boczną uliczkę i zajechali na tył motelu. Ruszyli alejką w odległości piętnastu metrów od siebie. Nie było sensu, aby stanowili jeden cel. Pierwszy szedł Reacher, trzymając glocka w kieszeni. Wolnym krokiem wkroczył na parking motelu, od tyłu, przez wąskie zaśmiecone przejście. Parking wyglądał niewinnie. Osiem samochodów. Pięć z tablicami rejestracyjnymi z innego stanu. Ani jednego ciemnoniebieskiego chryslera. Skręcił w prawo. Widział, że podążająca piętnaście metrów za nim Neagley pójdzie w lewo. Zawsze tak robili. R jak Reacher i L jak litera w środku jej nazwiska. Obszedł budynek od swojej strony. Na zewnątrz nie było nikogo. Nie zauważył nic podejrzanego. Nikogo w holu, nikogo w pralni. Idąc przez parking, dostrzegł pracownika siedzącego samotnie w biurze.

Wyszedł na chodnik i sprawdził ulicę. Była czysta. Niewielki ruch, nic rzucającego się w oczy. Trochę samochodów, żadnego powodu do niepokoju. Wrócił na parking i poczekał, aż Neagley zakończy obchód. Popatrzyła na chodnik, sprawdziła ulicę, wycofała się i zajrzała do biura. Nic. Potrząsnęła głową i oboje ruszyli do pokoju O'Donnella różnymi drogami. Nadal w odległości piętnastu metrów od siebie. Na wszelki wypadek. Zamek w drzwiach pokoju O'Donnella był wyłamany.

Ścisłe mówiąc, zamek był w porządku, lecz ktoś wyłamał ościeżnicę. Drewno rozleciało się w drzazgi. Napastnik użył łomu lub metalowej łyżki do opon, aby wyważyć drzwi. Reacher wyciągnął glocka i stanął na zewnątrz, po stronie zawiasów, a Neagley z drugiej strony, obok klamki. Kiedy skinęła głową, otworzył drzwi nogą. Przykucnęła i wskoczyła do środka z bronią wyciągniętą przed siebie. Kolejny nawyk z dawnych czasów. Ten, który stał po stronie zawiasów otwierał drzwi, a ten przy klamce przykucał, aby stanowić mniejszy cel. Ogólnie, facet ukrywający się wewnątrz celował wysoko, tam gdzie spodziewał się środka tułowia napastnika.

W pokoju O'Donnella nie było nikogo.

Był zupełnie pusty i splądrowany. Przetrzęsnięty i wywrócony do góry nogami. Zniknęły wszystkie dokumenty New Age. Zniknęły odrzucone glocki 17, zniknęła zapasowa amunicja, zniknęły hardballery, daewoo DP 51 Saropiana i latarki Megalite. Ubrania

O'Donnella rozrzucono po całym pokoju. Ktoś zerwał z wieszaka w szafie wart tysiąc dolarów garnitur i podeptał. Kosmetyki wały się po podłodze.

W pokoju Dixon było podobnie. Pusty i przetrząśnięty.

Tak samo w pokoju Neagley.

I Reachera. Na podłodze znalazł rozgniecioną składaną szczoteczkę do zębów.

- Dranie - warknął.

Ponownie obeszlą pokoje, rozejrzeli się po motelu i sąsiedztwie. Nie zauważyli nikogo.

- Czekaą na nas w Highland Park - powiedziała Neagley. Reacher skinął głową. Razem mieli dwa glocki i sześćdziesiąt osiem sztuk amunicji. I ostatni nabytek spoczywający w bagażniku prelude.

Dwoje na siedmiu lub więcej.

Brakowało im czasu, elementu zaskoczenia i umocnionej pozycji.

Beznadziejna sytuacja.

- Możemy jechać - rzucił Reacher.

71

Oczekiwanie na zapadnięcie zmroku bywa długie i uciążliwe. Czasami ziemia wydaje się szybko wirować, innym razem kręci się powoli. Właśnie tak było teraz. Zaparkowali w spokojnej uliczce trzy przecznice od fabryki New Age Defense Systems. Po przeciwnych stronach ulicy. Civic Neagley stała zwrócona na zachód, prelude Reachera - na wschód. Oboje mieli widok na fabrykę. Sytuacja za ogrodzeniem uległa zmianie. Z parkingu zniknęły samochody robotników. Ich miejsce zajęło sześć ciemnoniebieskich chryslerów 300C. Najwyraźniej tego dnia zrezygnowali z kontynuowania poszukiwań. Oczyszczili pole przed zbliżającą się bitwą. Oprócz samochodów widzieli biały helikopter stojący pół kilometra od nich. Chociaż w oddali rysował się jedynie mały biały kształt, można było dostrzec, czy wystartował. Gdyby tak się stało, życie ich przyjaciół zawisłoby na włosku.

Reacher wyłączył sygnał i ustawił wibrację w obu telefonach. Neagley zadzwoniła dwukrotnie, dla zabicia czasu. Właściwie była na tyle blisko, że mogłaby opuścić okno i zawołać, lecz pomyślał, że nie chce zwracać na siebie uwagi.

- Spałeś z Karłą? - zapytała po raz pierwszy.

- Kiedy? - odpowiedział, grając na czas.

- Ostatnio.

- Dwa razy - powiedział. - To wszystko.

- Cieszę się.- Dzięki.

- Zawsze tego chcieliście.

Odezwała się ponownie po piętnastu minutach.

- Sporządziłeś testament? - zapytała.

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiedział. - Połamali moją szczoteczkę do zębów. Nie mam niczego.

- Co to za uczucie?

- Paskudne. Lubiłem ją. Długo mi służyła.

- Nie, chodziło mi o co innego.

- W porządku. Nie odniosłem wrażenia, aby Karla lub Dave byli szczęśliwsi ode mnie.

- W tej chwili z pewnością nie są.

- Wiedzą, że po nich przyjdziemy.

- To, że razem odejdziemy na pewno ich rozweseli.

- Lepsze to niż umierać samemu - odpowiedział Reacher.

Duża biała ciężarówka z naczepą jechała na zachód drogą I-70 w Kolorado, w kierunku stanu Utah. Nie była nawet w połowie pełna. Nieco ponad szesnaście ton ładunku na naczepie mogącej udźwignąć czterdzieści. Chociaż obciążenie było niewielkie, poruszała się w żółtym tempie z powodu górzystego terenu. Z taką prędkością miała jechać aż do skrętu na południe w drogę I-15. Dalsza podróż powinna być lżejsza - w dół aż do Kalifornii. Jej kierowca zaplanował, że będzie się poruszał ze średnią prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a cała droga zajmie mu maksimum osiemnaście godzin. Nie zamierzał robić postoju na odpoczynek. Jakżeby mógł? Miał do wykonania ważną misję i nie zamierzał tracić czasu na głupstwa.

Azhari Mahmoud spojrział po raz trzeci na mapę. Uznał, że potrzebuje jeszcze trzech godzin. No, może nieco więcej. Musiał przejechać niemal całe Los Angeles, z południa na północ. Nie oczekiwał, że będzie łatwo. Ciężarówka U-Haul była wolna i trudno się nią kierowało. Wiedział, że na drogach będą korki.

Postanowił, że da sobie pełne cztery godziny. Jeśli przyjedzie za wcześnie, zaczeka. Nic nie szkodzi. Nastawi budzik, położy się i spróbuje zasnąć.

Reacher wpatrywał się w linię horyzontu, próbując ocenić oświetlenie. Przyciemniona szyba bynajmniej mu w tym nie pomagała. Na oko wszystko wyglądało lepiej niż w

rzeczywistości. Niebo wydawało się ciemniejsze, niż faktycznie było. Opuścił szybę i wychylił się na zewnątrz. Kiepsko. Do końca dnia pozostała jeszcze godzina. Jakaś godzina do zmierzchu. Później zapadnie całkowita ciemność. Zasuwał szybę i rozsiadł się w fotelu. Zmniejszył liczbę uderzeń serca, zwolnił oddech i zrelaksował się.

Był zrelaksowany, dopóki nie zadzwonił Allen Lamaison.

72

Lamaison zadzwonił do Rechera na komórkę, którą kupili w Radio Shack, nie na komórkę Saropiana z Vegas. Informacja na monitorze wskazywała, że używał aparatu Karli Dixon. Zachowywał się prowokacyjnie. Nie krył satysfakcji.

- Reacher? Musimy pogadać - powiedział.

- Gadaj - odparł Reacher.

- Do niczego się nie nadajesz.

- Tak sądzisz?

- Do tej pory przegrałeś każdą rundę.

- Oprócz tej z Saropianem.

- Fakt - stwierdził Lamaison. - Bardzo nad tym ubolewam.

- Powinieneś się do tego przyzwyczaić. Wkrótce stracisz kolejnych sześciu, a wtedy się zabawimy.

- Nie - zaprzeczył Lamaison. - Tak się nie stanie. Zawrzemy układ.

- Zapomnij o tym.

- Proponuję doskonałe warunki. Chcesz usłyszeć?

- Lepiej się pospiesz. Jadę do centrum na spotkanie z FBI. Opowiem im o Little Wing.

- Ciekawe co? - zapytał Lamaison. - Nie ma o czym mówić. Mieliśmy uszkodzone moduły, które zostały zniszczone. Opisaliśmy wszystko w piśmie przekazanym do Pentagonu.

Reacher nie odpowiedział.

- W każdym razie wcale nie jedziesz do FBI. Zastanawiasz się, jak uratować przyjaciół.

- Tak sądzisz?

- Nie powierzyłbyś ich życia FBI.

- Pomyliłeś mnie z kimś, komu zależy.

- Nie byłoby nas tu, gdyby ci nie zależało. Tony Swan, Calvin Franz, Manuel Orozco i Jorge Sanchez opowiedzieli nam wszystko. Przed śmiercią. Że niby nie powinniśmy zadzierać ze specjalną grupą śledczą.

- To slogan. Był przestarzały wtedy, a tym bardziej teraz.

- Mimo to w niego wierzyli. Tak jak pani Dixon i pan O'Donnell. Ich wiara w ciebie jest doprawdy wzruszająca, dlatego pogadajmy o układzie. Możesz oszczędzić swoim kumplom wielu cierpień.

- Jak?

- Ty i pani Neagley zgłosicie się do nas. Przetrzymamy was przez tydzień, dopóki sprawa nie ucichnie. Później puścimy wszystkich wolno. Całą czwórkę.

- W przeciwnym razie?

- W przeciwnym razie połamiemy O'Donnellowi ręce i nogi i pokaleczymy Dixon jego sprężynowcem. Oczywiście po tym, jak się z nią zabawimy. Później zabierzemy ich na przejażdżkę helikopterem.

Reacher nic nie odpowiedział.

- Nie przejmuj się Little Wing - ciągnął dalej Lamaison. - Sprawa jest zamknięta. Nie zdołacie tego zatrzymać. Rakiety pojadą do Kaszmiru. Byłeś tam kiedyś? To dziura. Cholerna dziura, o którą walczą faceci z ręcznikiem na głowie. Co cię to obchodzi?

Reacher w dalszym ciągu milczał.

- Co ty na to?

- Nie.

- Lepiej się zastanów. Dixon nie spodoba się to, co mamy zamiar zrobić.

- Dlaczego miałbym ci zaufać? Zastrzelisz mnie, gdy tylko wejdziemy.- Zgoda, nie można zaprzeczyć, że istnieje pewien element ryzyka - przyznał Lamaison. - Sądzę, że przyjmiesz warunki z poczucia odpowiedzialności za swoich ludzi. Nie zostawisz ich. Jesteś ich dowódcą, który spieprzył sprawę. Wiele o tobie słyszeliśmy. Szczerze mówiąc, na sam dźwięk twojego nazwiska chce mi się rzygać. Zrobisz wszystko, aby im pomóc.

- Gdzie jesteś? - zapytał Reacher.

- Jestem pewien, że wiesz.

Reacher podniósł głowę i spojrział przez przednią przyciemnioną szybę, starając się ocenić, ile czasu pozostało do zmroku.

- Jakies dwie godziny drogi od was - powiedział z lekką nutką napięcia w głosie.

- Gdzie?

- Na południe od Palmdale.

- Dlaczego?

- Mamy zamiar złożyć wizytę Deanowi. Poskładać wszystko jak Swan.

- Zawróćcie - powiedział Lamaison. - Natychmiast. Dla dobra pani Dixon. Założę się, że będzie wrzeszczeć, gdy zajmą się nią moi chłopcy. Dam ci ją do telefonu i pozwolę posłuchać.

Reacher przerwał na chwilę.

- Za dwie godziny - powiedział. - Odezwę się. Rozłączył się i wybrał numer Neagley.

- Wchodzimy za sześćdziesiąt minut. Opadł na fotel i zamknął oczy.

Godzinę później niebo na wschodzie przybrało ciemnogrnatową barwę. Widzialność szybko malała. Wiele lat temu pewna pedantyczna nauczycielka ze szkoły na jednej z wysp Pacyfiku wyjaśniła Reacherowi, że najpierw nadchodzi zmierzch, a dopiero później zmrok i noc. Podkreślała, że zmierzch i zmrok to nie to samo. Gdyby Reacher potrzebował ogólnego słowa oznaczającego nocny mrok, użyłby słowa „ciemność”.

Zapadnięcie ciemności było tym, na co czekał. Ciemność gęstniała, lecz jeszcze nie była taka, jakiej potrzebował.

Wybrał numer Neagley i rozłączył się po jednym sygnale. Opuściła szybę i dała znak ręką. Mała jasna dłoń w ciemności. Włączył samochód i odjechał od krawężnika. Bez świateł. Ruszył na wschód na spotkanie nadciągającej nocy. Na trzecim skrzyżowaniu skręcił w prawo i zaczął objeżdżać ogrodzenie New Age. Zgodnie z ruchem wskazówek zegara, wzdłuż tylnej granicy działki. Po chwili wykonał kolejny skręt w prawo i stanął na poboczu, pokonawszy jakieś dwie trzecie drogi. Gdyby działka New Age była tarczą zegara, można by powiedzieć, że zatrzymał się na godzinie czwartej. Gdyby była kompasem, że lekko na południe od kierunku, w którym znajdował się wschód.

Wysiadł i stanął nieruchomo, nasłuchując. Żadnego dźwięku. Nie dostrzegł nic podejrzanego. Highland Park było gęsto zaludnionym rejonem, lecz fabryka New Age znajdowała się w części przemysłowej. Dzień pracy dobiegł końca. Ludzie wrócili do domu. Ulice były ciemne i spokojne.

Otworzył bagażnik prelude. Rozbił pięścią wewnętrzne oświetlenie. Kciukiem rozerwał folię, w którą zapakowane były butelki z wodą mineralną Evian. Wyciągnął jedną. Pociągnął duży łyk, a następnie wylał resztę do rynsztoka. Postawił butelkę w bagażniku i powtórzył tę samą czynność z pozostałymi. W rezultacie otrzymał dwanaście jednolitrowych butelek ustawionych w schludnym rzędzie.

Wyjął kanister z benzyną.

Dwadzieścia litrów. Pięć galonów według amerykańskiej miary objętości. Ostrożnie napełnił butelki. Poczł zapach benzyny bezołowiowej. Lubił go. Jego zdaniem był to jeden z

najpiękniejszych zapachów na świecie. Po napełnieniu dwunastu butelek postawił kanister na ziemi. Pozostało w nim jakieś siedem litrów. Ze dwa galony.

Rozerwał torbę ze szmatami do polerowania.

Kwadratowe kawałki białego bawełnianego dżerseju. Zwinął je mocno jak cygaro i powtykał w szyjkę butelek. Połowa do środka, połowa na zewnątrz. Benzyna zaczęła nasączać szmaty, jasna i bezbarwna.

Koktajle Mołotowa. Prymitywna, lecz skuteczna broń wymyślona przez faszystów podczas wojny domowej w Hiszpanii. Nazwę stworzyli Finowie podczas walk z Armią Czerwoną w 1939 roku, szydząc z sowieckiego ministra spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa. „Nie miałem pojęcia, że czołg może płonąć tak długo”, wspominał później jeden z fińskich weteranów.

Czołgi czy budynki, Reacherowi było wszystko jedno.

Zwinął trzynastą szmatę i położył na ziemi, a następnie polał benzyną z kanistra, aby dobrze nasiąknęła. Znalazł paczkę zapalek i wsunął do kieszeni. Ostrożnie, jedna po drugiej, wyjął z bagażnika dwanaście butelek z benzyną i ustawił na drodze dwa metry za tylnym zderzakiem prelude. Następnie podniósł trzynastą szmatę i zamknął wieko bagażnika, przytrzymując nim tkaninę. W ciemności wyglądało to tak, jakby samochód miał mały biały ogon. Niczym srebrna owieczka.

Czas na przedstawienie, pomyślał.

Zapalił zapalną i przyłożył ją do szmaty uwięzionej w szczękach bagażnika, dopóki nie zapłonęła jasnym światłem. Odrzucił zapalną i uniół pierwszy koktajl Mołotowa. Zapalił knot od płonącej szmaty, cofnął się i rzucił butelkę przez ogrodzenie. Butelka zatoczyła leniwy świetlisty łuk i wybuchła u podstawy tylnej ściany głównego budynku. Benzyna eksplodowała, strzelając w górę jasnym płomieniem, a następnie zamieniła się w małe ogniste bajoro.

Posłał w powietrze kolejną. Tak samo jak poprzednią. Odpalił knot od płonącej szmaty, cofnął się i rzucił z całej siły. Butelka poszybowała wysoko, uderzyła w to samo miejsce i eksplodowała. Krótki silny wybuch i poszerzający się krąg płomieni. Języki ognia zajęły płyty sidingu.

W płomień poleciała trzecia bomba, a po niej czwarta. Piąta wylądowała lekko na lewo, stając się zarzewiem nowego pożaru. Po niej w powietrze poszybowała szósta i siódma. Potężne zamachy sprawiły, że zaczął odczuwać ból ramienia.

Trawa wokół tylnej ściany hali zaczęła płonąć. Działkę New Age ogarnęły kłęby dymu. Rzucił ósmą butelkę pomiędzy dwa ogniska płomieni. Upadła bliżej i podpaliła trawę

w odległości około trzech metrów od hali. Teraz płonęły już trzy duże nieregularne ogniska o długości trzech i szerokości dwóch metrów. Płomienie sięgały na wysokość półtora metra. Czerwone, pomarańczowe i zielone od substancji chemicznych.

Dziewiątą butelkę rzucił mocniej, nieco dalej na lewo. Ekspłodowała w pobliżu drzwi hali. Za nią poszła następna. Nie wybuchła. Potoczyła się, rozlewając benzynę. Płomienie podążyły za nią, zajmując wysuszoną trawę. Reacher zatrzymał się, zmienił miejsce i posłał w powietrze jedenastą butelkę tak, aby trafiła w lukę w rogu budynku. Po niej rzucił dwunastą i ostatnią. Zamachnął się silnie, trafiając w siding na dużej wysokości tak, że płomienie objęły całą tylną ścianę.

Otworzył bagażnik, wyciągnął płonąca szmatę i zdusił ogień butami. Podeszedł do ogrodzenia, aby sprawdzić, co się dzieje. Trawa od podstawy tylnej ściany hali aż do drzwi wejściowych płonęła gwałtownie. Płomienie sięgały wysoko, w niebo wzbijał się dym. Metalowa konstrukcja stawiała opór, lecz w środku z pewnością zaczynało się robić gorąco.

Wkrótce będzie jeszcze cieplej, pomyślał Reacher.

Podniósł kanister, zamachnął się i rzucił go niczym dyskobol. Kanister zatoczył łuk nad ogrodzeniem, odwracając się w powietrzu i lądując w samym środku płomieni. Cienki łatwopalny plastikowy pojemnik z ośmioma litrami benzyny. Ułamek sekundy później eksplodował białą ognistą kulą. Wydawało się, że pożar obejmie wszystkie zabudowania. Po chwili ognista kula zmalęła, chociaż płomienie były dwukrotnie wyższe niż wcześniej. Zaczęła płonąć farba, którą pomalowano siding.

Reacher wszedł do prelude, włączył silnik, niezdarnie zawrócił i wrócił tą samą drogą, którą przybył. Zepsuty tłumik wydał donośny ryk. Reacher miał nadzieję, że Dixon i O'Donnell go usłyszą, gdziekolwiek są. Odjechał trzy przecznice i zaparkował tam, gdzie poprzednio. Stał za civic Neagley, wyłączył silnik i zaczął obserwować rozwój wydarzeń. W oddali, po lewej stronie widział łunę pożaru. Obłoki skłębionego dymu, falujące, podsycane językami ognia. Porządny pożar, który z każdą minutą stawał się coraz gorszy. Imponujący widok.

Uniósł w dłoni wyobrażoną butelkę z koktajlem Mołotowa. Później rozparł się na siedzeniu, czekając na straż pożarną.

73

Straż przyjechała po czterech minutach. Widać system alarmowy New Age był połączony z posterunkiem policji. Reacher pomyślał, że wymagał tego Pentagon, podobnie jak budki wartownika przy bramie. Po prawej stronie z oddali dobiegło go słabe basowe

wycie syren, a po chwili na horyzoncie ujrzał migające niebieskie światła. Zauważył, że Neagley uruchomiła samochód i włączyła bieg. Zrobił to samo. Czekali. Dźwięk syren narastał. Na ruchliwych skrzyżowaniach zamieniał się w obłądny nieprzerwany ryk, by po chwili powrócić do przerywanego ujadania. Niebieskie światła stały się bardziej wyraźne. Neagley ruszyła z pobocza. Reacher za nią. Zatrzymała się na linii stopu i czekała. Wozy straży pożarnej były w odległości jednej przecznicy od nich, zbliżały się szybko, trąbiąc i migając światłami. Neagley wystartowała, skręcając w lewo tuż przed kolumną. Reacher za nią. Z piskiem opon, o kilka metrów przed pierwszym wozem. Syreny ryknęły gniewnie. Neagley jechała tak kilkaset metrów. Jedna przecznica. Druga. Przecznica New Age. Pędziła wzdłuż przedniego ogrodzenia. Reacher cały czas za nią. Syreny ryczały jak oszalałe. Nagle Neagley zjechała na pobocze jak praworządny obywatel. A Reacher za nią. Wozy strażackie skręciły w lewo, mijając ich z rykiem. Później raptownie zahamowały i naszyły przez bramę New Age. Wszystkie trzy. Pełna obsada remizy. Priorytetowy klient.

Brama New Age zaczęła się odsuwać. Alarm przeciwpożarowy jest lepszy od każdej przepustki czy dokumentu. Neagley skręciła w boczną uliczkę, wyskoczyła z samochodu i ruszyła pędem w ciemności. Reacher cały czas za nią. Przebiegli drogę i dopadli bramy w chwili, gdy ostatni wóz zwalniał, aby wykonać skręt. Trzymali się lewej strony, niewidocznej od strony budki wartownika. Z daleka od ognia. Z daleka od centrum uwagi. Biegli pędem, aby nadążyć za kolumną, kryjąc się w cieniu wozu strażackiego mijającego bramę. Syreny w dalszym ciągu wyły. Silnik pracował na pełnych obrotach. Ogłuszający efekt. Ponad płomieniami buchał dym, ostry i gryzący w nocnym powietrzu. Neagley wykonała raptowny skręt w lewo i ruszyła wzdłuż ogrodzenia. Reacher pobiegł przez trawę. Gnał z całych sił przez dziesięć długich sekund, a następnie padł na ziemię, przywierając twarzą do ziemi.

Minutę później podniósł głowę.

Od płomieni dzieliło go sześćdziesiąt metrów. I trzy wozy strażackie. Ogromne, hałaśliwe, migające niebieskimi reflektorami, błyskające światłami na dachu. Za nimi widział płomienie i biegających ludzi. Ochroniarzy New Age. Stali przy ogrodzeniu, próbując ustalić, kto spowodował pożar lub co. Wokół uwijali się strażacy, wyciągając sprzęt i rozwijając węże.

Niezły chaos.

Reacher odwrócił głowę i wyteżył wzrok, próbując przeniknąć ciemności. W odległości dwunastu metrów od siebie spostrzegł jakiś kształt na trawie. Neagley.

Weszli do środka.

Niezauważeni przez nikogo.

Dzielni strażacy z Los Angeles potrzebowali ośmiu minut na ugaszenie pożaru. Przez trzydzieści kolejnych polewali popiół, sporządzali notatki i zabezpieczali miejsce zdarzenia. Cała wizyta trwała trzydzieści dziewięć minut. Pierwszych dwadzieścia Reacher poświęcił na obejrzenie budynków z takiej odległości, na jaką odważył się zbliżyć. Ostatnich dziewiętnaście postanowił przeznaczyć na odczołganie się jak najdalej do tyłu. Kiedy strażacy zakończyli akcję i wyjeżdżali przez bramę, leżał ściśnięty w rogu działki, w odległości stu pięćdziesięciu metrów do centrum akcji.

Najbliżej Reachera był helikopter. W dalszym ciągu stał na środku lądowiska w odległości jakichś siedemdziesięciu metrów od niego. Tuż za nim dostrzegł małe zabudowania. Pomyślał, że to biuro pilota. Dostrzegł faceta w kurtce skórzanej wybiegającego przez drzwi. Za nim w świetle płomieni ujrzał przytwierdzone do ściany mapy i wykresy.

W równej odległości od helikoptera i biura pilota znajdował się parking. Na nim stało sześć ciemnoniebieskich chryslerów, cichych i chłodnych.

Za biurem pilota był drugi mały budynek. Reacher uznał, że to jakiś magazyn. Pozwolili szefowi straży pożarnej na chwilę zajrzeć do środka.

Za nim był główny budynek. Najważniejszy. Hala z linią montażową, w której pracowały kobiety w czepkach pochylone nad laboratoryjnymi stołami. Wokół nadal poruszali się ludzie. Reacher był pewien, że rozpoznał Lamaisona. Po postawie i budowie ciała. Biegał wśród ostatnich dogasających płomieni, wykrzykiwał rozkazy, kierował akcją. Oprócz niego dostrzegł Lennox i Parkera. I pozostałych. Trudno powiedzieć ilu. Było zbyt ciemno i panowało za duże zamieszanie. Reacher uznał, że przynajmniej trzech. Może czterech, a nawet pięciu.

Trzeci z małych budynków znajdował się z dala od pozostałych, w przeciwległym rogu od Reachera. Nikt ani razu nie otworzył jego drzwi ani się do niego nie zbliżył. Lamaison ani żaden z jego ludzi, nie wspominając o strażakach.

Reacher pomyślał, że urządzili w nim więzienie.

Ponownie zamknęli bramę. Skrzydło przesunęło się z głośnym zgrzytem, gdy ostatni wóz strażacki wyjechał na ulicę, a następnie silnie zatrzasnęło, tak że zadrżał drut kolczasty na szczycie. Wartownik nadal siedział na posterunku w budce. Światło nad jego głową kreśliło w mroku miękkie koło o promieniu sześciu metrów, poprzerywane czterema cieniami rzucanymi przez ramę okna.

Ochroniarze w dalszym ciągu przetrząsali teren za główną halą, jakby czegoś szukali. Lamaison urządził krótką odprawę dla czterech z nich. Po chwili podzielił ich na pary i wysłał, aby sprawdzili ogrodzenie. Jedna para w lewo, druga w prawo. Szli wolno, wzdłuż siatki, sprawdzając trawę stopami, patrząc pod nogi, rozglądając się dookoła i badając drut kolczasty. W odległości stu pięćdziesięciu metrów od nich Reacher przewrócił się na plecy i spojrzał w niebo. Za chwilę zapadnie całkowita ciemność. Dym, który w dzień byłby brązowy, teraz przypominał czarną zasłonę. Nie było księżyca ani żadnego światła z wyjątkiem ostatnich gasnących promieni dnia i dalekiego pomarańczowego migotania miasta.

Przewrócił się na brzuch. Ochroniarze szli parami, wolno. Lamaison wrócił do głównego budynku. Parker i Lennox zniknęli. Reacher pomyślał, że są w środku. Obserwował ludzi przeszukujących teren. Najpierw pierwszą, później drugą parę. Poruszali się w dwóch kierunkach. Ci, którzy okrążali plac zgodnie z ruchem wskazówek zegara, przypadli Neagley. Dwaj pozostali należeli do Reachera. Dzielilo ich od niego jeszcze sto pięćdziesiąt metrów. Zajmie im to nieco ponad cztery minuty, gdyby utrzymali dotychczasowe tempo. Koncentrowali się na ogrodzeniu i wewnętrznym pasie oddalonym jakieś pięć metrów od niego. Jakby obchodzili boisko do baseballu. Nie mieli latarek. Sprawdzali teren na wycucie. Musieliby się o coś przewrócić, aby to znaleźć. Reacher odczołgał się sześć metrów od siatki. Znalazł wgłębienie w trawie i przywarł do ziemi. Ziemia niczyja. Działka New Age miała powierzchnię około dwóch akrów. Przeszło osiem tysięcy metrów kwadratowych. Reacher zajmował jedynie dwa z nich. Podobnie jak Neagley. Szansa, że przypadkowo ich odkryją, wynosiła jeden do dwóch tysięcy. Oczywiście, gdyby byli cicho i nie poruszali się.

Reacher nie mógł sobie na to pozwolić.

Zegar w jego głowie odmierzał dwie godziny. Uniósł się na łokciach i wybrał numer komórki Dixon.

74

Lamaison odebrał telefon w odległości stu metrów od niego. Reacher przykrył kciukiem jasne okienko monitora. Wolał nie odzwyzczać oczu od ciemności, nie chciał też, aby przeszukujący działkę podnieśli wzrok i spostrzegli małą pozbawioną ciała twarz skąpaną w dalekiej niebieskawej poświacie. Starał się mówić tak zwyczajnie jak potrafił.

- Stoimy na Dwieścieczterdzieci - powiedział. - Zepsuty wóz zatamował ruch.

- Chrzanisz - warknął Lamaison. - Jesteś w okolicy. Obrzuciłeś mój teren butelkami z koktajlem Mołotowa. - W jego słowach dało się wyczuć wściekłość. Komórka zniekształcała głos, nadając mu poirytowany i przenikliwy ton. Nieco skrzypiący i zdeformowany. Reacher

zasłonił głośnik palcem wskazującym i spojrzał na przeszukujących teren. Niczego nie usłyszeli.

- Jakie koktajle? - zapytał.

- Nie udawaj, przecież słyszałeś!

- Jesteś na autostradzie. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Przestań pieprzyć, Reacher! Jesteś tutaj. To ty wzniciłeś pożar. Jesteś żaloszny. Strażacy ugasili go w pięć minut. Jestem pewien, że widziałeś.

W osiem, pomyślał Reacher. Doceń mnie choć trochę. Nie odpowiedział. Obserwował idących w jego stronę ochroniarzy. Byli jakieś sto dziesięć metrów od niego.

- Wycofuję propozycję - powiedział Lamaison.

- Poczekaj - przerwał mu Reacher. - Zastanawiałem się nad tym, co powiedziałeś. Nie jestem idiotą. Chcę mieć gwarancję, że oni żyją. Przecież mogłeś ich zastrzelić.

- Żyją.

- Udowodnij to.

- Jak?

- Zadzwoń, kiedy przejedziemy korek. Przyrowadzisz ich do bramy.

- Wykluczone. Zostaną tam, gdzie są.

- W takim razie się nie dogadamy.

- Wymyśl pytanie, na które tylko oni znają odpowiedź. Zadamy je i powtórzmy ci odpowiedź.

- Oddzwonię - powiedział Reacher. - Nie gadam przez telefon, gdy prowadzę.

- Nie prowadzisz. Jak brzmi pytanie?

- Zapytaj ich, kim byli, zanim wstąpili do sto dziesiątego oddziału żandarmerii wojskowej. - Po tych słowach rozłączył się i wsunął komórkę do kieszeni.

Tamci byli w odległości jakichś siedemdziesięciu metrów od niego. Reacher przeczołgał się kolejnych dwadzieścia metrów do środka, wolno i ostrożnie, równoległe do ogrodzenia. Gdy to robił, ochroniarze przebyli kolejnych dziesięć metrów. Teraz dzieliło ich zaledwie czterdzieści. Szli wolno, w odległości półtora metra od siebie, przeczesując trawę, sprawdzając ogrodzenie i badając, czy nie zostało uszkodzone.

Reacher dostrzegł światło z przodu głównego budynku. Ktoś otworzył drzwi. Wysoki mężczyzna. Przypuszczalnie Parker. Zamknął za sobą, zawrócił i szybkim krokiem ruszył w kierunku zabudowań znajdujących się w odległości trzydziestu metrów od hali. Otworzył drzwi i wszedł do środka, aby wyjść minutę później, zamykając drzwi.

Więzienie, pomyślał Reacher. Dzięki.

Teraz dzieliło go od tamtych zaledwie dwadzieścia metrów. Sześćdziesiąt stóp, siedemset dwadzieścia cali, jeden i trzynaście setnych procent mili. Szli powoli. Skręcili lekko na ukos i byli teraz jakieś osiem metrów na lewo od Reachera.

Poczuł wibrację telefonu.

Wyciągnął go, osłaniając dłonią. Na monitorze było nazwisko Dixon, czyli dzwonił Lamaison. Parker przyniósł odpowiedź na jego pytanie.

Przecież powiedziałem, że zadzwonię, pomyślał Reacher. Teraz nie mogę gadać. Wsunął komórkę do kieszeni i czekał. Tamci niemal się z nim zrównali. Byli po lewej stronie, w odległości ośmiu metrów od niego. Poszli dalej. Reacher zatoczył półkoło, nie odrywając się od ziemi. Szli jakby nigdy nic. Zatoczył pełne koło i znalazł się za ich plecami. Podniósł się cicho. Stąpał na palcach, wykonując krótkie kroki, aby uniknąć szelestu trawy. Był coraz bliżej. Trzy metry, dwa, półtora. Szedł między nimi. Mężczyźni byli solidnie zbudowani. Mieli około stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu. Jasnowłosi i dobrze umięśnieni. Niebieskie garnitury, białe koszule, krótko ostrzyżone włosy. Szerokie ramiona, grube karki.

Wymierzył pierwszemu potężny prawy prosty w środek karku. Za ciosem kryło się sto trzydzieści kilogramów jego wagi i wiele dni bezsilnej wściekłości. Kark tamtego poleciał do przodu, odrzucając czaszkę w tył, tak że odbiła się od pięści Reachera i opadła, uderzając szczęką w klatkę piersiową. Jak smagnięcie batem. Jak podczas testu zderzeniowego z manekinem - uderzenie rozpedzonej ciężarówki w tył samochodu osobowego. Tamten zwałił się na ziemię. Jego kumpel stanął osłupiały. Reacher zrobił krok w bok i walnął go z byka w twarz. Wiedział, że cios był udany po dźwięku miażdżonych kości, chrząstek i mięśni. Obrażenia były poważne. Mimo utraty przytomności mężczyzna stał przez chwilę nieruchomo, a następnie runął na ziemię.

Reacher przycołgał się do pierwszego, usiadł mu na klatce piersiowej i zamknął dłonią nos, drugą zasłaniając usta. Poczekał, aż się udusi. Nie trwało to długo. Mniej niż minutę. Później zrobił to samo z jego kumplem. Kolejna minuta.

Sprawdził kieszenie. Pierwszy miał komórkę, pistolet i portfel pełen drobnych i kart kredytowych. Reacher zabrał broń i gotówkę, zostawił komórkę i karty kredytowe. Pierwszy facet miał dziewięćdziesięciu milimetrowego SIG-a P226. Pieniądzy było niecałych dwieście dolarów. Drugi facet miał następny telefon, następnego SIG-a i następny portfel.

I ceramiczny kastet O'Donnella.

W kieszeni marynarki. Nagroda za dobrą robotę w szpitalu lub skradziona pamiętka. Łup wojenny. Reacher wsunął kastet do kieszeni i zatknął pistolety za pas. Pieniądze włożył

do tylnej kieszeni. Otarł dłonie o marynarkę tamtego i szybko odczołgał się w bok, nie odrywając ciała od ziemi. Podniósł głowę, wypatrując w ciemności Neagley. Z miejsca, w którym się kryła, nie dolatywał żaden dźwięk. Nic. Nie martwił się. Wynik nocnego starcia pomiędzy Neagley a dwoma ochroniarzami był tak pewny jak to, że słońce zajdzie na zachodzie.

Znalazł kolejne wgłębienie w trawie, oparł się na łokciach i wyciągnął telefon. Wybrał numer Dixon.

- Gdzie jesteś, do diabła? - warknął Lamaison.

- Powiedziałem ci. Nie odbieram, gdy prowadzę.

- Nie prowadzisz.

- W takim razie dlaczego nie odebrałem?

- Nie mam pojęcia - odparł Lamaison. - Gdzie jesteś?

- Blisko.

- Dixon mówi, że zanim trafiła do sto dziesiątej służyła w pięćdziesiątym trzecim oddziale żandarmerii wojskowej. O'Donnell był w sto trzydziestym pierwszym.

- W porządku - odpowiedział Reacher. - Odezwę się za dziesięć minut. Gdy przyjedziemy.

Rozłączył się i usiadł po turecku na ziemi. Otrzymał dowód, że żyją. Sęk w tym, że żadna z odpowiedzi nie była prawdziwa.

75

Czołgał się w trawie, wypatrując Neagley w ciemności. Szybko pokonał pięćdziesiąt metrów, lecz zamiast Neagley znalazł ciało. Wpadł prosto na nie. Najpierw poczuł rękę, później kolana. Ciało mężczyzny. Prawie zimne. Niebieski garnitur, biała koszula. Skręcony kark.

- Neagley? - wyszeptał.

- Tutaj - odpowiedziała przyciszonym głosem.

Była dwadzieścia metrów dalej. Leżała na boku, podpierając się łokciem.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Nic mi nie jest.

- Gdzie jest drugi?

- Za tobą. Po prawej.

Odwrócił się. Facet podobny do poprzedniego. Ten sam garnitur, taka sama koszula. Takie same obrażenia.

- Były problemy?

- Żadnych - odparła. - W dodatku załatwiłam to ciszej niż ty. Słyszałam, jak uderzyłeś jednego z nich głową.

Stuknęli się pięściami w ciemnościach. Dawny rytuał. Neagley nie tolerowała bliższego kontaktu fizycznego.

- Lamaison myśli, że jesteśmy na zewnątrz i obserwujemy go - powiedział Reacher. - Zaproponował układ. Chce nas wykołować. Jeśli się poddamy, zamkną nas gdzieś na tydzień, a później wypuszczą, gdy sprawa przycichnie. - Chyba nie sądzi, że w to uwierzymy.

- Jeden z moich miał kastet O'Donnella.

- To zły znak.

- Myślę, że żyją. Poprosiłem, aby dostarczył mi dowód. Przekazał ich odpowiedź na pytanie, które zadałem. Dixon powiedziała, że przed wstąpieniem do sto dziesiątego służyła w pięćdziesiątym trzecim oddziale żandarmerii. O'Donnell, że był w sto trzydziestym pierwszym.

- To kit. Nie było pięćdziesiątego trzeciego, a Dave trafił do nas zaraz po szkole oficerskiej.

- Chcieli nam coś przekazać - powiedział Reacher. - Pięćdziesiąt trzy to liczba pierwsza. Karla wiedziała, że to zauważę.

- I co?

- Pięć i trzy to osiem. Informuje nas, że tamtych jest ośmiu.

- Załatwiliśmy czterech. Został Lennox, Parker, Lamaison i jeszcze jeden. Kto?

- To wiadomość od Dave'a. Zawsze wołał słowa od liczb. Jeden-trzy-jeden. Trzynasta i pierwsza litera alfabetu.

- „M” i „A”.

- Mauney - powiedział Reacher. - Jest z nimi Curtis Mauney.

- Znakomicie - rzekła Neagley. - Nie będziemy musieli go tropić.

Ponownie uderzyli się pięściami. Nagle zadzwoniły komórki. Głośny, przesywający, natrętny dźwięk. Dwie naraz. Dwa różne dzwonki. Brak synchronizacji. W kieszeni tamtych dwóch. Przełączone w tryb konferencyjny. Lamaison próbował nawiązać kontakt ze zwiadem.

Coś nieprzewidzianego.

Telefony zadzwoniły sześć razy i umilkły. Ponownie zapadła cisza

- Co byś zrobiła, gdybyś była Lamaisonem? - zapytał Reacher.

- Wysłałabym kilku ludzi, aby przejechali się chryslerami po terenie. Kazałabym, aby włączyli światła i przeprowadzili krótki zmotoryzowany patrol. Wytropiłabym nas w minutę.

Reacher skinął głową. Dla człowieka działka New Age była duża. Dla samochodu niewielka. Dla kilku samochodów - wręcz maleńka. W ciemnościach mogli się czuć bezpiecznie. W promieniach ksenonowych reflektorów czuliby się jak w kulistym akwarium. Wyobraził sobie samochody podskakujące na nierównym gruncie i siebie osaczonego przez światła reflektorów. Miotającego się w prawo i w lewo, zasłaniającego oczy. Jeden samochód go ścigał, a dwa inne zajeżdżały mu drogę.

Spojrzał na ogrodzenie.

- Masz rację - powiedziała Neagley. - Ogrodzenie zatrzymuje nas w środku tak jak zatrzymywało na zewnątrz. Przypominamy dwie bile na stole bilardowym. Za chwilę ktoś zapali światło i wpadnie na ten sam pomysł.

- Co zrobimy, jeśli nas nie znajdą?

- Jak to możliwe?

- Przyjmijmy to na próbę.

- Wpadną w panikę.

- I co dalej?

- Zabiją Karłę i Dave'a, a później gdzieś się przyczają. Reacher skinął głową.

- Jestem podobnego zdania.

Wstał i zaczął biec. Neagley ruszyła za nim.

76

Reacher popędził w kierunku helikoptera. Helikopter stał w odległości sześćdziesięciu metrów od nich, duży, biały i błyszczący w nocnej poświacie miasta. Neagley biegła cierpliwie u jego boku. Reacher nie był szczególnie dobrym sprinterem. Wolny i ociężały. W kieszeniach pobrzękiwały mu różne przedmioty. Każdy sportowiec akademicki pokonałby taki dystans w sześć lub siedem sekund. Neagley przebiegłaby go w osiem. Reacherowi zajęło to niemal piętnaście. W końcu dobiegł do niego. Dopadł helikoptera w chwili, gdy otworzyły się drzwi głównej hali. W smudze światła dostrzegli mężczyzn wybiegających na zewnątrz. Reacher skoczył w lewo, chowając się za kadłubem maszyny. Neagley skuliła się u jego boku. Trzej faceci ruszyli pędem w stronę parkingu. Parker i Lennox. I Lamaison. Spieszyli się. W miarę jak się poruszali, Reacher i Neagley okrążali bella. Zgodnie z ruchem wskazówek zegara, dotykając helikoptera koniuszkami palców i wykorzystując go jako osłonę. Maszyna była chłodna i wilgotna od nocnej mgły jak samochód zaparkowany na ulicy. Oślizgła. Pachniała olejem silnikowym i paliwem lotniczym.

W odległości trzydziestu metrów od nich uruchomiono trzy chryslery. Pomruk trzech ośmiocyndrowych silników przerwał panującą ciszę. Usłyszeli odgłos trzech przełączanych skrzyń biegów. Ciemność rozproszyły trzy pary reflektorów. W panującym mroku wydawały się niewiarygodnie jasne. Przenikliwe, twarde, o nieskazitelnie białej barwie. Później sytuacja jeszcze się pogorszyła. Po kolei włączyli długie światła. Zajaśniały kolejne reflektory. Kiedy mszyli, ogromne snopy oślepiającego światła zaczęły się kołysać. Reacher i Neagley obeszlili długi nos helikoptera i przyłgnęli do drugiej strony kadłuba. Chwilę później samochody się rozdzieliły, raz po raz zmieniając kierunek.

Znaleźli czterech zabitych w ciągu dziesięciu sekund.

Chryslery zwolniły i zatrzymały się w odległości pięćdziesięciu metrów od siebie. Jeden stanął tam, gdzie była Neagley, drugi tam, gdzie Reacher. Reflektory przestały się poruszać. Cztery ciała utworzyły cztery długie groteskowe cienie. Trzy postacie wyskoczyły na zewnątrz i przesunęły się z oświetlonego pola w mrok.

- Nie możemy tu zostać - powiedziała Neagley. - Gdy będą wracać, oświetlą nas jak scenę w Hollywood Bowl.

- Ile mamy czasu?

- Muszą starannie obejrzeć ogrodzenie. Jakies cztery minuty.

- Zaczynaj liczyć - polecił Reacher. Odepchnął się od kadłuba i mszył w kierunku głównego budynku. Czterdzieści metrów w dziesięć sekund. Drzwi były otwarte. Światła zapalone. Zatrzymał się, aby po chwili wejść do środka. Bardzo cicho, z ręką na rękojeści glocka. Nie zauważył nikogo. Miejsce sprawiało wrażenie opuszczonego. Po prawej stronie dostrzegł małe pomieszczenia biurowe, a po lewej dużą halę za ogromną szybą sięgającą od podłogi do sufitu. W hali stały długie stoły montażowe. Pod sufitem biegła płatanina przewodów wentylacyjnych usuwających kurz, a na posadzce leżała uziemiona metalowa krata chroniąca przed ładunkami statycznymi. Przesuwane drzwi w szklanej ścianie były otwarte. Powietrze wydostające się na zewnątrz pachniało ciepłą krzemową płytą. Jak nowy telewizor.

Biura z prawej strony były boksami o wymiarach trzy na trzy metry. Z przegrodami sięgającymi głowy i drzwiami. Na jednych z nich widniała tabliczka z napisem „Edward Dean”. Inżynier konstruktor. Na sąsiednich, „Margaret Berenson”.

Smoczyca. Prowizoryczny gabinet, aby można było załatwić na miejscu sprawy kadrowe bez konieczności ściągania ludzi do szklanego biurowca w południowym Los Angeles. Następne drzwi prowadziły do gabinetu Tony’ego Swana. Ta sama zasada. Dwa miejsca pracy, dwa biura.

Kolejne należały do Allena Lamaisona.

Były otwarte.

Reacher odetchnął głębiej. Wyciągnął glocka. Stał w progu i zamarł. Ujrzał wnętrze boksu. Biurko, krzesło, tapetę, telefony, szafki z dokumentami, sterty papierów i pism.

Nic niezwykłego czy niewłaściwego.

Z wyjątkiem Curtisa Mauneya siedzącego za biurkiem.

I walizki stojącej przy ścianie.

Neagley wsunęła się do środka.

- Minęło sześćdziesiąt sekund - oznajmiła.

Mauney nawet nie drgnął. Spoglądał na nich z wyrazem obojętnej rezygnacji jak człowiek, który usłyszał złą diagnozę i czeka na kolejną, choć wie, że nie będzie bardziej pomyslna od pierwszej. Oparł dłonie na blacie. Splecione palce przypominały parzące się kraby.

- Lamaison był moim partnerem - powiedział. Reacher skinął głową.

- Lojalność bywa paskudna, prawda?

Ciemnoszara plastikowa walizka Samsonite stała równo przy ścianie tuż obok biurka. Reacher widywał większe. Nie przypominała gigantycznego bagażu, z jakim niektórzy pasażerowie uzerają się na lotnisku. Ale nie należała do małych. Nie można jej było zaliczyć do bagażu podręcznego. W niewielkim wgłębieniu obok zamków dostrzegł inicjały. „AM”.

- Siedemdziesiąt dwie - powiedziała Neagley.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Mauney.

- Z tobą? Na razie nic. Wyluzuj.

Neagley wycelowała pistolet w twarz Mauneya, a Reacher uklęknął i rozłożył walizkę na dywanie. Dotknął zamków. Zamknięte. Odłożył glocka. Chwycił zamki w palce wskazujące i kciuki, napiął ramiona i pociągnął. Reacher przeciwko dwóm cienkim metalowym zasuwkom. Nie było o czym mówić. Pękły w jednej chwili. Podniósł wieko.

- Minęło osiemdziesiąt sekund - odparła Neagley.

- Dzień wypłaty - rzekł Reacher.

W walizce były akcje zagranicznych banków oraz małe ściągane tasiemką woreczki z zamszu. Ciężkie w dłoni.

- Sześćdziesiąt pięć milionów dolarów - powiedziała Neagley, zaglądając mu przez ramię.

- Właśnie tak sobie pomyślałem - przytaknął Reacher.

- Dziewięćdziesiąt sekund - poinformowała Neagley. Reacher odwrócił głowę, spojrzał na Mauneya i zapytał:

- Ile należy do ciebie?

- Trochę. - Wzruszył ramionami. - Niewiele. Reacher wyrównał papiery i podał je Neagley. Następnie woreczki. Neagley wetknęła to wszystko do kieszeni. Odstawił walizkę tam, gdzie stała. Płasko na podłodze. Pustą. Z otwartym wiekiem niczym małą. Podniósł pistolet, wstał i odwrócił się do Mauneya.

- Mylisz się - oznajmił. - Nie dostaniesz nic.

- Minęły dwie minuty - przypomniała Neagley.

- Są tu twoi przyjaciele - powiedział Mauney.

- Wiem.

- Lamaison był moim partnerem.

- Już to mówiłeś.

- Wiem.

- Znali cię tu?

- Bywałem tu wcześniej. Wiele razy.

- Podnieś słuchawkę.

- A jeśli tego nie zrobię?

- Zastrzelę ich.

- I tak to zrobisz.

- Powinienem. Wydałeś sześciu moich przyjaciół. Mauney skinął głową.

- Wiedziałem, jak to się skończy - westchnął - kiedy nie dostaliśmy cię w szpitalu.- To przez korki - wyjaśnił Reacher. *Korki potrafią człowiekowi dopiec do żywego.*

- Pójdiesz na układ? - zapytał Mauney.

- Podnieś słuchawkę.

- I co?

- Powiedz strażnikowi, aby otworzył bramę dokładnie za minutę.

Mauney zawahał się. Reacher przystawił mu lufę glocka do skroni. Mauney podniósł słuchawkę. Wybrał numer. Reacher zaczął nasłuchiwać. Usłyszał sygnał, odgłos chryslerów przeczesujących teren w odległości stu metrów od nich i stłumiony dźwięk dzwonka dobiegający z budki wartownika czterdzieści metrów dalej.

Odebrał.

- Mówi Mauney. Za minutę otwórz bramę. - Odłożył słuchawkę na widełki. Reacher odwrócił się do Neagley.

- Jestem twoim dowódcą? - zapytał.

- Tak, jesteś nim.

- W takim razie posłuchaj. Kiedy otworzy bramę, pobiegniemy do naszych samochodów i odjedziemy stąd jak najszybciej.

- A później?

- Później tu wrócimy.

- Zdążymy? Reacher skinął głową.

- Zdążymy, jeśli będziemy działać szybko. Tamci siedzą już w samochodach, dlatego trzeba się będzie postarać. Jesteś szybsza, więc pobiegnę z tyłu. Nie czekaj na mnie. Nawet się nie oglądaj. Nie możemy stracić ani sekundy. Żadne z nas.

- Zrozumiałam. Minęły trzy minuty.

Reacher chwycił Mauneya za kołnierz i postawił na nogi. Wyciągnął go zza biurka i wyprowadził z boksu. Przez hol do głównej hali. Przez drzwi na dziedziniec. W noc. Poczul silną woń mokrego popiołu. Trzy chryslery krążyły w oddali, zataczając małe koła. Światła reflektorów kreśliły przypadkowe wzory na ogrodzeniu, jak szperacze w jakimś więziennym dramacie.

- Poczekaj na sygnał - powiedziała Neagley.

Obserwował bramę. Zauważył, że strażnik się poruszył. Skręcony drut na szczycie bramy zdrzął. Usłyszał bolesny skrzyp kół na metalowej szynie. Brama zaczęła się przesuwać. Przyłożył glocka do skroni Mauneya i nacisnął spust. Czaszka eksplodowała, a Neagley i Reacher ruszyli pędem do wyjścia, jak sprinterzy, którzy wystartowali z bloku.

Neagley wyprzedziła go już po pół kroku. Reacher stanął w miejscu i obserwował, jak biegnie. Przemknęła przez krąg światła w pobliżu budki wartownika, wykonała unik, omijając poruszającą się bramę i wybiegła na ulicę. Stracił ją z oczu.

Odwrócił się i pobiegł w przeciwną stronę. Piętnaście sekund później był w miejscu, od którego zaczął. Za długim nosem bella.

77

Może widzieli Neagley i pomyśleli, że Reacher pobiegł przed nią. A może zobaczyli jedynie poruszającą się bramę lub usłyszeli jej zgrzyt. Z pewnością słyszeli strzał. Może dopowiedzieli sobie resztę. W każdym razie chwycili przynętę. Zareagowali natychmiast. Trzy samochody ryknęły, zawróciły i ruszyły w stronę ulicy, gwałtownie przyspieszając. Zostawiały za sobą obłoki spalin i wyrzucały ziemię spod kół. Przemknęli przez bramę, jakby

samochody były podrasowane na wyścigi. Reflektory oświetliły ulicę, powodując, że stało się widno jak w dzień.

Patrzył, jak odjeżdżają.

Począł, aż ponownie zapadną ciemności, aż ucichnie zgiełk. Policzył do dziesięciu, wolno posuwając się wzdłuż prawej burty bella. Zignorował drzwi do kokpitu. Minał je i położył dłoń na klamce tylnych drzwi.

Spróbował.

Nie były zamknięte.

Spojrzał przez ramię na domek pilota. Żadnego ruchu. Nacisnął. Zasuwa się poruszyła. Otworzył drzwi. Były szerokie, lekkie i tandetne. Jak drzwi vana. Spodziewał się czegoś zupełnie innego, może ciężkich pneumatycznie otwieranych drzwi samolotu rejsowego.

Otworzył je na szerokość pół metra, zajrzał, a następnie wskoczył do środka. Przyciągnął drzwi, zamarł na chwilę, a następnie zamknął jednym zdecydowanym ruchem. Przykucnął i wyjrzał przez okno, obserwując budkę wartownika. Żadnej reakcji.

Odwrócił się i uklęknął w kabine. W środku beli przypominał powiększonego minivana. Był nieco szerszy i nieco dłuższy od samochodu, którym w telewizyjnych reklamówkach jeździ typowa amerykańska matka mająca dzieci w wieku szkolnym. Nieco mniej pudełkowaty. Z nieco wyraźniej zarysowanymi konturami. Węższy z przodu, szerszy na wysokości podłogi, ciaśniejszy na wysokości głowy, węższy z tyłu. Ma siedem miejsc. Dwa w kokpicie, trzy w środku i dwa z tyłu. Brakowało środkowego rzędu. Masywne wysokie fotele lotnicze były obite czarną skórą, miały zagłówki i oparcia na ręce, a także pasy bezpieczeństwa. Do połowy wysokości kabine obito czarną wykładziną dywanową. Powyżej pokryto czarnym pikowanym włóknem winylowym. Korporacyjny szyk, chociaż lekko przestarzały. Pomyślał, że pewnie wzięli helikopter w leasing. We wnętrzu unosiła się słaba woń paliwa lotniczego.

Za tylnymi siedzeniami było trochę miejsca. Na ładunek, pomyślał. Przestrzeń bagażowa. Jak w minivanie. Niezbyt dużo miejsca, ale wystarczy. Odszukał rączki i pochylił tylne siedzenia do przodu. Przeszedł do tyłu i usiadł na podłodze. Bokiem, z wyprostowanymi nogami i zgarbionymi plecami przyciśniętymi do przegrody. Wyciągnął zdobyczne SIG-i i ułożył na podłodze przy kolanach. Pochylił się do przodu i wyprostował fotele. Następnie skulił się, aby sprawdzić, czy zdoła ukryć głowę.

Chyba tak, pomyślał.

Ponownie podniósł głowę. Okna kabiny pokrywała rosa. Były ciemne, szare, bez wyrazu. Jak ekran wyłączonego telewizora. Na zewnątrz nic się nie działo. Do środka docierały jedynie przytłumione dźwięki. Najwyraźniej dywan i winylowe poszycie zapewniały dźwiękoszczelność.

Pięć minut.

Dziesięć.

Nagle zamglone szyby zajaśniały. Reacher ujrzał poruszające się jasne światła i cienie. Samochody. Wracali. Trzy pary reflektorów kołyszących się i krążących wokół. Światła przez chwilę przesuwaly się po szybie, a następnie zamarły. Sekundę później zgasły. Samochody ponownie znieruchomiały na parkingu.

Wyteżył słuch.

Nie słyszał niczego z wyjątkiem wolnych kroków i niskich głosów. Nie triumfujących, lecz zaniepokojonych. Nieomylny znak klęski.

Tym razem się nie udało.

Czekał.

78

Czekał coraz bardziej zziębnięty i zdrętwiały od nieruchomego siedzenia. Wyobraził sobie scenę, która rozgrywa się czterdzieści metrów dalej. Zwłoki Mauney a w drzwiach, pusta walizka Samsonite w biurze. Gorączkowa rozmowa, nerwowe chodzenie po pokoju, lęk, zagubienie, obawy. Jego twarz znajdowała się w odległości kilku centymetrów od oparcia fotela. Dobiegał go zapach skóry. Normalnie odczuwałby duży dyskomfort. Nienawidził przebywania w zamknięciu. Cierpiał na klaustrofobię. Teraz miał jednak co innego na głowie.

Czekał.

Długich dwadzieścia minut.

Nagle ktoś otworzył przednie drzwi i helikopter przechylił się do przodu. Podwozie się ugięło i powróciło do równowagi. Ktoś wspiął się na pokład. Zamknął drzwi. Fotel zaskrzypiał. Usłyszał dźwięk zapinanych pasów. Kliknięcie przełączników. Kilkanaście zegarów rozbłysło słabym pomarańczowym światłem, rzucając cienie na sufit. Pompa paliwowa drgnęła i zaczęła terkotać. Reacher pochylił się do przodu i przysunął głowę, tak aby oko znalazło się w przerwie między fotelami. Ujrzał rękaw skórzanej kurtki pilota. Nic więcej. Wszystko inne zasłaniał masywny fotel. Ręka tańczyła wśród przełączników, dotykała przycisków, jakby facet dokonywał sprawdzenia maszyny przed lotem. Mówił do siebie, cicho recytując długą listę technicznych parametrów niczym zaklęcia. Reacher cofnął głowę.

Później rozległ się przeraźliwie głośny dźwięk.

Coś pomiędzy wystrzałem z pistoletu a krótką eksplozją sprężonego powietrza. Mechanizm startowy wymuszający obrót wirnika. Podłoga zadrżała. Chwilę później odezwały się silniki, zgrzytnęły przekładnie i płyty zaczęły leniwie wirować. Moment obrotowy powodował, że maszyna kołysała się i bujała na kołach. Delikatnie i rytmicznie. Jakby tańczyła. Kabinę wypełniło głośne dudnienie. Wał napędowy wirował nad głową. Na zewnątrz wyła rura wydechowa, wydając wysokie i ostre tony. Reacher wepchnął lufy zdobycznych SIG-ów pod nogi, aby nie kołysały się i nie stukały o siebie. Wyciągnął z kieszeni glocka i położył go u boku.

Czekał.

Minutę później ktoś otworzył z hukiem tylne drzwi. Uderzyła go fala jeszcze większego hałasu, a po nim ostra woń paliwa lotniczego. Po paliwie lotniczym przyszła kolej na Karłę Dixon. Reacher lekko przesunął głowę i ujrzał, jak pada na podłogę. Najpierw głową jak kłoda. Przewróciła się na bok, w drugą stronę. Skrępowali jej nadgarstki i kostki sznurem z sizalu. Ręce związali za plecami. Ostatni raz widział ją w pozycji horyzontalnej na swoim łóżku w Vegas.

Dwie minuty później wtaszczyli O'Donnella. Stopami do przodu. Był wyższy i cięższy, więc wylądował z większym hukiem. Związali go tak samo jak Dixon. Leżał obok niej, z nogami przy jej głowie. Przypominali drewniane kloce. Poruszali się nieznacznie, próbując rozerwać sznur.

Helikopter zakołysał się ponownie. Na pokład weszli Lennox i Parker. Zatrzasnęli drzwi i usiedli w tylnych fotelach. Fotel przed Reacherem cofnął się tak, że skóra dotknęła jego policzka. Wcisnął głowę w róg kabiny, szorując krótko przystrzyżonymi włosami o dywan.

Płyty wirnika krążyły leniwie.

Zawieszenie opadało i podnosiło się, w górę, w dół. Lewy przedni róg, prawy tylny. Kilka centymetrów, jakby tańczyło. Reacher czekał.

Ktoś otworzył drzwiczki z prawej strony pilota. W fotelu usadowił się Lamaison, dając znak, że mogą startować. Turbiny ryknęły. Kabina zaczęła drżeć. Dźwięk wirującego śmigła przeszedł w wysokie tony. Reacher poczuł, że maszyna lekko drgnęła na kołach.

Helikopter oderwał się od ziemi.

Reacher miał wrażenie, że podłoga się unosi. Usłyszał dźwięk chowanego podwozia. Stopniowo nabierali wysokości. Później podłoga pochyliła się do przodu, gdy pilot opuścił nos, by przyspieszyć. Reacher oparł się o ścianę kabiny, aby nie runąć na tylne fotele. Ryk

silnika zamienił się w stłumione wycie. Reacher poczuł kołysanie typowe dla śmigłowca transportowego. Wylatał swoje wojskowymi helikopterami, często siedząc na podłodze.

Nic nowego.

Jak na razie.

79

Na podstawie zegara w swojej głowie ustalił, że podróż trwała dokładnie dwadzieścia minut. Tyle, ile oczekiwał. Pomyślał, że nowoczesne śmigłowce używane przez biznesmenów poruszają się nieco szybciej niż wojskowe hueye, z którymi miał do czynienia w armii. AH-1 potrzebowałby ponad dwudziestu minut, aby pokonać góry, więc dwadzieścia minut w zupełności wystarczy maszynie z dywanem i skórzanymi fotelami.

Przesiedział całą drogę z nisko pochyloną głową. Zwierzęcy instynkt liczący miliony lat, nadal obecny w zachowaniu psów i dzieci. „Jeśli ich nie widzę, oni też nie mogą mnie zobaczyć”. Co jakiś czas nieznacznie przesuwał ręce i nogi, napinając i rozluźniając mięśnie, jakby wykonywał jakieś dziwaczne ćwiczenia. Nie było mu zimno, lecz nie chciał zeszywnieć. W kabinie panował duży hałas, ale dawało się wytrzymać. Ryk silnika zanikał w strumieniu zaśmigłowym. Hałas wirujących płatów mieszał się z szumem pędzącego powietrza i można go było zignorować. Tamci nie rozmawiali. Nie dyskutowali o niczym. Żaden nie odezwał się ani słowa.

Dopóki trwająca dwadzieścia minut podróż nie dobiegła końca.

Reacher poczuł, że helikopter zwalnia. Podłoga ustawiła się poziomo, a następnie przechyliła lekko do tyłu. Maszyna wykonała niewielki skręt w lewo niczym koń ściągnięty lejcami na westernie. Hałas w kabinie nasilił się. Lecieli wolno, słysząc ryk silnika.

Pochylił się do przodu i spojrzał przez otwór między fotelami. Lamaison dotknął czołem szyby. Po chwili zmienił kierunek i przysunął się do pilota. Słyszał jego słowa. A może tylko je sobie wyobrażał. Tysiące razy odtwarzał te rozkazy w swojej głowie od czasu, gdy kilka dni temu zapoznał się z teczką Franza. Miał wrażenie jakby znał je słowo w słowo, w całym ich nieuchronnym okrucieństwie.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Lamaison. W głowie Reachera, a może również w rzeczywistości.

- Nad pustynią - odpowiedział pilot.

- Co jest pod nami?

- Piasek.

- Jaką mamy wysokość?

- Dziewięćset metrów.
- Ruchy powierza?
- Minimalne. Prądy termiczne. Żadnego wiatru.
- Jest bezpiecznie?
- Pod względem aeronautycznym, tak.
- Zaczynamy.

Reacher poczuł, że helikopter zawisł w powietrzu. Dźwięk silnika przybrał niski ton, słycać było głośne obroty wirnika. Podłoga drgała jak wirująca pokrywka, która za chwilę stanie. Lamaison odwrócił się i skinął głową w kierunku Parkera i Lennox. Reacher usłyszał kliknięcie rozpinanych pasów i poczuł, że fotele przed nim stały się lekkie. Skórzane poduszki odetchnęły, zmęczone sprężyny rozsunęły się, przesuwając oparcie kilka cennych centymetrów dalej od jego twarzy. Paliły się jedynie słabe pomarańczowe światełka zegarów w kokpicie. Parker był teraz z lewej, a Lennox z prawej strony. Z powodu braku miejsca obaj stanęli w dziwnym półprzysiadzie, z ugiętymi kolanami i pochyloną głową. W rozkroku i ramionami wysuniętymi do przodu, aby utrzymać równowagę na poruszającej się podłodze. Jeden z nich umrze szybko, drugi będzie umierał powoli.

Wszystko zależało od tego, który otworzy drzwi.

Wypadło na Lennox.

Mężczyzna odwrócił się i chwycił lewą ręką pas bezpieczeństwa. Następnie wyciągnął prawą rękę, sięgając klamki. Odblokował i nacisnął. Drzwi otworzyły się do połowy. Do kabiny wdarł się podmuch zimnego powietrza i fala hałasu. Pilot odwrócił się, obserwując go przez ramię. Lekko przechylił maszynę, aby drzwi otworzyły się na całą szerokość, a następnie wyrównał, wprawiając śmigłowca w wolny ruch obrotowy zgodny z ruchem wskazówek zegara, tak aby pozycja śmigłowca, siła bezwładności i ciśnienie powietrza utrzymywały drzwi nieruchomo.

Lennox odwrócił się. Duży mężczyzna o czerwonej, nalanej twarzy. Przykucnął jak mała, zaciskając lewą rękę na pasie bezpieczeństwa, a prawą balansując w powietrzu niczym człowiek na lodzie.

Reacher pochylił się do przodu, lewą ręką szukając dźwigni fotela. Oparł kciuk poniżej sworznia i nacisnął urządzenie dwoma palcami. Oparcie fotela poleciało do przodu. Użył lewej ręki, aby umieścić je w pozycji poziomej. Przytrzymał. Poduszki wykonały ponowny wydech. Wyciągnął glocka i położył prawą rękę na złożonym oparciu. Przymknął jedno oko i wycelował pięć centymetrów powyżej pępka Lennox.

Nacisnął spust.

Huk wystrzału został stłumiony przez hałas panujący w kabinie. Można go było usłyszeć, lecz nie tak wyraźnie jak w bibliotece. Kula trafiła tamtego w środek tułowia. Reacher pomyślał, że pewnie przeszła na wylot. To nieuniknione, jeśli człowiek strzela z dziewięćmilimetrowego pistoletu z odległości półtora metra. Chociaż Reacher nie odczuwał lęku przed lataniem, wołał nie zniszczyć maszyny. Właśnie dlatego wybrał Lennox, a nie Parkera. Kula wymierzona w tułów Parkera mogłaby przejść na wylot i uszkodzić przewód hydrauliczny lub elektryczny. Przez Lennox przeszła i wyleciała na zewnątrz w noc. Niczego nie niszcząc.

Lennox zamarł na chwilę w dziwnym półprzysiadzie. Na jego koszuli pojawił się krąg krwi, który przybrał czarną barwę w przyćmionym pomarańczowym świetle. Puścił pas bezpieczeństwa i zamachał lewą ręką, naśladując mchy prawej. Przykucnął pięć centymetrów od otwartych drzwi. Za nim była pusta otchłań. Na jego twarzy pojawił się grymas przerażenia.

Reacher przesunął lekko glocka i strzelił ponownie. Tym razem kula trafiła w mostek. Pomyślał, że u faceta tak dużego i starego jak Lennox mostek musi mieć grubość około jednego centymetra. Kula z pewnością go przebije, wcześniej jednak roztrzaska kość i pchnie całe ciało do tyłu. Jakby ktoś zadał mu lekki cios, wystarczający, by odrzucić go w tył. Przy strzale w głowę Lennox po prostu osunąłby się na podłogę. W karku znajduje się zbyt wiele stawów, aby strzał w głowę dał efekt, jakiego oczekiwał Reacher.

Jednak to kolana, a nie mostek Lennox, załatwiły sprawę. Mężczyzna przykucnął lekko w pozycji pionowej jak człowiek, który zamierza oprzeć się na piętach. Ponieważ był potężnie zbudowany i ciężki, a na dodatek miał czterdzieści jeden lat, kolana mu zeszytywniały. Ugięły się pod kątem nieco większym niż dziewięćdziesiąt stopni i odmówiły posłuszeństwa. Górna część tułowia przechyliła się do tyłu pod wpływem nagłego opom. Walnął siedzeniem o próg drzwi, a ciężar ramion i głowy spowodował, że zrobił fikołka i zniknął w mroku. Ostatnią rzeczą, jaką widział Reacher, były podeszwy jego butów, w dalszym ciągu oddalone od siebie, wymachujące w ciemności.

Chociaż wszystko trwało niecałe dwie sekundy, Reacher miał wrażenie, jakby w tym czasie minęły dwa życia. Życie Franza i Orozca. Wszystko działo się płynnie i ospale. Reacher znajdował się w dziwnym stanie łaski i udręki, planował kolejne posunięcia, jakby grał w szachy, świadomy wszystkich możliwości, minusów, zagrożeń i okazji. Inni w kabinie nawet nie zdążyli zareagować. O'Donnell leżał zwrócony twarzą do podłogi, próbując unieść głowę na tyle wysoko, aby móc się odwrócić. Dixon usiłowała przekreślić się na plecy. Pilot

zamarł na wpół obrócony w fotelu. Parker zastygł w dziwnym przysiadzie. Lamaison gapił się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą był Lennox, jakby nie mógł zrozumieć, co się stało.

Reacher skoczył.

Opuścił oparcie dmgięgo fotela i wspiał się na niego niczym nocna zjawa. Olbrzym wyrastający znikąd, rzucający duży cień w niespokojnej pomarańczowej poświacie. Zamarł na chwilę nieruchomo, prawie całkowicie wyprostowany, z głową dotykającą sufitu. W dużym rozkroku, aby zachować maksymalną stabilność. W lewej ręce trzymał SIG-a wymierzonego w twarz Parkera, w prawej glocka wycelowanego w Lamaisona. Oba pistolety były nieruchome, twarz Reachera pozbawiona wyrazu. Śmigło wirowało. Bell w dalszym ciągu wykonywał powolne obroty. Drzwi były nadal szeroko otwarte. Huk silnika, wycie wiatru i zapach lotniczego paliwa.

O'Donnell wygiął grzbiet i podniósł głowę na tyle wysoko, aby dostrzec buty Reachera. Na chwilę zamknął oczy. Dixon przewróciła się na plecy, oparła na związanych dłoniach i opadła na drugie ramię, twarzą w kierunku tylnej części kabiny.

Wszyscy zamarli. Pilot, Parker i Lamaison.

Chwila największego zagrożenia.

Reacher nie mógł oddać strzału do przodu. Zbyt duże było prawdopodobieństwo, że uszkodzi jakąś ważną część kokpitu. Nie mógł odłożyć broni, aby rozwiązać O'Donnella i Dixon, ponieważ Parker znajdował się zaledwie półtora metra od niego. Nie mógł go uderzyć, ponieważ brakowało miejsca. O'Donnell i Dixon zajmowali całą podłogę.

Lamaison był nadal przypięty pasami. Podobnie pilot. Gdyby poderwał bella, wszyscy by upadli. Oczywiście musieliby poświęcić Parkera, lecz Reacher nie sądził, aby Lamaison odczuwał wyrzuty sumienia z tego powodu.

Sytuacja patowa.

Gdyby ją wykorzystali, byłoby po nim.

80

Nie połapali się. Nie wykorzystali okazji. Zamiast tego O'Donnell podniósł głowę i stopy, przesuując się kilkanaście centymetrów bliżej Reachera, a Dixon wykonała obrót w przeciwną stronę, robiąc mu trochę miejsca. Reacher postawił nogę między nimi i walnął Parkera w brzuch lufą SIG-a. Ten stracił oddech, zgiął się wpół i wykonał instynktowny krok, stawiając stopę w miejscu, które stworzyli O'Donnell i Dixon. Reacher rzucił się za nim jak torreador. Kopnął go podeszwą w siedzenie i silnie pchnął, posyłając potykającego się na sztywnych nogach Parkera przez otwarte drzwi w noc. Zanim przebrzmiał jego krzyk chwycił

Lamaisona lewą ręką za gardło, mierząc w pilota z SIG-a. Silnie uderzył glockiem w kark Lamaisona.

Później było już łatwiej.

Pilot zamarł w kokpicie. Bell wisiał w powietrzu. Słyszeli uderzenia śmigła. Maszyna wolno obracała się w miejscu. Drzwi były otwarte. Szerokie i zapraszające. Przytrzymywane przez strumień powietrza. Reacher zacisnął łokieć wokół karku Lamaisona, podciągając go w górę i napinając pasy na ramionach. Odłożył glocka na podłogę i wsunął dłoń do kieszeni, szukając kastetu O'Donnella. Chwycił go w palce jak narzędzie i spojrzał za siebie. Wyprostował ramię i przewrócił Dixon na brzuch, a następnie użył krawędzi kastetu do rozcięcia sznura krępującego jej nadgarstki. Napięła ramiona i włókna sizalu zaczęły wolno pękać jedno po drugim. Reacher słyszał wyraźnie każde pęknięcie przez twardy zgrzyt ceramicznego materiału i tępe harmoniczne odgłosy uderzeń. Czasami dwa równocześnie. Lamaison zaczął stawiać opór, więc Reacher napiął łokieć. Chociaż mógł w ten sposób podduścić Lamaisona, zmuszając go do uległości, musiał opuścić pistolet, zamiast mierzyć w głowę pilota. Ten nie miał zamiaru skorzystać z okazji. Nawet nie zareagował. Siedział z rękami na sterach. Nie odrywał stóp od pedałów. Utrzymywał maszynę w mchu obrotowym.

Reacher w dalszym ciągu na ślepo piłował sznurki. Minuta. Dwie. Dixon pomszała ramionami, podsuwając kolejne nitki powrozu i sprawdzając postępy. Lamaison zaczął stawiać coraz silniejszy opór. Był dużym mężczyzną, silnym i dobrze zbudowanym. O grubym karku i szerokich ramionach. Na dodatek wystraszonego. Jednak Reacher był większy, silniejszy od niego i wściekły. Bardziej wściekły, niż Lamaison przerażony. Napiął ramię. Lamaison w dalszym ciągu się szamotał. Reacher przez chwilę zastanawiał się, czy go nie ogłuszyć. Chciał jednak, aby tamten pozostał przytomny, więc nadal mocował się z powrozem. Nagle sznur z sizalu pękł. Dixon uwolniła nadgarstki, odepchnęła się od podłogi i uklękła. Reacher podał jej kastet i swojego glocka, a następnie przełożył SIG-a z lewej ręki do prawej.

Od tej pory było już znacznie łatwiej.

Dixon zrobiła mądrą rzecz. Zignorowała kastet i jak syrena przysunęła się do Lamaisona, by po chwili wyciągnąć z jego kieszeni drugiego SIG-a i sprężynowiec O'Donnella. Dwie sekundy później uwolniła nogi, a po upływie pięciu kolejnych oswobodziła O'Donnella. Oboje byli związani przez wiele godzin i zeszywnieli. Ręce silnie im drżały. Pozostał jedynie pilot. O'Donnell chwycił go za kołnierz i przytknął lufę SIG-a do brody. Nie mógł chybić, choćby nie wiadomo jak drżały mu ręce. Pilot nie miał żadnych szans i

najwyraźniej to pojął. Nie poruszył się. Reacher przytknął SIG-a do ucha Lamaisona i przechylił się w drugą stronę.

- Jaką mamy wysokość? - zapytał pilota. Ten przełknął ślinę i odpowiedział:

- Dziewięćset metrów.

- Wznies się trochę - powiedział Reacher. - Na jakieś półtora kilometra.

81

Zwiększenie pułapu spowodowało, że beli przestał wirować. Drzwi uderzyły kilka razy o kabinę i zatrzasnęły się. Hałas stał się mniej dokuczliwy. W porównaniu z niedawnym harmidrem można było odnieść wrażenie, że zapanowała cisza. O'Donnell w dalszym ciągu trzymał pistolet przy głowie pilota. Reacher nadal przyciskał wygiętego Lamaisona do fotela. Ten wciąż bezskutecznie mocował się z ramieniem Reachera. Nagle dziwnie zobojętniał i zaprzestał walki. Jakby wyczuł, co go czeka, lecz nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Swan też nie mógł w to uwierzyć, pomyślał Reacher. Ani Orozco, ani Franz, ani Sanchez. Poczuł, jak helikopter wznosi się coraz wyżej i wyrównuje. Słyszał odgłosy płatów młócących powietrze. Turbiny ryczały coraz głośniej. Pilot spojrzał na niego i skinął głową.

- Wyżej - powiedział Reacher. - Jeszcze sto metrów. Dźwięk silnika i wirujących płatów ponownie uległ zmianie.

Maszyna uniosła się wolno i precyzyjnie. Lekko skrzyła i ponownie zawisła w powietrzu.

- Tysiąc sześćset metrów - powiedział pilot.

- Co jest pod nami? - zapytał Reacher.

- Pustynia.

Reacher odwrócił się do Dixon i powiedział:

- Otwórz drzwi.

Lamaison odnalazł w sobie więcej sił. Szarpnął się i rzucił na fotelu.

- Błagam, nie - wyjącał. Reacher mocniej zacisnął ramię.

- Czy moi przyjaciele błagali? - zapytał. Lamaison potrząsnął głową.

- Nie zrobiliby tego - powiedział Reacher. - Byli zbyt dumni.

Dixon cofnęła się i chwyciła lewą ręką pas fotela Lennox. Wyciągnęła prawą, poszukała klamki i otworzyła drzwi. Była niższa od Lennox, dlatego musiała się bardziej wyciągnąć. Udało się. Nacisnęła klamkę i silnym ruchem odepchnęła drzwi. Reacher odwrócił się do pilota i powiedział:

- Zaczynj obracać maszynę tak jak przedtem.

Pilot wprawił helikopter w wolny ruch obrotowy. Drzwi otworzyły się na całą szerokość. Do wnętrza wdarło się lodowate powietrze i ogłuszający hałas. Na horyzoncie pojawiły się ciemne kontury gór. Za nimi widać było jasne światła leżącego osiemdziesiąt kilometrów dalej Los Angeles. Milion jasnych świateł uwieczonych pod masami powietrza gęstego jak zupa. Po chwili obraz miasta zniknął, zastąpiony przez mrok pustyni.

Dixon usiadła na złożonym fotelu Parkera. O'Donnell mocniej chwycił kołnierzyk pilota. Reacher wykręcił kark Lamaisona ramieniem, naciskając na krtań i niemal do kresu wytrzymałości napinając pasy. Przytrzymał. Następnie otworzył zapięcie lufą SIG-a. Pasy puściły. Pociągnął go do tyłu i cisnął na podłogę.

Lamaison dostrzegł okazję. Odepchnął się do pozycji siedzącej i zaparł piętami, próbując zrzucić z siebie nogi Reachera. Ten był na to przygotowany. Przygotowany jak nigdy dotąd. Wymierzył mu silnego kopniaka w bok i walnął łokciem w ucho. Przycisnął twarz Lamaisona do podłogi, oparł kolano między jego łopatkami i przytknął SIG-a do wierzchołka kręgosłupa. Lamaison uniósł głowę. Reacher wiedział, że ma przed sobą mroczną otchłań. Rozpaczliwie wierzgał nogami. Wrzeszczał. Reacher słyszał go mimo ogromnego hałasu. Czuł falującą klatkę piersiową.

Za późno, pomyślał. Czas zebrać, coś posiał.

Lamaison wymierzył na oślep kilka słabych niecelnych ciosów. Później oparł dłonie na wykładzinie, próbując zrzucić Reachera z grzbietu. Zapomnij o tym, pomyślał. Chyba że potrafisz wykonać pompkę ze stu trzydziestoma kilogramami na plecach. Niektórzy potrafią. Reacher widział to na własne oczy. Lamaison jednak tego nie umiał. Był silny, lecz niewystarczająco. Napiął się z całych sił i opadł na wykładzinę.

Reacher przełożył SIG-a do lewej ręki i chwycił szyję Lamaisona od tyłu jak w kleszcze. Lamaison miał potężny kark, lecz Reacher miał wielkie dłonie. Wetknął kciuk i koniec środkowego palca we wgłębienie za uszami i mocno nacisnął. Zablokował tętnice, pozbawiając mózg tlenu. Mężczyzna przestał krzyczeć i wierzgać. Reacher przytrzymał palce kolejną minutę, a następnie obrócił Lamaisona jak pijanego.

Chwycił go za pasek i kołnierzyk koszuli.

Posadził na podłodze. Najpierw siedzenie, później stopy.

Przyciągnął go na próg i przytrzymał z rękami na plecach. Helikopter wolno wirował. Silniki wyły, śmigło młóciło powietrze, wydając niskie basowe dźwięki. Reacher czuł w piersi uderzenia płatów jak bicie serca. Kilka minut później zimny powiew sprawił, że

Lamaison otworzył oczy i rozejrzał się wokół. Siedział na krawędzi helikoptera z nogami dyndającymi w próżni, jak mężczyzna na wysokim murze.

Około tysiąca sześciuset metrów nad pustynią. Jedną milę. Pięć tysięcy dwieście osiemdziesiąt stóp.

Reacher przygotował mowę na tę okazję. Zaczął ją opracowywać już w restauracji Denny'ego w Sunset, kiedy trzymał w ręku teczkę Franza. Mowę pełną pięknych słów o wierności i zemście, serdeczną mowę pogrzebową na cześć czwórki zmarłych przyjaciół. Kiedy przyszła pora, by ją wygłosić, nie powiedział wiele. Po co miałby to robić? Lamaison nie usłyszałby ani słowa. Był śmiertelnie przerażony. Poza tym hałas był zbyt duży. Kakofonia dźwięków. W końcu pochylił się, przyłożył usta do ucha Lamaisona i powiedział:

- Popełniłeś błąd. Zadarłeś z niewłaściwymi ludźmi. Pora zapłacić. Wyprostował jego ramiona za plecami i pchnął. Lamaison ześlizgnął się kilka centymetrów, a następnie rzucił w tył, próbując usiąść na progu. Reacher pchnął go ponownie. Lamaison zwinął się wpół, dotykając kolanami klatki piersiowej. Spojrzał w mroczną otchłań. Tysiąc sześćset metrów. Rozpędzony samochód potrzebuje minuty, aby pokonać taki dystans.

Reacher pchnął ponownie. Lamaison zaczął się chwiać.

Reacher oparł piętę na krzyżu Lamaisona.

Ugiął nogę.

Puścił ramiona.

Wyprostował nogę szybko i sprawnie. Lamaison wyleciał z kabiny i zniknął w mroku.

Nie krzyknął. A może krzyknął, lecz wołanie zagłuszył dźwięk wirujących płatów. O'Donnell szturchnął pilota, który zmienił kurs i obrócił maszynę w drugą stronę. Drzwi się zamknęły. W kabinie zapanowała cisza. W porównaniu z tym, co było przed chwilą. Dixon z całych sił przywarła do Reachera.

- Musiałeś czekać do ostatniej chwili? - zapytał O'Donnell.

- Miałem pokusę, by pozwolić im cię wyrzucić, a później uratować Karłę. Trudna decyzja. Wymagała czasu.

- Gdzie jest Neagley?

- Mam nadzieję, że pracuje. Pociski opuściły fabrykę w Kolorado osiem godzin temu.

Nie wiemy, dokąd pojechały.

Pilot nie mógł im niczego zrobić, nie zabijając jednocześnie samego siebie, więc zostawili go w kokpicie. Wcześniej sprawdzili poziom paliwa. Zostało niewiele. Na niecałą godzinę lotu. Komórki nie miały zasięgu. Reacher kazał pilotowi obniżyć pułap i skręcić na południe, aby złapali zasięg. Dixon i O'Donnell rozłożyli tylne fotele i usiedli. Nie zapięli pasów. Reacher pomyślał, że mają dość więzów. Sam położył się na podłodze na plecach z szeroko rozpostartymi rękami i nogami. Był zmęczony i przygnębiony. Śmierć Lamaisona nie przywróciła życia żadnemu z jego przyjaciół.

- Gdzie wywiozłabyś sześćset pięćdziesiąt pocisków ziemia-powietrze?

- Na Bliski Wschód - odparła Dixon. - Drogą morską. Moduły elektroniczne przez Los Angeles, rakiety i wyrzutnie przez Seattle.

Reacher uniósł głowę.

- Lamaison powiedział, że jadą do Kaszmiru.

- Tak i nie. Myślę, że świadomie uwierzył w to kłamstwo, aby oczyścić sumienie. Nie chciał poznać prawdy.

- To znaczy?

- Planują jakąś akcję terrorystyczną w Stanach. To oczywiste. Kaszmir to sporny obszar, o który walczą Indie i Pakistan. Zakupem broni zajmują się rządy. Ci faceci nie spacerują z walizką Samsonite wypchaną akcjami, hasłami dostępu do tajnych kont i woreczkami z diamentami.

- Czy właśnie to znalazłeś? - zapytała Dixon.

- W Highland Park. Towar wartości sześćdziesięciu pięciu milionów dolarów. Neagley ma wszystko. Musisz to dla nas zabezpieczyć, Karla.

- Jeśli przeżyję. Mogą zestrzelić samolot, którym będę leciała do Nowego Jorku.

Reacher skinął głową.

- Zrobią to. Jeśli nie jutro, to pojutrze. Albo następnego dnia.

- Jak ich znajdziemy? Osiem godzin jazdy z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę daje obszar o promieniu sześciuset czterdziestu kilometrów. Koło o powierzchni miliona dwustu osiemdziesięciu sześciu tysięcy kilometrów kwadratowych.

- Pół miliona mil kwadratowych. Dokładnie czterysta dziewięćdziesiąt siedem tysięcy dwadzieścia pięć - dodał odruchowo Reacher. - Jeśli zaokrąglimy liczbę n do trzech miejsc po przecinku. Musieliśmy dokonać wyboru: zatrzymać ich, gdy obszar poszukiwań był mały, lub ruszyć wam na pomoc.

- Dzięki - powiedziała Dixon.

- Nie dziękuj. Byłem za zatrzymaniem ciężarówki. Neagley mnie przegłosowała.

- Jak to zrobimy?

- Czy widziałaś, jak postępuje naprawdę wielki zawodnik baseballu grający w środku pola? Nigdy nie biegnie za piłką. Zasuwa tam, gdzie ma w końcu trafić. Jak Mickey Mantle.

- Nigdy nie widziałam, jak gra.

- Oglądałem go na filmie.

- Stany Zjednoczone mają powierzchnię ponad dziewięciu milionów kilometrów kwadratowych. To trochę więcej od środkowego pola stadionu Jankesów.

- Tylko trochę.

- Dokąd pojedziemy?

- Mahmoud nie jest głupcem. Uważam go za bardzo inteligentnego i ostrożnego faceta. Wydał sześćdziesiąt pięć milionów dolarów na coś, co jest jedynie elementem składowym broni. Jestem pewien, że ktoś pokaże mu, jak ją złożyć.

- Kto?

- Co powiedziała nam znajoma Neagley? Sekretarka tego polityka? Diana Bond?

- Dużo rzeczy.

- Powiedziała, że kontrolą jakości zajmuje się inżynier z New Age, ponieważ tylko on zna zasadę działania Little Wing.

- Lamaison musiał go szantażować.

- Myślę, że groził jego córce.

- Zamierzał go wykorzystać - powiedział O'Donnell. - Chciał go dokądś zabrać. Wyrzuciłeś faceta z tego pieprzonego helikoptera, zamiast zadać mu wcześniej kilka pytań.

Reacher pokręcił głową.

- Lamaison mówił tak, jakby sprawa była zamknięta.

- Jeśli nie Dean, to kto?

- Nie kto - zauważył Reacher. - Nie kto, lecz gdzie.

- Jeśli tylko Dean się na tym znał, a Lamaison nie zamierzał go nigdzie zabrać, musieliby przywieźć pociski do niego.

- To śmieszne - zauważył O'Donnell. - Jak sobie wyobrażasz przywiezienie elementów pocisku do domku w Century City lub gdziekolwiek indziej?

- Facet nie mieszka w Century City. Ma dom na pustyni. Na jakimś zadupiu. Poza granicami cywilizacji. Znasz lepsze miejsce?

- Mamy zasięg - powiedział pilot.

Reacher wyciągnął aparat na kartę, który kupił w Radio Shack. Odnalazł numer Neagley i wcisnął zielony przycisk. Odebrała.

- U Deana? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała. - Jestem tego pewna. Będę tam za dwadzieścia minut.

83

Bell miał GPS, lecz urządzenie nie pokazywało mapy na ekranie. Było inne niż to w samochodzie wypożyczonym przez O'Donnella. GPS helikoptera pokazywał nieustannie zmieniające się współrzędne szerokości i długości geograficznej. Białe, zielone, zwyczajne cyfry. Reacher kazał pilotowi lecieć na południe od Palmdale. Pilot martwił się o paliwo. Reacher kazał mu zmniejszyć pułap. Bywało, że helikopter wytrzymał upadek z wysokości trzydziestu metrów. Bardzo rzadko z kilkuset.

Ponownie zadzwonił do Neagley. Uzyskała adres Deana od Margaret Berenson przebywającej w hotelu w Pasadenie. Ona też nie miała GPS. Jechała w ciemności, dysponując przestarzałymi reflektorami na dodatek zamalowanymi niebieską farbą. Zasięg co jakiś czas się urywał. Dwukrotnie stracili łączność. Zanim rozmowa została przerwana po raz trzeci, powiedział, aby odnalazła ranczo Deana i zataczała małe kręgi z włączonymi przednimi światłami.

Usiadł w fotelu Lamaisona i przytknął czoło do szyby tak jak on. Dixon i O'Donnell wyglądali przez boczne szyby z tyłu. Przed nimi rozciągała się szeroka panorama. Reacher kazał pilotowi co jakiś czas zataczać szerokie koło, na wypadek gdyby ominęli to, czego szukali.

Nie dostrzegł niczego.

Absolutnie niczego z wyjątkiem bezkształtnej ciemności i pojawiających się sporadycznie słabych pomarańczowych świateł. Pomyślał, że to stacje benzynowe lub małe parkingi przed wiejskimi sklepami spożywczymi. Czasami mijali samochody na opustoszałych drogach, lecz żaden z nich nie był hondą civic Neagley. Wszystkie miały żółte światła zamiast niebieskich. Wybrał jej numer. Brak zasięgu.

- Paliwo się kończy - poinformował pilot.

- Autostrada z lewej strony - zawołała Dixon. Reacher spojrzął w dół. Też mi autostrada. Pięć samochodów w linii prostej na odcinku dwóch kilometrów. Dwa jechały na południe, trzy na północ. Zamknął oczy i wyobraził sobie mapy, które oglądał.

- Nie powinniśmy szukać na autostradzie północ-południe - powiedział. - Dolecieliśmy za daleko na zachód.

Bell przechylił się i szerokim łukiem skrzył na wschód, aby po chwili wyrównać.

- Niebawem będę musiał lądować - oświadczył pilot.

- Wylądujesz, kiedy ci powiem - odparł Reacher.

Na północ od gór powietrze było lepsze. Niewiele kurzu i cienka warstwa nagrzanego powietrza. Horyzont był wyraźnie widoczny. Daleko przed sobą spostrzegli migoczące światła. Pewnie Palmdale. Reacher słyszał, że to ładne miejsce. Podobno bardzo dynamicznie się rozwijało. Uważano je za atrakcyjne, a zatem było drogie. Facet szukający otwartej przestrzeni i spokoju oraz najlepszego sposobu zainwestowania forsy trzymałby się od niego z daleka.

- Zawróć na południe - powiedział. - Zwiększ pułap.

- Spalimy więcej paliwa - zauważył pilot.

- Musimy mieć lepszy widok.

Bell wznosił się powoli przez kilkadziesiąt metrów. Pilot opuścił nos maszyny i zatoczył szerokie koło, jakby przeszukiwał horyzont reflektorem.

Nie zauważyli niczego.

Żadnego zasięgu.

- Wyżej - poleciał Reacher.

- Nie mogę - zaprotestował pilot. - Spójrz na zegary. Reacher odszukał wskaźnik paliwa. Wskazówka zbliżała się do zera. Oficjalnie zbiorniki były puste. Zamknął oczy i ponownie wyobraził sobie mapę. Berenson powiedziała, że Dean narzekał na dojazdy. Do Highland Park prowadziły jedynie dwie drogi. Droga Sto Trzydzieści Osiem biegnąca na wschód od Mount San Antonio i Dwójka na zachodzie, przebiegająca obok obserwatorium Mount Wilson. Dwójka była przypuszczalnie węższa i bardziej kręta. Łączyła się z Dwieściedziątką w Glendale. Była pewnie gorsza od drogi na wschodzie. Mógłby ją wybrać jedynie jakiś półgłówek. Oznaczało to, że Dean wyruszał z miejsca położonego na południe, a nie na południowy wschód od Palmdale. Reacher patrzył przed siebie, czekając aż w oddali pojawią się światła.

- Teraz wykonaj zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i leć prosto - powiedział.

- Nie mamy paliwa.

- Rób, co mówię.

Maszyna zawróciła, zanurkowała i ruszyła przed siebie. Sześćdziesiąt sekund później dostrzegli Neagley.

W odległości dwóch kilometrów zauważyli stożek niebieskiego światła obracający się i pulsujący jak latarnia morska. Wyglądało na to, że Neagley zatacza koła o promieniu dziesięciu metrów, błyskając reflektorami na wybojach. Efekt był niesamowity. Promienie

reflektorów przesuwały się wokół, rzucając ruchome cienie i sięgając kilkudziesięciu metrów tam, gdzie nie natrafiły na żadne przeszkody. Jak latarnia na skalistym brzegu. Małe pagórki i wgłębienia układały się w dramatyczny relief. Na północ od Neagley znajdowały się niskie zabudowania, na wschód - linia wysokiego napięcia. Na zachód od niej przebiegał płytki parów o szerokości dwunastu i głębokości sześciu metrów.

- Ląduj - polecił Reacher. - W wąwozie. Nie opuszczaj podwozia.

- Dlaczego?

- Ponieważ tak sobie życzę.

Pilot poleciał kawałek na zachód, zmniejszył pułap o kilkadziesiąt metrów i zawrócił w stronę wąwozu, aby po chwili opuścić maszynę na ziemię jak windę. Usłyszeli sygnał alarmowy ostrzegający, że ląduje ze schowanymi kołami. Pilot zignorował go i kontynuował manewr. Zwolnił na wysokości sześciu metrów od ziemi i delikatnie posadził helikopter na kamienistym dnie parowu. Usłyszeli chrzęst miażdżonych kamieni i skrzypienie metalu. Podłoga znajdowała się prawie płasko. Przez tuman kurzu wzbijany płatami Reacher dostrzegł jadącą w ich kierunku Neagley.

W tym momencie paliwo się skończyło.

Silniki zgasły, a wirnik zamarł.

W kabinie zapadła cisza.

Reacher wyszedł pierwszy. Przedarł się przez obłok gorącego kurzu, wysłał Dixon i O'Donnella na spotkanie Neagley, a następnie wrócił do bella. Otworzył drzwi kokpitu i spojrzał na pilota. Facet w dalszym ciągu siedział przypięty pasami. Stukał paznokciem w szybkę wskaźnika paliwa.

- Przyjemne lądowanie - powiedział. - Jesteś dobrym pilotem.

- Dzięki.

- To wirowanie w powietrzu to sprytny pomysł - zauważył. - Dzięki temu drzwi były otwarte.

- To jedna z podstawowych zasad aerodynamiki.

- Miałeś okazję dokładnie przećwiczyć ten manewr. Pilot nie odpowiedział.

- Cztery razy - uściślił. - Przynajmniej o tyłu wiem. Pilot nie odpowiedział.

- Ci ludzie byli moimi kumplami - wyjaśnił Reacher.

- Lamaison kazał mi to zrobić.

- W przeciwnym razie?

- Straciłbym robotę.

- Tylko tyle? Pomogłeś mu wyrzucić z helikoptera czterech żywych ludzi, aby ocalić pracę?

- Wiedziałem, że źle postępuję.

- A jednak to robiłeś.

- Czy miałem wybór?

- Duży - odparł Reacher. Widząc jego uśmiech, pilot nieco się rozluźnił. Reacher pokręcił głową, jakby był tym rozbawiony, pochylił się i poklepał tamtego po policzku. Przyjacielski gest. Uniósł kciuk, wsuwając go do oczodołu i nacisnął palcem wskazującym skroń, umieszczając trzy pozostałe palce za uchem. Chwilę później skręcił mu kark jedną ręką, pojedynczym raptownym szarpnięciem. Poruszył jego głowę w jedną i drugą stronę, w przód i w tył, w prawo i w lewo, aby upewnić się, że kręgosłup został wystarczająco uszkodzony. Nie chciał, aby facet był sparaliżowany do końca życia. Nie chciał, aby kiedykolwiek się przebudził.

Odszedł, zostawiając go przypiętego pasami do fotela. Po piętnastu metrach odwrócił się i sprawdził. Helikopter stał w rowie, lekko pochylony, ze schowanym podwoziem i pustym zbiornikiem paliwa. Wypadek. Pilot na pokładzie, uraz spowodowany przez uderzenie. Niefortunne zdarzenie. *Nie idealnie, lecz całkiem znośnie.*

Neagley zaparkowała w odległości trzydziestu metrów od wąwozu w połowie odległości od frontowych drzwi domu Deana. Światła były nadal włączone. Kiedy Reacher dotarł do samochodu, ponownie odwrócił się i sprawdził okolicę. Bell był całkiem dobrze ukryty. Wystawał jedynie czubek śmigła. Płaty opadły pod własnym ciężarem. Tuman kurzu zaczął osiadać. Neagley, Dixon i O'Donnell stali obok siebie w zbitej gromadce.

- Wszystko w porządku? - zapytał Reacher.

Dixon i O'Donnell skinęli głową. Neagley się nie poruszyła.

- Gniewasz się? - zapytał Reacher.

- W sumie to nie - odpowiedziała. - Gniewałabym się, gdybyś to schrzanił.

- Musiałaś się dowiedzieć, gdzie jada pociski.

- Przecież wiedziałeś.

- Potrzebowałem potwierdzenia. I adresu.

- No to jesteśmy. Nie ma tu żadnych pocisków.

- Są w drodze.

- Miejmy nadzieję.

- Chodźmy po Deana.

Wsiadli do małej hondy i Neagley podwiozła ich pod drzwi domu. Dean otworzył od razu. Pewnie usłyszał nadlatujący helikopter i zobaczył światła. Nie wyglądał na konstruktora rakiet. Bardziej przypominał trenera z ogólniaka. Wysoki, zwinny, z szopą piaskowych włosów. Miał jakieś czterdzieści lat, był bez butów, ubrany w spodnie od dresu i T-shirt. Nocny strój. Zbliżała się północ.

- Kim jesteście? - zapytał.

Reacher wyjaśnił, kim są i dlaczego przyjechali. Dean nie miał pojęcia, o czym mówi.

84

Reacher oczekiwał zaprzeczenia. Lamaison ostrzegł Berenson, aby siedziała cicho i pewnie tak samo postąpił z Deanem. Tylko że zaprzeczenie sprawiało wrażenie szczerego. Facet był naprawdę zdziwiony i nie udzielał wymijających odpowiedzi.

- Zacznijmy od początku - powiedział Reacher. - Wiemy, co robiłeś z modułami elektronicznymi. Wiem też, dlaczego tak postępowałeś.

Na twarzy Deana pojawił się ten sam wyraz co na twarzy Margaret Berenson.

- Wiemy, że grozili twojej córce.

- Czym?

- Jest tutaj?

- Wyjechała razem z matką.

- Rok szkolny jeszcze się nie skończył.

- Pilna sprawa rodzinna. Reacher skinął głową.

- Odesłałeś je. Mądre posunięcie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Lamaison nie żyje - wyjaśnił Reacher.

W oczach Deana pojawił się przelotny błysk nadziei, trwał jednak krótki ułamek sekundy i trudno go było dostrzec w ciemności.

- Wyrzuciłem go z helikoptera - kontynuował Reacher.

Dean nie zareagował.

- Lubisz obserwować ptaki? Poczekaj dzień lub dwa, pojedź pięć kilometrów na południe i wejdź na dach samochodu. Dwa myszołowy oznaczają kojota ukąszonego przez węża. Więcej - Lamaisona, Parkera lub Lennox. Wszyscy gdzieś tam są.

- Nie wierzę ci.

- Pokaż mu, Karla - powiedział do Dixon.

Dixon wyciągnęła portfel, który zabrała Lamaisonowi. Dean wziął go do ręki i obejrzał w korytarzu. Wytrząsnął zawartość na dłoń i przejrzał. Prawo jazdy Lamaisona, jego karty kredytowe, legitymacja pracownika New Age ze zdjęciem. Karta ubezpieczenia społecznego.

- Lamaison nie żyje - powtórzył Reacher. Dean włożył rzeczy do portfela i zwrócił Dixon.

- Macie jego portfel - powiedział. - To niczego nie dowodzi.

- Mogę ci pokazać pilota - zaproponował Reacher. - On też nie żyje.

- Przed chwilą wylądował.

- Przed chwilą go zabiłem.

- Jesteś szalony.

- A ty jesteś wolny. Dean nic nie odpowiedział.

- Nie spiesz się - ciągnął Reacher. - Przywyknij do tego. Powiedz nam tylko, kto i kiedy tu przyjedzie.

- Nikogo tu nie będzie.

- Ktoś musi przyjechać.

- Nie było o tym mowy.

- Naprawdę?

- Możesz to powtórzyć? - poprosił Dean. - Lamaison nie żyje?

- Zabił czterech moich przyjaciół - odpowiedział Reacher. - Gdyby żył, nie traciłbym czasu na rozmowę z tobą.

Dean wolno skinął głową. Zaczął się przyzwyczajać.

- Nadal nie wiem, o czym mówicie - powiedział. - Zgoda, podpisałem lipne papiery. Przyznaję. Zrobiłem to sześćset pięćdziesiąt razy. Na tym koniec. Nigdy nie było mowy o składaniu elementów lub pokazywaniu, jak to zrobić.

- Czy ktoś oprócz ciebie o tym wie?

- To nic trudnego. Zwyczajnie podłączasz i używasz. Prosta sprawa. Musi tak być. Tej broni będą używali żołnierze. Bez urazy. W nocy, na polu walki, w warunkach silnego stresu.

- Może to proste dla ciebie.

- Stosunkowo proste dla każdego.

- Żołnierze nigdy nie obsługują broni, dopóki ktoś im nie pokaże, jak to się robi.

- Zostaną przeszkoleni, to oczywiste.

- Przez kogo?

- Przeprowadzimy szkolenie w Fort Irwin. Poprowadzę pierwszy kurs.

- Lamaison o tym wiedział?
- To standardowa procedura.
- Zmusił cię, abyś mu pokazał. Dean potrząsnął głową.
- Nie. Nie wspominał o tym, chociaż mógł. Nie mogłem mu niczego odmówić.
- Dziewięć godzin - rzekła Neagley.
- Kolejne trzysta trzydzieści sześć tysięcy kilometrów kwadratowych - dodała Dixon.

Dokładnie trzysta trzydzieści sześć tysięcy siedemset, pomyślał Reacher. No to już mamy obszar wielkości całej Kalifornii i ponad połowy Teksasu. Pole koła liczyło się, mnożąc n przez promień podniesiony do kwadratu. To potęgowanie sprawiało, że wzrost był tak szybki.

- Jada tu - powiedział Reacher. - Muszą.

Nikt nie odpowiedział.

Dean zaprosił ich do środka. Dom okazał się długim parterowym budynkiem z betonu i drewna. Betonu nie otynkowano, pozwalając, aby pokrył się żółtą patyną. Drewno miało ciemnobrązowy kolor. Na podłodze dużego salonu leżały dywany indian Navajo. Dostrzegli stare meble i kominek z popiołem z ostatniej zimy. Dużo książek i walające się wszędzie płyty kompaktowe. I stereo ze wzmacniaczem lampowym i głośnikami tubowymi. W sumie wszystko to wyglądało jak marzenie uciekiniera z wielkiego miasta.

Dean poszedł do kuchni, aby zaparzyć kawę.

- Dziewięć godzin i dwadzieścia sześć minut - powiedziała Dixon. Neagley i O'Donnell nie załapali, lecz Reacher zrozumiał, o co jej chodzi. Jeśli zaokrąglić liczbę Tt do trzech miejsc po przecinku, a ciężarówka porusza się z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, dziewięć godzin i dwadzieścia sześć minut dawało obszar poszukiwań milion osiemset tysięcy kilometrów kwadratowych.

- Mahmoud jest ostrożny - przypomniał Reacher. - Nigdy nie kupiłby kota w worku. Albo to jego forsa i nie chce jej stracić, albo forsa kogoś innego, kogo wolałby nie zdenerwować. Jedzie tu.

- Dean jest odmiennego zdania.

- Dean mówi, że nie uprzedzili go o tym. To różnica. Dean wrócił z kawą. Siedzieli w milczeniu przez kolejnych piętnaście minut. Nagle Reacher odwrócił się do Deana i zapytał:

- Masz narzędzia elektryczne?

- Trochę

- A plastikowe opaski do kabli?

- Dużo. Z tyłu domu jest warsztat.

- Powinieneś pojechać na północ - doradził Reacher. - Do Palmdale. Na śniadanie.

- Teraz?

- Teraz. Zostań do lunchu. Wróć po południu.

Dean siedział przez chwilę w milczeniu, później wstał, zabrał klucze i wyszedł. Usłyszeli pracujący silnik i zgrzyt kamieni na podjeździe. Po chwili dźwięk ucichł i ponownie zapadła cisza.

- Dziewięć godzin i czterdzieści sześć minut - powiedziała Dixon. Reacher skinął głową. Obszar potencjalnych poszukiwań powiększył się do miliona dziewięciuset czterdziestu kilometrów kwadratowych.

- Jedzie tu - powtórzył Reacher.

Siedemnaście minut po pierwszej nad ranem krąg poszukiwań urósł niemal do dwóch milionów sześciuset tysięcy kilometrów kwadratowych. Reacher znalazł atlas, wytyczył trasę przejazdu i obliczył, że Denver jest oddalone o osiemnaście godzin drogi. Oznaczało to, że do spotkania dojdzie prawdopodobnie o szóstej rano. Idealnie z punktu widzenia Mahmouda. Przypuszczalnie Lamaison powiedział mu, że grozili córce Deana. O szóstej rano dzieciak byłby w domu, przypominając ojcu, na jakie niebezpieczeństwo się naraża. Może Mahmoud zamierzał złożyć mu niezapowiedzianą wizytę, był jednak pewien, że uzyska to, czego chce.

Reacher wstał i ruszył na przechadzkę. Obszedł dom, a następnie obejrzał pokoje. Ranczo składało się z domu, garażu i warsztatu, o którym wspomniał Dean. Poza nimi w okolicy niczego nie było. Mimo panujących ciemności Reacher czuł pustą przestrzeń otaczającą go ze wszystkich stron. W środku sprawa była prosta. Trzy sypialnie, salon, kuchnia i jadalnia. Jedna z sypialni należała do córki Deana. Na tablicy wisiały zdjęcia wydrukowane na drukarce atramentowej. Grupki nastoletnich dziewcząt. Po trzy i po cztery. Dziewczyna i jej koleżanki. Droga eliminacji ustalił, która występuje na wszystkich fotografiach. Wysoka blondynka. Czternaście lat. Nadal nieco niezgrabna, z aparatem korekcyjnym na zębach. Za rok lub dwa będzie chodzącą piękną i pozostanie taką przez kolejnych trzydzieści lat. Zakładniczka szczęścia. Reacher rozumiał Deana i żałował, że Lamaison bardziej nie wrzeszczał, spadając w otchłań.

Ludzie powiadają, że najciemniej jest tuż przed świtem. Mylą się. Z definicji najciemniej jest w środku nocy. Około piątej na wschodzie zaświtała zorza. O piątej trzydzieści widoczność była już całkiem dobra. Reacher wyruszył na kolejną przechadzkę.

Dean nie miał sąsiadów. Żył pośrodku tysięcy pustych akrów. Nic nie przysłaniało widoku aż po horyzont. Jałowa, spalona słońcem ziemia. Linie wysokiego napięcia biegly z południa na północ, mknąc we mgle. Kamienista droga wiodła do domu od południowego wschodu. Reacher przeszedł się nią kawałek i zawrócił, aby sprawdzić, jaki widok ukaże się oczom Mahmouda. Helikopter był ukryty. Szczęśliwym trafem samotny krzak jadłoszynu zasłonił wierzchołek śmigła. Reacher przestawił hondę Neagley za garaż i sprawdził ponownie. Idealnie. Trzy niskie i zakurzone senne zabudowania wydawały się naturalną częścią krajobrazu. Sto metrów dalej ujrzał odłupany płaski kawałek skały o kształcie przypominającym trumnę. Podszedł do niej i położył kawałek betonu Swana niczym pomnik. Wrócił do zabudowań i zajrzał do warsztatu. Drzwi były otwarte. W środku panował porządek i czuć było zapach smaru ogrzanego przez słońce. Znalazł trzy paczki czarnych opasek do kabli i wziął osiem największych. Miały przeszło pięćdziesiąt centymetrów długości, były grube i sztywne. Służyły do mocowania ciężkich kabli w skrzynkach elektrycznych.

Później wszedł do domu i zaczął czekać.

Nadeszła szósta, lecz Mahmoud się nie pojawił. Obszar poszukiwań powiększył się do ponad sześciu milionów czterystu siedemdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych. Szósta piętnaście - sześć milionów siedemset tysięcy kilometrów kwadratowych. Szósta trzydzieści - sześć milionów dziewięćset dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych.

O szóstej trzydzieści dwie zadzwonił telefon. Jeden raz. Wydając krótki, miękki i przytłumiony dźwięk.

- Zaczynamy - powiedział Reacher. - Ktoś przeciął linię telefoniczną.

Podbiegli do okien. Czekali. W odległości dziesięciu kilometrów na południowy wschód dostrzegli mały biały punkt lśniący w świetle porannego słońca. Samochód zbliżał się szybko, ciągnąc za sobą obłok pyłu podświetlony od tyłu przez jasne promienie otaczające go niczym aureola.

85

Odeszli od okien i zebrali się w salonie, spięci i milczący. Pięć minut później usłyszeli chrzęst kamieni pod kołami i stłumione odgłosy zużytego ośmiocyndrowego diesla. Po chwili chrzęst ustał, a silnik zamilkł. Doleciał ich dźwięk zaciąganego hamulca ręcznego, słaby odgłos zamykanych drzwi i kroki na żwirze. Kierowca rozejrzał się wokół, ziewnął i rozprostował kości.

Minutę później zapukał do drzwi. Reacher poczekał. Ponowne pukanie.

Reacher policzył do dwudziestu i ruszył korytarzem. Otworzył drzwi. Na progu ujrzał ciemną sylwetkę mężczyzny rysującą się na tle jasnego światła. Za nim stała średniej wielkości ciężarówka. Biało-czerwony samochód wypożyczony w U-Haul. Nieco niezgrabny, o ciężkiej sylwetce. Reacher pomyślał, że już gdzieś go widział i że nigdy nie widział tego człowieka. Facet był średniego wzrostu, średniej wagi ciała. Miał na sobie drogie, lekko pogniecione ubranie. Na oko mógł mieć czterdzieści parę lat. Czarne, gęste, lśniące starannie przycięte włosy. Jasnobrazowa skóra i regularne rysy twarzy, które mogły należeć do obywatela Indii, Pakistanu, Iranu, Syrii, Libanu, Algierii, a nawet Izraela lub Włoch.

Z kolei Azhari Mahmoud ujrzał niechlujnie wyglądającego białego olbrzyma. Na oko dwa metry wzrostu, sto dziesięć może sto dwadzieścia kilogramów wagi. Ogolona głowa, szerokie nadgarstki i dłonie jak szufle. Ubranego w zakurzone szare dżinsy i buty robocze. Zwariowany naukowiec, pomyślał. W tej budzie na pustyni czuje się jak w domu.

- Edward Dean? - zapytał.

- Tak - odparł Reacher. - A ty kto?

- Zauważyłem, że nie macie tu zasięgu.

- Co z tego?

- Na wszelki wypadek przeciąłem kabel telefoniczny jakieś dwadzieścia kilometrów stąd.

- Kim jesteś?

- Moje nazwisko nie ma znaczenia. Jestem przyjacielem Allena Lamaisona. To ci powinno wystarczyć. Powinieneś odnosić się do mnie z taką samą życzliwością jak do niego.

- Nie darzę życzliwością Allena Lamaisona - odpowiedział Reacher. - Spadaj.

Mahmoud skinął głową.

- Ujmę to inaczej. Groźba Lamaisona jest nadal aktualna. Dzisiaj to ja na niej skorzystam, nie on.

- Jaka groźba? - udał zdziwienie Reacher.

- Pod adresem twojej córki. Reacher nie odpowiedział.

- Chcę, abyś pokazał mi, jak uzbroić Little Wing - ciągnął dalej Mahmoud.

Reacher spojrzał na ciężarówkę U-Haul.

- Nie mogę - odparł Reacher. - Masz tylko moduły elektroniczne.

- Rakiety są w drodze - wyjaśnił Mahmoud. - Będą tu niebawem.

- Gdzie chcecie ich użyć?

- Tu i tam.

- Na terenie Stanów Zjednoczonych?

- Dużo tu potencjalnych celów.
- Lamaison wspominał o Kaszmirze.
- Być może wyślemy kilka pocisków grupce wybranych przyjaciół.
- My?- Jesteśmy dużą organizacją.
- Nie zrobię tego.
- Zrobisz. Tak jak wcześniej. Z tego samego powodu. Reacher przerwał na chwilę i

powiedział:

- Wejdz.

Wszedł do środka. Przyzwyczajony do szacunku Mahmoud ominął Reachera i ruszył pierwszy. Reacher zadał mu silny cios w tył głowy i pchnął potykającego się mężczyznę do salonu, gdzie Frances Neagley przywitała go zgrabnym hakiem. Minutę później Azhari Mahmoud leżał spętany w korytarzu. Jedna opaska do kabli krępowała mu lewy nadgarstek i prawą kostkę, druga, prawy nadgarstek i lewą kostkę. Opaski były mocno ściągnięte, tak że ciało wokół nabrzmiało. Mahmoud krwawił z ust i jęczał. Reacher kopnął go w bok i kazał się zamknąć, a następnie wrócił do salonu i czekał na ciężarówkę z Denver.

Ciężarówka z Denver okazała się białym osiemnastokołowcem. Jej kierowca został skrepowany i rzucony obok Mahmouda zaraz po tym, jak wysiadł z kabiny. Następnie Reacher wywłókł Mahmouda z domu i wyprowadził na słońce obok jego ciężarówki U-Haul. Oczy Mahmouda były pełne lęku. Wiedział, co go czeka. Reacher pomyślał, że facet wolałby umrzeć, więc pozostawił go żywego. O'Donnell wyprowadził kierowcę i rzucił go obok jego samochodu. Stali przez chwilę, rozglądając się wokół, a następnie wcisnęli się do hondy civic Neagley i ruszyli pędem na południe. Kiedy tylko uzyskali zasięg, Neagley zadzwoniła do swojego znajomego z Pentagonu. Na zachodzie była siódma rano, na wschodzie dziesiąta. Powiedziała mu, czego i gdzie szukać. Później pojechali dalej. Reacher co chwila wyglądał przez tylną szybę. Nie zdążyli dotrzeć do gór, gdy nad horyzontem pojawił się cały szwadron helikopterów lecących na zachód. Pomyślał, że to belle AH-1 z najbliższej bazy Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Dosłownie zaroilo się od nich na niebie.

Po przejechaniu gór zaczęli rozmawiać o pieniądzach. Neagley przekazała Dixon papiery i diamenty. Uzgodnili, że powinna zabrać je do Nowego Jorku i zamienić na gotówkę. Ustalili, że zwrócą Neagley poniesione koszty, a następnie stworzą fundusz powierniczy dla Angeli i Charliego Franza, Tammy Orozco i jej trójki dzieci oraz Mileny, przyjaciółki

Sancheza. Na koniec przekażą darowiznę Stowarzyszeniu na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt. W imieniu Maisi, suki Tony'ego Swana.

Później zapanowała niezręczna cisza. Neagley nie miała nic przeciwko zatrzymaniu reszty forsy w charakterze wynagrodzenia, lecz Reacher wyczuł, że Dixon i O'Donnell mają z tym pewien problem. Odczuwali pokusę, lecz mieli wątpliwości. Czuli się niezręcznie, by o tym powiedzieć. Zrobił to za nich. Wyznał, że jest kompletnie splukany i zasugerował, aby podzielić to, co zostanie, na cztery części tytułem zapłaty. Wszyscy wyrazili zgodę.

Później nie rozmawiali wiele. Lamaison oszedł, Mahmoud znalazł się w systemie, lecz żaden z ich przyjaciół nie odzyskał życia. Reacher zaczął zadawać sobie ważne pytanie: Czy gdyby nie utknęli w korku na Dwieściecztery i dotarł do szpitala na czas, poradziłby sobie lepiej niż Dixon lub O'Donnell? Lepiej od Swana, Franza, Sancheza czy Orozca? Może oni również zadawali sobie to pytanie w odniesieniu do jego osoby? Nie znał odpowiedzi i był zły z tego powodu.

Dwie godziny później byli już na lotnisku w Los Angeles. Porzucili hondę civic na drodze pożarowej i rozeszli się do różnych terminali, aby skorzystać z usług różnych linii lotniczych. Zanim się rozdzielili, po raz ostatni stuknęli się pięściami, pożegnali i obiecali, że wkrótce znów się zobaczą. Neagley poszła do stanowiska American. Dixon wybrała America West. O'Donnell ruszył na poszukiwanie linii United, a Reacher został w tłumie, obserwując, jak się oddalają.

Opuścił Kalifornię z niemal dwoma tysiącami dolarów w kieszeni. Od dealerów narkotyków sprzedających towar za muzeum figur woskowych w Hollywood, od Saropiana w Vegas i od dwóch pracowników New Age w Highland Park. Forsy wystarczyło mu na prawie cztery tygodnie. W końcu zatrzymał się obok bankomatu na dworcu autobusowym w Santa Fe w Nowym Meksyku. Jak zawsze sprawdził saldo, aby sprawdzić, czy wyliczenie banku zgadzało się z jego własnym.

Po raz drugi w życiu coś było nie tak.

Maszyna poinformowała go, że na rachunku jest o ponad sto tysięcy dolarów więcej, niż oczekiwał. Na oko więcej o jakieś sto jedenaście tysięcy osiemset dwadzieścia dwa dolary i osiemnaście centów.

UI 822,18.

Pomyślał, że to dzieło Dixon. Łup wojenny.

W pierwszej chwili poczuł się rozczarowany. Nie sumą. Dawno nie widział takiej forsy. Był rozczarowany sobą, ponieważ nie potrafił odkryć przesłania zawartego w tej liczbie. Był pewien, że Dixon zmieni ostateczną kwotę o kilka dolarów w jedną lub drugą stronę, aby wywołać na jego twarzy cierpki uśmiech. Nie załapał, o co jej chodziło. Nie była to liczba pierwsza. Nie była nawet dwukrotnie większa od liczby pierwszej. Miała setki dzielników. Jej odwrotność była równie nudna, a pierwiastek kwadratowy tworzył długi i zawiły szereg cyfr. Jeszcze gorszy był pierwiastek sześcienny.

111 822,18.

Powoli stawał się coraz bardziej rozczarowany Dixon. Im dłużej rozmyślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to naprawdę nudna liczba.

Pewnie myślała o czym innym.

Zawiodła go.

Może.

A może nie.

Nacisnął przycisk, aby otrzymać wydruk transakcji. Z bankomatu wysunął się mały pasek cienkiego papieru. Błady druk. Na jego rachunku było tylko pięć operacji. Na pierwszym miejscu nadal figurowała wpłata Neagley z Chicago. Kolejną pozycją była wypłata pięćdziesięciu dolarów dokonana na dworcu w Portland, w Oregonie. Na trzecim miejscu znajdowała się opłata za bilet lotniczy z Portland do Los Angeles.

Na czwartym - nowy przelew na kwotę stu jeden tysięcy ośmiuset dziesięciu dolarów i osiemnastu centów.

Na piątym - złożony tego samego dnia depozyt na kwotę dokładnie dziesięciu tysięcy dwunastu dolarów.

101 810,18.

10 012.

Uśmiechnął się. Dixon nie myślała o czymś innym. Myślała dokładnie o tym co on. Pierwszy przelew zawierał układ 10-18 powtórzony w celu dodatkowego podkreślenia. Żandarmeria używała takiego kodu radiowego na oznaczenie zakończonej misji. Dwóch pomyślnie zakończonych operacji. 10-18 i 10-18. Ona i O'Donnell uratowani lub Lamaison i Mahmoud pokonani. Albo jedno i drugie.

Nieźle, Karla, pomyślał.

Drugi depozyt był jej kodem pocztowym: 10012. Greenwich Village. Tam mieszkała. Współrzędna geograficzna. Wskazówka.

Pytała: Wpadniesz do Nowego Jorku, kiedy będzie po wszystkim?

Uśmiechnął się ponownie, zgniół pasek papieru i wrzucił do kosza. Następnie podjął sto dolarów i kupił bilet na pierwszy autobus, który zobaczył. Nie miał pojęcia, dokąd jedzie.

Nie snuję planów, Karla, pomyślała